

PODWÓJNE WYDANIE JAK SIĘ WYSPAĆ ▪ HOŁOWNIA: PODIUM NIE ODDAM
UFO PO POLSKU ▪ JAGIELSKI O NOWYCH INDIACH ▪ PRACOWNICY NA ŁASCE KOŚCIOŁA
POCĄŁUNKI UPIORÓW ▪ KIEŻUN ZJADŁ ŚRÓDZIEMNOMORZE **NA MAJÓWKĘ**

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 23 kwietnia – 6 maja 2025
nr 17-18 (3955-3956)
cena 20 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Marek Kondrat o wolnym czasie

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480505



R.pl

100%

**Poleć bezpośrednio z Warszawy**Uzbekistan—Turkmenistan—Kirgistan
Kazachstan—Tadżykistan

1 g. temu

Azja Centralna

WYCIEZKI OBJAZDOWE

Będzie co wspominać

KS. ADAM

Boniecki: Plebania bez obsługi

TO BYŁY OSOBY DOBRE, ZWYKLE BARDZO DOBRE. ŚWIECCY PRACOWNICY parafii, w których pracowałem, bywali ludźmi, dla których praca w Kościele była czymś więcej niż po prostu pracą. Owszem, miewali swoje nastroje, np. jeden z zakrystianów bywał niekiedy dość trudny do zniesienia, lecz i on swoje funkcje spełniał skrupulatnie. A może jego nastroje wynikały z życiowej sytuacji, z warunków pracy...? Bo przecież wiem, że są problemy z uregulowaniem zatrudniania pracowników świeckich w Kościele i to poważne. W tym wydaniu, które jest też numerem na Święto Pracy, pisze o nich Ignacy Dudkiewicz.

W miastach parafie do pracy w kancelarii czy zakrystii często zatrudniają zakonnice. Zwykle odnosiłem wrażenie, że zarówno one same, jak też proboszcz, wikarzy i wierni byli z tego zadowoleni. Zwłaszcza że dla zakonnic jest to niezła praca – alternatywą zwykle są znacznie gorsze zajęcia. I spotykają się w niej z ludźmi, dla których pracują. Ale bywały też przypadki dramatyczne: nadmiar obowiązków, niedobre relacje z szefem (proboszczem). Na ogół jednak księża zabiegają o obecność i pomoc zakonnic, więc starają się zachować z nimi dobre układy. A i siostry coraz lepiej potrafią bronić swoich interesów.

Owszem, prawo pracy dotyczy też świeckich pracowników Kościoła. Ale wciąż i często, zwłaszcza na małych, wiejskich parafiach, te osoby zatrudniane są na starych zasadach, czyli bez żadnych zasad. Tylko w niektórych diecezjach istnieją przepisy łączące prawo kościelne z państwowym i biorące pod uwagę specyfikę pracy w Kościele. System funkcjonowania parafii będzie stopniowo ewoluował, jak w krajach Zachodu. Sytuacja się powoli zmienia, a pierwszym symptomem jest trudność w znalezieniu chętnych do takiej pracy. Po prostu, osoby odpowiadające zapotrzebo-

waniu instytucji kościelnych nie mogą, poza wyjątkami, sobie na tę pracę pozwolić. To nie jest dramat, nie jesteśmy w tym zresztą światowymi pionierami.

Przez rok mieszkalem w parafii w Paryżu. Była, owszem, pani, która przychodziła gotować obiady, ale nie codziennie – parę razy w tygodniu gotowaliśmy sobie sami. Mieszkańcy plebanii odpowiadali też sami za wszystkie śniadania i kolacje. I nikomu korona z głowy nie spadła. A pewnie i tak byliśmy w doskonałej sytuacji, bo już wtedy bynajmniej nie wszystkie parafie we Francji tak miały. To model i polskiej przyszłości. Już dziś klasztorom męskim coraz trudniej znaleźć chętnych do przygotowywania posiłków, a co będzie za kilkanaście lat? Bo braci kucharzy też nie widać w nadmiarze.

Epoka majątków kościelnych, pól, łąk, lasów, kamienic i pałaców nieubłaganie się kończy. Styl życia Kościoła, z plebaniami pełnymi księży i z pełną ich obsługą, też przemija. Wchodzimy w nową epokę i choć niektórym trudno ją sobie wyobrazić, to przecież nie jest żaden zmierzch Kościoła. Przeciwnie, myślę, że oczyszczenie instytucji ze słabości będzie owocowało jej odrodzeniem. Na czym będzie ono polegało – nie wiem, mam nadzieję, że nie na braku księży, ale jednocześnie także na tym, że świeccy przejmą wiele księżowskich dziś funkcji.

Tak, trudno sobie wyobrazić Kościół za sto lat. Wierzę, czy mam nadzieję, że będzie trwał i w swoich strukturach będzie jakoś odmieniony. Kłopoty z niezupełnie regularnym zatrudnieniem przejdą do historii. Będą inne kłopoty. Nie wiemy jeszcze jakie, ale na pewno się pojawią. ©P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.



TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Skąd się w nas bierze sentyment do starych komputerów ośmiobitowych i dlaczego tak lubimy wracać do gier sprzed lat.

KRZYSZTOF PIĘCIAK

Jak duże straty osobowe poniosła Polska podczas II wojny światowej? Wbrew pozorom jest to temat do dziś otwarty.

MARCIN TUSIŃSKI

Niskie wynagrodzenia, obowiązkowe nadgodziny i mobbing. Pracownicy sektora kultury opowiadają o swojej codzienności.

Starożytne nieróbstwo było przede wszystkim symbolem statusu społecznego, przywilejem elit stanu senatorskiego i ekwickiego, które mogły sobie leniuchować w odróżnieniu od reszty. *Otium*, często połączone z drzemką, miało też być czasem resetu dla umysłu i zmysłów, wolnym od wyrzutów sumienia, które mogłoby rodzić takie nieróbstwo – pisze **MAREK RABJ** w tekście otwierającym numer „Tak śpiz Polsko, jak sobie pościeliłaś”.

STAN NIERÓBSTWA Rzymianie nazywali *otium*. Czy o nim marzymy? Owszem. Czy go potrzebujemy? Każdego dnia. Dlaczego tak trudno nam go osiągnąć? Przeczytajcie Państwo tekst Marka Rabji.

„W jakim Pan jest momencie życia” – pyta **MARKA KONDRATA PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI**. „W dobrym” – odpowiada były aktor. I dodaje: „Gdybym miał je przedstawić za pomocą zegara piaskowego, to mam już za sobą nieprzyjemny moment przejścia przez ten cienki przesmyk – jestem na wielkiej, kwiecistej przestrzeni. W jedynym okresie swojego życia pozbawionym presji”.

„Reżyseruję życie” – mówi **JACKOWI TARANOWI MARINA HULIA**, nauczycielka i koordynatorka międzykulturowa, założycielka między innymi inicjatywy Dzieci z Dworca Brześć. Hulia nazywa siebie „pomagajką”, zgoda, ale taką, która przy okazji zmienia świat. Dworzec w Brześciu zmieniała w szkołę, a poczekalnię więzienną, w której dzieci spędzały czas przed widzeniem z tatą albo mamą – w teatr. „To jest moja zasada. Nie miejsce rządzi człowiekiem, tylko człowiek miejscem” – mówi Hulia.

Na koniec jeszcze jedna przyjemność. Tekst **GRZEGORZA JANKOWICZA** o pierwszym kompletnym wydaniu „Listów do Mileny” **FRANZA KAFKI**. „Milena uważała, że powinny się czym prędzej spotkać, by ugruntować emocjonalną więź. Kafka – jak zawsze – chował się w jamie” – pisze Jankowicz. I zauważa: „Jego niechęć do konfrontacji wynikała z obawy, że Milena będzie rozczarowana żywym człowiekiem”.

Pozwólmy sobie na *otium*, nie tylko w długi weekend majowy. ©P

ANNA GOC
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu” oraz „Głuszy”, za którą otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrodę im. Beaty Pawlak.



25 Kobieta nie nurkuje PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Od drzwi do stodoły imitujących bramkę, po grę w Barcelonie: historia najśłynniejszej polskiej piłkarki Ewy Pajor to opowieść o rozwoju polskiego futbolu kobiecego. I o kruszeniu mentalnych barier.



72 Reżyseruję życie

ROZMOWA Z MARINĄ HULIĄ, ZAŁOŻYCIELKĄ
INICJATYWY DZIECI Z DWORCA BRZEŚĆ:

Rzeczywistość mi coś narzuca, ale odkręcam to na swoje. Dworzec zmieniliśmy w szkołę, więzienną poczekalnię w teatr.



98 Nasz kolonizator ZIEMOWIT SZCZEREK

„Niegdyśjsze śniegi” Gregora von Rezzoriego pokazują, że jeśli nawet wizja udziału w europejskiej historii bywa złudzeniem, to i tak nie posiadamy innej, niż ona, ojczyzny. I tylko tam nas naprawdę ciągnie.

OBRAZ TYGODNIA

6 Klimatyczny stan Europy

AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

8-13 Komentarze i informacje

KRAJ

20 Innej koalicji nie będzie

ROZMOWA Z SZYMONEM HOŁOWNIĄ

25 Kobieta nie nurkuje

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

28 A jeśli to spadnie na mnie?

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA
o opiece nad starzejącymi się rodzicami

ROZMOWA

32 Moje pięć minut

ROZMOWA Z MARKIEM KONDRATEM

ŚWIAT

38 W odmětach rewolucji Trumpa

OLAF OSICA

42 Blask świecidełek

FILIP RUDNIK: Rosjanie postrzegają
kadencję Trumpa jako „okno możliwości”

44 Brytyjska stal

PATRYCJA BUKALSKA: Czy będzie rewizja
relacji handlowych Londyn–Pekin

46 Prawdziwa cena butów

AGNIESZKA ZIELIŃSKA
o szwaczkach z Elche (Hiszpania)

PORTRET

50 Nauczyciel świata

WOJCIECH JAGIELSKI o Modim, autokracie
w najludniejszych państwie świata

WIARA

56 Misją się nie najesz

IGNACY DUDKIEWICZ: świeccy pracownicy
Kościoła – wielotysięczna grupa osób na
łascie biskupa i proboszcza

60 Sanctus, sanctus, sanctus

PIOTR SIKORA: na świętość świata warto
mieć otwarty umysł i zmysły

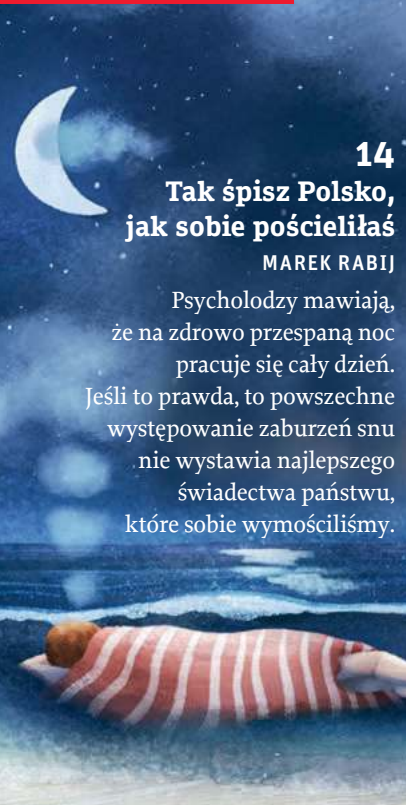
62 Cud znikania ciąży

ANNA BRZEZIŃSKA o irlandzkich
opowieściach o „uzdrawianiu ciężarnych
zakonnice”

65 Kościelne niszczenie akt

ARTUR SPORNIAK

TEMAT TYGODNIKA



Tak śpisz Polsko, jak sobie pościeliłaś

MAREK RABI

Psycholodzy mawiają,
że na zdrowo przespaną noc
pracuje się cały dzień.
Jeśli to prawda, to powszechne
występowanie zaburzeń snu
nie wystawia najlepszego
świadectwa państwu,
które sobie wymościł.

MATERIAŁY PARTNERSKIE

48 KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY

96 NARODOWE FORUM MUZYKI

FELIETONY

13 BARTOSZ MINKIEWICZ 31 OLGA DRENDA

54 STANISŁAW MANCEWICZ

67 ZUZANNA RADZIK 94 ELIZA KĄCKA

114 PAWEŁ BRAVO

122 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:
MAREK KONDRAT
KRAKÓW, KWIECIEŃ 2025 R.
FOT.: GRAŻYNA MAKARA

66 Czytania

ABP GRZEGORZ RYŚ
O. WACŁAW OSZAJCA

POŻEGNANIE

68 Ostatnie pytanie

GRZEGORZ CHRZANOWSKI OP:
Odszedł ojciec Jan Andrzej Kłoczowski

ROZMOWA

72 Reżyseruję życie

ROZMOWA Z MARINĄ HULIĄ

HISTORIA

76 Odyseja Ludmiły

ALEKSANDRA MAJDZIŃSKA Z ERYWANIA

NAUKA

82 Imperium niesporczaków

MARIA HAWRANEK

Z ODDECHEM

90 Pocałunki wypite przez upiory

GRZEGORZ JANKOWICZ
o „Listach do Mileny” Franza Kafki

KULTURA

98 Nasz kolonizator

ZIEMOWIT SZCZEREK

102 Wielka tajemnica

WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
Czy wróci moda na latające talerze?

105 Bestia stylu

OLGA ŻYMINKOWSKA: Najzuchwalsze
umysły w historii literatury tworzyły
własne bestiariusze

108 Teatr na peryferiach

DOROTA KOZIŃSKA o przyszłości Teatru
Wielkiego – Opery Narodowej

110 Polecamy

112 Powrót dziewczyny miesiąca

ANITA PIOTROWSKA
o filmie „The Last Showgirl”

113 Korzyść z nieufności

LEKTOR o książce Piotra Pazińskiego
„Obstalunki”

ZMYŚŁY

116 Opowieści znad morza smaków

ROZMOWA Z BARTKIEM KIEŻUNEM,
PISARZEM I DZIENNIKARZEM
KULINARNYM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...

JAK TO MOŻLIWE – ZOBACZ NA STRONIE

55



Zapisz się na newsletter
POWSZECZ.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podcastów
POWSZECZ.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY x /TYGODNIK i /TYGODNIK YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY b /TYGODNIKPOWSZECHNY



KLIMATYCZNY STAN EUROPY

NAJNOWSZY RAPORT KLIMATYCZNY – AUTOSTWA europejskiego centrum Copernicus Climate Change Service (CCCS) i Światowej Organizacji Meteorologicznej, czyli najpoważniejszych ośrodków śledzących ten temat – to opowieść o dwóch Europach. Opublikowany 15 kwietnia i zatytułowany „European State of the Climate 2024”, raport ten pokazuje drastyczne różnice klimatyczne, jakich w 2024 r. doświadczyła wschodnia i zachodnia część naszego kontynentu.

ULEWY I SUSZA | W 2024 r. europejski zachód doświadczył rekordowych ulew, które często przeradzały się w niszczycielskie powodzie. Przykładem wydarzenia z hiszpańskiej Walencji, gdzie błyskawiczna powódź zabiła na przełomie października i listopada 232 osoby. Choć była to największa taka katastrofa w Europie od lat, powodzie stanowiły śmiertelne zagrożenie w całej zachodniej części kontynentu. W sumie zabiły 335 osób, a poszkodowanych na różne sposoby było co najmniej 413 tys. ludzi. Ulewy były tak intensywne, że rok 2024 znalazł się wśród dziesięciu lat z największą sumą opadów począwszy od 1950 r., gdy zaczęto takie obliczenia. Wyso-

Nasz kontynent jest dziś najszybciej ocieplającym się obszarem świata. Ale są też dobre wiadomości.

**WOJCIECH BRZEZIŃSKI
AGATA KAŹMIERSKA**

POWYŻEJ:
Wyschnięte jezioro w wiosce Comana w Rumunii, 7 września 2024 r.
Według raportu Copernicus Climate Change Service, lato 2024 było najcieplejsze w historii Europy.

kie zagrożenie powodziowe występowało na aż 30 proc. długości rzek.

Oczywiście, powodzie nie ominęły Polski, dewastując Kotlinę Kłodzką. Ale to był wyjątek, bo nasza część kontynentu w 2024 r. wysychała w rekordowym tempie. Zwłaszcza na wschodzie i południowym wschodzie notowano rekordowe temperatury – zeszłoroczne lato było najcieplejsze w historii Europy.

EFEKT BICZA | To skutkowało suszą: Polska, wraz z Węgrami, Rumunią, Bułgarią i południowymi regionami Hiszpanii, Włoch i Grecji odczuła najbardziej dramatyczny spadek wilgotności gleby, sięgający nawet 20 proc. poniżej normy. W przeciwieństwie do zachodu kontynentu, większość rzek od Estonii po Bułgarię i Grecję notowała rekordowo niskie poziomy.

To właśnie z wodą i jej brakiem wiążą się największe dziś zagrożenia wynikające z przyspieszającej zmiany klimatu. Opublikowane w marcu 2025 r. badanie organizacji WaterAid wskazuje, że aż 90 proc. klimatycznych katastrof ma związek właśnie z wodą. Co więcej, wytrącony z równowagi cykl hydrologicz-



DANIEL MIHAILESCU / AFP / EAST NEWS

ny naszej planety prowadzi coraz częściej do „efektu bicia”, w którym głębokie susze i niszczycielskie powodzie przeplatają się na tych samych obszarach, niszcząc rolnictwo, infrastrukturę i zanieczyszczając źródła wody pitnej.

TROPIKALNE NOCE | Ubiegły rok w Europie, zwłaszcza wschodniej, przyniósł także fale coraz groźniejszych upałów. Średnio przez miesiąc temperatura odczuwalna przekraczała 32 stopnie Celsjusza, co kwalifikowane jest jako „silny stres cieplny”. Przez tydzień słupki wskazywały 38 stopni Celsjusza – to „bardzo silny stres cieplny”.

Jednocześnie średnio dwanaście razy właśnie w miesiącach letnich temperatura nie spadała poniżej 20 stopni nawet w nocy. W Grecji takich „tropikalnych nocy” odnotowano blisko sześćdziesiąt. Oznacza to, że europejskie lato staje się coraz bardziej niebezpieczne dla życia i zdrowia, a państwowemu regionu Morza Śródziemnego jest coraz bliżej do Sahary. W lipcu na Cyprze odnotowano rekordowe 46,8 stopni Celsjusza.

DOBRY KIERUNEK | Ale są też dobre wiadomości. Autorzy raportu podkreślają, że europejskie miasta coraz skuteczniej dostosowują się do zmieniającego się klimatu. Paryż i Mediolan sadzą masowo drzewa i rewitalizują parki. Bratysława tworzy system magazynowania wody, który chroni i przed powodzią, i suszą. Holandia broni się przed upałami i podtopieniami, zastępując bruk zielenią.

Jednocześnie cały kontynent w coraz większym stopniu odchodzi od generowania energii z paliw kopalnych: liczba państw, które podejmują takie działania, podwoiła się w porównaniu do roku 2019. W zeszłym roku już 45 proc. elektryczności w Europie generowały odnawialne źródła, co służy i klimatowi, i bezpieczeństwu. W 20 państwach Unii energia odnawialna odpowiada już za większość prądu w gniazdkach.

Czy to wystarczy? Nasz kontynent jest obecnie najszybciej ocieplającym się obszarem świata. To oznacza, że dzisiejsze rekordy za kilka lat będziemy uważali za całkiem przeciętny rok. ©



Odra jest osobą?

MARCIN TUSIŃSKI

JEŚLI DO SEJMU TRAFI OBYWATELSKI PROJEKT USTAWY w tej sprawie, a posłowie go przyjmą, rzeka Odra dostanie osobowość prawną. Będzie traktowana tak samo jak spółki, fundacje i stowarzyszenia, nabędzie możliwość ochrony prawnej i reprezentacji w sądzie.

Mamy w tej chwili największą suszę hydrologiczną od 10 lat. Ryzyko katastrofy ekologicznej jest w Polsce olbrzymie, a potrzeba zmian bardzo pilna – mówi dr Stanisław Kordasiewicz z Uniwersytetu Warszawskiego, współautor projektu ustawy o uznaniu osobowości prawnej Odry. – Obecne prawo nie uchroniło rzeki przed katastrofą z 2022 r. – uzasadnia prawnik.

Projekt ustawy zakłada, że Odra będzie traktowana jak instytucja chroniona prawem, co tej rzece się po prostu należy z uwagi na katastrofy, spowodowane na nią cyklicznie przez człowieka. Uzyska prawo do istnienia, swobodnego przepływu, naturalnej ewolucji jako ekosystem, rodzimej bioróżnorodności oraz prawo do bycia wolną od zanieczyszczeń.

Reprezentanci rzeki będą mogli ubiegać się o odszkodowania na rzecz Odry. Ma to działać odstraszająco na zakłady przemysłowe oraz kopalnie, które ją zaturowają.

Powstanie także piętnastoosobowy komitet, składający się m.in. z nominatów ministerstwa, Wód Polskich, samorządów gmin, przez które przepływa Odra, przedsiębiorców, rolników oraz organizacji pozarządowych. Komitet zawrze indywidualne porozumienia z podmiotami, które wykorzystują rzekę gospodarczo, według rekomendacji grupy naukowców, która stanie na straży bezpieczeństwa Odry. Dzięki temu mechanizmowi poziom zanieczyszczenia ma się znacząco zmniejszyć.

Kampania jest częścią ogólnopolskiego Ruchu Praw Natury, w ramach którego ponad 500 podmiotów już ma lub ubiega się o osobowość prawną. Takie rozwiązania weszły w życie m.in. w Nowej Zelandii, Kanadzie czy Hiszpanii, w której uchroniły przed katastrofą ekologiczną lagunę Marmenor. Pod projektem nadania jej osobowości prawnej podpisało się ponad 630 tysięcy Hiszpanów.

By trafić pod obrady Sejmu, obywatelski projekt ustawy potrzebuje 100 tysięcy podpisów z poparciem. Więcej informacji na ten temat można znaleźć na stronie Fundacji Osoba Odra: ustawa.osobaodra.pl. ©



Lex Braun

PIOTR ŚMIŁOWICZ

PO GRZEGORZU BRAUNIE MOŻNA SPODZIEWAĆ SIĘ niemal wszystkiego. A skoro trwa kampania prezydencka, można było stawiać w ciemno, że ten osobliwy kandydat przeprowadzi akcję jak ta w Oleśnicy. Europosel wtargnął tam do szpitala i *de facto* uwięził lekarzkę, która przeprowadziła aborcję.

Oczywiście prokuratura wszczęła od razu śledztwo. Tyle że zanim zostaną wyciągnięte ewentualne konsekwencje prawne, minie wiele miesięcy. Braun to wie i świadomie wykorzystuje, nadużywając przy okazji immunitetu parlamentarnego.

Właśnie z powodu immunitetu policja odmówiła siłowego wyprowadzenia europosła ze szpitala. Tak samo bezradna była w 2023 roku, gdy Braun, wtedy jeszcze poseł na Sejm, brutalnie przerwał wykład prof. Jana Grabowskiego w Niemieckim Instytucie Historycznym, zniszczył mikrofon i przejął mównicę. Byłem świadkiem, jak wezwana przez organizatorów policja potrafiła co najwyżej łagodnie apelować do posła Konfederacji, by opuścił spotkanie, a on śmiał się funkcjonariuszom w twarz.

Braun nadużył wtedy immunitetu, ponieważ ten nie obejmuje sytuacji, gdy poseł czy europoseł zostaje złapany na przestępstwie na gorącym uczynku. Tak jak policja ma prawo nałożyć mandat na posła, który przekroczy prędkość, i może mu uniemożliwić dalsze prowadzenie samochodu, gdy jest pod wpływem alkoholu, tak samo może zatrzymać parlamentarzystę popełniającego przestępstwo. Niestety, w wielu podobnych przypadkach funkcjonariusze wolą unikać interwencji, jeśli sytuacja jest dla nich niejednoznaczna prawnie.

Policjanci są szczególnie ostrożni wobec polityków, i można ich zrozumieć.

Wszak polityk, którego dziś surowo potraktują, jutro może być u władzy.

Dlatego potrzebne jest doprecyzowanie przepisów dotyczących zakresu immunitetu. Być może nie byłaby nawet konieczna zmiana ustawy, tylko np. rozporządzenie Rady Ministrów czy ministra spraw wewnętrznych i administracji, precyzujące, w jakich sytuacjach policja ma prawo naruszyć nieetykalność posła (czy europosła), by uniemożliwić mu dalsze popełnianie przestępstwa. Czyli np. wtedy, gdy ten przetrzymuje kogoś siłą w zamknięciu.

Z punktu widzenia naszego bohatera takie rozwiązanie też będzie miało pluses. Prezydentem dzięki akcji w Oleśnicy nie zostanie, ale przejdzie do historii jako powód zmiany prawa. ©



Akcja repolonizacja

MAREK RABI

SPRZYJAJĄCE PiS-OWI MEDIA JUŻ rozszyfrowały blef premiera. Zapowiadając repolonizację gospodarki, Donald Tusk robi umizgi w stronę elektoratu patriotycznego, który stoi na straży polskich interesów. W rzeczywistości – jak twierdzą – premier nadal sercem i umysłem jest „für Deutschland”, ale za dodatkowe punkty procentowe poparcia dla Rafała Trzaskowskiego, któremu właśnie tapnęły notowania, gotów jest chwilowo przehandlować sympatie i poglądy.

Rzeczywistość gospodarcza jest oczywiście bardziej skomplikowana, niż chcieliby akolici PiS-u. Jest w gruncie rzeczy prozaicznie nudna. Ogłaszając repolonizację gospodarki – czyli po prostu preferencje dla rodzimych firm – premier wpisuje jedynie na rządową agendę coś, co od kilkunastu lat jest nieformalną zasadą numer jeden globalnego porządku gospodarczego. A brzmi następująco: wolny handel kończy się tam, gdzie przestaje się to nam opłacać.

Jej ambasadorem w oczach opinii publicznej stał się oczywiście Donald Trump, który zongluje ciętymi z wdziękiem sapera machającego odbezpieczonym granatem. 47. prezydent USA zostanie też zapamiętany jako autor nowatorskiej redefinicji deficytu handlowego, który jego zdaniem stanowi w relacjach międzynarodowych *casus belli*. Problem jednak w tym, że to

nie Trump ulepił gołęma protekcjonizmu państwowego. Gospodarcza i polityczna potęga współczesnych Chin byłaby nadal tylko punktem programu tamtejszej partii komunistycznej, gdyby Pekin przez dekady w beczelny sposób nie chronił swojego rynku przed nadmierną ekspozycją na produkty i usługi zagraniczne, jednocześnie zarabiając krocie na globalnym outsourcingu produkcji. Wolny handel? Tak – gdy mowa o naszym eksporcie. Nie – gdy w rachubę wchodzi import.

Tę lekcję chińskiej gimnastyki regułami wolnego rynku szybko odrobiły kraje Zachodu. W Niemczech i Francji kapitał od dawna ma narodowość. Przekonali się o tym boleśnie nasi transportowcy, gdy po wejściu Polski do Unii zaczęli rozjeżdżać tamtejszych konkurentów. Berlin i Paryż bez ceregieli przebrały się wówczas w patriotyczne szatki i przystąpiły do obrony rodzimych przewoźników. USA jeszcze za Bidena zaczęły kusić dotacjami i ulgami firmy z sektorów wysokich technologii, nie przejmując się etykietką interwencjonisty. Izrael? Japonia? Indie? Tu wręcz wypada być tutejszym, robiąc biznes.

Słowa Tuska brzmią w tym kontekście trochę jak przyznanie się, że dopiero teraz wypada to głośno powiedzieć. Ale ostrożności nigdy za wiele. Zwłaszcza gdy się jest premierem kraju, który 58 proc. PKB czerpie z eksportu. ©

Premier Donald Tusk podczas otwarcia Europejskiego Forum Nowych Idei. Warszawa, 15 kwietnia 2025 r.





Koniec nudy, zaczęła się kampania

MAREK KĘSKRAWIEC

ZANIM DOSZŁO DO PRZEŁOMU W KOŃSKICH, było tak, jakby ktoś codziennie kazał nam oglądać ten sam film. Prezydencka kampania utknęła w koleinach, Rafał Trzaskowski ustabilizował poparcie na poziomie solidnej jednej trzeciej elektoratu, a jedynym powodem do ekscytacji był zmniejszający się dystans pomiędzy Karolem Nawrockim a Sławomirem Mentzenem, przyprowadzony żalami słabnącego w sondażach Szymona Hołowni.

Tę kampanijną nudę mamy już za sobą. Najpierw Mentzen popłynął w dół po swoich deklaracjach na temat aborcji i określeniu gwałtu mianem „nieprzyjemności”. Potem dłoń do Hołowni wyciągnął (nieświadomie) Trzaskowski, który uznał wyścig za w zasadzie zakończony i postanowił przypieczętować go starciem z Nawrockim, mistrzem w kategorii zanudzania wyborców. Akcja prezydenta Warszawy, obliczona na pogłębienie polaryzacji, okazała się błędem i przyniosła nowe życie kandydatowi Trzeciej Drogi. Od debat w Końskich marszałek Sejmu jest w gazie, nie oszczędza silniejszego partnera w koalicji, na dodatek prezentuje naj-



Rafał Trzaskowski na wiecu w Kielcach, 17 kwietnia 2025 r.

bardziej spójną wizję prezydentury. Kłopot w tym, że zaczyna zbyt szarżować, brakuje mu skromności i pokory, a jego egzaminowanie konkurentów ze znajomości nazwisk przywódców europejskich i szczegółów programów zbrojeniowych przypomina popisy teleturniejowe. W nich zaś łatwo samemu polec, co udowodniła Hołowni Monika Olejnik kilkoma prostymi pytaniami.

Na razie wyborcy lgną do nominata Trzeciej Drogi dość ostrożnie, ale trudno nie być mu wdzięcznym za przywrócenie kampanii do życia.

Kandydaci zaczęli wreszcie się starać i wychodzić ze stref komfortu, poza którymi nie każdy sobie radzi – to zaś ważny sygnał dla elektoratu, w końcu wybieramy głowę państwa. Najwięcej pracy będzie miał teraz Trzaskowski, którego własny sztab w poprzednich tygodniach usilnie chciał przekonać, że bycie sobą może mu tylko zaszkodzić. Zamiast „Trzaska” otrzymywaliśmy więc coraz bardziej sformatowany, bezpieczny produkt, który w końcu potknął się – o ironio – na tęczącej fladze, błyskotliwie wykorzystanej przez Magdalenę Biejat.

Z badania SW Research dla Onetu wynika, że właściwie tylko elektorat KO poparł decyzję Trzaskowskiego, by zrezygnować z debat w TV Republika. Fakt, znając osobliwe standardy etyczne tej stacji, można było się spodziewać tępych prowokacji, ale w walce o tak wysoką stawkę trzeba czasem zaryzykować; wiedzą o tym Hołownia, Biejat czy Zandberg. Trzaskowski też chyba zyskał tę świadomość – co prawda nadal jest wyraźnym liderem w sondażach, ale już z mniejszą przewagą nad Nawrockim, który radzi sobie lepiej, jak mu nie piszą scenariuszy występow. W efekcie symulacje wyniku drugiej tury są już „na zyletki”, ale nie martwmy się: zwycięzca walki o Pałac będzie się musiał o nasze głosy naprawdę postarać. ©®



Czy można płacić za sakramenty

ARTUR SPORNIK

DYKASTERIA DS. DUCHOWIEŃSTWA wydała nowy dekret w sprawie dyscypliny intencji mszalnych. Chodzi o ofiary za msze w konkretnej intencji. Stanowią główny dochód księży. Uznaje to Kodeks Prawa Kanonicznego, który w kanonie 945 stwierdza, że „każdemu kapłanowi celebrującemu albo koncelebrującemu Mszę Świętą wolno przyjąć ofiarę złożoną po to, by odprawił Mszę Świętą według określonej intencji”.

Pojawia się tu jednak pokusa, by takie dochody zwie-

krotniać np. przez przyjmowanie bez ważnych powodów wielu intencji do jednej mszy, albo przez wyznaczanie „cenników mszy”. Watykan z tym drugim zjawiskiem stara się walczyć, wielokrotnie przypominając, że ksiądz przyjmujący ofiarę nie może stwarzać wrażenia, iż otrzymuje zapłatę za usługę. Obecny dekret wskazuje, że taki czyn byłby symonią, czyli kupieniem rzeczami świętymi. Przypomina też, że kapłan, nawet nie otrzymawszy ofiary, powinien odprawić mszę, zwłaszcza za ubogich.

Główną sprawą, jaką dekret reguluje, jest problem mszy z wieloma intencjami. Jest on coraz częściej wymuszany przez sytuację braku kapłanów, zwłaszcza w krajach zachodnich. Już w 1991 r. Stolica Apostolska zezwoliła na takie zbiorowe intencje, pod warunkiem, że ofiarodawcy będą mieć tego świadomość oraz że takich mszy nie można odprawić więcej niż dwie w tygodniu. Obecny dekret liczbę mszy zbiorczych uzależnia od decyzji podjętych w metropoliach kościelnych. Jednak

w każdym takim przypadku kapłan może zachować dla siebie tylko jedną intencję – pozostałe powinno się przekazać uboższym parafiom.

Dekret zabrania – i to jest jedyna nowość – praktyki składania drobnych ofiar w zamian za wspominanie dodatkowych intencji np. podczas modlitwy wiernych. Kanonista z UPP2 ks. prof. Piotr Majer przyznał w rozmowie z „TP”, że tylko raz spotkał się z taką praktyką w Polsce. Zaprzeczył natomiast, że chodzi tu o znaną z naszych kościołów praktykę wypominków, czyli połączonych z drobną ofiarą mszy sprawowanych w intencjach osób zmarłych, których imiona wyczytywane są przed Eucharystią. ©®

Harvard stawia opór Trumpowi

USA ■ To więcej niż uniwersytet: to symbol. Choć absolwenci Harvardu mają reputację zarozumiałców, ich Alma Mater reprezentuje to, co kształtowało amerykańską potęgę. Uczelnia jest starsza od Stanów (założono ją w 1636 r., w celu kształcenia pastorów). Ukończyło ją ośmiu z 47 prezydentów, a od 22 lat jest na szczycie rankingu szanghajskiego (tj. klasyfikacji najlepszych uczelni świata).

Teraz Uniwersytet Harvarda znalazł się na kursie kolizyjnym z innym symbolem siły USA: Białym Domem. Stawką, według uczelni, jest niezależność ośrodków akademickich od władzy wykonawczej. Oraz miliardy dolarów rządowych dotacji.

Prezydent Trump, jego partia i ruch MAGA nie kryją nieufności – graniczącej z pogardą – wobec niezależnych uczelni, które uważają za ośrodki „radikalnie lewicowej ideologii”. Pretekstem do rozprawy z nimi są propalestyńskie protesty, organizowane na kampusach po tym, jak Izrael – odpowiadając na atak Hamasu – uderzył na Gazę i prowadzi wojnę w taki sposób, że zdecydowana większość z ok. 50 tys. jej palestyńskich ofiar to cywile.

Zdaniem Białego Domu rektorzy, którzy dopuścili do propalestyńskich demonstracji, są winni antysemityzmu. „Pałką” na niepokornych jest groźba odebrania federalnych grantów. Z 60 uczelni wziętych na celownik przez Biały Dom, jak dotąd Uniwersytet Cornell stracił miliard,

a Northwestern University 790 mln dolarów. Uniwersytet Columbia ugiął się wobec części żądań. Represje mają też inne formy: dziewięciu doktorantów Massachusetts Institute of Technology straciło ostatnio wizy USA.

11 kwietnia do rektora Harvardu trafił list z żądaniami Białego Domu. Dotyczą m.in. zmian zasad rekrutacji (tak by „nie przyjmować osób wrogich wobec wartości amerykańskich”), zlecenia audytu „różnorodności poglądów wśród studentów, kadry akademickiej i administracji” oraz zatrudnienia pracowników o „odmiennych poglądach” (tj. przyjaznych obozowi Trumpa). Uczelnia miałaby też usunąć programy DEI (różnorodności, równości i inkluzywności) i poddać się stałemu monitorowaniu przez rząd federalny. Słowem – skapitulować.

W odpowiedzi rektor Alan M. Graber stwierdził, że „ani Harvard, ani żadna inna prywatna uczelnia nie może pozwolić sobie na bycie przejętą przez rząd federalny”. Białe Dobre zablockował jej więc granty na 2,2 mld dolarów, a Trump zagroził odebraniem jej zwolnienia z podatków federalnych. Rzeczniczka Białego Domu powiedziała, że Trump oczekuje też od uczelni formalnych przeprosin.

Uderzenie w uczelnie to kolejna salwa w wojnie kulturowej Białego Domu, który wcześniej atakował media i sądy. © AGATA KAŻMIERSKA,

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

„Ręce precz od Harvardu” – protest w obronie niezależności najstarszej uczelni w Ameryce Północnej w dzień po tym, jak jej rektor otrzymał list z żądaniami administracji Trumpa. Massachusetts, 12 kwietnia 2025 r.



NICHOLAS PFOSLI / REUTERS / FORUM

Hotspot z Bożym influencerem

WIARA ■ Nietypowe obchody kanonizacji Carla Acutisa, włoskiego nastolatka i „misjonarza internetu”, przygotowuje młodzież z warszawskiej parafii św. Barnaby Apostoła. 27 kwietnia, po zakończeniu watykańskich uroczystości kanonizacyjnych pierwszego milenialsa, młodzi katolicy zapraszają na wspólne świętowanie pod hasłem „Wiara w zasięgu”. Na uczestników czeka m.in. piknik na trawie przy grillu i przekąskach, malowanie wspólnego obrazu św. Carla, „strefa otwartych rozmów”, a także adoracja, spowiedź i modlitwa wstawiennicza.

Idea wyszła od rady parafialnej. Ktoś rzucił hasło: zrobmy coś dla młodych. Zebraliśmy młodzież, tę część, która jest aktywna w życiu parafii, pytaliśmy, co by mogło przyciągnąć ich do takiego spotkania, odpowiedzieli zgodnie: wspólny piknik, bardziej luźna, przyjazna atmosfera. Dlatego to będzie wieczór, w którym połączymy spotkanie modlitewne z piknikiem przy grillu. To takie miejsce, gdzie spotykają się dwie rzeczywistości: świat młodzieży i świat Kościoła – mówi „Tygodnikowi” Marcin Skłodowski, jeden z organizatorów wydarzenia.

„Chcemy stworzyć miejsce, w którym młodzi poczuć się u siebie. Odkryją, że Bóg jest blisko i mówi językiem ich codzienności. Hotspot to nie konferencja ani szkolna katecheza, ale modlitwa, wspólnota, radość i autentyczność – wszystko, co najpiękniejsze w Kościele młodych” – opowiadał agencji KAI proboszcz parafii, ks. Paweł Rogowski.

W kanonizacyjnym hotspotcie wezmą udział także specjaliści goście, m.in. Wojtek Czuba, znany w internecie jako @slimak_na_pustyni – popularny ewangelizator, który swą działalnością udowodnił, że da się mówić o wierze w prosty i zrozumiały dla młodych ludzi sposób.

Kulminacyjnym punktem będzie koncert uwielbienia zespołu Ocaleni Worship z Łodzi. W jego trakcie znajdzie się również miejsce na świadectwa – historie młodych, którzy chcą dzielić się doświadczeniem wiary i swoją drogą do Boga.

– Młodzi ludzie, żyjący blisko Kościoła, widzą w Acutisie kogoś podobnego do siebie, z kim łatwo się utożsamić – mówi Piotrek Murawski, jeden z organizatorów. – Carlo był taki jak my: lubił gry komputerowe, pasjonował się internetem. Świętość nie musi być oderwana od rzeczywistości.

© P JACEK TARAN

„HOTSPOT – Wiara w zasięgu” odbędzie się 27 kwietnia w parafii św. Barnaby Apostoła w Warszawie (ul. Łodygowa 24). Początek o godz. 19.

Poetka, która nie chciała się rozpychać w świecie

POŻEGNANIE ■ Poproszona o dokończenie zdania: „Pisanie jest dla mnie...”, odpowiedziała: „...wyrzutem sumienia, spowiedzią, chęcią porozumienia się z innymi, potrzebą rozeznania siebie”. W prywatnej rozmowie wyznała mi, że bardzo uważa, żeby wierszy nie było za dużo i żeby nie były zbyt długie. Nie chciała się rozpychać w świecie, zajmować miejsca – nie tylko ludziom, także innym stworzeniom.

Urodziła się w 1932 r. w Margoninie koło Chodzieży, jak wspominała – w budynku Szkoły Leśnej, której dyrektorem był jej ojciec. Rodzinie udało się przeżyć wojnę, ale w roku 1949 ojciec zginął podczas ich wspólnej wyprawy w Tatrę. Krystyna studiowała polonistykę i pracowała w Instytucie Technologii Drewna w Poznaniu, jako redaktorka wydawanego tam kwartalnika. W 1957 r. wyszła za mąż za kolegę ze studiów, Jerzego Miłobędzkiego, ale



PIOTR ZAJĄC / REPORTER

małżeństwo przetrwało zaledwie kilka lat. Swoje życie związała z Andrzejem Falkiewiczem, pisarzem i filozofem. To z nim dzieliła się pierwszymi próbami literackimi. W 1960 r., w tajemnicy przed Krystyną, Falkiewicz wysłał jej prozy poetyckie na prestiżowy konkurs, w którym zdobyła trzecią nagrodę. Debiut książkowy przyszedł jednak późno – dopiero w 1970 r. ukazał się tom zatytuło-

Krystyna Miłobędzka podczas gali wręczenia Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za całokształt twórczości, 2013 r.

wany „Pokrewne”. Oprócz wierszy Miłobędzka pisała sztuki teatralne przeznaczone dla dzieci, a także prace teoretyczne poświęcone teatrowi dziecka. W 1983 r. doktoryzowała się na Uniwersytecie Śląskim na podstawie rozprawy o teatrze Jana Dormana.

Czas dla jej oszczędnej, skondensowanej poezji przyszedł w latach 90. Wydanie w 1994 r. wyboru jej wierszy przez Fundację bruLionu sprawiło, że stała się poetką czytana i doceniana. Nowe tomy publikowało Biuro Literackie, a potem Wydawnictwo Wolno. W tym ostatnim ukazał się tom z płytą CD, na którym wierszom czytającym przez poetkę towarzyszą kompozycje Hani Rani. Tej samej oficynie powierzyła zbiór ostatnich utworów zatytułowany „Więcej nic”, który ukaże się w tym roku.

Ostatnie lata spędziła w domu opieki pod Poznaniem, tam też zmarła nad ranem 17 kwietnia. Odwiedzających prosiła, żeby poczytali jej Leśmiana, który był jej ukochanym poetą. Gdy zapytałem raz, dlaczego on, skoro był – inaczej niż ona – rozgadany i nieoszczędny, odpowiedziała: „Bo u Leśmiana jest dużo drzew”. A innym razem dodała: „Leśmian jest wspaniały. Gdziekolwiek otworzyć, trzeba paść na kolana”. © WOJCIECH BONOWICZ

Kruki myślały geometrycznie

UMYSŁY ZWIERZĄT ■ „Elementy” Euklidesa to jedno z najważniejszych dzieł w naszej kulturze. Ten starożytny traktat aż do XIX w. stanowił podstawowy podręcznik do geometrii, a zawarty w nim sposób dowodzenia twierdzeń wpłynął na powstanie metody naukowej. Psychologowie od lat interesują się, czy nasze umiejętności do myślenia geometrycznego w stylu euklidesowym opierają się na intu-



icjach, które dzielimy z innymi gatunkami – czy są czymś unikalnym w przyrodzie.

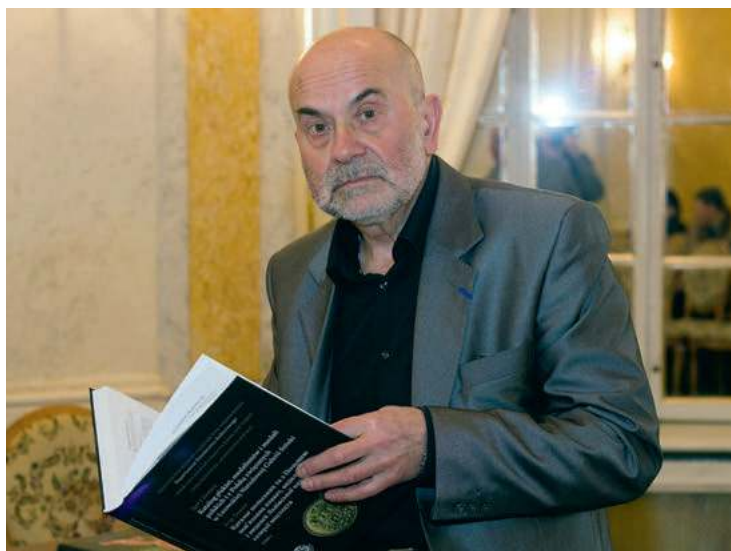
Większość z przeprowadzonych na ten temat badań dotyczyła zdolności nawigacyjnych. Np. znani z tych łamów Bartosz Baran i Mateusz Hohol ze współpracownikami wykazali, że świerszcze potrafią znajdować cel (chłodniejszy obszar na podgrzewanej arenie o różnych kształtach), opierając się wyłącznie na geometrii środowiska – i że robią to nawet wtedy, gdy nie mają dostępu do wskazówek wzrokowych. Nawet tak proste zwierzęta muszą więc przetwarzać informacje geometryczne w abstrakcyjny sposób.

W najnowszym „Science” ukazał się zaś artykuł zespołu Andreasa Niedera z Uniwersytetu w Tybindze pokazujący, że

kruki potrafią wylapywać na prezentowanych im obrazkach subtelne geometryczne nieregularności. Zwierzętom wyświetlano sześć kształtów, spośród których jeden najmniej pasował do pozostałych – za wskazanie go dziobem otrzymywały smaczną nagrodę.

W fazie, w której chodziło o nauczanie ptaków koncepcji zadania, krukowi prezentowano figury łatwe do rozróżnienia – np. jeden półksiężyc w otoczeniu pięciu gwiazdek. Potem trudność wzrosła: na ekranie pojawiały się czworoboki różnej wielkości, spośród których tylko jeden nie miał zachowanej pewnej symetrii (np. równoległych boków czy kąta prostego). Dwóm biorącym udział w zadaniu ptakom udało się wskazać tę najmniej symetryczną figurę w 60 proc. przypadków, czyli dużo powyżej poziomu zgadywania (który dałby ok. 16,7 proc. poprawności).

© ŁUKASZ KWIATEK



ROMAN METELSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

Zmarł Ihor Chomyn, kurator Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki

UKRAINA ■ Uhonorowano go za działalność na rzecz współpracy polsko-ukraińskiej i ochronę wspólnego dziedzictwa kulturowego. Jednak chyba nie do końca sobie uświadamiamy, jak wiele tej skromnej osobie zawdzięcza zarówno polska, jak i ukraińska kultura.

Ihor Chomyn ukończył historię na Uniwersytecie im. Iwana Franki we Lwowie (w Ukrainie w tym czasie nie można było studiować historii sztuki). Bezpośrednio po studiach zatrudnił się we Lwowskiej Galerii Sztuki – taką nazwę wtedy nosiła. Pracował w niej przez całe życie, dochodząc do funkcji jej głównego inwentaryzatora.

Przychodząc do pracy w Galerii, znalazł się w grupie młodych współpracowników jej wieloletniego dyrektora Borysa Woznyckiego, który w latach 70. przemierzał tereny zachodniej Ukrainy w poszukiwaniu porzuconych dzieł pochodzących z zamkniętych cerkwi i kościołów. „Zbieraliśmy wszystko, co można było jeszcze uratować” – wspominał po latach Woznycki. „Znajdowaliśmy rzeczy w różnych miejscach, czasami w krzakach, komórcie”. Tylko w ten sposób udało się uratować dziesiątki unikalnych dzieł sztuki.

Ihor Chomyn we Lwowskiej Galerii zaczął zajmować się polską sztuką, stając się jej wybitnym znawcą. Pracował zresztą w miejscu szczególnym, z największym poza

naszymi granicami zbiorem polskiego malarstwa. Są w nim obrazy kluczowych twórców, poczynając od Artura Grottgera, Jana Matejki i Józefa Chełmońskiego, po Stanisława Wyspiańskiego i Olę Boznańską. Jest wreszcie unikalna, licząca aż 68 prac, kolekcja Jacka Malczewskiego. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić ważną wystawę naszej sztuki bez obiektów z Lwowskiej Galerii.

W czasach PRL-u dostęp polskich badaczy do tych zbiorów był bardzo ograniczony. Dopiero po zmianach politycznych, jakie zaszły w obu krajach, dobra wola pracowników muzeów zaczęła decydować o wymianie dzieł sztuki między instytucjami. Ważne było coś jeszcze – lwowskie zbiory były jedynie częściowo zinwentaryzowane. Tym istotniejsze stały się bezpośrednie kontakty między muzealnikami, a do ich nawiązania niezbędne było zbudowanie wzajemnego zaufania. Nie było to łatwe, zwłaszcza że po ukraińskiej stronie nadal był lęk przed polskimi roszczeniami wobec Lwowa i jego dziedzictwa. Chomyn zrobił bardzo wiele dla przełamania tych obaw i zbudowania partnerskich relacji.

Przygotował w Polsce kilkadziesiąt wystaw. Był autorem książek i katalogów. W 2015 r. otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

© PIOTR KOSIEWSKI

Iran-USA: rozmowy, groźby i samoloty na Diego Garcia

BLISKI WSCHÓD ■ Jest ich sześć, a ich obecność nie jest ukrywana. Przeciwnie: można odnieść wrażenie, że ostentacyjnie rozlokowano je tak, aby były od razu widoczne dla satelitów i informacja o ich obecności dotarła do adresatów, tj. do władz Iranu.

Mowa o eskadrze amerykańskich bombowców B-2, które od początku kwietnia stacjonują w bazie na wyspie Diego Garcia na Oceanie Indyjskim. To jedno z najskuteczniejszych narzędzi prowadzenia wojny w powietrzu, jakim dysponują Stany: strategiczny bombowiec, trudny do wykrycia przez radary, przenosi kilkanaście ton rakiet i bomb (w tym najcięższe, do niszczenia podziemnych bunkrów). Startując z Diego Garcia, może bez problemu dotrzeć nad Iran.

Ten „argument siły” ma najwyraźniej towarzyszyć rozmowom, które przedstawiciele USA i Iranu rozpoczęli 12 kwietnia na gruncie neutralnym – w Omanie. Ich tematem jest irański program jądrowy, a deklarowanym celem Donalda Trumpa jest doprowadzenie do tego, by Iran nigdy nie był w stanie wyprodukować własnej bomby atomowej. Teheran zapewnia, że nie ma takich planów, ale mało kto daje temu wiarę – zwłaszcza Izrael, najbardziej tu zainteresowany.

Zanim zaczęły się rozmowy, Trump otwarcie pogroził Iranowi, że jeśli nie uda się porozumieć, będą „bombardowania”. Choć Ali Chamenei, najwyższy przywódca Iranu, jeszcze kilka tygodni wcześniej twierdził, że rozmowy z Amerykanami, a zwłaszcza z Trumpem nie mają sensu, bo nie można im ufać (to Trump wypowiedział w 2018 r. „umowę atomową” z Iranem, wynegocjowaną przez administrację Baracka Obamy), to jednak delegaci irańscy polecieli teraz do Omanu. O przebiegu rozmów wiadomo niewiele; pojawiają się informacje, że Amerykanie mieli sugerować Irańczykom, by zapasy wzbogaconego uranu przekazali na ręce państwa trzeciego: Rosji.

Sensacyjnie zabrzmiało natomiast to, co 17 kwietnia podał „New York Times”: powołując się na źródła w administracji USA (co sugeruje przeciek kontrolowany), dziennik pisze, że Trump zastopował premiera Izraela, który chciał w maju zaatakować irańskie instalacje nuklearne i oczekiwał tu wsparcia od Stanów. Trump miał odmówić mu takiej pomocy.

„NYT” twierdzi, że decyzję Trumpa poprzedziły długie dyskusje w administracji, czy postawić na dyplomację, czy wesprzeć atak Izraela. Podczas wizyty Beniamina Netanjahu 7 kwietnia w Białym Domu Trump miał mu powiedzieć, iż jest przeciwny uderzeniu, i ogłosił rozpoczęcie rozmów z Iranem.

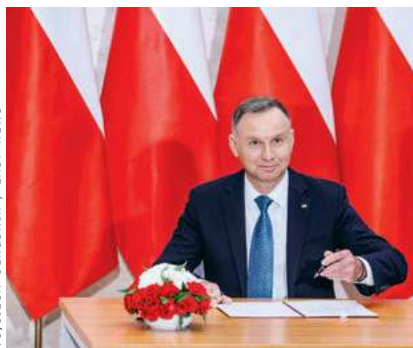
Co nie znaczy, że opcja militarna jest teraz wykluczona – jeśli rozmowy nie doprowadzą do ugody. O tym mają przypominać Iranowi bombowce stacjonujące na wyspie na Oceanie Indyjskim.

©© WOJCIECH PIĘCIAK / DPA, NZZ, ZEIT

NA PUNKTY

MOWA

Andrzej Duda (na zdjęciu poniżej) skierował do Trybunału Konstytucyjnego nowelizację kodeksu karnego, rozszerzającą katalog przestępstw z tzw. mowy nienawiści o cztery nowe przesłanki: wiek, płeć, niepełnosprawność i orientację seksualną. „Przede wszystkim to jest bardzo charakterystyczne, że te właśnie lewacko-lewicowo-liberalne prądy, które tak głośno krzyczą o tolerancji i tak głośno krzyczą o różnorodności, że należy ją dopuszczać wszędzie, są pierwsze do tego, żeby blokować możliwość wypowiedzania się” – komentował prezydent w Telewizji Trwam.



WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

CZYN

À propos przestępstw: europoseł i kandydat na prezydenta Grzegorz Braun usiłował dokonać tzw. obywatelskiego zatrzymania ginekolożki dokonującej w oleśnickim szpitalu legalnych aborcji. Politykiem zajęła

się prokuratura, lekarce policja zapewniła bezpieczeństwo.

INICJATYWA

À propos kandydatów na prezydenta: Szymon Hołownia (na zdjęciu poniżej) zorganizował spotkanie przedstawicieli rządu, ekspertów, parlamentarzystów i uczniów w sprawie ustawowego zakazu używania smartfonów w podstawówkach. Od inicjatywy dystansuje się ministra edukacji Barbara Nowacka, zwracając uwagę, że jej zastępczyni z partii Hołowni nie widziały dotąd potrzeby przygotowania takiego projektu.



WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

PORADA

À propos współpracy: prawicowe media wyśmiewają Rafała Trzaskowskiego, że przed debatą w Końskich korzystał z rad ekspertki ds. marketingu politycznego, psycholożki i pisarki Natalii de Barbaro. Ciekawe, jakich profesji są doradcy ich kandydatów.

PRZESTROGA

À propos rządu: jak ujawnił minister nauki Marcin Kulasek (na zdjęciu poniżej), po jego ostatnim posiedzeniu Donald Tusk zaapelował do koalicjantów, by podczas kampanii „nie zagalopowali się” i nie doprowadzili do konfliktów, które mogłyby zagrozić ich przyszłej współpracy.



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

PELETON

À propos debat: w tej zorganizowanej przez TV Republika wystąpili Karol Nawrocki (na zdjęciu poniżej), Sławomir Mentzen, Szymon Hołownia, Adrian Zandberg, Grzegorz Braun, Marek Jakubiak, Joanna Senyszyn, Krzysztof Stanowski, Artur Bartoszewicz i Marek Woch. Ciekawe, kto doradził przyniesienie do studia tekturowej podobizny Rafała Trzaskowskiego. ©P



FILIP NAUMIENKO / REPORTER

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.





TEAMAT
TYGODNIKA

TAK ŚPISZ POLSKO, JAK SOBIE POŚCIELIŁAŚ

Psycholodzy mawiają, że na zdrowo przespaną noc pracuje się cały dzień. Jeśli to prawda, to powszechne występowanie zaburzeń snu nie wystawia najlepszego świadectwa państwu, które sobie wymościłmy.

TEKST **MAREK RABIJ** | ILUSTRACJA **KASIA KOZAKIEWICZ** DLA „TP”



OCZYM ŚNIMY? ODPOWIEDZI NA TAK intymne pytanie nie zawsze są szczerze. Autorzy badania, o którym dalej, postanowili więc sprawdzić, o znaczenie jakich snów najczęściej pytano Google w języku polskim.

Wyniki okazały się zaskakujące. Najczęstszym nadwiślańskim snem, sądząc po statystykach zapytań wyszukiwarki, była ciąża. Na drugim miejscu – śmierć. Na trzecim zęby, a potem dziecko. Uczucie spadania, niemal obowiązkowa składowa sennych koszmarów, uplasowało się dopiero na piątej pozycji. Wśród najczęstszych zapytań nie pojawiał się za to wąż, który – sądząc po wpisach w innych językach – regularnie wpłza we śnie do głów mieszkańców praktycznie całego globu.

Wedle senników ciąża we śnie oznacza podświadome pragnienie zmiany, otwarcia nowego rozdziału w życiu, ewentualnie obawy przed nowymi obo-

wiązkami, którym przyjdzie sprostać. Niektórzy tego typu wyjaśnienia przyjmują ze śmiertelną powagą. Jeśli identycznie potraktować również wyniki wspomnianego badania, które – ewidentnie dla marketingowej zabawy – zlecił w zeszłym roku serwis wynajmu nieruchomości Rentola, to trzeba przyznać, że idealnie wpisują się one w jeszcze jedno niemal powszechne polskie pragnienie.

Chcielibyśmy się w końcu porządnie wyspać.

Barany i smartfony

Scenariusz pierwszy, ten najbardziej rozpowszechniony. Koniec dnia, powieki opadają ze zmęczenia. Z uczuciem ulgi wślizgujesz się pod kołdrę i... nic. Sen nie nadchodzi, mimo że jeszcze przed chwilą wydawało się, że wystarczy przyłożyć głowę do poduszki, by od razu odpłynąć. Uciekają kolejne minuty na daremnych próbach wymoszczenia optymalnej po-

zycji w łóżku, kontroli oddechu, liczeniu wymagowanych baranów, wspomnianiu najprzyjemniejszych momentów w życiu. Im głębiej zagładasz w siebie w poszukiwaniu snu, tym bardziej go tam nie ma. Głowę zajmują za to rozmaite natręstwa i obawy.

Scenariusz drugi. Nie wybiła jeszcze dziesiąta wieczorem, ale już śpisz. W ubraniu i w nienaturalnie poskręconej pozycji, w fotelu, na skraju sofy czy gdzie jeszcze zastał cię moment, kiedy wyczerpany organizm odmówił posłuszeństwa. Za jakąś godzinę, może dwie ockniesz się z obolałym karkiem albo zbudzi cię partnerka lub partner z czułą sugestią, że czas do łóżka. Resztę nocy spędzisz już z głową na ulubionej poduszce, ale i telefonem w dłoni, próbując zapęłnić pustkę bezsennej nocy. Zaśniesz nad ranem, z wyczerpania, ale nie na dość długo, by wreszcie wypocząć. W kolejny dzień znów wejdiesz z piachem →

→ pod powiekami i dudnieniem w głowie. Aż do wieczora, gdy sen ponownie zaatakuje zmienacka.

Wreszcie wersja trzecia. Słoneczne popołudnie. Przy stole w sali konferencyjnej trwa właśnie narada zespołu, ale myślami jesteś gdzie indziej. O tym, że nieoczekiwanie zasnąłeś, podpowiedzą ci dopiero współpracownicy, o ile nie ockniesz się na podłodze obok krzesła i wtedy to ty będziesz się tłumaczyć. Nie pomagają kolejne kawy, ocucające spacery wokół biura.

Sen atakuje w najbardziej nieodpowiednich chwilach. Gdy próbujesz go obłaskawić krótką drzemką w ciągu dnia, nie okazuje zrozumienia i od razu kradnie ci kilka godzin. Krzyżuje plany, pozbawia radości życia, ośmiesza. Irytuje – bo przecież w nocy też śpisz jak kłoda. Od lekarza, u którego szukasz pomocy, dostajesz najpierw skierowanie na badania, a potem diagnozę, z której dowiadujesz się, że istnieje coś takiego jak nadmierna senność.

Te trzy scenariusze to tylko część spektrum problemu, który w uproszczeniu nazywa się zaburzeniami snu. Jeśli dodać do nich płytki sen, który nie przynosi odpoczynku, czy regularne wybudzenia, czasem nawet po kilkanaście razy w trakcie nocy, otrzymamy pełniejszy obraz zjawiska, które w różnym stopniu dotyczy dziś już niemal co drugiego mieszkańca Polski. Jeszcze w 1992 r. (badanie CBOS) na okresowe lub stałe problemy ze snem skarżyło się 24 proc. ankietowanych. Trzynastę lat później, w badaniu OBOP, odsetek wzrósł do 36 proc., a w 2012 r. (badanie NATPOL) – aż do 55 proc.

Nieco wolniej, ale za to systematycznie przybywa tych, dla których bezsenna noc to już reguła. W 1996 r. na taki problem skarżyło się w badaniu CBOS około 17 proc. ankietowanych. W 2015 r. w analogicznej ankiecie TNS stałe kłopoty z zaśnięciem i przewlekłą bezsenność sygnalizowało w sumie już 20 proc. badanych. Jaki odsetek podobnych odpowiedzi padłby dzisiaj – nie wiadomo. Po pandemii polskie sondażownie, odpowiadając na rynkowe zapotrzebowanie, skoncentrowały się niemal wyłącznie na gospodarczym kontekście bezsenności. Najnowszą diagnozę problemu przynosi trzecia edycja badania „Sen Polaków. Straty dla gospodarki”, opublikowana w ub. roku. Autorzy z firmy badawczej UCE Rese-



Najczęstszym tematem snów są węże, które regularnie nawiedzają w nocy mieszkańców aż 54 krajów świata. Drugim najpopularniejszym są zęby. Śnią o nich głównie mieszkańcy krajów nordyckich.

arch pozostawiają nas w nim z dwiema liczbami: 41 proc. Polaków skarży się na niską jakość swojego snu, co naraża polską gospodarkę na straty rzędu najmniej 8 mld zł rocznie. Średnia dzienna produktywność osoby śpiącej mniej niż sześć godzin dziennie jest zdaniem autorów badania o 2,4 punktu procentowego niższa od tej, którą zapewniają pracodawcy przesypiający od siedmiu do dziewięciu godzin na dobę.

Kto nie pracuje, ten nie śpi

Właściwie niezauważony przeszedł fragment badania, który pokazuje, że polska bezsenność nie ma bynajmniej twarzy rzutkiego przedsiębiorcy czy dobrze opłacanego wielkomięjskiego menedżera w wiecznym kieracie deadline'u. Niezadowolone z jakości snu zgłaszały bowiem najczęściej osoby w wieku 25-34 lat (45,1 proc. badanych), z miesięcznym rodzinnym dochodem netto na osobę na poziomie 1000-2999 zł (50,7 proc.), ze średnim wykształceniem (42,3 proc.) i z miejscowości liczących od 50 tys. do 99 tys. mieszkańców (46,9 proc.). Stereotypowe wyobrażenie o bezsenności jako wysokiej, ale i w gruncie rzeczy uczciwej cenie sukcesu zawodowego trzeba by więc w polskich realiach zamienić raczej na opowieść o nocach zarwanych na

nerwowych kalkulacjach, za co opłacić rachunki.

Badaczy naszego rynku zatrudnienia to nie dziwi. – W Polsce mamy *de facto* dwa światy pracy, które są od siebie tak oddalone, że się praktycznie nie przenikają – mówi dr Jakub Sawulski, ekonomista z Polskiego Instytutu Ekonomicznego, autor książki „Pokolenie 89. Młodzi o polskiej transformacji”. – Gdy w dużych miastach trwa debata o granicach tzw. *work-life-balance* i procedurach antydyskryminacyjnych, w małych miejscowościach tematem numer jeden pozostaje pytanie, czy szef zapłaci w terminie.

Tych dwu rzeczywistości tylko pozornie nie widać w oficjalnych statystykach zatrudnienia, które podkreślają, że Polska ma obecnie najmniej w Europie odsetek mieszkańców bez źródła utrzymania. Unii Europejskiej, zaliczającej do tej grupy tylko tych, którzy pracy naprawdę szukają, wychodzi bezrobocie na poziomie 2,6 proc. GUS, który zlicza po prostu zarejestrowanych w urzędach pracy, podaje 5,4 proc.

Do jednego i drugiego nie przystają jednak dane z takich miejsc jak np. powiat szydlowiecki, w którym stopa bezrobocia utrzymuje się na poziomie powyżej 23 proc. – jak za najgorszych czasów z początków tego stulecia. Ale tu – tak jak w wielu gminach Zachodniopomorskiego czy w Podkarpackiem – domyslną formą zatrudnienia pozostaje praca na czarno. Bez podatków, ale też bez praw i osłon pracowniczych. Dziś masz pracę, jutro może jej dla ciebie zabraknąć. Czy w tej sytuacji może też dziwić, że listy najbardziej namacalnych nocnych strachów nie otwiera bynajmniej wojna tocząca się tuż za naszymi granicami, lecz obawy o najbliższą przyszłość (28,1 proc. odpowiedzi), dalej zaś problemy zdrowotne (23,4 proc.) oraz rodzinne (22,4 proc.).

Zarobieni.pl

Trzy ostatnie dekady dla wielu z nas są źródłem satysfakcji, nawet dumy z tego, co udało się osiągnąć. Ale jest też i cena, jaką zbiorowo za ten sukces płacimy. Ze statystyk ZUS wynika, że aż 70 proc. Polaków przechodzi na emeryturę w roku kalendarzowym, w którym nabywają prawo do tego świadczenia, a kolejne 20 proc. przed upływem 12 miesięcy od tej daty. Jednocześnie – to już dane

Eurostatu – statystyczny Polak pracuje średnio 34 lata przed przejściem na państwowy garnuszek, czyli średnio niemal siedem lat krócej od Norwega. Powyższe zestawienia zwykło się w Polsce interpretować na niekorzyść samych pracowników, którym publicyści ekonomiczni często zarzucają krótkowzroczność, czasem wręcz lenistwo. Ale czy za tym pędem na emeryturę nie stoi także intensywność polskiej pracy? Czy nie jest i tak, że w trakcie kariery eksploatujemy się oraz jesteśmy eksploatowani do tego stopnia, że po przekroczeniu progu wieku emerytalnego nie mamy zwykle sił i zdrowia na choćby rok dłużej?

Analitycy Banku Światowego sygnalizowali ten problem już na początku ubiegłej dekady, kiedy poprzedni gabinet Donalda Tuska przymierzał się do wydłużenia wieku emerytalnego. Zmiany wprowadzono, kierując się trafną obserwacją, że krótki czas aktywności zawodowej skazuje miliony polskich seniorów, zwłaszcza kobiet, na życie w ubóstwie. Sugestia, by wraz z przedłużeniem wymaganej aktywności zawodowej zadbać o komfort pracy, m.in. przez wzmocnienie Państwowej Inspekcji Pracy, trafiły do kosza. Kolejne wybory wygrał PiS, który w kampanii obiecał zarobionym wyborcom skrócenie wieku emerytalnego.

Obóz Kaczyńskiego obietnicy wprowadzić dotrzymał, ale podobnie jak poprzednicy, nie uznał za stosowne pokręcić przy rodzimym rynku pracy z użyciem innych narzędzi niż podatki czy pensja minimalna. W efekcie – jak podaje Eurostat – statystyczny Polak co tydzień przepracowuje dziś 39 godzin i 24 minuty, o prawie pięć i pół godziny dłużej od Niemca i Norwega i trzy godziny dłużej od Francuza. Wśród najbardziej przepracowanych nie ma bynajmniej informatyków, account managerów z agencji kreatywnych czy innych przedstawicieli wielkomiejskich środowisk białych kołnierzyków. Nadgodziny, często bezpłatne, nie-normowany czas pracy, rozciągany na gminnie aż do nocy czy wreszcie *de facto* sześciodniowy tydzień pracy to specyfika przede wszystkim sektora budowlanego, transportowego i rolnictwa – z tym zastrzeżeniem, że praca na roli coraz częściej oznacza po prostu pracę za pensję w wielohektarowym gospodarstwie należącym do kogoś innego.



Polskie sny zdominowała ciąża – symbol zmiany i rozwoju.

Tam, gdzie czasu pracy przestrzega się restrykcyjnie, sami pracownicy, w obawie przed utratą posady lub szans na podwyżkę, rozciągają dzień roboczy na swój czas wolny. Nasz biurowy *esprit de corps* nadal nie uwzględnia choćby prawa do lekceważenia służbowych telefonów i maili po godzinach. Według przeprowadzonego w 2020 r. badania firmy Divire aż 69 proc. Polaków na urlopie czyta służbowe maile, 63 proc. odbiera z pracy telefon. Co dziesiąty podczas wakacji wykonuje obowiązki zawodowe. O ile ma

w ogóle prawo do płatnego urlopu. Jak wynika z danych samego ZUS-u, w latach 2020-2023 liczba osób zatrudnionych w Polsce na umowę o pracę wzrosła o ledwie 17,9 tysięcy. W tym samym czasie przybyło aż 194,5 tys. ludzi zatrudnionych na podstawie umowy-zlecenia i 161,9 tys. samozatrudnionych, którym pracodawca przebrany za „kontrahenta” może, ale nie musi, zapłacić za czas na urlopie, opiekę nad dzieckiem czy dłuższe chorobowe.

Przepracowanym Polakom, którym wieczorami robi się czasem niedobrze na samą myśl o czekającej nazajutrz robocie, reforma wieku emerytalnego zafundowała więc jeszcze jeden powód do nocnych koszmarów: wizję nędznej starości.

Kto nam ukraść sen

Nonszalancja, z jaką elity traktują nasz sen, nie powinna jednak dziwić. To prosta funkcja stosunku współczesnego świata do nocy, jedyne wycinką doby, którego – jak pisze w swoim bestsellerze „24/7” amerykański eseista Jonathan Crary – nie udało się jeszcze w pełni zmonetyzować. Socjologowie i ekonomiści mogą sobie wylewać krokodyły nad konsekwencjami niewyspania. W zgodnej ocenie prezesów dużych firm oraz ministrów finansów noc to czas absurdalnie wręcz bezproduktywny, gdy pionki na ich gospodarczych szachownicach trwają w onirycznym bezruchu. Śpisz – nie dość, że nie pracujesz, to jeszcze nie kupujesz. Czyli jakby cię nie było.

Obrót Ziemi wokół własnej osi odbywa się ze skandalicznym brakiem poszanowania dla potrzeb zglobalizowanej gospodarki, która nie po to rozciągnęła po całym globie łańcuchy dostaw, żeby co dwanaście godzin z pola widzenia zniknęły jej ponad dwa miliardy zamożnych konsumentów z krajów rozwiniętych. Części z nich można wprowadzić w mówić, że idea 24/7 uczyni ich życie pełniejszym i dłuższym za sprawą całonocnych sklepów, restauracji, klubów, a nawet bibliotek, ale dla olbrzymiej większości zmierzchn nadal stanowi sygnał do wycofania się do swoich pieczar. Jakże to zatem szczęście, że niezdrowe tempo codzienności za dnia prowadzi do plagi bezsenności. W ten sposób rodzi się bowiem naturalna potrzeba milionów ludzi, by się wyspać. Potrzeba, którą można skomercjalizować za pomocą leków →

Zasady zdrowego snu

Lekarze prowadzący terapie zaburzeń snu szacują, że na kliniczną ich formę cierpi około 10 proc. Polaków. Reszcie w jej problemach z zasypianiem może pomóc przestrzeganie podstawowych reguł higieny snu.

- W miarę możliwości kładziemy się spać o tej samej porze.
- Ostatni, lekki posiłek spożywamy najpóźniej dwie godziny przed snem. Alkohol – najpóźniej cztery godziny przed zaśnięciem.
- Wieczorem unikamy intensywnych aktywności fizycznych, ale dobrze zrobić krótki spacer.
- Odstawiamy ekrany. Zabójcze dla spokojnego snu jest zwłaszcza światło smartfonów. Zalecana jest za to lektura książki, także na czytniku.
- Drzemki w ciągu dnia nie powinny trwać dłużej niż 45 minut.
- Sypialnia musi być dobrze przewietrzona i niezbyt ciepła (optymalnie 18-19 st.). © OPR. MR

→ nasennych, suplementów diety wspierających zasypianie, specjalnie zaprojektowanymi poduszkami i materacami nuczającymi kołysanki, kursami uważności, które przywrócą organizmowi naturalny rytm czy aplikacjami w telefonie, które zliczą każdą sekundę snu, jakby podliczały nam kalorie po treningu.

To niebezpieczny moment, gdy łatwo wpaść w pułapkę skomercjalizowania naturalnego w końcu odruchu, jakim jest zasypianie. Moment, w którym zaczniemy myśleć, że sen nie jest już naszą własnością i musimy go sobie wykupić lub zaprenumerować. Na szczęście jest to również chwila na to, by w walce o sen przejąć inicjatywę i wrócić do korzeni.

Otium dla mas

Starożytni Rzymianie nazywali ten stan *otium*. Na współczesne języki trudno go przetłumaczyć, najbliższe mu chyba do włoskiego *dolce far niente*, z tą tylko różnicą, że jej antyczna wersja znaczyła coś więcej niż tylko wypoczynek i cieszenie się życiem. Starożytne nieróbstwo było przede wszystkim symbolem statusu społecznego, przywilejem elit stanu senatorskiego i ekwickiego, które mogły sobie leniuchować w odróżnieniu od reszty. *Otium*, często połączone z drzemką, miało też być czasem resetu dla umysłu i zmysłów, wolnym od wyrzutów sumienia, które mogłoby rodzić takie nieróbstwo. Chrześcijaństwo zacznie je wpraw-



Spadanie jest także
w czołówce światowych snów.
Przypomina o kontroli
nad strachem.

ZA BADANIAM
NA ZLECENIE FIRMY RENTOLA

dzie nazywać *pulvinar diaboli*, poduszką diabła, ale w poszukiwaniach inspiracji dla zdrowego snu zatrzymajmy się na czasach antycznych. Właśnie tego nam bowiem trzeba: odpoczynku dla samego odpoczynku, nie regeneracji przed kolejnym dniem pracy.

Czas zatem wypowiedzieć jej klauzulę najwyższego uprzywilejowania, która pozwala stopniowo przelewać się obowiązkom zawodowym nie tylko na nasz czas wolny, ale nawet na godziny nocne, gdy myślami nie wychodzimy z roboty.

Pora też przestać torturować się wyobrażeniami, że każda godzina spę-

dziona na odpoczynku jest czasem straconym dla kariery. Takie kalkulacje nie wytrzymują już nawet konfrontacji z badaniami ekonomistów, wśród których panuje konsensus, że wysiłek i konsekwencja nie determinują sukcesu w wymiarze ekonomicznym. Równie istotne okazują się czynniki, na które nie mamy najmniejszego wpływu. Prof. Branko Milanović, ekonomista University of New York badający nierówności dochodowe, stawia nawet tezę, że suma dochodów, które osiągamy w całym okresie aktywności zawodowej, w aż 60 proc. zależy od poziomu rozwoju kraju, w którym przychodzimy na świat. Kolejny 20 proc. to swoisty koktajl osobistych predyspozycji – takich jak talent, wrażliwość czy cechy fizyczne – oraz kapitału społecznego i rodowego, który wnosimy z domu. W bilansie Milanovicia sukces finansowy tylko w 20 proc. zależy więc od pracowitości i determinacji. Historie spod znaku „od pucybuta do milionera” są zaś skrajnie rzadkim wyjątkiem od tej reguły.

Warto wreszcie uświadomić sobie, że jako społeczeństwo jesteśmy właśnie takim wyjątkiem. 35 lat temu plasowaliśmy się pod względem rozwoju cywilizacyjnego na tym samym poziomie co Wietnam. Dziś przeciętny Polak jest bogatszy już od 85 proc. mieszkańców globu. To dobry moment, by uczcić ten sukces. Najlepiej drzemką.

© MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik),
Monika Białkowska, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik),
Michał Okoński, Marek Rabin, Piotr Śmitowicz,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka),
Katarzyna Bułtowicz, Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frotow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik), Joanna Pelka
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek,
Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierowniczka),
Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Dyrektor ds. technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski,
Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
Łukasz Grajewski, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller,
Bartosz Kabala, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun,
Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui,
Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Michał Wąkiewicz, Marcin Wójcik, Piotr Wójcik,
Marta Zdzieberska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Zapisz się na newslettery i czytaj najlepsze teksty „Tygodnika” kiedy chcesz!

To starannie wybrane teksty, które polecają nie algorytmy, ale redaktorki i redaktorzy, którym możesz zaufać. To świetny sposób, żeby wyciszyć medialny szum, lepiej zrozumieć świat i skupić się na tym, co naprawdę wartościowe.

NIEZBĘDNIK TYGODNIKA

POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM

Codzienny przegląd najciekawszych artykułów: aktualności, komentarze, polecane teksty. Twój szybki kontakt z tym, czym żyje „Tygodnik”.

NOWY NUMER

Zapowiedź najciekawszych artykułów z najnowszego wydania. Zajrzyj do środka, zanim pójdziesz do kiosku.

KULTURA W TYGODNIKU

Teatr, sztuka, muzyka, literatura, zjawiska i trendy. Recenzje, eseje i rekomendacje, które otwierają nowe perspektywy.

■ Prowadzi **MICHAŁ SOWIŃSKI**

WEEKEND Z SENSEM

Eseje, reportaże i analizy, które uczynią Twoje wolne dni spokojniejszymi, ciekawszymi i pełnymi dobrych myśli.

■ Prowadzi **PIOTR MUCHARSKI**

NEWSLETTERY TEMATYCZNE

TYGODNIK SMAKÓW

Smakuj życie z Pawłem Bravo. Opowieści o jedzeniu, kulturze kulinarnej i smakach, które czynią świat bogatszym.

■ Prowadzi **PAWEŁ BRAVO**

MOC KOBIET

Opowieści o kobietach i sprawach dla nas ważnych: bez lukru, tabu i stereotypów. Niezwykłe bohaterki i autorki z prawdziwą dziennikarską mocą.

■ Prowadzi **EWELINA BURDA**

SPOŁECZEŃSTWO

Życie wokół nas: reportaże, rozmowy i analizy o tym, co porusza, dzieli i łączy ludzi.

■ Prowadzą **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, ANNA GOC i MAREK RABIJ**

ŚWIAT

Kluczowe wydarzenia globalne: polityka, konflikty, zmiany, które kształtują współczesny świat.

■ Prowadzi **WOJCIECH PIĘCIAK**

POLSKA

Tydzień w krajowej polityce i gospodarce. Najważniejsze fakty i decyzje w pigułce.

■ Prowadzi **MAREK KĘSKRAWIEC**

HISTORIA POWSZECHNA

Przeszłość, która wciąż kształtuje teraźniejszość. Opowieści, konteksty i analizy historyczne, które pomagają zrozumieć, skąd jesteśmy i dokąd zmierzamy.

■ Prowadzi **MACIEJ MÜLLER**

FILMY I SERIALE

Przewodnik po ekranowych premierach i klasykach: recenzje, rekomendacje i analizy trendów w kinie i na platformach streamingowych.

■ Prowadzi **ANITA PIOTROWSKA**

HORYZONTY NAUKI

Nauka, która fascynuje. Odkrycia, nowe technologie i przełomowe badania – rzetelna analiza zamiast sensacyjnych nagłówków.

■ Prowadzi **ŁUKASZ KWIATEK**

WIARA

Klasyka i współczesność wiary – teksty w duchu „Tygodnika”, które pomagają odnaleźć sens w tym, co najważniejsze.

■ Prowadzi **EDWARD AUGUSTYN**

DUCHOWOŚĆ

Duchowość poza schematami. Filozofia, teologia i osobiste doświadczenia szukania sensu.

■ Prowadzi **PIOTR SIKORA**

SZÓSTY ZMYŚŁ

Świat doświadczany wszystkimi zmysłami. Opowieści o miejscach, ludziach i fenomenach wymykających się codzienności.

■ Prowadzi **MICHAŁ OKOŃSKI**



Zapisując się na newsletter, dostajesz od nas to, co dla Ciebie najważniejsze!

www.TygodnikPowszechny.pl/newsletter



KRAJ

INNEJ KOALICJI NIE BĘDZIE

SZYMON HOŁOWNIA, MARSZAŁEK SEJMU:

Zdecydowałem się wystartować przeciwko kandydatom Tuska i Kaczyńskiego, ponieważ premier potrzebuje mieć w Pałacu partnera, a nie podwykonawcę albo sabotażystę. To nie jest miejsce dla drugoligowej figury z PO lub PiS.



SZYMON HOŁOWNIA jest marszałkiem Sejmu, liderem Polski 2050. Pracował jako dziennikarz kilku redakcji oraz prezenter telewizyjny, jest też autorem licznych książek. Ma żonę (pilotkę myśliwca MiG-29) oraz dwie córki. Stworzył fundację charytatywną Dobra Fabryka.

Na zdjęciu: po debacie prezydenckiej. Końskie, 11 kwietnia 2025 r.

MAREK KĘSKRAWIEC, PIOTR ŚMIŁOWICZ: Według ostatnich sondaży ma Pan wciąż dużo niższe poparcie niż Sławomir Mentzen. Czy to właściwa strategia, żeby tak dużo czasu mu poświęcać? Nazywać go pasożytem, tchórzem na hulajnodze?

SZYMON HOŁOWNIA: O Mentzenie trzeba mówić, bo jest realnym zagrożeniem dla demokracji, bezpieczeństwa, wszystkiego, co wypracowaliśmy w wolnej Polsce. Pewnie dlatego jego kampanię z życzliwą uwagą obserwują kremłowskie media. Jednak tak naprawdę poświęcam mu maksymalnie piętnaście minut na trwających czasem i dwie godziny spotkaniach, a robię to dlatego, że przychodzą na nie jego wyborcy. Z nim sobie nie pogadają, więc przychodzą do mnie, a ja chcę ich przekonać, że odpowiedziami na ich pytania nie musi być kuglarstwo, ale realne doświadczenie w zarządzaniu państwem i wiedza, choćby o tym, czym jest dzisiaj zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi.

Wciąż nie widać, żeby ta strategia zadziałała.

Zadziała. Już widać, że popularność Mentzena się rozmywa. Jeszcze kilka wywiadów, gdy wybity z recytowania tego, co zakuł na pamięć, powie, co naprawdę myśli o płatnych studiach, o „nieprzyjemności” w kontekście gwałtu, o likwidacji 800 plus lub zasiłku pogrzebowego. Jeszcze kilka debat, przed którymi stchórzy albo na których się posypie, i skończy się ta sondażowa hossa.

Dziś, dzięki toczonej od trzech tygodni kampanii w terenie, i pewnie też dzięki temu, że wybrałem się do Końskich i „wbiliśmy” na obie debaty, udało się odwrócić zły trend. Do Końskich kampania wyborcza była nudna jak flaki z olejem, teraz bardzo się zdynamizowała. Wykorzystamy tę falę, choć wiem, że wybory i tak rozstrzygną się po majówce. Niepokoi mnie coś innego. Po tych setkach godzin przegadanych z wyborcami mam wrażenie, że ludzie nie są pewni, iż chcieliby pójść głosować. Jan Englert powiedział w jednym z ostatnich wywiadów, że Polacy są dziś jak ptaki przed burzą. Coś w tym jest, czuję ich niepokój. Widzą, jak wszystkie dotychczasowe fundamenty świata jeżdżą pod ich stopami w lewo i w prawo, próbują trzymać się jakichśowników, a tych też już nie ma – w sferze religii, sojuszy, wspólnoty jest mnóstwo podrobek. Ja jednak nie chcę „wywracać stolików”, zamierzam zaprosić jak najwięcej osób do wspólnego stołu.

Ptaki przed burzą szaleją i stają się głośne, a my częściej mamy wrażenie, że wyborcy są po prostu znudzeni i rozczarowani. Słyszeliśmy niedawno opinię, że Pańska kariera jest trochę jak ładny sceniczny występ, z którego nic trwałego nie wynika. Polaryzacja ma się dobrze. Czy nie czuje Pan u ludzi zawodu całą klasą polityczną, w tym i Panem?

Ktoś, kto mówi, że z półtora roku mojej pracy w Sejmie nic nie wynika – najwyraźniej widzi tylko to, co miały nagłówki na portalach, ale nie był ostatnio w Sejmie. To jest zupełnie inne miejsce niż w listopadzie 2023 roku. Nie ma barier, dziennikarze są wszędzie, Sejm odwiedziło prawie 150 tys. ludzi. Festiwal filmowy, dziesiątki wystaw, masa inicjatyw. I najważniejsze – poprawa jakości stanowionego prawa, co pokazują niezależne raporty. Wprowadziliśmy unikatowy mechanizm konsultowania projektów ustaw przez internet, z którego od listopada 2024 r. skorzystało już kilkadziesiąt tysięcy osób. Zlikwidowana została zamrażarka, rozpatrzyliśmy 28 projektów opozycji. Nie mam więc wrażenia, że jestem tu, a jakby mnie nie było.

Ale tak – ludzie są rozczarowani klasą polityczną. Widzę to i słyszę, bo zamiast iść na partyjną ustawkę, idę na plac, nie wiedząc, kto przyjdzie, i słucham skarg na ten rząd. Czasem bardzo donośnych. Próbuję zamieniać je na rozmowę, nie zawsze prowadzącą do zgody, ale prawie zawsze – do podania ręki. Mamy sztormową pogodę, więc mówię ludziom: wynajmijcie mnie na pilota, który wie, jak wprowadzić was do bezpiecznego portu. Nie boję się sztormu, traktuję go jak kolejne wyzwanie.

Jeden potężny sztorm właśnie nadszedł. Co by Pan zrobił jako głowa państwa w sprawie ceł narzuconych przez Donalda Trumpa oraz groźby wycofywania się USA z roli gwaranta naszego bezpieczeństwa?

Reakcja na zmieniającą się jak w kalejdoskopie sytuację w USA musi być prowadzona z poziomu Europy. My oczywiście mamy swoje bilateralne relacje ze Stanami, jesteśmy dobrym, punktualnie płacącym klientem, ale w sprawach takich jak cła czy globalna polityka bezpieczeństwa, musimy jeździć do Waszyngtonu, ważcej więcej, przewodząc jakimiś grupom i sojuszom. To nie jest niemożliwe, bo dziś Polska „rozpycha” się na północy kontynentu, i rząd, →

→ i ja w Sejmie prowadzimy intensywną politykę zbliżenia z państwami nordyckimi i bałtyckimi. Spotykamy się regularnie w gronie przewodniczących parlamentów Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii oraz Ukrainy. Jeśli zostanę prezydentem, będę aktywnie prowadził politykę utrwalania pozycji Polski jako lokalnego mocarstwa. Prezydent nie musi klócić się z premierem o krzesła, pracy jest dziś aż nadto dla obu. Prezydent nie może być uczestnikiem szczytów, ale może być ich architektem, wytyczać nowe kierunki.

Co powinna zrobić dziś Europa?

Zając się sobą. Proszę spojrzeć: co chwila ktoś chcejechać do Trumpa i rozmawiać o wsparciu Ukrainy. Może najpierw pojedźmy do Berlina, Paryża, Brukseli, bo to tam leżą setki miliardów euro rosyjskich rezerw walutowych, o które prosi prezydent Zelenski? Wspierać ofiarę powinno się w pierwszym rzędzie z pieniędzy sprawcy, a nie tylko sąsiada.

Europa musi natychmiast zainwestować setki miliardów euro w przemysł zbrojeniowy tak, by z tych koniecznych wydatków uczynić silnik nowej europejskiej gospodarki, która powalczy wreszcie o konkurencyjność z USA i Chinami. Natomiast nasz krajowy przemysł zbrojeniowy powinien być oczkiem w głowie przyszłego prezydenta. Jestem z wojskowej rodziny, wiem, jak to wygląda „na dole” i czego dziś naszym siłom zbrojnym trzeba. Dlatego mówię o programie 50/10/50. Po pięciu latach prezydentury: Polska inwestująca 50 proc. środków na zbrojenia w kraju, będąca 10. eksporterem na świecie, a Polska Grupa Zbrojeniowa – należąca do pierwszej piątki firm zbrojeniowych globu.

Słyszmy z ust polityków masę wielkich słów, ale na razie niewiele się dzieje. Amunicji artyleryjskiej mamy na kilka dni wojny.

W listopadzie uchwaliliśmy ustawę o produkcji amunicji. W tej chwili przedstawiamy niektóre państwowe zakłady na produkcję nitrocelulozy i prochów wielobazowych. W pierwszej Wojskowej Specjalnej Strefie Ekonomicznej w Niewiadowie ruszy fabryka amunicji z linią zakupioną od Słowaków. Potrzebujemy kilku takich fabryk i turbodoładowania całej polskiej zbrojeniówki,

która w niektórych zakładach wita się już z XXII wiekiem, ale w niektórych tkwi jeszcze w XIX. Prawie 30 mld, przesuniętych z KPO na Fundusz Bezpieczeństwa i Obrony, będzie do zainwestowania nie tylko w produkcję, ale też w badania i rozwój. Musimy otworzyć się też na współpracę z sektorem prywatnym, żeby skrócić oczekiwanie na efekt, i ów efekt zwielokrotnić. Polska ma dziś na stole szanse, jakich nie miała od dekad, bo jej pozycja jest taka, jaka nie była od dekad.

Nie przesadza Pan z naszym znaczeniem?

Nie. Polska może dziś odgrywać w Unii rolę porównywalną z tą, jaką miała w niej Wielka Brytania. Jeżdżę, rozmawiam, jestem na szczytach unijnych, na szczytach NATO, znam moich odpowiedników z Europy, kilku prezydentów, premierów. Widzę, jak Polska jest słuchana. Jak w wielu sprawach już dziś nadaje ton i przewodzi.

Mieliśmy już ambitne projekty, np. Międzymorza, z którego nic nie wynikało. Na ile realny jest sojusz z północą Europy?

O „polskiej polityce północnej” zacząłem rozmawiać z wiceministrem Markiem Prawdą, gdy przygotowywałem się w 2023 r. do mojej pierwszej oficjalnej wizyty w Wilnie. Z Bałtami i Nordykami jestem w stałym kontakcie, stąd wiem, że łączy nas coraz więcej. Nie tylko trudne sąsiedztwo z Białorusią czy Rosją albo Bałtyk. My bardzo podobnie myślimy o świecie, jesteśmy coraz bardziej po skandynawsku pragmatyczni. Podoba mi się to, rozumiem ten kod i sposób działania. Skandynawowie i Bałtowie obawiają się trochę naszej skali, bo jesteśmy dużym państwem, ale będziemy przekonywać ich, że w naszym interesie są nie tylko wspólne projekty obronne, ale też wzajemne inwestycje w naszych krajach.

Do tej pory praktyka była jednak taka, że polityką zagraniczną kierował premier, a nie prezydent. Czy uważa Pan, że kompetencje głowy państwa powinny się poszerzyć? Zmiana konstytucji jest nierealna, ale może da się coś zmienić w ramach obecnych uprawnień? Sławomir Mentzen chce zwoływać co tydzień Radę Gabinetową i na bieżąco recenzować pomysły ministrów, w ten sposób wpływając na politykę.

Ważne jest, aby na bieżąco recenzować pomysły ministrów, w ten sposób wpływając na politykę.

Mentzen wygaduje głupoty, nie ma pojęcia o tym, jak działa państwo. Zwoływanie co tydzień Rady Gabinetowej skończy się sabotażem ze strony rządu, który nie zgodzi się na takie traktowanie, a potem jedną wielką wojną na górze, której ofiarą będzie nie on, a Polacy. Jeżeli ktoś chce wprowadzić u nas system prezydencki, a to – jak rozumiem – zamarzyło się Mentzenowi, to musi zmienić konstytucję, czyli nie tyle wygrać wybory prezydenckie, co parlamentarne, i to konstytucyjną większość.

Ja sam zdecydowałem się wystartować przeciwko kandydatom Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego, ponieważ premier potrzebuje mieć w Pałacu partnera, a nie podwykonawcę albo sabotażystę. Dzisiaj w ogóle musimy zmienić logikę myślenia o Pałacu. Do tej pory było to miejsce, w którym zasiadała drugoligowa figura z PO albo PiS, której celem była nie tylko rola głowy państwa, ale przede wszystkim zabezpieczanie tego, co w partyjnej logice daje realną władzę: wyborów parlamentarnych. Oraz tego, co dla starych partii jest tlenem i krwią: wpływu na spółki i media. Nawrocki będzie robił wszystko, żeby PiS wrócił w 2027 r. i pogroził kraj w zemście na obecnej władzy. Trzaskowski to sympatyczny gość i dobry prezydent Warszawy, ale po tym, jak rozprawił się z nim Donald Tusk po powrocie do Polski, nie mam złudzeń, kto będzie naprawdę rządził Polską jako premier i nadprezydent. Tusk to jest wielka siła, on potrzebuje partnera, nie zastępcy.

Trzaskowski jest drugoligowym politykiem PO?

Formalnie jest zastępcą Donalda Tuska.

Ktoś mógłby powiedzieć złośliwie, że mówi Pan o pierwszej lidze, a sam na razie ma poparcie na poziomie drugiej. Czy kandydat Szymon Hołownia nie powinien bardziej obawiać się tego, że jak uzyska 7 procent, to Trzecia Droga się rozpadnie? Już słyszymy głosy z PSL, że ich z Polską 2050 w sumie niewiele łączy.

Żeby się przekonać, w której jest się lidze, nie ma innej drogi, jak wyjść na mecz. A anonimowymi głosami z tej czy



KAMIL GOZDAN / AGENCIA WYBORCZA.PL

Szymon Hołownia podczas spotkania z wyborcami. Gdynia, 5 kwietnia 2025 r.

innej partii nie zamierzam się przejmować, znaczenie ma to, co mówi kierownictwo ugrupowania. Z PSL-em jesteśmy dogadani na cztery serie wyborów, do prezydenckich włącznie, co później – zobaczymy. Tak, różnimy się z PSL w wielu kwestiach, ale to dzięki temu, że mieliśmy z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem odwagę, żeby połączyć siły, udało się coś, co było niemożliwe: odsunięcie PiS od władzy.

Niektórzy jednak uważają, że w koalicji rządowej staliście się powoli przystawką KO i zrobiliście zbyt mało, by się od niej odróżnić, a tym samym uzasadnić swoje istnienie. Przez to Pan sam ma dziś sondażowe kłopoty.

Jakie sondażowe kłopoty? Może zaraz jeszcze usłyszysz, że jesteśmy planktonem? 44 procent zaufania społecznego to „kłopoty”? A że w sondażach partyjnych jest 7 czy 9 procent? Będzie więcej przed wyborami, a poza tym: jeśli jesteśmy tylko przystawką, to spróbujcie zrobić rząd bez nas. Jesteśmy odpowiedzialnym, lojalnym koalicjantem, reprezentujemy setki tysięcy wyborców. Wszystkim, którzy nam mówią, że nie staliśmy się realną „trzecią drogą”, przypominam, że jesienią 2023 r. mieliśmy trzy warianty na stole. Pierwszy: zrobić deal z PiS po wyborach, bo mieliśmy bardzo konkretną propozycję. Premier, 13 ministrów, a ja jako kandydat na prezydenta całego obozu. Nie wzięliśmy tego pod uwagę z wiadomych powodów. Druga propozycja: być jak Konfederacja, siedzieć na murku, sikać raz na lewo, raz na prawo, przez cztery lata brać pieniądze za nic. I trzecia – powołać sojusz demokratów z KO i lewicą.

Czy to jest miła, sympatyczna i ciepła koalicja? Nie. Mamy różne zdania w różnych kwestiach i często się spieramy. Jeśli jednak zarzuca się nam, że czegoś nie zrobiliśmy, by się odróżnić, to proszę mi powiedzieć: co to takiego? Składka zdrowotna, kredyty mieszkaniowe, odróżniamy się bardzo mocno. Jeżeli chodzi o kwestie związane z sądownictwem: od półtora roku proszę o ustawy sądownicze, o ustawę o prokuraturze, o Sądzie Najwyższym. Natomiast jeżeli chodzi o prawo do azylu, to wprowadziliśmy do rozwiązań proponowanych przez Platformę tzw. grupy wrażliwe, a także kontrolę parlamentu nad tą strefą, którą rząd ustanowił. Jak ktoś mi będzie wmawiał, że jesteśmy przystawką PO, skonfrontuję go chętnie z faktami.

Ale nie udało się Wam załatwić transparentnej obsady spółek Skarbu Państwa.

PiS doprowadził zawłaszczanie spółek do poziomu nieznanego w demokracjach, my zobowiązaliśmy się to odwrócić. Niestety, nie udało się to w takim stopniu, jakiego oczekują nasi wyborcy. Odkolesiowanie spółek, również mediów publicznych, merytoryczne kryteria naborów do rad nadzorczych – to tematy, których nie odpuścimy. Koalicjanci wyrzucą nam do kosza jedną ustawę, położymy kolejną, aż do skutku.

Mówił Pan, że w 2023 r. mieliście ofertę koalicji z PiS. Czy w tej kadencji Sejmu jest możliwość innego układu koalicyjnego? Na przykład Trzeciej Drogi z PiS, z Kosiniakiem jako premierem i Panem jako marszałkiem do końca kadencji? Albo

wasze rozejście się z PSL i rządu PiS-Konfederacja-PSL?

Nie. Rozumiem, że niektórzy mają rozgrzane głowy i że czasy są rewolucyjne, ale innej większości i innej koalicji w tym Sejmie nie będzie.

Ten Sejm i jego marszałek mogą jednak stanąć przed innym wyzwaniem. Co Pan robi, jeśli Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego z jakiegoś powodu zakwestionuje ważność wyborów. Uzna Pan jej werdykt?

Jeżeli wygram wybory, to decyzję będzie podejmował mój następca. A jeżeli przegram, to wtedy zaproszę na zaprzysiężenie tego, kogo wybrali Polacy, nie partyjny sąd czy partyjny lider. Nie wiemy dziś, jak zachowa się Izba Kontroli SN, jednak w sprawach ustrojowych staram się być bardzo pryncypialny. Gdy widzę jakieś zagrożenie na horyzoncie, to staram się uświadamiać klasę polityczną – dlatego zaproponowałem ustawę incydentalną. Podobnie zrobiłem z ustawą o polexicie, kiedy tylko spostrzegłem, że wystarczy 16 posłów, by wprowadzić Polskę z Unii.

Moje wątpliwości co do statusu Izby Kontroli nie zmalowały. Mam zarazem świadomość odpowiedzialności za zapewnienie ciągłości władzy w państwie, za przekazanie zwierzchnictwa sił zbrojnych. Skoro Andrzej Duda zdezerterował z tego obowiązku, to ja go wypełnię, jako następna osoba w konstytucyjnym porządku.

Trzecia Droga przeforsowała w końcu obniżenie składki zdrowotnej dla przedsiębiorców, ale czy to nie jest pyrrusowe zwycięstwo? Pracownicy, których jest dużo więcej, niż z tego przecież nie mają. Są też głosy, że wasz sukces kolejny raz zmniejszy wydatki na ochronę zdrowia.

W umowie koalicyjnej zobowiązaliśmy się, że trzeba odwrócić fatalne skutki Polskiego Ładu. Realizujemy to, na co się umówiliśmy, krok po kroku. Kłamie ten, kto mówi, że będziemy przez to wydawać mniej na ochronę zdrowia, bo w tym roku będziemy wydawać więcej o 31 mld niż w 2024 r. W przyszłym roku wydamy na zdrowie 6,8 proc. PKB, w 2027 – 7 proc.

Poważni eksperci mówią, że pieniądze na ochronę zdrowia nie jest



→ aż tak mało, tylko są źle dzielone i wciąż pozwalają na istnienie prywatnych latyfundiów żerujących na państwowych szpitalach i przychodniach.

Ochrona zdrowia to temat, którego jak dotąd nie był w stanie rozwiązać żaden premier, i dlatego potrzebny jest prezydent, który zajmie się sprawą na poważnie i w ciągu roku wypracuje z rządem, ekspertami i wszystkimi siłami politycznymi strategiczny plan reformy ochrony zdrowia, taki na pokolenia, nie na czyjąś kadencję. W polskiej polityce od lat niepodzielnie rządzi taktyka, a ja gdy do niej wszedłem, najpierw powołałem do życia think tank Strategie 2050. To jest zadanie prezydenta – być inicjatorem perspektywicznego myślenia. Nie tylko myślenia, jak nie dopuścić PiS z powrotem do władzy. Chciałbym rozmawiać o tym, co zrobić, żeby moje dzieci za 20 lat nie zbankrutowały przy takiej demografii i takiej dziurze w systemie ubezpieczeń społecznych. W tej sprawie zamierzam zresztą powołać jeden ze specjalnych zespołów, który co miesiąc będzie przedstawiał raport z prac, a po roku – rekomendacje ustawowe lub referendalne.

Czym miałyby się zająć inne zespoły?

Myślimy o świecie podobnie jak kraje północy Europy.

Będziemy je przekonywać, że w naszym interesie są nie tylko wspólne projekty obronne, ale też wzajemne inwestycje.

Na przykład sprawiedliwym rozwojem. Polska to nie tylko metropolie, to setki miast wciąż pozbawionych kolei, gdy my snujemy dziś marzenia o Kolei Dużych Prędkości, łączącej wielkie miasta. Gdziekolwiek jestem, w Ciechanowie, Suwałkach czy Bielsku-Białej, wszędzie słyszę: chcemy mieć znowu województwo. Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, ale rozmawiamy i o tym. Mamy dziś inną Polskę niż ta, w której umawialiśmy się na taki podział, zweryfikujemy go.

Kolejny zespół zajmie się bezpieczeństwem naszych dzieci. Przygotuję projekt ustawy o banie na smartfony w podstawówkach, kursach dla rodziców, o powołaniu Narodowego Instytutu Higieny Cyfrowej. Przeraża mnie, gdy pa-

trzę na raporty i widzę, że wielkie korporacje traktują nasze dzieci jak surowiec do generowania zysków, zostawiając po sobie zgłiszczą w ich psychice.

Moją ambicją jest też to, by w czasie mojej prezydentury zaczęły goić się rany, które widzę na każdej państwowej uroczystości. To wycie na siebie, plucie, nienawiść, złość. Na spotkaniu w Wieliczce podeszła do mnie pani ze łzami w oczach, mówiąc o tym, jak polityka skłóciła jej rodzinę. To się musi skończyć. Polityka to spór, ale nie nienawiść.

Odejdzie Pan ze stanowiska marszałka w listopadzie, jeśli nie zostanie prezydentem? Wejdzie Pan do rządu?

W takiej sytuacji pozostanę marszałkiem do listopada. Nie wejdę do rządu, nie zostanę wicepremierem. Będę pracował w Sejmie do końca tej kadencji.

Jako wicemarszałek?

Zobaczymy. Umowa koalicyjna nic o tym nie mówi. Dziś nie myślę o tym, proszę mi wierzyć. Czy tu, czy tam, w Sejmie, czy gdzieś indziej – zawsze znajdę sposób, by zrobić coś konkretnego. Żeby ten świat był choć odrobinę lepszy.

©P Rozmawiali MAREK KĘSKRAWIEC
i PIOTR ŚMIŁOWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Program Polityczny:

wieczór wyborczy

OKO.press

TYGODNIK POWSZECHNY

WSPÓLNY WIECZÓR WYBORCZY ONLINE

▶ 18 MAJA, GODZ. 20:45

WYBORY PREZYDENCKIE 2025

Dominika Sitnicka

Agata Szczśniak

Karol Modzelewski

Marek Kęskrawiec

Piotr Śmiłowicz

Kobieta nie nurkuje

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Od drzwi do stodoły imitujących bramkę, po grę w Barcelonie: historia najśtywniejszej polskiej piłkarki Ewy Pajor to opowieść o rozwoju polskiego futbolu kobiecego. I o kruszeniu mentalnych barier.

DZIEWIĘCIOLETNIA DZIEWCZYNA, chuchro może osiemnastokilowe, na pewno niewystające wiele ponad średniej wielkości stół, biega za piłką po startej od tysięcy tenisówek podłodze sali gimnastycznej. Sala jest w niewielkiej podstawówce, podstawówka we wsi gdzieś między Koninem a Łodzią. Jest połowa lat dwutysięcznych.

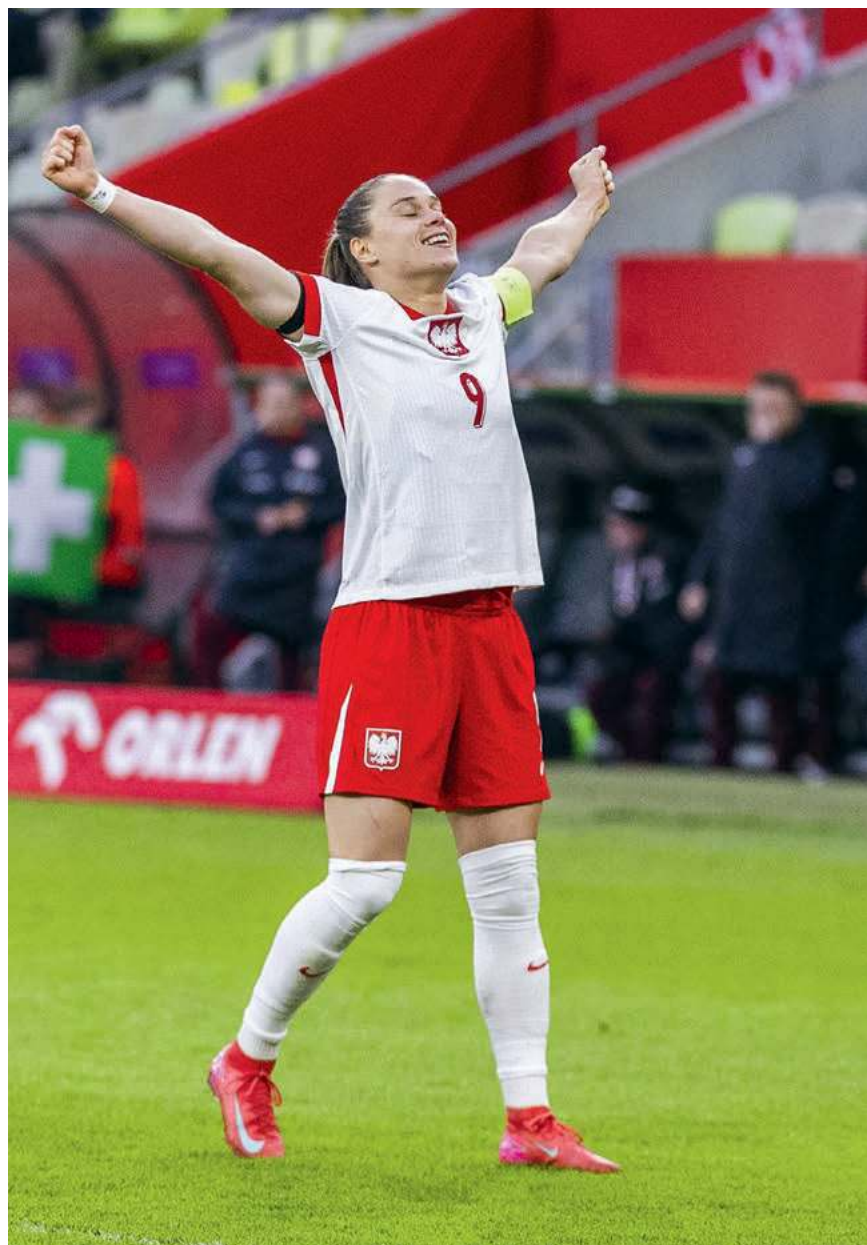
Dziewczę widać zapewne od razu: płacze się wśród wyższych o kilka głów drągali z piątej, szóstej klasy. I nie odpuszcza: to zrobi slalom z piłką między chłopakami, to zawalczy o nią wściekle. Nagle futbolówka uderzona przez kogoś z całej siły trafia ją prosto w twarz. Głośny płacz, przerwa, młody nauczyciel podbiega w popłochu do drugoklasistki. Patrzy, czy zęby wszystkie. Uważa, że o dalszej grze – choć to jeszcze nie czasy ocierającego się o patologię chuchania i dmuchania na dzieci – nie ma mowy.

Ale dziewięciolatka, otrząsnąwszy się z szoku, przedstawi zgoła inną optykę: „Gram dalej”.

„To będzie piłkara”

Początki tej historii można sobie też wyobrazić nie na startym parkiecie, tylko na wypłowiej trawie; nie pod koszem, a pod kamiennym murem gospodarstwa, przy którym dreptają kury i do którego przytwierdzono zbitą z sosnowych bali bramkę dwa metry na trzy.

Jest początek kwietnia 2025, spaceruję po takiej właśnie okolicy z tym samym co w pierwszej scenie facetem, tyle że przy-



Ewa Pajor podczas meczu Polska – Bośnia i Hercegowina. Gdańsk, 4 kwietnia 2025 r.

proszonym już nieco siwizną. To Piotr Kozłowski, znany jako „pierwszy trener Ewy Pajor”, teraz dyrektor uniejowskiej podstawówki.

Właśnie wróciliśmy z objazdu. Od czterotysięcznego Uniejowa, przez trawiaste boisko szkoły w Wieleninie, otoczone jak kiedyś wbitymi w ziemię oponami, aż po wieś Pęgów z gospodarstwem państwa Pajorów i położonym ze sto metrów obok domem rodziny byłego kolegi z klasy Ewy. To właśnie tu Kozłowski zaparkował, by pokazać mi „słynną bramkę Ewy”.

– Czasami strzelała na drewnianą bramę swojej stodoły, innym razem przychodziła właśnie tutaj, by grać z kolegami – Piotr Kozłowski wchodzi

na moją prośbę do drewnianej bramki, bo w takiej pozie chcę mu zrobić zdjęcie; naokoło hektary pól przylegających do nielicznych zabudowań. – Ta bramka staje się coraz słynniejsza, swój materiał nagrała tutaj nawet telewizja FC Barcelony.

Jest rok 2003, siedmioletnia Ewka z Pęgowa (kilkanaście domów na krzyż) zaczyna podstawówkę w oddalonym o kilka kilometrów Wieleninie; obie wsie leżą w granicach gminy Uniejów w woj. łódzkim. Gdy kończy lekcję, idzie na świetlicę. Tu opiekuje się nią dorabiający do etatu wuefisty Kozłowski. – Scena z uderzeniem w twarz to mój pierwszy obraz Ewki grającej w piłkę – opowiada. ➔

ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER

→ – „Ja pierniczę, to niemożliwe”, pomyślałem, gdy zażądała powrotu do gry. Przecież po takim wypadku nawet twardy szóstoklasista mógłby zrezygnować z grania!

Rok 2006, klasa czwarta. Ewka, nadal niziutka, za to wyróżniająca się od dawna zwinnością i sprawnością, rozpoczyna regularne lekcje wuefu z Kozłowskim. Jedzie też na swój pierwszy piłkarski turniej. – Zobaczył ją tam pewien stary, ceniony wuefista – opowiada Kozłowski. – Mówi: „W Koninie jest dziewczęcy klub, koniecznie ją tam zawieź”. Zawiozłem, a prezes tego klubu, Roman Jaszczak, jeszcze przed pierwszym treningiem, gdy zobaczył sposób poruszania się Ewki z piłką pod pachą, powiedział: „To będzie piłkarka jak nie wiem co!”.

Do Konina będzie woził Ewę Kozłowski, innej opcji nie ma. – Rodzice w jej przygodzie piłkarskiej nie przeszkadzali, ale i nie pomagali – mówi wuefista i dyrektor, który w tamtym czasie nie liczył nawet na złotówkę zwrotu kosztów benzyny. – Mają kilkadziesiąt hektarów i kilkadziesiąt mlecznych krów, to nie dawało możliwości ruchu. Ale fakt, że nie stanęli na drodze jej kariery, to i tak dużo. Proszę to sobie wyobrazić. Dziewczynka ma 9 lat, a młody wuefista zaraz po przywiezieniu jej z wielodniowego pobytu na jakimś turnieju w Gdyni mówi im, że za dwa tygodnie jedziemy do Krakowa.

Choć gdy 12-letnia już Ewa chce przebiec się – wraz z towarzyszącą jej i też grającą w piłkę siostrą Pauliną – do Konina na stałe, by tam mieszkać w internacie, rodzice się wahają. Tak przynajmniej uważa wspomniany Roman Jaszczak, który pytany o Pajorów przez Karolinę Wasielewską, autorkę książki „Polka gola! O kobietach w futbolu”, mówi: „One były trochę zahukane. Ich rodziców też trzeba było urabiać (...) Cały czas powtarzali, że przecież dziewczyny muszą zostać w gospodarstwie, że co rano trzeba wstawać o piętej do krów”.

Zamiast tego wstają do szkoły i na treningi. A Ewa, już jako dwunastolatka, dostaje powołanie do reprezentacji Polski U-15. Za kilka lat, w kadrze U-17, osiągnie wielki sukces: mistrzostwo Europy w tej kategorii wiekowej i tytuł najlepszej piłkarki. – Zobaczyłem ją kiedyś w akcji na jednym z turniejów dziecięcych, jak haruje, jak myśli na boisku, jak przyjmuje piłkę, i powiedziałem, że będzie najlep-

sza w Polsce – wspomina Kozłowski. – A gdy wygrała Euro U-17, zyskałem pewność, że pewnego dnia będzie najlepsza w Europie.

Do czego służą kolana

Na razie jednak nie jest znana nawet w Uniejowie, a polska kobieca piłka jest w amatorskich powiatach, uważana przez wielu za zwykłe dziwactwo. Młode utalentowane piłkarki, jak pisze Wasielewska, mają kłopot nawet z pieniędzmi za transport na mecze, a leczenie po kontuzji – nawet na poziomie reprezentacji – muszą opłacać z własnej kieszeni. „Do sezonu 2019/2020 drużyna, która zdobyła Puchar Polski kobiet, dostawała w nagrodę... trzydzieści pięć tysięcy złotych” – pisze Wasielewska, z czego nietrudno wywieść, że piłkarka jednej z najlepszych polskich drużyn mogła jeszcze kilka lat temu liczyć na niecałe dwa tysiące nagrody za jeden z największych sukcesów w krajowym futbolu.

Nie najlepszy był też wówczas mentalny klimat. Zuzanna Walczak, była piłkarka, sędzia i eks-działaczka PZPN, koordynująca w związku sprawę piłki kobiecej, ma za sobą historię równoległą do tej Pajor. Jak ona pochodzi ze wsi, tyle że popegeerowskiej na Opolszczyźnie, tak jak Pajor musiała na początku obijać się o mentalne bariery we własnym środowisku. Za piłką biegła do wieku juniorki, później została sędzią, wyznaczaną m.in. do męskich meczów A-klasy na prowincji.

– Słyszałam, że „to nie wypada”, że mam się zająć czymś innym, „bo będę miała krzywe nogi” i poobijane kolana, które mają przecież służyć do celów estetycznych – wspomina Walczak. – Bywało też, że ktoś nawet nie brał pod uwagę, że jestem w trójce sędziowskiej, więc dopytywał, czyją jestem żoną. Byłam specjalnie wysyłana na trudne mecze, gdzie zdarzały się akty agresji, bo uważano, że „kobieta łagodzi obyczaje”. Faceci w A-klasie bywali agresywni, zdarzało mi się wracać do domu i płakać. Ale nie dawałam sobie wchodzić na głowę. A później poszłam na studia, zrobiłam kurs trenerski.

Jeszcze kilka lat temu jej plany, by w przyszłości trenować seniorskie zespoły męskie, spotykały się z niedowierzaniem. – Zrobiłam nawet ankietę na Twitterze, na którą odpowiedziało trzy tysiące osób, gdzie zapytałam, czy kobieta

może być trenerką seniorskiego zespołu męskiego – opowiada ekspertka. – Aż trzy czwarte respondentów, a był to rok 2019, odpowiedziało przecząco.

Zmiana, widoczna dopiero w ostatnich latach, to wedle mojej rozmówczyni efekt opatrywania się obrazków kobiet z futbolówką. – Dziś niemal każdy ma jakieś doświadczenie w tym zakresie: albo widział kobietę sędziującą mecz, albo słyszał o Ewie Pajor, albo sam spotkał dziewczynę lub kobietę grającą bądź sędziującą – mówi Walczak. – A gdy ma taką siostrę albo koleżankę, trudniej mu (lub jej) wypowiadać stereotypowe sądy.

Walczak opowiada o dziewczynce grającej w jej wsi, Gałęczycach. – Staram się ją wspierać, by nie miała tak trudno jak ja czy Ewa – mówi. – Gdy byłam dziewczynką, nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić grania w dorosłej drużynie kobiecej, bo nie było takiej *success story* jak dziś Ewy. Fantazjowałam, że będę grała w reprezentacji męskiej, bo zrobią dla mnie wyjątek... Nawet plakaty w pokoju miałam z piłkarzami-mężczyznami. Dziś dziewczynki mają za idolki także kobiety.

Potwierdza to jeden z obrazków z książki „Polka gola...”. Rok 2022, pierwsza edycja uniejowskiego turnieju Pajor & Tarczyńska Cup, przyglądający się meczom Piotr Kozłowski dostrzega, że gole strzelają wciąż dziewczyny z numerem „17”. Dopiero po chwili zorientuje się, że to numer Ewy Pajor. „Bo współczesne młode piłkarki mają już i idoli, i idolki z boiska, dla nich futbol nie ma płci” – komentuje autorka książki.

Światowy TOP 5

Daleko do tego klimatu jest w czasach, gdy Ewa Pajor zaczyna osiągać pierwsze sukcesy.

Rok po wygraniu Euro, gdy ma 17 lat, jej rodzice po raz pierwszy pojawiają się na meczu. Stadion Miejski w Koninie, październik 2013, miejscowy Medyk rozbija 2:0 bardziej utytułowany Glasgow FC w 1/16 Ligi Mistrzów, a młodziutka Pajor zdobywa bramkę (po długim podaniu przyjmuje piłkę na dwunastym metrze i strzela z woleja w długi róg).

Gdy ma lat 19, przenosi się do niemieckiego VfL Wolfsburg. Tu jednak jest trudniej, niż myślała. Z wysiłku zdarza jej się wymiotować w czasie treningu. Długo nie łapie się do meczowej jedenastki. Jej siostra Paulina wspomni:



PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Piotr Kozłowski w „słynnej bramce Ewy”, Pęgów, kwiecień 2025 r.

„Przychodziła z treningów i zamykała się w pokoju. Zastanawiała się, co znowu zrobiła źle, że nie została powołana na mecz”.

– Ewa i starsza o rok Paulina, która wspierała ją i w Polsce, i w pierwszych latach w Niemczech, to piękna historia o wzajemnym poświęceniu, o siostrzeństwie – uważa Zuzanna Walczak. – Kariera Ewy to także efekt tego wsparcia.

Wkrótce Ewa zaczyna nie tylko grać, ale też strzelać bramki i robić furorę. W sezonie 2018/19 zdobywa kolejne mistrzostwo i puchar Niemiec oraz tytuł królowej strzelczyń Frauen Bundesliga. Gdy w 2020 r. przedłuża z klubem kontrakt, suma odstępnego wynosi rekordowy w kobiecym futbolu milion euro. Do roku 2024, gdy podpisze sensacyjny kontrakt z Barceloną, zdąży z Wolfsburgiem aż cztery razy dotrzeć do finału Ligi Mistrzyń. Co prawda ani razu nie sięga po trofeum, ale sam występ w finale to w męskiej wersji polskiej piłki osiągnięcie unikatowe: dość powiedzieć, że wśród czynnych piłkarzy pochwalić się nim może tylko Robert Lewandowski (przynajmniej w chwili ukończenia tego tekstu, bo wkrótce może to się zmienić).

Status Ewy Pajor dziś? – Jedna z najlepszych piłkarek na świecie, na pewno TOP 5, pojawiająca się wśród faworytek do nagrody Złotej Piłki gwiazda jednego z najlepszych klubów globu – ocenia

Walczak. – Brakuje jej sukcesu reprezentacyjnego, ale i to jest do nadrobienia.

Choć analogie do męskiego futbolu nie zawsze mają sens, a w dodatku są nie najlepiej widziane w środowisku piłki kobiecej, tu od paraleli uciec nie sposób. Dzisiejsza pozycja Pajor nie jest gorsza od Lewandowskiego, a jeśli doszukiwać się różnic, będą raczej grały na jej korzyść: młodsza o stanowiące w sporcie wieczność osiem lat, może liczyć na prześcignięcie słynnego kolegi. Z którym zresztą gra teraz w jednym klubie, występując nawet wspólnie w filmikach promocyjnych na YouTube, jak kilka tygodni temu w pokazowej zabawie „Guess who” (gdzie oboje posługują się komunikatywnym angielskim).

Przed Pajor jest teraz Euro 2025, startujące z początkiem lipca w Szwajcarii. – Potrzebujemy wokół tej kadry szumu – mówi Zuzanna Walczak. – Nie miałabym nawet nic przeciwko temu, by po jakimś niepowodzeniu kibice zaśpiewali „Nic się nie stało...”, a pierwszy lepszy taksówkarz zaczął marudzić: „Widziała pani ten mecz?”. Bo to by znaczyło, że kibice tym żyją.

Trzydzieści tysięcy piłkarek

Polska piłka kobieca u progu tej imprezy to już ok. 30 tysięcy piłkarek, niemal 800 trenerek i blisko 500 sędzi (dane za sezon 22/23). Od 2019 r. damska

Ekstraliga jest pokazywana przez telewizję publiczną.

Owszem, zastrzega Zuzanna Walczak, będąc kobietą, nadal trudno utrzymać się z gry w piłkę, nadal ciężko być jedyną dziewczyną z piłką we wsi czy jedyną robiącą kurs trenerski. – Wciąż zdarzają się komentarze typu: „Ty rób notatki, bo pewnie ładnie piszesz”, ale to już na szczęście rzadkość. Są też i atuty mniejszej profesjonalizacji damskiej piłki. Skoro kobieta mimo tych wszystkich przeszkód gra, to wiadomo, że musi tę dyscyplinę kochać. Kobiety inaczej też zachowują się na boisku. Np. nie „nurkują”, jak to się mówi w żargonie, czyli nie udają, że zostały sfaulowane.

Rozwój kobiecej piłki widać od ponad dekady także w Uniejowie. – Po sukcesie Ewy w 2013 r. postawiłem założyć Uniejowską Akademię Futbolu – opowiada Piotr Kozłowski. – Kilka lat później zaprosiliśmy do współpracy byłego reprezentanta Polski Ebiego Smolarka, potem dołączyła Ewa i inna wybitna piłkarka, Agata Tarczyńska. W tej chwili to akademia skupiająca ponad setkę piłkarzy z roczników 2010-2018, w tym dziesięć dziewczyn. Mam wiele krytycznych słów o popularyzacji piłki kobiecej w Polsce, jej lekceważeniu przez PZPN i media, ale zrobiliśmy naprawdę duży krok w przód.

Pajormanian

Kozłowski na koniec zabierze mniej jeszcze do centrum Uniejowa – chce mi pokazać „Pajormanianę” w lokalnym wydaniu.

Po drodze pytam, jaka prywatnie jest Ewa Pajor. – Nieśmiała, najchętniej by się schowała – śmieje się Kozłowski, prowadząc samochód przez duże i miejscami pustawe przestrzenie gminy, a jego słowa potwierdzają wywiady wideo, na których piłkarka odpowiada na pytania krótko, jakby chciała mieć to już za sobą.

Ostatni przystanek: uniejowski rynek. Przed gotycką kolegiatą Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny stoi neobarokowa dzwonnica, na niej – pod zegarem – elektroniczny napis: „Uniejów kibicuje reprezentacji Polski!!!” pojawiający się wyminnie z licznikiem: „DO EURO 2025 POZOSTAŁO 83 dni, 6 godzin, 13 minut i 19 sekund...”.

Pytam Kozłowskiego, czy nie było sprzeciwu proboszcza. – Sprzeciwu? – patrzy zdziwiony. – Tu wszyscy byli za.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

A jeśli to spadnie na mnie?

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

Przez dekady opieka nad starzejącymi się rodzicami była w polskich rodzinach niepodlegającą dyskusji powinnością. Dziś staje się źródłem lęku i wyrzutów sumienia.

NA SWÓJ INSTAGRAMOWY PROFIL Agnieszka, 35-latką z Poznania, wrzuciła niedawno zdjęcie z tatą. Stoją uśmiechnięci na tle rzymskiego Kolozeum, które wspólnie odwiedzili w lutym. Kobieta jest jedynaczką, jej mama zmarła dwa lata temu na raka, a ona od tamtego czasu stara się mocniej aktywizować tatę, który powoli staje na nogi po stracie żony. – Coraz częściej myślę o tym, co zrobię, gdy będzie potrzebował mojej opieki. Przeraża mnie to, nie wiem, czy dam sobie radę – mówi. – Tata w maju kończy 71 lat i choć ostatnio robił badania i wszystko jest w porządku, to widzę, że z roku na rok słabnie – dodaje.

Martwi ją nie tylko to, że ewentualna opieka spoczywać będzie wyłącznie na niej. Stresująca jest także odległość, bo tata mieszka w oddalonych o ponad 300 km Policach. – Jak na razie jest mobilny i samodzielny, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Mieszkam na czwartym piętrze w bloku bez windy, wzięcie go do siebie będzie trudne, a nie wyobrażam sobie powrotu do rodzinnego miasta – podsumowuje. Podobne myśli kłębią się dziś w głowach wielu dorosłych, zmagających się z objawami niedołężności swoich coraz starszych rodziców.

Podobnie jak większość społeczeństw w Europie starzejemy się w ekspresyjnym tempie. Według danych GUS pod koniec 2023 r. w naszym kraju żyło 9,9 mln seniorów; stanowili 26,3 proc. społeczeństwa, ale ich liczba będzie rosnąć. Długofalowe prognozy przewidują, że do 2060 r. w Polsce żyć będzie już 11,9 mln osób starszych (38,3 proc. społeczeństwa). W praktyce oznacza to, że wzrośnie też liczba osób zaangażowanych w opiekę nad seniorami – bo spora część z nich będzie wymagać specjalistycznej i długoterminowej pomocy (żyjemy dziś

dłużej niż w czasach PRL). Ta zaś, w obliczu niewydolności instytucji opiekuńczych polskiego państwa, najczęściej przypadnie dorosłym dzieciom. Wiele z nich czuje dziś z tego powodu ogromny niepokój.

Przytłoczeni, zgnieceni, docięnięci

Dr Joanna Gutral jest psycholożką, psychoterapeutką, psychoedukatorką i wykładowczynią na Uniwersytecie SWPS. Kiedy pytam ją, co może być źródłem tego lęku, wyjaśnia, że w obliczu opieki nad rodzicami występuje on na wielu poziomach. Po pierwsze, niezwykle silnie odczuwamy wówczas kwestie egzystencjalne – podświadomie czujemy, że zbliżamy się do bolesnej konfrontacji z utratą bliskiej osoby. Uświadamiamy sobie także, że starość i śmierć dotyczą każdego z nas, a wraz z tym pojawia się lęk przed własnym przemijaniem. Kolejną kwestią jest to, że uruchamia się w nas strach przed zmianą lub utratą dotychczasowego stylu życia – boimy się, że opieka nad rodzicem pozbawi nas swobody, marzeń i planów, że będziemy musieli poświęcić się jej bez reszty. Lęk budzi w nas też konieczność naruszenia barier intymności – bo opieka nad starszą osobą wiąże się z zabiegami higienicznymi i konfrontacją z jej potrzebami fizycznymi i fizjologicznymi. Dodatkowo dochodzi do przemieszania ról – to, co kiedyś było relacją dziecko-rodzic, zaczyna przypominać relację opiekun-podopieczny. – Patrzenie na to, jak bliska osoba traci samodzielność, jest dojmującym uczuciem. Trudno się w tym odnaleźć i trudno się z tym pogodzić – dodaje ekspertka.

– Spadająca na człowieka opieka nad rodzicami jest rodzajem kryzysu, na który nikt nie jest gotowy – mówi z kolei 51-letni Marcel Andino Velez, w prze-

szłości wicedyrektor Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, a dziś certyfikowany opiekun medyczny i wiceprzewodniczący Okręgu Mazowieckiego Polskiego Towarzystwa Gerontologicznego, który przez kilka lat zajmował się swoimi schorowanymi rodzicami. – proces socjalizacji przygotowuje nas do różnych ról społecznych, ale na żadnym etapie nie mówi się o tym, że być może w dorosłym życiu, przez kilka lat będziemy musieli być opiekunami dla własnych rodziców – dodaje.

41-letnia Ania jest typową przedstawicielką *sandwich generation* (pokolenie-kanapka), więc opieką obłożona jest z dwóch stron. Ma małe dzieci (4 i 6 lat), a od dwóch lat opiekuje się też rodzicami. Jest rozdarta między Kielcami, w których mieszka z rodziną, a Krakowem, gdzie mieszkają rodzice; oba miasta dzieli prawie 120 km. – Byłam młodą, szczęśliwą mamą. I nagle wjechał we mnie rozpędzony pociąg – opowiada. Stan zdrowia obojga rodziców pogorszył się niespodziewanie, niemalże równocześnie. 85-letni tata z zaawansowaną demencją jest pacjentem leżącym, 79-letnia mama jest bardziej samodzielna, ale straciła wzrok, co utrudnia



STACH ANTKOWIAK / REPORTER

jej codzienne funkcjonowanie. Ania ma starszą siostrę, jednak opieka nad rodzicami przychodzi jej z trudem. – Zostałam z dwójką dorosłych osób wymagających stałej opieki. Wiedziałam, jak zmienić pampersa dziecku, ale dorosłemu człowiekowi? Nie miałam pojęcia, co robić, byłam przerażona, działałam jak w amoku. Ciągle płakałam, nie spałam, nie jadłam, byłam jak zombie – wspomina.

W dowód wdzięczności

W świetle prawa nikogo nie można zmusić do opieki nad rodzicem. Artykuł 87. kodeksu rodzinnego i opiekuńczego mówi jedynie o tym, że rodzice i dzieci zobowiązani są do wzajemnego szacunku i wsparcia. – Sprawowanie osobistej opieki to kwestia etyki, moralności i więzi – wyjaśnia prof. Monika Oliwa-Ciesielska, socjolog, kierownik Zakładu Badań Problemów Społecznych i Pracy Socjalnej na Wydziale Socjologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Kwestie prawne to jedno, a uwarunkowania społeczno-kulturowe to drugie. Jak zauważa ekspertka, starsze pokolenia (boomersi, część generacji X) z racji czasów, w których żyły, oraz

wzorców społecznych, które ich otaczały, nadal noszą w sobie silne przekonanie, że dzieci mają powinność wobec starszych rodziców, a opieka nad nimi jest obowiązkiem.

Na przestrzeni kilkudziesięciu lat w Polsce zaszły jednak duże społeczne zmiany – rodziny wielopokoleniowe przeszły w zasadzie do historii; kobiety, które w przeszłości pełniły role opiekuńcze, poszły do pracy; normą stały się migracje do dużych miast i innych krajów; spadła także dzietność, odbijająca się w strukturze demograficznej współczesnego społeczeństwa.

Oprócz tego zmienił się styl życia, który znacząco wpływa na podejście do opieki nad starzejącymi się rodzicami. Dzisiejsi młodzi dorośli próbują odnaleźć równowagę między pracą, wychowywaniem dzieci, codziennymi obowiązkami i odrobiną relaksu. Często brakuje im stabilizacji zawodowej – wielu pracuje na umowach śmieciowych lub w ramach kontraktu B2B. Mieszkają w dużych miastach, zwykle z dala od rodzinnego domu, często w wynajętych mieszkaniach albo z mocno obciążającym kredytem hipotecznym.

Model „opieki absolutnej” nad seniorami miał rację bytu w przeszłości, gdy normę stanowiły wielopokoleniowe rodziny żyjące pod wspólnym dachem. Prof. Oliwa-Ciesielska wyjaśnia, że wówczas tworzyły one naturalną sieć wsparcia, w której opieka nad potrzebującą osobą była dzielona pomiędzy kilka bliskich jej osób. – Zmiana struktury rodziny mocno ograniczyła możliwości opieki domowej. Ciężar odpowiedzialności przesunął się na jednostkę, która sama musi przygotować się na wypadek kryzysowej sytuacji – wyjaśnia ekspertka.

Pokolenie milenialsów i generacja Z – wychowane w duchu indywidualizmu, posiadające silną potrzebę realizowania siebie – zdają sobie sprawę z tego, że owszem, opieka nad rodzicami jest moralnym obowiązkiem dzieci. Jednak w odróżnieniu od starszych pokoleń nie chcą brać jej w całości na siebie. Uważają, że można zabezpieczyć ją w różny sposób, niekoniecznie osobiście. – Nie są gotowi na to wyzwanie, zarówno pod kątem emocjonalnym, jak i finansowym, logistycznym i organizacyjnym. Nie ma w tym przesady, gdy opiekę nad rodzicami określają jako zadanie ponad siły, wymagające profesjonalnego wsparcia. Nie widzę w tym egoizmu, raczej świadomość złożonych problemów wieku senioralnego i tego, z czym wiąże się opieka – podsumowuje prof. Oliwa-Ciesielska.

Z kolei dr Gutral zauważa, że dla współczesnych młodych dorosłych bardzo ważne są relacje międzyludzkie panujące w rodzinie, które znacząco wpływają na ich stosunek do ewentualnej opieki. – Nie wyobrażam sobie, że będę zajmować się rodzicami, bo nasze relacje były naprawdę kiepskie – mówi 32-letnia Iga. Gdy była mała, jej tata wyjechał za granicę i niespecjalnie przejmował się dziećmi; z mamą nigdy dobrze się nie dogadywała. Dziś ma własną rodzinę i nie wyobraża sobie, by któreś z rodziców w przyszłości miało z nią zamieszkać. Pociesza ją to, że ma dwójkę rodzeństwa. – Jeżeli będzie trzeba, poświęcę im czas albo zorganizuję fachową pomoc, ale opcja całkowitej opieki nie wchodzi w grę. Zamęczilibyśmy się nawzajem – kwituje.

→



Spacer po Lido di Ostia.
Włochy, 26 stycznia 2024 r.

Będzie coraz gorzej

→ Osób stających przed podobnym wyzwaniem będzie coraz więcej. – W 2023 roku mieliśmy w Polsce aż 51 proc. gospodarstw domowych, w których żyła przynajmniej jedna osoba w wieku 60+ – mówi prof. Monika Oliwa-Ciesielska. – Nie wszyscy wymagają dziś opieki od dzieci, ale w wielu przypadkach wystarczy poczekać kilka lat – zauważa ekspertka.

Problem opieki nad seniorami staje się palący nie tylko w Polsce, ale także w całej Europie. Wedle danych udostępnionych przez Komisję Europejską w liczącej niespełna 450 mln obywateli Unii liczba osób potrzebujących długoterminowej opieki będzie w najbliższych latach rosła – w 2030 r. osiągnie 33,7 mln osób, w 2050 – 38,1 mln.

Specjalizujący się w zagadnieniach związanych z geriatrią i gerontologią Marcel Andino Velez wyjaśnia, że w dzisiejszych czasach sprostanie wyzwaniom opiekuńczym wyłącznie w obrębie rodziny jest w Polsce niemożliwe. Niezbędne jest wsparcie z zewnątrz – zarówno instytucjonalne, jak i finansowe. To na razie pozostawia wiele do życzenia, bo „utopione” w opiece nad seniorami rodziny w większości pozostawione są same sobie. W publicznej dyskusji pojawiają się jednak jaskółki zwiastujące zmianę. Wraz z nowym rządem powstał resort ds. polityki senioralnej z ministrami Marzeną Okłą-Drewnowicz na czele, zapowiedziano też start prac nad bonem senioralnym, który rodziny będą mogły wykorzystać na opłacenie usług opiekuńczych. – To kropla w morzu potrzeb, ale także sygnał, że rośnie świadomość. Skoro tematem zajęli się politycy, to znaczy, że społeczeństwo zaczyna wierzyć presję – podsumowuje Velez.

Kiedy dwa lata temu siostra 41-letniej Ani zaczęła nieśmiało przebąkać o tym, że może powinny oddać tatę do ośrodka, ta była oburzona. – Prawie wydrapałam jej oczy. Mówiłam, że to mój kochany tata, że tak wiele mu zawdzięczam – wspomina kobieta. Dziś

W Polsce już dziś żyje 10 mln seniorów, to ponad jedna czwarta społeczeństwa.

Wielu z nich wymaga lub będzie wymagać ciągłej opieki. Nie jesteśmy na to przygotowani.

jednak siostry są w trakcie załatwiania miejsca w domu pomocy społecznej. – Psycholog uświadomił mi, że długo tak nie pociągnę. Żyję w zawieszeniu, nie mam stałej pracy i pieniędzy, muszę mieć czas dla męża i dzieci. Codzienna opieka potwornie nas wymęczyła i nie widzimy już innego wyjścia – mówi Ania.

Dr Joanna Gutral wyjaśnia, że nie da się długotrwale funkcjonować w stanie permanentnego przemęczenia i przewlekłego napięcia, a z tym wiąże się długotrwała opieka nad rodzicem. – W momencie, kiedy przewyższa ona siły i możliwości, sięgnięcie po specjalistyczną, instytucjonalną pomoc nie jest porażką czy zaniechaniem. To odpowiedzialne podejście do sprawy – wyjaśnia. Niestety mimo zmiany mentalności i wzrostu świadomości społecznej, DPS-y nadal owiane są złą sławą. Jak uważa prof. Oliwa-Ciesielska, jest to niezwykle krzywdząca narracja. – Dom pomocy to dla wielu opiekunów czy rodzin konieczność w obliczu problemów, z którymi nie są w stanie sobie poradzić – wyjaśnia socjolog i dodaje, że nie każdy jest w stanie sprostać całodobowej opiece albo robić to fachowo, bez szkody dla rodzica. – Oddanie go pod opiekę specjalistów jest wyrazem troski – podsumowuje.

Znaleźć pieniądze, pogodzić życie

Agnieszka w najbliższym czasie planuje porozmawiać z tatą o tym, jak będzie wyglądała jego starość. Wie, że muszą ustalić plan działania na sytuację kryzysową, bo są zdani na siebie. – Nie wiem, jak zareaguje, ale wiem, że ta rozmowa da mi potem odrobinę spokoju – mówi 35-latką. Choroba nowotworowa mamy pokazała im, że opieka nad niesamodzielną osobą jest ogromnym wyzwaniem, dlatego

kobieta spodziewa się, że ojciec nie będzie miał nic przeciwko pobytowi w ośrodku. Kiedy pytam ją o kwestie finansowe, wyjaśnia, że jest w dość komfortowej sytuacji, bo nie ma dzieci ani kredytu, a tata ma stosunkowo dobrą emeryturę. – Wiem, że w razie czego to ogarniemy – dodaje. Potencjalny wydatek jest faktycznie spory, bo miesięczne koszty pobytu seniora w domu opieki wahają się od kilku tysięcy złotych w państwowych DPS-ach (wówczas 70 proc. opłaty pobiera się z renty lub emerytury seniora, resztę dopłaca rodzina lub – jeżeli jej na to nie stać – gmina) do kilkunastu tysięcy w ośrodkach prywatnych.

Pieniądze to tylko część problemu. Kolejnym wyzwaniem stojącym przed współczesnymi 30- i 40-latkami będzie pogodzenie życia zawodowego i prywatnego z ewentualną opieką nad rodzicami. Jak zauważa Marcel Andino Velez, trudna sytuacja demograficzna wymagać będzie zarówno większego zaangażowania ze strony instytucji państwa, jak i specjalistycznych usług komercyjnych, na które zapotrzebowanie będzie rosło. Sam w 2019 r. założył pionierską na polskim rynku firmę Młodszy Brat, zajmującą się koordynacją opieki geriatrycznej nad klientami. Razem ze współpracowniczką Weroniką przygotowują szczegółowy plan opieki, w którym wskazują, co można uzyskać z NFZ, co z pomocy społecznej, a co w ramach prywatnych usług. Towarzyszą seniorowi podczas wizyt lekarskich, koordynują leczenie, pomagają w znalezieniu specjalistów. Udzielają także konsultacji telefonicznych, bo jak przyznaje Marcel – w kryzysowym momencie nic nie pomogło mu tak, jak rozmowa z kimś, kto zna temat.

Firma mierzy się jednak z barierą rozwojową spowodowaną mentalną przepaścią pokoleniową. – Wiele starszych osób nadal uważa, że opieka należy do obowiązków zwłaszcza córki lub synowej, i nie akceptuje tego, że pewnymi rzeczami będzie zajmować się osoba z zewnątrz – mówi Velez. Na szczęście podejście do tematu zmienia się w młodszych pokoleniach. – Nie chodzi o to, żeby wziąć wszystko na siebie i zaharować się. Opiekun musi mieć zasoby psychiczne, emocjonalne, fizyczne, ekonomiczne. Trzeba do tego podejść jak do zadania, a nie jak do obowiązku, który nie podlega dyskusji – podsumowuje.

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień
są gościmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach
na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

OLGA

Drenda: Twarz wieku



ROLAND BARTHES W SWOIM SŁYNNYM eseju o fotografii wspominał o tym, że „patrzył na oczy, które widziały Napoleona”, gdy natknął się na portret jego najmłodszego brata, i że to odkrycie sprawiło go w dłuższe zdumienie.

Nasza współczesność odwróciła tę sytuację: dzisiaj miłośnicy ekranizacji powieści historycznych rozpowszechniają termin „twarz człowieka, który widział smartfona” (lub dowolny inny wynalazek charakterystyczny dla nowoczesności; może brzmieć to „wygląda jak człowiek, który płaci kartą”, albo „uroda epoki hulajnóg elektrycznych”). Nie chodzi tutaj przy tym o prosty i niezawodny motyw komediowy z przeniesieniem się w czasie i pociesznym zagubieniem człowieka z innej epoki, jak w niezapomnianej komedii „Goście goście”. Raczej o zorientowanie się, że oto coś oczywistego się znacząco zmieniło, a tą oczywistą kwestią są ludzkie twarze.

„Smartfonową twarzą” czy „wyglądem, który przeszedł test mikrofalówki” kinomani określają typ urody, który wydaje się zbyt nowoczesny do filmów historycznych i kostiumowych. We współczesnych okolicznościach taki aktor lub aktorka prezentuje się zupełnie neutralnie; cechy dwudziestopiętnastowieczności wydobywa na powierzchnię dopiero kostium z przeszłości i żaden wysiłek ekipy charakteryzatorskiej nie może przełamać tego wrażenia obcości. Oczywiście, aktorstwo z samej swojej zasady polega na mistrzowskiej iluzji, na którą składa się o wiele więcej czynników niż wiarygodna uroda, i nawet najbardziej współcześnie wyglądający aktor wręcz nada historycznej postaci nową twarz, jeśli posiada dar przekonania. Królowa Kleopatra najprawdopodobniej w ogóle

Uroda dawnych
dni – niestety
przeminięła
wraz z salonem



OLGA DRENDA

nie przypominała Elizabeth Taylor, ale gwiazdorska charyzma szła z królewskością w parze. Nie chodzi zatem o to, czy obsada jest dobrana właściwie czy nie, lecz o dostrzeżenie czegoś subtelniejszego – jak szybko zmieniają się ludzkie rysy. Na twarze patrzymy cały czas i o ile metamorfoza pojedynczego człowieka nie uchodzi zwykle naszej uwadze, o tyle rzadziej dostrzegamy jakąś powszechną zmianę. Sama miałam szczęście (i musiałam się poczuć wtedy odrobinę jak Barthes, widząc brata Napoleona!), gdy zaobserwowałam u kogoś taki moment „eureka”. Moja urodzona w latach 20. XX wieku babcia odnotowała pod koniec tego samego stulecia, że w porównaniu z czasami jej młodości ludzie mają zadziwiająco proste kręgosłupy.

Co sprawia, że ktoś wygląda „jakoś inaczej”, „z innej bajki”? Oto przykład – miłośnicy ekranizacji klasyki nie są ostatnio zachwyceni faktem, że w nowej „Lalce” Stanisława i Izabelę zagrają Marcin Dorociński i Kamila Urzędowska, a w nowych „Wichrowych Wzgórzach” Katarzynę i Heathcliffa zagrają Jacob Elordi i Margot Robbie. Faktycznie, jak na potencjalnych bohaterów z epoki romantyzmu, tych dwoje ostatnich prezentuje się podejrzanie zdrowo. W czasach sióstr Bronte, podobnie zresztą jak przez większość wieku XIX, wzorowego bohatera – targanego namiętnościami i tragicznego – powinna wyróżniać uroda wskazująca na chorowitość, oczy palające i blada cera (istnieje kilka opracowań dotyczących tego, jak w tamtej epoce kryteria piękna pokrywały się z diagnozą gruźlicy). Współczesny wygląd przeciętnego człowieka zachodniego – i nie dotyczy to przecież jedynie gwiazd – znamionuje całoroczny dostęp do palety składników odżywczych w każdym posiłku. Staliśmy się *per saldo* bardziej dorodni i promienni, bo wiele bolączek minionych stuleci nam chwilowo nie dokucza. Odpowiednia kwota pozwala też radykalnie oddalić się od wyglądu przodków dzięki naprawieniu sobie, czasem aż do przesady, uzębienia. To zęby – łatwo się ścierające, wypadające, chore – na starszych fotografiach często czyniły człowieka przedwcześnie posępnym, i to one chyba najmocniej wpływają na poczucie dystansu.

Najmocniej obok dostępnej medycyny estetycznej. Gdy o to chodzi, to nigdy dotychczas nie znaleźliśmy się też tak blisko Olimpu – jeśli za boską uznamy symetrię. Zabiegi estetyczne pozwalają dziś coraz mniejszym kosztem pozbawić się wszelkich od niej odstępstw. Prawdziwi greccy bogowie uznaliby podszywanie się pod nich za potwarz i zemściliby się, rzucając jakąś wymyślną klątwę. Może poniekąd tak się dzieje, bo naśladowanie wzorców urody sprawia, że ludzie stają się do siebie podobni i istnieje ryzyko, że zaczną mylić swoich mężów i żony. Ale może być to też paradoksalny dar; ludzie czasami bywają od siebie samych mądrzejsi i wymyślają zawczasu coś przydatnego, jeszcze o tym nie wiedząc. Może upodabnianie się do siebie to broń przeciwko inwigilacji i gdy wszyscy będziemy nosić jednakowe twarze, niepotrzebne będą – jak w Gruzji czy Hongkongu – maski, by umknąć kamerom służb?

©

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.



MOJE PIĘĆ MINUT

MAREK KONDRAT, BYŁY AKTOR:

Świadomość, że mogę istnieć po swojemu,
a nie tak, jak chcą mnie obsadzać inni, przysłała do mnie cholernie późno.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:

Gdy zadzwoniłem do Pana z pytaniem, czy porozmawiamy o smakowaniu życia i rezygnacji z wyścigu, odpowiedział Pan...

MAREK KONDRAT: ...że się chwilę zastanowię, bo obecność w mediach to też swego rodzaju wyścig.

Media już tylko tak się kojarzą, z wyścigiem?

Do tego stopnia, że nawet nie szukam w nich niczego, co było dla mnie kiedyś oczywiste. Skraca się liczba słów, dewaluuje się ich znaczenie, a zwycięża hałsowość podszyta bieżączką. No i trzeba się nieustannie opowiadać. Poruszać się wciąż tymi samymi koleinami, w których albo człowiek się mieści, albo nie. A jeśli się nie mieści, to nie jest potrzebny. Media zatraciły charakter, powagę, tembr. Zresztą, trudno o tembr, gdy twórcy mediów walczą nawet z ortografią.

Nie brzmi to optymistycznie.

Wie pan, to też kwestia wieku. Na etapie, na którym jestem, mam coraz mniej złudzeń. I co do tzw. autorytetów, i mądrych zdań, i odkrywczych książek.

A wracając do mediów, śledzę tylko to, co konieczne.

Co jest dla Pana konieczne?

Np. to, czy już poderwano samoloty, czy nie. No i czy czas się pakować i uciekać, czy może ten czas nie nadszedł.

Marek Kondrat. Kraków, kwiecień 2025 r.

Choć prawdę mówiąc, nawet obrazy wojny pokazywane przez media wydają mi się jakby filmowe – nie da się odczuć tego bólu i zapachu, który sam zapamiętałem jako dziecko urodzone w 1950 roku. Chodzi mi o zrujnowaną niemal do cna Warszawę.

Ogłupiające media, zrujnowana stolica, zagrożenie III wojną światową – w sam raz na początek lekkiej, majówkowej rozmowy...

(*śmiech*) No dobrze, zmierzajmy więc ku lekkości.

Żeby do tej lekkości dojść we własnym życiu, zrezygnował Pan z aktorstwa. Znalazłem w Pana wywiadach dwa określenia tego momentu. Pierwsze to „zrzucenie kieratu”, a drugie: „potrzeba dezercji”. Jak ktoś używa tak mocnych słów, to znaczy, że musiał się mocno męczyć.

Bo tak chyba rzeczywiście było. Choć dla mnie, mówiąc najprościej, to było wyjście naprzeciw instynktowi, który podpowiadał: dość.

„Dość”, bo to już nie daje frajdy?

To nie był jeden moment – zbierało się, i to długo. Tyle że byłem sumiennym człowiekiem, który wykonywał profesjonalnie swoje zadania i nakręcał organizm do tego, czego wymagali inni.

„Nakręcał”, czyli zmuszał...

Tak, odnajduję coś takiego w tym swoim przeszłym życiu – przeszłym, bo

dziś już takiego przymusu w nim nie ma. Nakręcałem organizm, a w dodatku podkręcałem wokół siebie pewne sztuczne atmosfery, które są charakterystyczne dla świata aktorów.

Znał Pan ten świat od dzieciństwa.

I z domu, i z wczesnego początku aktywności aktorskiej [ojciec Marka Kondrata, Tadeusz, był aktorem, a on sam zadebiutował na ekranie jako jedenastolatek, w „Historii żółtej cizemki” – red.]. Można więc powiedzieć, że od dziesiątego do pięćdziesiątego roku życia nakręcałem sprężynę swojego organizmu, by dostosować się do sztuczności świata, w którym przebywałem.

Co budowało tę sztuczność?

Wie pan, jak to jest u aktorów. Mówią głośnie i z pewną emfazą, podkreślają dość ostentacyjnie swoją odmienność. Gdyby tutaj, do stolika, przy którym siedzimy [krakowskie BARaWINO, czyli należący do rodziny Kondratów bar winny połączony ze sklepem – red.], podszedł młody kelner będący równocześnie studentem szkoły teatralnej, to bym po pierwszym wypowiedzianym przezeń zdaniu o tym wiedział.

Pan mówi bardzo cicho i powoli.

Ale pewne rzeczy zostają już z człowiekiem na zawsze. Mało tego: one się przydają. Opowiadając o winie, mam świadomość posiadania pewnych walorów zawodowych. Pauzy, podkreśleń, kropki →

→ czy też wagi obserwowania człowieka, który to, co mówię, odbiera na swój indywidualny sposób.

Ale aktorstwo to też rozpoznawalność, pieniądze, status. Mówi się, że to narkotyki. Panu nie było trudno je odstawić?

Nie, kompletnie! Ta rozpoznawalność była od dziecka gehenną mojego życia. Już po „Żółtej cizemce” musiałem odgrywać kogoś, kto się wyróżnia. Niech pan to sobie wyobrazi. Muranów, 10-letni chłopak bierze udział w filmie-baśni, w przestrzeni kompletnie niedostępnej dla innych. I nagle staje się takim lokalnym Królem Maciusiem, z całym sztafem przezwisk, przedrzeźniania, zażdrości.

W tej sytuacji decyzja, by iść do szkoły teatralnej, nie była niczym innym jak próbą nadania tej sztucznej sytuacji kształtu, formy. Nauczenia się, jak stać, jak mówić, by ludzie w ostatnich rzędach słyszeli itd.

Tyle że to wszystko, czym się przy okazji nasiąka, wyrzuca człowieka z normalnego życia. Powtarza pan tę sztuczność na co dzień, więc z czasem wydaje się panu, że ona została ujarzmiona, i że dysponuje pan swoim życiem w sposób swobodny. Ale dla mnie w pewnym momencie stało się jasne, że tak nie jest. W tym sensie powtarzające się co jakiś czas wyrazy żalu, że ten świat opuściłem, są dla mnie na swój sposób przyjemne, ale tyleż samo niezrozumiałe.

Bo tych, którzy ten żal wyrażają, bardziej obchodzi Adaś niż Marek?

Tak, Adaś Miauczyński [odgrywany przez Kondrata bohater filmów Marka Koterskiego – red.] i inne postaci. Nie mam złudzeń, że ktoś w tym kontekście będzie się chciał zajmować moim wnętrzem. Takie prawo widza.

Ja na dodatek do tej sztuczności w pewnej chwili zorientowałem się, że jestem bardziej własnością narodu niż własnej rodziny. W ogóle świadomość, że mogę istnieć po swojemu, a nie tak jak chcą mnie obsadzać inni, przyszła do mnie cholernie późno.

W wieku 50 lat, nie tak znowu późno.

Tadeusz Konwicki by powiedział: „Przed wojną w tym wieku już byś nie żył”.

Jesteśmy na początku nowego tysiąclecia – Pan wymyśla wtedy siebie na nowo, angażując się w sprzedaż i dystrybucję win. Mijają kolejne dwie dekady, i z tego wyścigu też Pan rezygnuje.

To prawda, nie jestem już dziś w tym winiarskim przedsięwzięciu specjalnie aktywny, choć pomagam, jak mogę. Ale też nie traktuję tej mojej coraz mniejszej aktywności jako „rezygnacji z wyścigu”. W końcu od początku pociągała mnie w winie cisza i spokój kryjące się za opowieścią o tym trunku. Natura, obrazy...

Ale to wyścigu nie wyklucza: trzeba coś przewieźć, przyjąć kogoś do roboty, opłacić rachunki.

Jasne, trzeba się od początku określić: czy robić w detalu, czy w hurcie, czy pan obstawia restauracje i hotele, czy może nie – tak, to jest biznes i konkurencja.

Ale ja tego tak nigdy specjalnie nie odczuwałem: pompowałem w sobie ten poetycki wymiar bycia importerem i dystrybutorem win. Jeździłem po winnicach, poznając ludzi i wybierając te wina na miejscu. To był i jest zupełnie inny świat niż ten, w którym przez cztery dekady uczestniczyłem. Cichy, zmysłowy. A ludzie, którzy wina robią, mają możliwość tworzenia w znacznie większym stopniu niż ja jako aktor – bo ja w filmie bywałem często wyłącznie uczestnikiem, oginiem, wykonawcą.

Co Pan jeszcze znalazł w winie, czego brakowało w aktorstwie?

Kojącą powtarzalność. Od natury począwszy, bo tu zawsze wszystko dzieje się mniej więcej w tym samym czasie. Kwitnienie, owocowanie, zbiór, kolejne etapy tworzenia – fermentacja, fantastyczny czas oczekiwania.

Bezpieczeństwo, jakie daje rutyna?

Jak codzienny posiłek w znanym towarzystwie. Ale być może tworzę tylko mit wina jako czegoś z natury poetyckiego?

Kiedyś na jakimś bankiecie zwierzałem się przy lampce wina prof. Januszowi Tazbirowi [zmarły w 2016 r. historyk, badacz dziejów kultury staropolskiej – red.], jakie wrażenie robi na mnie ten świat oraz ludzie go tworzący gdzieś w słonecznych zakątkach globu. Opoowiadałem mu z przejęciem, że to piąte, siódme, dwudzieste pokolenie będące

w tym samym miejscu, że wino to bycie razem, rozmowa przy kieliszku i patrzenie na siebie... „Wie pan, bo to jest zupełnie inny klimat” – uciął krótko profesor, odzierając mnie z poetyckości (*śmiech*). Ale i tak zostałem przy swoim – musiałem tu zarzucić jakąś swoją kotwicę dodatkowych znaczeń.

Skąd w takim razie rezygnacja?

Upływ czasu. Przekazanie pałeczki młodszemu w rodzinie. Nadal uczę, szkolę, opowiadam o winie, ale już nie z taką intensywnością.

Dziś już się Pan z nikim i w niczym nie ściga?

Nie... Choć może jednak tak. Wtedy, gdy gram online w szachy z kimś, kogo osobiście nie znam, ale rozpoznaję w nim lub w niej – po stylu gry – kogoś, z kim już się kiedyś mierzyłem. Komponuję sobie wtedy profil tego mojego przeciwnika: co o mnie myśli, jaki będzie jego lub jej kolejny ruch itd. To rodzaj konkurencji, którą lubię. Karty, w które grywam, również traktuję poważnie.

Zakończmy temat wyścigów krótkim wątkiem politycznym. Zdarzało się Panu drwić ze współrodaków, odnajdując w nich, w nas, pewną charakterystyczną cechę.

Tendencję do ścigania się z innymi, do udowadniania, że jesteśmy lepsi.

Mam w związku z tym niespodziankę. Bardzo proszę.

Otóż za dwa dni [rozmawiamy 10 kwietnia – red.] odbędzie się w stolicy marsz PiS z okazji tysiąclecia Królestwa Polskiego...

...i pięćsetlecia hołdu pruskiego, słyszałem!

W czasie marszu dojdzie do próby bicia rekordu liczby par tańczących poloneza, co jest symbolem – tu oddajmy głos organizatorowi – „długoci, siły, atrakcyjności i znaczenia polskiej kultury na świecie”.

Bardzo dobre, bardzo mi się to podoba! Ale proszę wybaczyć, mój komentarz będzie krótki. Jak można uprawiać aktorstwo w takim kraju, przy takiej konkurencji?! Tego by się nie dało wymyślić.



GRAZYNA MAKARA

MAREK KONDRAT, aktor teatralny i filmowy, od ponad dwudziestu lat przedsiębiorca. Odtwórca głównych ról m.in. w „Pułkowniku Kwiatkowskim”, „C.K. Dezerterach” czy „Dniu świra” i „Wszyscy jesteśmy Chrystusami”.

nie zmienia. A my tu budujemy szklane domy.

Równocześnie widzę jednak tę naszą lokalną, słowiańską zaradność, spryt i miejscowe poczucie humoru. Bo ono ma gdzieś w zanadru walory, których inni nie mają, np. wycucie absurdu i groteski.

Siedzę kiedyś z Niemcami w hamburskim Teatrze Thalia, który był w bratnich relacjach z warszawskim Teatrem Dramatycznym [Marek Kondrat występował na jego deskach w latach 70. i 80. – red.]. Usiłuję opowiedzieć im żart o tym, że w Polsce w latach 50. istniał obowiązek pracy – jeździły samochody milicyjne i zaczepiały młodych mężczyzn przy budkach z piwem. „Wy, obywatelu, dlaczego nie jesteście w pracy?” – pytają milicjanci jednego, na co ten odpowiada: „Bo dla mnie nie ma pracy”. „Jak to – dopytują mundurowi – przecież w Polsce dla każdego jest praca! To kto wy jesteście z zawodu?”. „Ja jestem torreador” – odpowiada mężczyzna. Gdy ten żart opowiedziałem, jeden z Niemców, który się nawet nie zaśmiał, upewnił się tylko: „No to miał rację ten milicjant, w Polsce chyba nie ma torreadorów?”.

Jeżdżmy z narodu na pojedynczych nas. Sławomir Mrożek napisał kiedyś w felietonie, że najważniejsze jest najbliższe pięć minut życia, a reszta to wyobraźnia – a Marek Koterski wziął to sobie za motto „Dnia świra”.

Ja ten cytat nie tylko rozumiem, ale go głęboko w sobie czuję. Większość tego, co robimy w życiu, podlega wyobraźni: marzenia, lęki i budowana w związku z tym droga, którą podążamy. Natomiast to, co jest prawdziwe w naszym istnieniu, to chwila obecna – plus te umowne pięć minut, które są naszą udręką.

Albo nie są.

Nie są, o ile je jakoś oswoimy, np. wspomnianymi rytuałami. Jeśli wiem, że jutro o 15 spotkam się z człowiekiem, którego lubię, albo któremu mogę powiedzieć, że jest bałwanem, bo znamy się →

Powiem panu teraz coś, co pana może zaskoczy. Ja w patrzeniu na polską politykę, na polityczne miłości i antypatie, nieco ewoluuję. Mówię o wieku, który tępi ostrości i skrajności sądów. Patrzę na życie, w tym na życie polityczne, bez wewnętrznego imperatywu konfrontacji.

Zmęczył się Pan jako dyżurny krytyk braci Kaczyńskich?

To raz, bo ileż można o tym samym mówić. Ale też dostrzegam, że na tle śmieszności i żalości całego świata wcale nie wyglądamy jakoś szczególnie. Oczywiście, mamy swoje błazeństwa specyficzne, które biorą się z historii. Przecież to gorączkowe powoływanie się na Chrobrego, na hołd pruski wynika z faktu, że tu się coś trwałego zawiązało przedwcześnie.

I było ciągle przerywane.

No właśnie, te momenty wolnej państwowości, na której można by coś pew-

nego budować, to są takie hausty. Chwile trwające po 25 lat.

Z haustów może się zrobić hiperwentylacja.

Hausty są stąd, że mamy imperatyw nadrabiania czasu. Dlatego też próby bicia rekordu w polonezie, choć mnie niezmiernie bawią, to specjalnie nie dziwią. No i na tym etapie, na którym się znalazłem, bardziej jestem skłonny przyglądać się zaletom przebywania w tej szerokości geograficznej.

Jakie to zalety?

Np. samo miejsce, w którym przyszło nam żyć. Wciąż przecież słyszymy o huraganach, trzęsieniach, nawałnicach, których my nie doświadczamy. Owszem, jesteśmy za płacy na Szwajcarię...

Ale oni nie mają tylu par tańczących poloneza.

W dodatku trzymają się tej chaty chłopskiej jak pijany płotu – tam się nic

→ od czasów hołdu pruskiego, to się uspokojam. Wiem, że to nie jest ktoś, kto będzie chciał na mnie napluć albo wymagać ode mnie wypowiedzi w sprawie wagi państwowej. Tak osuwam te moje najbliższe pięć minut.

Na tym polega siła „Dnia świra”. Nie czytam tego filmu jako komedii ani jako diagnozy społecznej. To dla mnie film o facecie, który w te „pięć minut” kompletnie nie potrafi grać, bo mu je zagłuszają jego kompleksy, wstydy, natręctwa, nerwice.

Właśnie dlatego tak dobrze czuję tę diagnozę „pięciu minut” Koterskiego. I wywodzę z niej własną filozofię życia, w której jest głównie miejsce na teraz, na tymczasowość, a zdecydowanie nie ma miejsca na upamiętnianie siebie samego albo budowanie – bo i tak się zdarzało w naszym życiu publicznym – domu własnego imienia. Te pięć minut, w odróżnieniu od życia Adasia Miauczyńskiego, jest dla mnie nie polem udręki, tylko polem bezpieczeństwa. Ja przez te pięć minut – po latach tkwienia w sztuczności – poszukuję prawdziwości.

A przyjemność? Gdzie ją Pan znajduje?

We wszystkim tym, co mam na bieżąco do zrobienia. A to dlatego, że nie planuję sobie czynności, które mogłyby budować moje niepokoje. Że czegoś nie zdążę, nie zdołam, albo że będzie temu towarzyszył nadmierny wysiłek. Nie sięgam tam, gdzie wzrok nie sięga – tylko blisko przed siebie.

Lubię odwiedzić moją siedmioletnią córeczkę, Helenkę, do szkoły. Lubię zrobić zakupy. Lubię coś ugotować. Lubię zajmować się remontem domu na Mazurach – to jedyna rzecz, która buduje dzisiaj moją wyobraźnię o przyszłym życiu. To miejsce magiczne, bo puste. No i nic nie zmienia się naokoło niego. A ja nie lubię nowości, niespodzianek, zaskoczeń.

Gdy pomieszkował Pan w swoim domu w Hiszpanii, za oknem widział Pan góry. Co Pan widzi po przeprowadzce do Krakowa?

Mury kamienic, dachy Wawelu. Ale od razu dodam na wszelki wypadek, że ten widok nic ze mną specjalnie nie robi. Przeniosłem się tu, bo moja żona jest kra-



GRAŻYNA MAKARA

Nie czuję presji związanej z późnym ojcostwem.

Już nie muszę zdobywać pożywienia, drzeć o karierę.

Dla mnie bycie ojcem to jest tylko dar.

I brak lęków.

kowianką, a córka musi gdzieś chodzić do szkoły.

Kraków robił na mnie wrażenie, gdy mieszkalem w Warszawie. I gdy z tego niechlujnie, jak myślałem, urządzonego miasta podróżowałem do miejsca zupełnie innego, pięknego, gdzie nawet kaca przeżywa się inaczej niż na warszawskim Tarchominie (*śmiech*).

Z kolei teraz, gdy podróżuję z Krakowa do Warszawy, i po stolicy wiezie mnie taksówka, to nie mogę się przestać zachwycać, jakie to jest dynamiczne, europejskie miasto.

W Krakowie ludzie chodzą wolniej.

O, zdecydowanie! I dla krakusa, zauważyłem, walorem jest to, że „wszędzie ma blisko”. „Gdzie pan mieszka?”. „No, tutaj. I wszędzie mam blisko” – słyszę odpowiedź, i zawsze mnie ona bawi. Myślałem, że jak się ma wszędzie blisko, to ta okoliczność ogranicza nam życie, petryfikuje je. Może właśnie dlatego Kraków uchodzi za miasto peryferyjne.

Ale jego tempo powinno bardziej pasować do Pana obecnego stylu życia.

Tak, pasuje. Tu jest mi łatwiej żyć.

Wolne tempo bije nawet z gier, które wymienia Pan w wywiadach jako swoje ulubione do grania i oglądania. Snooker, curling, szachy...

Snookera rzeczywiście oglądam. Lubię elegancję tej gry i fakt, że nie wywołuje ona całego tego dookólnego chamstwa – jak piłka nożna. Że ten tego kopnął, tamci spalili stadion, ten coś sprzedał, tamten kupił.

Pracujący tu, w BARaWINIE, a piszący felietony kulinarne w „Tygodniku” Paweł Bravo głosi – że z grubsza tych samych powodów – postulat delegalizacji zawodowej piłki nożnej.

Ja aż tak daleko jak Paweł nie idę (*śmiech*). Ale piłka na pewno nie należy do katalogu rzeczy sprawiających mi przyjemność. Należą do niego za to wszystkie aktywności, które wpisują się w moją głęboką potrzebę przeżycia czegoś bez nadanej przez kogoś konieczności. Bez napisanej przez kogoś roli.

Ja też, przychodząc do Pana, próbuję Pana ustawiać w jakiejś roli: człowieka smakującego życie i cieszącego się nim.

W ogóle wszystko, o czym do tej pory mówiliśmy, było też o tym: że życiową przyjemność da się odczuć tylko obsadzając samego siebie w wybranej roli. I tak też jest ze mną: cieszę się, gdy nie muszę.

W jakim Pan jest momencie życia?

W dobrym. Gdybym miał je przedstawić za pomocą zegara piaskowego, to mam już za sobą nieprzyjemny moment przejścia przez ten cienki przesmyk – jestem na wielkiej, kwiecistej przestrzeni. W jedynym okresie swojego życia pozbawionym presji.

Siedem lat temu urodziło się Panu dziecko. To nie jest rodzaj presji?

Fakt, że stało się to poza normalnym, by tak rzec, cyklem rozwojowym, sprawia, że ja tej presji nie odczuwam. Już nie muszę zdobywać pożywienia, drzeć o karierę. Dla mnie ojcostwo to jest tylko dar. I brak lęków.

Ktoś pomyśli: dojrzały ojciec może się lękać, że nie doczeka ważnych momentów dziecka.

Ja tego tak nie odczuwam, może dlatego, że potrafię się skupiać na chwili. Niedawno myślałem, jak fajnie by było móc ją odprowadzić do szkoły. A dziś myślę: jak dobrze będzie poznać jej pierwszego kawalera.

Zresztą, gdy mówię o braku lęków, to mam na myśli coś innego. Jak się przeżyło 75 lat, to nabiera się pewności, że to potomstwo też sobie da radę. Że ta kruszka niby istota ma zawiązki mocnego organizmu, który jest obliczony na przeżycie.

Siedmioletnie dziecko – co to za moment?

Fascynujących obserwacji. Rozpoznawania w dziecku siebie sprzed lat. I wychwytywania momentów, w których widać w nim – daj albo nie daj Boże, zależnie od tego, jak o sobie myślimy – istnienie twojego wyraźnego genu.

A dla niej – co to za etap?

Rozpoznawania świata, ciekawości. Chłodnej, pozbawionej społecznych reguł, co skutkuje pytaniami fantastycznie beczelnymi.

Na przykład?

„A dlaczego ty jesteś taki stary?”. I weź tu odpowiedź.

To teraz ja zapytam. Co z Panem robi to hasło: „starość”?

Nic specjalnego. Ona jest obiektywnie, metrykalnie faktem, ale jeśli idzie o moment mentalny i formę, to jestem w sile wieku. Starość czy dojrzałość to dla mnie świadomość, czego nie mogę albo nie chcę robić. Po prostu nie wybieram się tam, gdzie upadek byłby dla mnie bolesny. Np. nie chodzę już na nartach.

Kiedyś Pan powiedział, że polski film nie interesuje się starością. Anthony Hopkins zagrał nie tak dawno w przejmujący sposób starego człowieka w „Ojcu”. Pana by taka wielka rola o starości skusiła?

Nie, zresztą to by jeszcze trzeba wcześniej napisać, a my nie umiemy za bardzo pisać scenariuszy. Kręcimy ciągle jakąś „M jak plebania”, a jak się zdarza coś ambitniejszego, to niechętnie się zajmujemy ludzkim indywiduum, prędzej narodem. Tak, zdarzają się perełki, ale rzadko.

A co Pan odpowiedział córce na pytanie, dlaczego jest stary?

„Wiesz, z wiekiem się nie dyskutuje. Kiedy ja byłem taki młody, jak tatusio-wie twoich koleżanek ze szkoły, to byłem tatą twoich braci. Potem zakochałem się w mamie, jest między nami duża różnica wieku, i dlatego jestem starym tatusiem. Ale to nie wpływa na moje uczucia do ciebie”.

Siedem lat to w ogóle wiek kaskady pytań: jak się pochopnie odpowie na jedno, pojawia się piętnaście kolejnych.

W latach 70. grałem w „Smudze cienia”. Czekałem dwa tygodnie w Bułgarii

na początek zdjęć. Mieszkaliśmy w pokoju z Tomem Wilkinsonem, później bardzo znanym, a wtedy początkującym aktorem. Niech pan to sobie wyobrazi. Dwóch facetów przez dwa tygodnie nie ma co robić: mieszkają razem, łążą, gadają. I on raz do mnie mówi: „Wiesz, mam taką przyjemność rozmowy z Tobą, bo ty się posługujesz tak prostym angielskim, o którym nawet nie wiedziałem, że istnieje. Dzięki tobie widzę, jak ludzie niepotrzebnie komplikują sobie życie”.

No więc coś podobnego jest w kontaktach z dziećmi: jak pan ciągle słyszy zdania tak bardzo treściwe, a równocześnie tak proste, to nie tylko chce się w to wchodzić, ale widzi się też, jak sobie komplikujemy życie. Np. pytam Helenkę: „Dlaczego bez przerwy słuchasz Harry’ego Pottera?”. „Bo lubię” – brzmi odpowiedź tak stanowcza i pewna swojego, że z tym nie ma polemiki.

Co robicie razem?

Helenka dyktuje warunki, a więc też mój dzień, bo ją w różne miejsca wożę. Wiolonczela, francuski, tenis, lepienie garnków. Co jest do wzięcia, bierze.

Rozmawialiśmy o umiejętności życia w najbliższych pięciu minutach. Dziecko tego uczy?

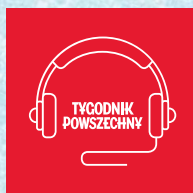
Naturalnie, ono jest zawsze w chwili obecnej. To bycie w jej „pięciu minutach” sprawia mi ogromną przyjemność. I daje przekonanie, że właśnie to jest prawdziwe życie.

© P Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Nasze podcasty się rozwijają!

Dotychczasowe cykle tematyczne dostały własne kanały. W aplikacji, w której słuchasz podcastów, koniecznie odszukaj i zasubskrybuj:



PODKAST TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



TYGODNIK POWSZECHNY
KULTURA



TYGODNIK POWSZECHNY
NAUKA



STRONA ŚWIATA
JAGIELSKI & STORY



SZKOŁA UCZUĆ

Szczegółową ramówkę znajdziesz na stronie TygodnikPowszechny.pl/Podcast



Weź, słuchaj!

W ODMĘTACH REWOLUCJI TRUMPA

System ma pozostać amerykański, ale USA nie będą za niego płacić; to świat ma dbać o dobre samopoczucie Ameryki, a nie Ameryka o bezpieczeństwo innych – tak wygląda istota zmiany, którą forsuje Trump. Co z tego wynika dla Europy i Polski?

OLAF OSICA

PREZYDENT USA BAWI SIĘ ŚWIATEM równie łatwo jak swoim smartfonem. I tak jak w przypadku jego wpisów w mediach społecznościowych, popełniamy ten sam błąd, gdy w jego działaniach szukamy logiki i spójności. Próbuujemy naszkicować kierunek, w którym zmierza jego rewolucja, aby uchronić się przed byciem jej ofiarą, a może nawet spróbować zostać jej małym beneficjentem.

Tymczasem dla Donalda Trumpa i jego akolitów ważny jest jedynie cel. A ten, jak wiemy, uświęca wszystkie środki.

Przyjrzyjmy się zatem pierwszym trzem miesiącom urzędowania Trumpa – i spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, jaki to jest cel. Oraz jakie to może mieć koszty i skutki zwłaszcza dla nas: dla Europy i Polski.

Trump neguje reguły...

Gdy na przełomie lat 80. i 90. XX w. walił się porządek międzynarodowy w Europie, odpowiedzią na ten proces były dwie rewolucje. Pierwsza przypominała te znane z kart historii, gdy decyzją polityków – świadomą bądź wymuszoną –

rozpadał się stary porządek lub całe państwa, a społeczeństwa ogarniała rewolucyjna gorączka. Czasem też fala przemocy i wojny. Tak było w Rumunii, na Kaukazie i oczywiście w Jugosławii.

Dруга rewolucja była, co do zasady, moderowana przez elity. To o niej pisał Timothy Garton Ash jako o „refolucji”: czyli rewolucji realizowanej poprzez reformy, opartej na kompromisie „nowych” elit ze „starymi” w imię zmiany, lecz dokonywanej stabilnie. To był przypadek Polski, Czechosłowacji i Węgier.

Zmiany zachodzące dzisiaj w Ameryce Północnej – zarówno te, które dotyczą polityki wewnętrznej, jak i te odnoszące się do spraw zagranicznych – mają bez wątpienia charakter rewolucyjny. Nie jest to jednak proces ani tak spontaniczny, jak może się nam wydawać, ani tym bardziej zaplanowany na kilka kroków do przodu.

Jest to rewolucja elity gospodarczej, która przez zanegowanie wszystkich zasad i reguł, jakie przez dekady tworzyły w miarę spójny obraz USA jako państwa, chce stworzyć własne społeczeństwo i własny model globalnego mocar-

stwa. Jej efektem może być – jak pisałem w „Tygodniku” na początku lutego, wkrótce po tym, jak Trump objął urząd („TP” nr 6/2025) – zarówno spektakularny sukces, jak i epicka katastrofa.

...i testuje granice

Wracając do lat 90. XX w.: w Europie Środkowej i Wschodniej nastąpiła wtedy dekonstrukcja gospodarki nakazowo-rozdzielczej, by stworzyć miejsce dla wolnego rynku. W Polsce „terapia wstrząsowa” przyniosła na początku wielkie koszty społeczne, ale potem solidny wzrost i fundament pod budowę silnej gospodarki, bogatszego społeczeństwa i wzrost znaczenia Polski w świecie. Z kolei w krajach dawnego Związku Sowiec-

BRENDAN SMIALOWSKI / AFP / EAST NEWS





Donald Trump jest przekonany, że Ameryka była wykorzystywana, wręcz okradana przez świat. Waszyngton, 14 kwietnia 2025 r.

kiego efektem transformacji były zwykłe (nie dotyczy to państw bałtyckich) społeczne koszty, uprowadzenie państwa przez oligarchów i odwrót od demokracji, połączony z utknięciem na peryferiach światowego systemu.

Jak będzie teraz w Ameryce? Dekonstruując system, Trump wydaje się szukać środka drogi i robić dwie rzeczy naraz.

Z jednej strony forsuje i łamie wszystkie granice, dotąd uznane za nieprzekraczalne. Dotyczy to zwolnień tysięcy urzędników, likwidacji całych agend (jak USAID) czy federalnych ministerstw (jak edukacji). Widzimy to też w polityce celnej: we wprowadzaniu zaporowych cel na towary ze wszyst-

kich zakątków świata nie chodzi przecież o pozyskanie dodatkowych pieniędzy (bo eksport do USA przestaje mieć sens), lecz o uderzenie w globalny handel, który – w opinii nowej administracji – odbywa się kosztem interesów Ameryki.

Z drugiej strony, Trump testuje: szuka granicy, za którą plan, który streszcza się w hasło „Uczyńmy Amerykę na powrót wielką”, straci demokratyczną legitymację. Dlatego gdy nowe cła powodują chaos na rynku i rośnie ryzyko recesji, a najwięksi partnerzy handlowi szykują odwet, po kilku dniach zawiesza cła wobec wszystkich poza Chinami. Aby kilka dni później znieść częściowo cła także wobec Chin, uwalniając spod ich rygoru elektro-

nikę użytkową (to spora część importu z Chin do USA, a cła uderzyłyby tu w kieszenie Amerykanów).

Cele rewolucji

W tym sensie Trump nie jest klasycznym rewolucjonistą, gotowym „pójść na całość” w imię swoich ideałów. Musi uwzględniać szerszy kontekst, bo Ameryka jest demokracją i wyborcy chcą na rewolucji zyskiwać, a nie tracić – podczas gdy w krótkim czasie jest to po prostu niemożliwe. Tymczasem utrzymanie władzy i kupienie sobie czasu, aby zmiany okrzepły i określiły rozwój Ameryki na kolejne dekady, nie jest łatwe. Już za dwa lata mają miejsce wybory do Kongresu (tzw. wybory półmetkowe, ⇨

→ bo odbywające się w połowie kadencji prezydenta) i możliwa utrata większości w obu izbach przez Republikanów.

Nie zmienia to faktu, że rewolucja jest prawdziwa, a jej cel jest w miarę czytelny – choć pozbawiony mapy i dokładnego planu. To odbudowa potencjału przemysłowego, rozluźnienie lub wyjście ze zobowiązań, które ograniczają swobodę marnowru Ameryki (jak ekologiczne Porozumienie paryskie) lub generują dla niej koszty – jak członkostwo USA w agendach Narodów Zjednoczonych czy w Sojuszu Północnoatlantyckim.

Przekonanie, że Ameryka była i jest wykorzystywana przez świat, stało się pretekstem do żądania, aby teraz świat oddał wszystko to, co jej rzekomo ukradł. Pretekstem, bo tak naprawdę chodzi o to, aby Ameryka miała nadal taką samą pozycję i posłuch w polityce globalnej, ale już bez ponoszenia wydatków związanych z tą rolą.

Czyli: system ma pozostać amerykański, ale Ameryka nie będzie za niego płacić. To świat ma dbać o komfort i bogactwo Amerykanów, a nie Amerykanie o bezpieczeństwo i dobre samopoczucie innych.

Niepewność jako metoda

Ta podróż – bez jasnej „mapy drogowej” – odbywa się w rytmie „dwa kroki do przodu i jeden do tyłu”. Chaos i niepewność są po prostu wpisane w polityczną logikę gospodarza Białego Domu i jego administracji.

Doświadczenie z dyskusją o wydatkach na obronę, jakie powinni ponosić sojusznicy, pokazuje, że nie musi być to strategia zupełnie pozbawiona sensu. Konsekwentne przypominanie, że NATO jest czymś w rodzaju funduszu ubezpieczeniowego, do którego trzeba wpłacać konkretne pieniądze, to lejtymoty wszystkich wypowiedzi Trumpa o NATO oraz o gotowości Ameryki do przyjscia z pomocą Europie („Jeśli nie płacisz, nie bronimy cię”). Nawet jeśli wiele państw wciąż się ociąga, by real-

Po trzech miesiącach rządów Trumpa

więcej Polaków
ufa Unii, Anglii
czy Francji niż USA.

nie, a nie tylko retorycznie zwiększyć procent swojego PKB na zbrojenia, to strach przed Rosją – połączony z obawą, że Ameryka wycofa wojska z Europy – zmienia podejście.

Podobnie jest z próbą trzymania przez Trumpa na równy dystans Ukrainy i Rosji, by wymusić porozumienie o rozejmie i docelowo uznać, że nie ma potrzeby, by wojska USA dalej stacjonowały w Europie. Trump besztą Zełenskigo i zawsze znajduje jakieś wytłumaczenia dla Putina – jak po morderczym ataku na Sumy w Niedzielę Palmową, po którym napisał, że Rosjanie przekazali mu, iż ten atak był wynikiem błędu. Ale zarazem przedłuża o kolejny rok sankcje na Rosję, nałożone przez Joego Bidena – wskazując przy tym, że nie jest zadowolony z rozmów z Rosją o pokoju.

Koszty i konsekwencje

I tu dochodzimy do problemu, który coraz mocniej odciska się na stosunkach Ameryki z Europą (i resztą świata). Taka „polityczna tiki-taka” wobec sojuszników i wrogów budzi wprawdzie aplauz fanów, pozwala szybko rozgrywać piłkę i trzymać ją nie za daleko od nogi, co mogłoby skończyć się porażką. Ale taka gra ma koszty i konsekwencje.

Po pierwsze, nadużywanie ryzykownych ruchów w polityce sprawia, że wszyscy nie tylko osuwają się z nieprzewidywalnością, ale zaczynają szukać stabilnych reguł na własną rękę. Odwołując się tym razem do porównań biznesowych: jeśli partner nie potrafi klarownie komunikować swoich oczekiwań (lub oczekiwanie te są nierealne i na dodatek podatne na ciągłą zmianę),

trzeba pomyśleć o alternatywnych rozwiązaniach.

I tak, Europa może i musi wydawać więcej na zbrojenia, ale nie ma powodu, by lokowała te środki w przemyśle amerykańskim. A jeśli Europa będzie osiągać zdolność do samodzielnego odstraszania, to wówczas wpływ USA na politykę europejską będzie maleć, ze wszystkimi tego skutkami – nie tylko dla interesów strategicznych Białego Domu, ale też dla interesów gospodarczych Doliny Krzemowej.

Tej Doliny Krzemowej, która – by przywołać sformułowanie użyte jakże szczerze przez sekretarza obrony Pete’a Hegsetha podczas słynnej dyskusji na komuni-katorze Signal – „pasożytuje” na Starym Kontynencie nie mniej, niż my Europejczycy „pasożytujemy” na zasobach woj-skowych USA.

Stany jako czynnik ryzyka

Wracając do kosztów i skutków strategii Trumpa: po drugie, nieprzewidywalność połączona z przekonaniem o własnej niezbędności dla świata powodują, że ten świat zaczyna się określać w opozycji do Ameryki.

Jest to proces, który po raz pierwszy zachodzi dziś ponad geopolitycznymi podziałami – i dotyczy zarówno sojuszników USA, jak też rywali. Wszyscy razem i każdy oddzielnie dokonują przewartościowania swojej polityki zagranicznej. W tej nowej analizie ryzyka geopolitycznego Waszyngton staje się bowiem czynnikiem, który je zwiększa, a nie ogranicza lub wręcz – jak niegdyś bywało – eliminuje.

Mimo oczywistych różnic między przy-czynami i przebiegiem wojny w Ukrainie i Strefie Gazy, w obu przypadkach polityka USA pogłębia dziś problemy regionu, zamiast szukać dróg ich politycznej neutralizacji czy rozwiązania. Trudno to zrozumieć każdemu, kto widział dotąd w Ameryce może stronnictwo, ale jednak sprzymierzeńca stabilności.

Ameryka Trumpa traci zaufanie

Jest jeszcze trzeci zasadniczy skutek strategii Trumpa. Siłą Ameryki po II wojnie światowej – bez względu na spory i nawet kryzysy w relacjach z sojusznikami czy priorytety ideowe – było stanie na straży demokratycznej wspólnoty bezpieczeństwa, do której przynależała nie tylko Eu-

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



USA w nowej analizie geopolitycznej stają się czynnikiem zwiększającym, a nie – jak dotąd – zmniejszającym ryzyko. Na zdjęciu: Trump, Andrzej Duda i Agata Kornhauser-Duda w Białym Domu. 12 czerwca 2019 r.

ropa, ale i wiele innych państw rozsiadanych po świecie. Ta straż przechodziła różne koleje losu, ale zawsze była ofertą i nagrodą dla tych, którzy szukali w świecie idei i wartości równoważących prymat nagiej siły.

Owszem, po 1945 r. realna Ameryka, jak każde mocarstwo, potrafiła być także cyniczna i brutalna, gdy tak dyktował jej interes. Ale mimo wszystko miała ambicję do budowania świata, którego reguły bliskie były powodowi powstania samych Stanów Zjednoczonych.

Dziś nie ma śladu po tej ambicji. Ameryka traci prestiż i zaufanie. Zaufanie, tj. wartość równie rzadką w polityce, co metale ziem rzadkich w świecie. Zaufanie, które odróżniało wspólnotę zachodnią od sojuszy i partnerstw tworzonych przez wschodnich satrapów.

Ameryka Trumpa staje się po prostu zwykłym mocarstwem, z którym można robić interesy, ale z którym ciężko znaleźć wspólne cele i język ich opisu. Na koniec liczy się tylko finansowy rachunek zysków i strat.

Polacy nie wierzą Ameryce

Polska, jedno z najbardziej proamerykańskich państw w Europie (i zapewne na świecie), jest dobrym probierzem skutków zmiany, którą uruchomiła rewolucja nad Potomakiem.

Marcowe badania CBOS pokazują, że mamy najwyższy od momentu rozpoczęcia przez Rosję inwazji przeciw Ukrainie odsetek Polaków, którzy są przekonani, iż NATO nie pomoże nam w razie wojny (28 proc., wzrost o 12 punktów procentowych w porównaniu do sondażu sprzed

roku). Wiarę w pomoc NATO ma 61 proc. (o 18 pkt. proc. mniej niż roku temu).

Z kolei najnowsze badanie SW Research dla dziennika „Rzeczpospolita” pokazuje jeszcze większą zmianę nastrojów, gdy rzecz dotyczy nie NATO, ale Stanów. Uczestników tego sondażu pytano, czy – ich zdaniem – USA pod rządami Trumpa przyszyby z pomocą wojskową Polsce, gdyby nasz kraj został zaatakowany. Odpowiedzi „nie” udzieliło aż 50,8 proc. respondentów, a odpowiedzi „tak” tylko 21 procent.

Z innego badania, zrealizowanego przez fundację More in Common, dowiadujemy się z kolei, że aż 58 proc. badanych uważa, iż odłak Trump objął urząd prezydenta, Ameryka stała się mniej wiarygodna. W efekcie więcej Polaków za sojusznika uważa Unię Europejską (67 proc.), Wielką Brytanię (64 proc.) i Francję (57 proc.). Tak jest: Francja jest dzisiaj wyżej w rankingu zaufania niż Ameryka (55 proc.).

Andrzej Bobkowski, autor „Szkiców piórkiem” – gorzkiego wobec Francuzów pamiętnika z pobytu autora we Francji w latach 1940-44 – musi przewracać się w grobie.

Sens członkostwa

Nastroje społeczne są zatem rozgrzane, a Polacy rewidują swoje przekonania. Czy to chwilowy kryzys, czy trend głębszy i poważniejszy? Czy zegnemy się z wiarą w Amerykę równie szybko, jak Ameryka zegną się z Europą i całym zbudowanym przez siebie światem?

Wiele wskazuje, że to trend poważny. Polska jest wprawdzie w innej sytuacji

niż wielu sojuszników, gdyż (mówiąc Trumpem) „mamy karty” w postaci zakupów broni w Stanach i wydatków na obronę mocno powyżej 4 proc. PKB, co daje nam pierwsze miejsce w NATO.

Jednak nasza więź z Ameryką i sens członkostwa Polski w NATO zawsze sprowadzały się do odstraszenia Rosji – takiej, jaka jest pod rządami Putina. Prezydent USA, który szuka porozumienia z Kreml, karci ofiarę i ma zrozumienie dla agresora – jest po prostu niewiarygodny. Wraz z nim wiarygodność traci całe państwo.

Trump to nie jest George W. Bush, który dzielił Europę na „starą” i „nową”. Z którym najechaliśmy Irak, by potem obserwować skalę zniszczeń, jakie nastąpiły po wyjęciu jednego puzzla z bliskowschodniej układanki. I nie jest to Barack Obama, który w ramach resetu z Rosją ogłosił w 2009 r. zawieszenie budowy bazy obrony przeciwrakietowej w Redzikowie akurat 17 września, w rocznicę napadnięcia Stalina na Polskę.

Coś się kończy, coś się zaczyna

Wprawdzie Bush, Obama i wielu ich poprzedników bywało bardziej instrumentalnych wobec nas niż jest Trump, który nie marnuje okazji, by nam kadić. Ale gdzieś podskórnie większość Polek i Polaków zdaje się wyczuwać, że – mimo tych pochwał wobec nas – Trump toczy grę, która obraca się przeciw nam. Że chce zniszczyć świat, o jaki walczyliśmy, którego częścią chcieliśmy być i który dał nam bezpieczeństwo oraz względny dobrobyt. Że chce dogadać się z Rosją kosztem Ukrainy, chce rozbić Unię Europejską i próbuje wyzwolić się z „jarzma” traktatu o NATO.

Przywołując tytuł jednego z opowiadań Andrzeja Sapkowskiego: „Coś się kończy, coś się zaczyna”. Za sprawą Trumpa Polska żegna się ostatecznie z erą amerykocentryzmu w polityce i otwiera nowy rozdział.

Czy będzie on równie udany jak ostatnie 35 lat? Jeśli zrównoważymy deficyt amerykańskiej potęgi nadwyżką własnej siły i przezorności – jest taka szansa.

© OLAF OSICA

Blask świecidełek

FILIP RUDNIK

Rosjanie postrzegają kadencję Trumpa jako „okno możliwości”, które trzeba wykorzystać. Aby przeciągnąć go na swoją stronę, przemawiają na różne sposoby. Najbardziej obiecujące są wizje złotych gór, podlane sosem kabotyńskich pochlebstw.

ADMINISTRACJA TRUMPA „NIE TYLKO zapobiegła wybuchowi III wojny światowej, ale osiągnęła też znaczny postęp w rozwiązywaniu sprawy Ukrainy” – tego komplementu, wygłoszonego w amerykańskiej telewizji, nie wypowiedział wcale jeden z zauszników prezydenta USA. Był to Kirył Dmitriew, specjalny wysłannik Putina do spraw inwestycji i współpracy gospodarczej.

W przekonaniu o genialności prezydenta USA jest on zresztą konsekwentny, czemu daje regularnie wyraz. Jego ustawiczne pochlebstwa pod adresem Trumpa sprawiają, że Dmitriew wyrasta na czołowego architekta zachodzącego obecnie rosyjsko-amerykańskiego resetu. To on na początku kwietnia polecał do Waszyngtonu, by rozmawiać z Amerykanami.

Administracja USA zadbała o to, aby ta podróż była możliwa, czasowo zawieszając nałożone na Dmitriewa sankcje. On zaś wykorzystał sposobność do maksimum, spotykając się z kluczowymi członkami obecnej ekipy i występując w amerykańskiej telewizji.

GWIAZDA DMITRIEWA | Ten 50-letni zausznik Putina, z wykształcenia ekonomista, jest predysponowany do roli głównego negocjatora z USA. Ma na to papiery. Studiował na topowych amerykańskich uczelniach, a na tamtejszym rynku finansowym miał jakoby zjeść zęby. Kontakty z ekipą Trumpa ma jeszcze z czasów jego pierwszej kadencji.

Dmitriew cieszy się przy tym dużym zaufaniem Putina. Jego żona pracuje z młodszą córką dyktatora, a samemu finansistcie – zarządzającemu funduszem koordynującym zagraniczne inwestycje w Rosji – powierzano w przeszłości istotne zadania. Choćby dystrybucję rosyjskiej szczepionki na covid bądź kura-

telę nad gospodarczą współpracą z krajami Zatoki Perskiej.

Dziś gwiazda Dmitriewa rośnie: jest on *spiritus movens* najbardziej udanej „ścieżki” wielopoziomowych negocjacji Rosja-USA.

Rozmowy te są prowadzone w kilku formatach. Jest stopień „techniczny”, wypracowywany w Stambule i dotyczący głównie funkcjonowania wzajemnych misji dyplomatycznych, bez poruszania tematu ukraińskiego. Ukraina stanowi natomiast temat numer jeden w Rijadzie, gdzie w ruch poszła „dyplomacja wahadłowa”: Amerykanie spotykają się tam i z Ukraińcami, i z Rosjanami, niejako na zmianę.

LUSTRZANE ODBICIE | Do tego dochodzi format „biznesowy”, którego twarzą jest właśnie Dmitriew.

Zamierzenie Rosjan jest takie, aby zbliżenie obu stron miało miejsce również za pośrednictwem wspólnych inicjatyw gospodarczych. Ścieżka ta jest o tyle istotna, że w pewnym sensie pozwala na wyjście poza sztywne instytucjonalne ramy dyplomacji.

To za pomocą tego formatu Rosjanie tworzą środowisko, które trumpowska elita doskonale rozumie. Prezydent USA lubuje się przecież w równoważeniu wpływów zawodowych polityków – takich jak sekretarz stanu Marco Rubio – przez dokooptowywanie zaufanych przyjaciół. Głównym przykładem jest Steve Witkoff – jego wysłannik do spraw Bliskiego Wschodu, inwestor i deweloper, a także *buddy* Trumpa, jego kumpel.

Dmitriew – do niedawna niezajmujący żadnego wysokiego stanowiska w kremłowskiej administracji – stanowi lustrzane odbicie tej tendencji. W podobny sposób równoważy on wpływy rosyjskiego „głębokiego państwa”, którego reprezentuje

choćby Siergiej Ławrow, szef MSZ. Tak jak Witkoffa z Trumpem, również Dmitriewa łączą prywatne więzi z Putinem.

KULT TRUMPA | Pojawienie się Dmitriewa, relatywnie nowej figury, pozwala Rosjanom na odświeżenie własnego przekazu wobec USA. Na poziomie retorycznym może on powiedzieć więcej niż kremłowscy oficjele. Wystarczy prześledzić jego konto w sieci X, gdzie codziennie przekleja posty Trumpa czy J.D. Vance’a. Zawsze z podobnym komentarzem, podkreślającym wyjątkowość i genialność obu Amerykanów. Mimo wszystko wciąż trudno sobie wyobrazić, by na profilu rosyjskiego MSZ pojawiały się takie treści.

Ten przekaz ma ogromne znaczenie. Biorąc pod uwagę charakter Trumpa, są to po prostu punkty, które niezwykle łatwo zgarnąć – i to poprzez zwykłe przypodobanie się amerykańskiemu przywódcy. Kremłowscy macherzy zapewne doszli do prostego wniosku: że należy „doinwestować” w relację z Trumpem przez pochlebstwa.

Nie trzeba się przy tym nawet silić na oryginalność, wystarczy powtarzać zaklęcia, które wypowiada samo otoczenie prezydenta USA. A że Dmitriew jest nieco oddalony od rosyjskiej maszyny państwowej, od jego stwierdzeń zawsze można się – gdyby była taka potrzeba – zdystansować, przedstawiając je jako prywatne opinie.

LICYTACJA | Adoracja to jednak nie wszystko. Jej efekt da się zwiększyć za pomocą darów, by nie powiedzieć: przekupstwa. „Biznesowy” format negocjacji to przecież także niekończące się pasmo rosyjskich propozycji. Moskwa oferuje Amerykanom kolejne obszary współpracy gospodarczej, w których obie strony mają wspólnie generować bilionowe zyski.

Chodzi o kooperację energetyczną czy wspólne projekty w Arktyce. Szczegółów jest tu jak na lekarstwo – nie licząc ogólnikowych twierdzeń Rosjan, jakoby Amerykanie byli zainteresowani przejęciem kontroli nad nieuszkodzoną nitką gazuociągu Nord Stream 2.

Rosjanie nawet nie kryją, że w ten sposób próbują przelicytować konkurentów o sympatię Trumpa – czyli Ukrainę. Na tle amerykańsko-ukraińskiej scysji o dostęp do ukraińskich metali ziem rzadkich pod koniec lutego Putin osobiście proponował



VYACHESLAV PROKOPYEV / POOL / AFP / EAST NEWS

„amerykańskim partnerom” wejście we wspólne projekty wydobywania tych minerałów. Zapewniał, że w Rosji jest ich w bród.

Do podjęcia tej współpracy Amerykanów ma nakłonić rosyjska propaganda sukcesu. Według niej amerykańskie firmy wręcz się palą do powrotu na rosyjski rynek. Wystarczy tylko zdjąć sankcje, by koncerny mogły odrobić rzekome straty wynikające z wycofania się z Rosji. Dmitriew wycenił je na ponad 300 mld dolarów, głównie z tytułu „utraconych dochodów”, które nie zostały zrealizowane przez Amerykanów w latach 2022-25.

MGLISTA PRZYSZŁOŚĆ | Tyle tylko, że to szacunki z powietrza. Metodyka liczenia „utraconych dochodów” nie została przez Dmitriewa ujawniona, a wartość aktywów amerykańskich firm w Rosji sprzed 2022 r. jest przez ekonomistów wyceniana na ok. 50 mld dolarów. Trudno więc, aby były w stanie wygenerować takie zyski przez trzy lata.

Wątpliwości budzą też same propozycje współpracy. W przypadku metali ziem rzadkich – owszem, Rosja ma ich duże rezerwy. Problem w tym, że złoża położone są na tyle daleko od korytarzy transportowych, że rozpoczęcie wydobywania będzie nie tylko niezwykle kosztowne, ale też czasochłonne. To przesuwaa perspektywę profitów w mglistą przyszłość.

Inna sporna kwestia to współpraca na polu energetycznym, np. gdy idzie o rzekome porozumienie dotyczące przesyłu rosyjskiego gazu do Europy. Tu sprzeczność jest widoczna gołym okiem. Amerykańscy producenci gazu skroplonego zarobili bowiem krocie na tym, że Gazprom

uciął dostawy do Europy. Dla nich Rosjanie to przede wszystkim konkurencja.

Do tego dochodzi korporacyjny *risk assessment* dla działalności w Rosji. Niepewny klimat inwestycyjny, korupcja i fikcja niezależnego sądownictwa – to wszystko sprawia, że z perspektywy amerykańskich firm decyzja o wznowieniu pracy na rosyjskim rynku nie jest wcale prosta, a do tego obciążona poważnym ryzykiem.

OBSESJA DEALU | Jest jednak i druga strona medalu. Suflowana na potrzeby medialnego show wizja inkasowania zysków w Rosji może rozpalać wyobraźnię części amerykańskiego establishmentu. Szczególnie tej, dla której Rosja nie jest państwem wrogiem.

Uruchamiając „biznesową” ścieżkę, Rosjanie trafnie rozpoznali czułe punkty ekipy Trumpa. Obsesja zawierania coraz to kolejnych „pięknych dealów” w błysku fleszy sprawia, że Moskwa celowo gra tę właśnie melodię. Kalkulacja jest jasna: merkantylizm prezydenta USA i jego zaszczytników weźmie górę, miraż przyszłych gór pieniędzy przesłoni kwestie bezpieczeństwa.

Tymczasem na kreśleniu nierzeczywistych ofert Moskwa nic nie traci. Ważne jest, że roztacza się przed Amerykanami perspektywę szerokiego i kompleksowego porozumienia. Podbija się przy tym medialną wrzawę i tworzy iluzję rozmów.

Ten zabieg spełnił już zresztą swoje zadanie, przynajmniej częściowo. Rosja skutecznie wciągnęła Trumpa do rozmów, choć nie spełniła kluczowego warunku, który Waszyngton określał jako niezbędny dla rozpoczęcia jakichkolwiek

Kirył Dmitriew (z lewej), specjalny wysłannik Putina do rozmów z Amerykanami, oraz Steve Witkoff, jego odpowiednik ze strony Trumpa, podczas spotkania w Petersburgu. 11 kwietnia 2025 r.

negotjacji: wstrzymania ognia. Choć rosyjskie drony i rakiety wciąż spadają na Ukrainę, zabijając także cywilów (jak w Summach w Niedzielę Palmową), Dmitriew swobodnie maluje przed współpracownikami Trumpa obraz Rosji jako rzetelnego partnera, dzięki któremu można zarobić.

GŁUPI NIE SKORZYSTA | Rozmowa o wspólnych przedsięwzięciach obliczona jest zatem na to, by ukryć intencje Putina. Dyktator nie ma zamiaru zaprzestać wojny z Ukrainą, dopóki ta nie zostanie „zdemilitaryzowana” i „zdenazyfikowana”. Tłumacząc na polski: dopóki nie zostanie podporządkowana Rosji. Ten cel ma zostać przesłonięty przez blask świecidełek, podstawianych pod nos Amerykanów.

Jest to podejście o tyle nowatorskie, że formalne rozmowy przedstawicieli USA i Rosji wciąż są obciążone dużą dozą nieufności. Rosyjscy decydenci – czy to dyplomaci, czy przedstawiciele służb – mają głęboko wpojona wrogość do Ameryki. To zaś usztywnia ich pozycję, kierując ją mimowolnie na kurs kolizyjny z Waszyngtonem.

Tego „gorsetu”, który pozbawia elastyczności, nie nosi jednak Dmitriew. Cały biznesowy format negocjacji USA-Rosja zdaje się bazować na zupełnie innej podstawie. Ich adresatem nie są Stany jako takie. Oferty są kierowane przede wszystkim do Trumpa i są sformatowane jako próba przekupienia jego samego i bliskich mu współpracowników. Przekaz Kremla brzmi prosto: „Tylko głupi by nie skorzystał”.

KTO BĘDZIE PRZEGRYWEM? | Koniec końców, Rosjanie postrzegają obecnego prezydenta USA przede wszystkim jako „okno możliwości”, które trzeba wykorzystać do maksimum. Projektując swoją optykę na konkurenta, nie wierzą w to, że można na długo zrezygnować ze swoich interesów na arenie światowej.

Inaczej mówiąc: sądzą, że prędzej czy później Stany wrócą do polityki rywalizacji z Rosją. Dlatego teraz trzeba kuć żelazo, póki gorące. Ktoś, kto nie skorzysta z takiej okazji, będzie po prostu – stosując żargon domorosłych inwestorów – przegrywał. A Putin nim być nie może. ©



RYAN JENKINSON / GETTY IMAGES

Huta w Scunthorpe, 12 kwietnia 2025 r.

Brytyjska stal

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

W ostatniej chwili parlament w Londynie zapobiegł wygaszeniu przez chińskich właścicieli wielkich pieców hutniczych w Scunthorpe. Kolejnym krokiem może być rewizja relacji handlowych Londyn–Pekin.

ANNE I BESS, CZYLI ELŻBIETKA, ZDROBNIENIE od Elisabeth: takie imiona noszą wielkie piece huty w Scunthorpe, w hrabstwie Lincolnshire (środkowa Anglia). Oba są już dość wysłużone. Ocenia się, że mogą działać jeszcze jakieś pięć lat.

W tym czasie rząd w Londynie musi zdecydować, co dalej z brytyjską stalą, np. czy Anna i Elżbietka zostaną zastąpione elektrycznymi piecami łukowymi, co byłoby krokiem ku czystszej produkcji stali.

To jednak zupełnie inna dyskusja. Na razie Brytyjczycy stanęli na progu gospodarczej katastrofy – i kompromitacji. Bo gdyby chiński koncern Jingye Group, właściciel kombinatu British Steel w Scunthorpe, przeprowadził swój plan wygaszenia obu pieców, to Wielka Brytania stałaby się jedynym krajem grupy G7

niezdolnym do produkcji stali z rudy żelaza – niezbędnej w przemyśle budowlanym, kolejowym czy coraz dziś ważniejszym obronnym.

Tym samym uzależniłaby się w pełni od jej importu. I to wszystko w obliczu rosnącej groźby wojen handlowych i pogłębiającej się niestabilności geopolitycznej świata.

W sobotę w parlamencie

Przejęcie kontroli (co nie jest jednak równoznaczne z wywłaszczeniem) przez władze nad British Steel mogłoby być tematem pełnego napięcia filmu sensacyjnego. Bez wątpienia jest też przykładem – rzadkiego na Wyspach – legislacyjnego sprintu.

Cały ten proces – od pierwszego czytania projektu ustawy do przyjęcia jej podczas nadzwyczajnej sesji parlamentu (po-

słów odwołano z rozpoczętych już ferii wielkanocnych) i uzyskania formalnej akceptacji przez króla (tzw. *Royal Assent*) – przeprowadzono w ciągu jednego dnia. Właściwie jednej soboty, 12 kwietnia.

Według BBC w czasie, gdy posłowie pracowali, w hotelu w mieście Scunthorpe w gotowości czekali już przedstawiciele rządu. Czekali na sygnał, by wejść na teren zakładu, jak tylko ustawa zostanie przyjęta. Gdy to się stało, w kolejnych dniach trwał wyścig z czasem, by dostarczyć surowce konieczne dla funkcjonowania pieców (np. koks).

Decyzję o tym, aby uruchomić taką awaryjną procedurę prawną, brytyjski rząd podjął, gdy stało się jasne, że mimo prowadzonych rozmów o finansowym wsparciu ze strony Londynu chińscy właściciele huty chcą przerwać dostawę zamówionych już surowców, a to doprowadziłoby do wygaszenia pieców.

Strona brytyjska uznała więc, że Chińczycy prowadzili rozmowy w złej woli. Przedstawiciele Jingye Group twierdzą natomiast, że mimo inwestycji stalownia ponosi straty rzędu 700 tys. funtów dziennie, i że ekonomicznie jest dla nich nie do utrzymania.

Inwestycje Smoka

Awantura wokół British Steel zmusza do szerszego spojrzenia na kwestię inwestycji w ważną infrastrukturę przemysłową przez zagraniczne firmy. Zwłaszcza wtedy, gdy – jak w przypadku chińskich firm – wszystkie podejmowane przez nie strategiczne decyzje wymagają zgody rządu w Pekinie.

Już dwa lata temu brytyjska Parlamentarna Komisja ds. Wywiadu i Bezpieczeństwa (*Intelligence and Security Committee of Parliament*, ISC) ostrzegła, że chiński wywiad wziął Wielką Brytanię na celownik, a Chińczykom udało się przeniknąć do każdego sektora brytyjskiej gospodarki. Chińskie inwestycje na Wyspach, w tym przejmowanie firm, wydają się wymykać spod „radaru” brytyjskich służb.

Na Wyspach Chińczycy mają dziś swoje udziały w inwestycjach w planowane elektrownie jądrowe, a także w sieciach dystrybucji gazu, w firmach wodociągowych, elektrowniach, w lotnisku Heathrow, farmach wiatrowych, w sieci pubów i browarze. Blisko współpracują też z wieloma brytyjskimi uniwersytetami.

Koniec pewnego marzenia

Dyskusja o tych inwestycjach chińskich firm w Wielkiej Brytanii toczy się od wielu już lat – Chiny są czwartym największym partnerem handlowym Brytyjczyków. Ich zwolennicy wskazują, że przecież czasem chodzi o niewielkie pakiety akcji, niedające wcale kontroli nad daną firmą. Ponadto z tej strony debaty słychać argument, dlaczego Chińczycy mieliby szkodzić własnym inwestycjom.

Krytycy mówią zaś nie tylko o groźbie szpiegostwa, ale o możliwości zaburzenia działania brytyjskiej infrastruktury. Wśród nich wybija się 71-letni Iain Duncan Smith, weteran Partii Konserwatywnej i były minister pracy: od lat ostrzega on przed zagrożeniem ze strony Chin.

Teraz Iain Duncan Smith nie ma wątpliwości, że czasy się zmieniły. „Działaliśmy na, jak uważaliśmy, globalnym wolnym rynku. Musimy się obudzić i zdać sobie sprawę z tego, że ten rynek zniknął – pisał w komentarzu w dzienniku „The Telegraph”. – Marzenie o globalizacji

i wolnym handlu, które szerzyły pokój i dobrobyt na całym świecie, już się skończyło”. Jego zdaniem Brytyjczycy znaleźli się w punkcie krytycznym, a obrona British Steel przed likwidacją to dopiero początek.

Co na to wszystko Pekin? Narzeka na „antychińską retorykę” niektórych brytyjskich polityków, a w reakcji na przejęcie zarządu British Steel ostrzegł przed „upolitycznieniem współpracy gospodarczej i handlowej”.

Więcej niż jedna ustawa

Sprawa huty British Steel jak w soczewce pokazuje, jakim ryzykiem może być dziś utrata kontroli nad ważną infrastrukturą w kraju. Nie jest to zresztą kwestia zamknięta – brytyjski rząd sprawuje nad kombinatem tymczasowy zarząd (nadzoruje produkcję, zakup surowców, wypłaty dla zatrudnionych), ale właścicielem pozostają nadal Chińczycy. Nie wiadomo jeszcze, czy finalnie huta zostanie znacjonalizowana.

Choć więc prawie trzy tysiące pracowników odetchnęło z ulgą, to losy British Steel nadal się waży. Rząd musi być przygotowany na pokrycie strat, przekraczających 200 mln funtów rocznie, a odzyskanie rentowności będzie trudne m.in. z powodu wysokich na Wyspach kosztów energii elektrycznej (to już osobny problem, niezależny od działań lub ich braku ze strony chińskich inwestorów).

„Brytyjska stal stanie się podstawą ponownego budowania w Wielkiej Brytanii – zapowiada jednak premier Keir Starmer z Partii Pracy. – Przemysł jest dumą naszej historii i chcę, żeby był również naszą przyszłością”.

Aby tak się stało, Brytania – kiedyś kołębka rewolucji przemysłowej – musi jednak zmierzyć się z wieloma problemami, jak niedoinwestowanie, niska produktywność, spadające zaufanie przedsiębiorców czy brak kompleksowej strategii gospodarczej. Tutaj nie wystarczy jedna specjalna ustawa.

© P

REKLAMA

K O N C E R T
J U B I L E U S Z O W Y
D E D Y K O W A N Y
ANNIE JANTAR
I JAROSŁAWOWI
KUKULSKIEMU

Życia
mała garść

Natalia Kukulska
ZAPRASZA NATALIA KUKULSKA

ORKIESTRA
ADAMA
SZTABY

ANIA
KARWAN
KASIA
KOWALSKA
KAYAH
KASIA
LINS
NATALIA
PRZYBYSZ
KUBA
BADACH
PIOTR
CUGOWSKI
RALPH
KAMINSKI

12/10/2025
ATLAS ARENA
ŁÓDŹ

Bilety: BILETSERWIS.pl

Prestige
MIM

bs BILET
SERWIS

RMF
CLASSIC

onet

TYGODNIK
POWSZECHNY

VIXON
MEDIA

Prawdziwa cena butów

AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z ELCHE (HISZPANIA)

Mimo konkurencji z Azji obuwnicze „zagłębienie” Hiszpanii w mieście Elche ma się dobrze. Nie może tego powiedzieć o sobie kilka tysięcy szwaczek, dziś starszych już wiekiem.

OŚMIOLETNIA PAQUI ZE SZKOŁY WRACA prosto do domu. Zjada kanapkę i biegnie do znajomej matki na lekcje szycia butów. Wraca po jedenastej wieczorem. To nie jej pasja, to konieczność: musi szybko nauczyć się pracować, podobnie jak jej siostra. Tylko tak mogą pomóc rodzinie związać koniec z końcem. Niewidomy ojciec zarabia niewiele, sprzedając losy na ulicy, a w domu jest czworo dzieci.

Isabel, lat 12, pochodzi z wioski pod Granadą. Jej rodzina migruje do Elche za pracę. Isabel trafia do firmy obuwniczej. Chciałaby się uczyć w szkole, ale to niemożliwe. – Gdy pierwszy raz poszłam do pracy, chciałam umrzeć. Całymi dniami płakałam. Tęskniłam za szkołą, przyjaciółmi. Szybko musiałam stać się dorosłą – mówi.

Dziś obie są po sześćdziesiątce. Całe życie spędziły, szyjąc buty w Elche. – Przemysł obuwniczy zniszczył moje życie – mówi Isabel Matute.

SINGER DO BUTÓW | Elche to ćwierćmilionowe miasto nad Morzem Śródziemnym, na wschodnim wybrzeżu Hiszpanii. Dokładnie 150 lat temu rejestruje się tu pierwszą maszynę do szycia obuwia marki Singer. Wcześniej ręczne, teraz szycie espadryli staje się szybko rozwijającym się biznesem. Obok zakładów szyjących buty w mieście powstają fabryki z materiałami i komponentami do butów.

Elche potrzebuje więc ludzi do pracy. W latach 60. XX w. jego populacja wzrasta z 50 tys. do ponad 100 tysięcy. Wśród przybyłych są Paqui i Isabel.



Całe ich życie związane było z szyciem butów. Od lewej: Manuela Morcillo, Adoración Morcillo Lorenzo, Isabel Sánchez, Paqui Melgar Sánchez, Isabel Matute. Elche, marzec 2025 r.

Wtedy, w czasach dyktatury Francisca Franco, zamężne kobiety zasadniczo nie pracują zawodowo, muszą poświęcić się roli matki i żony. Ale Elche potrzebuje szwaczek. Dlatego tu do regulacji dotyczących sektora obuwniczego dopisuje się pracę w domu: kobiety dostają maszyny i odtąd mogą szyć buty w domach.

– Byłyśmy w domach, ale gdy dzieci do nas przychodziły, nie mogłyśmy się nimi zająć. Nie zabierałyśmy ich na place zabaw, jak inne matki – mówi Isabel Matute.

KOBIETY MAJĄ INACZEJ | María Antonia Muñoz ma 63 lata, a pracuje od 15. roku życia. Poznała ją w piątkowy wieczór, podobnie jak inne szwaczki.

Ona ze wszystkich tu obecnych pracuje najwięcej. Szczupła i siwa, w okularach, niecierpliwie spogląda na zegarek. Mówi: – Pracuję od poniedziałku do niedzieli. Mój dzień zaczyna się około ósmej, potem robię pół godziny przerwy na posiłek i wracam do pracy, i tak do późnego wieczora, czasem do pierwszej w nocy. Jedzenie na cały tydzień robię w niedzielę i wkładam w pojemniki.

Przyszła się z nami spotkać, choć wiedziała, że będzie musiała zarwać noc, by uszyć tych 70 par butów, jak co dzień. Zarabia za to 45 euro. Na utrzymaniu ma brata z niepełnosprawnościami.

– Większość kobiet tutaj jest po rozwodzie lub w trakcie, ma na utrzymaniu dzieci, hipotekę. Nie mają wyboru. Muszą spuścić głowę i pracować za cokolwiek. Tak jest tu od zawsze. Ale miasto się przecież rozwija – mówi Adoración Morcillo Lorenzo.

Adoración, podobnie jak Paqui, Isabel, María i ponad 100 innych kobiet, należy do stowarzyszenia pracowniczek sektora obuwniczego w Elche. Od siedmiu lat walczą o poprawę warunków: prawo do ośmiodzinnego dnia pracy i urlopu, do ubezpieczeń, a także do umowy o pracę i prawa do emerytury.

Problemy te mogą dotyczyć tutaj ok. 7,5 tys. kobiet. Kobiet, bo mężczyźni zwykle są zatrudnieni na stałe w zakładach (zajmują się krojeniem obuwia, pracując na dużych maszynach) i większość ma umowy o pracę. Z kobietami jest inaczej.

SILA ROBOCZA Z CHIN | W Elche produkuje się obuwie takich marek jak Inditex (Zara, Massimo Dutti), Pikolinos, Tempe czy Panama Jack. W ostatnich latach, jak mówią szwaczki, marki zlecają produkcję firmom trzecim, umywając ręce od odpowiedzialności.

– Administracja powinna się przejmować: kto szyje buty dla ich firmy, gdzie szyje? Większość znanych marek nawet nie ma maszyn w fabrykach i zakładach, więc kto im to wszystko szyje? – pyta Adoración Morcillo.

Znaleźć nielegalny warsztat obuwniczy w Elche nietrudno. Skupiają się w dzielnicy Carrús. Paqui daje mi wskazówkę: biały dom obok dawnego komisariatu. Jej podejrzenia potwierdzają sąsiedzi. Przez otwarte okno słychać charakterystyczny dźwięk maszyny, w tle hiszpański przeplata się z chińskim.

Gdy dzwonię do drzwi, maszyna cichnie. Po kilku minutach ktoś otwiera. W domu ciemno, na podłodze bawią się

dzieci, jest też kilkoro dorosłych. Pytam, czy jest tu warsztat obuwniczy. Mężczyzna, najpewniej pochodzący z Chin, najpierw potwierdza, ale gdy widzi mikrofon, zaprzecza. – Tu mój dom, warsztat ma sąsiadka – mówi łamanym hiszpańskim.

Paqui mówi, że firmy, które dostają zamówienia na produkcję butów, coraz częściej sprowadzają siłę roboczą z Chin: – Wynajmują dom, na jednym piętrze się pracuje, na drugim są materace do spania. Pracownicy nie znają języka, nie buntują się.

– W mieście brakuje pracowników do szycia obuwia. Nie ma zmiany pokoleniowej. Myślisz, że 14-latką z Elche chce dziś pracować w tej branży? Nie. Napatrzyla się, jak pracowały mama i babcia. Ona woli się uczyć – mówi mi szwaczka Manuela Morcillo.

SŁOWO PRZECIW SŁOWU | W stowarzyszeniu szwaczek można usłyszeć, że na władze trudno liczyć. – Pracowałam w zakładzie, gdzie nas zastraszało, że nie zapłacą, jak będziemy się skarżyć. Walczyłyśmy o nasze wypłaty, ale gdy przyszła policja, to nie otwierali drzwi. Prokuratura zwlekała osiem miesięcy z rozpoczęciem śledztwa. Gdy je wszczęła, właściciele się zwinęli, a nas zostawili z niczym – mówi Adoración Morcillo.

María mówi, że wszyscy w branży są dobrze poinformowani. Czasem słyszy od szefa: „Nie przychodź jutro rano, bo będzie u nas kontrola”.

– Jeśli się skarżysz, trafisz na czarną listę i nikt nie da ci zlecenia – mówi Paqui Melgar Sánchez.

Na takiej liście jest Isabel Matute, która stała się twarzą stowarzyszenia. Po 48 latach pracy, Isabel tylko z sześciu lat ma odprowadzone składki, gdy potrzeba przynajmniej 15 lat, by mieć prawo do emerytury. Żyje więc dziś z renty wdowiej.

O warunki pracy szwaczek i nielegalne warsztaty pytam radnego ds. promocji gospodarki w Elche, Samuela Ruiza Tena z prawicowej partii Vox. – Nie mogę powiedzieć, że komentarze i krytyka warunków pracy w sektorze obuwniczym są nieprawdą – odpowiada. – Nie oceniam tego. Wszystko się jednak zmienia. Dziś szara strefa w sektorze obuwniczym praktycznie nie istnieje. Oczywiście nie udało się jej całkowicie wyeliminować, podobnie jak w innych branżach, barach, gabinetach czy biurach.



Szwaczki z Elche protestują, napis głosi: „Pracownice to nie niewolnice”.

Podobną opinię słyszę w stowarzyszeniu przedsiębiorców branży obuwniczej AVECAL. – Nielegalne warsztaty i praca szwaczek w domu to już element przeszłości. Faktycznie praca w domu wciąż widnieje w naszych przepisach pracy, ale wpisano ją tam kilkadziesiąt lat temu. Dziś szwaczki pracują na coraz większych maszynach, które nie zmieściłyby się w domu – mówi María Ángeles López z AVECAL.

DLA POŁOWY ŚWIATA | Mimo konkurencji z Azji, Elche pozostaje hiszpańską „stolicą butów”. W mieście produkuje się ponad 40 proc. całego obuwia wytwarzanego w Hiszpanii, które następnie eksportuje do ponad 100 krajów. Najwięcej do Niemiec, Francji, USA i Włoch. W ostatnim roku o 10 proc. wzrósł też eksport obuwia z Elche do Polski.

Branża ma się coraz lepiej. Zdaniem radnego Ruiza Tena to efekt transformacji firm. Teraz producenci z Elche nie walczą z tanimi butami z Chin czy Turcji, lecz stawiają na obuwie lepszej jakości. Produkcję ułatwia tu fakt, że każdy element, jak zamek itd., można tutaj znaleźć szybko dzięki rozwiniętemu sektorowi komponentów.

María Ángeles López z AVECAL mówi, że branża idzie z duchem czasu i coraz częściej projektuje obuwie z myślą o recyklingu: – Wyzwanie stanowi dla nas zrównoważona produkcja, transformacja cyfrowa, problem wymiany pokoleń i przyciągania nowych talentów.

Według Krajowego Instytutu Statystycznego w styczniu 2023 r. w sektorze

tekstylnym, odzieżowym i skórzanym w Elche działało blisko 4 tys. firm.

ŻYWE DOWODY | Wciąż jednak nierozwiązane pozostają kwestie pracowników najniższego szczebla. Wielu jest już w wieku przedemerytalnym, ale przez lata pracy na czarno nie mają prawa do emerytury. – Wiek daje się we znaki. Mam problemy ze wzrokiem, z nadzianiem igły, z koncentracją – mówi María Antonia Muñoz.

Paqui ma raka mózgu, zespół cieśni nadgarstka, problemy z kręgosłupem. – Lekarze mówią, że to nie od pracy. W końcu oficjalnie nie pracuję – mówi. Isabel ma problemy z kręgosłupem, szyją i krążeniem. Adoración ma za sobą kilka operacji, w tym ramienia i łokcia, problemy z szyją i kręgosłupem. Nie może unieść ręki, włosy suszy jej mąż. Bierze dużo leków przeciwbólowych, bo nie może spać w nocy.

– Rozmawiasz z ministrem albo posłem i nawet przyznają ci rację. Ale potem mówią: „potrzebujemy dowodów na waszą pracę”. Dowodów? My jesteśmy żywymi dowodami. Wszystkie dowody mamy w naszym ciele – mówi Isabel Matute.

Pod swoim apelem o uznanie lat prac i prawo do emerytury szwaczki z Elche zebrały ponad 50 tys. podpisów. Pojechały walczyć o lepsze warunki pracy do instytucji unijnych, rozmawiały z hiszpańską ministrami pracy. Do porozumienia było blisko, ale władzę w regionie Walencji przejęła prawicowa i sprzyjająca przedsiębiorcom koalicja Partii Ludowej i Vox. Na razie nic nie wskazuje, że sytuacja szwaczek szybko się zmieni.

Większość znanych marek obuwniczych odmówiła komentarza w tej sprawie. Biuro prasowe Zary w Hiszpanii odpowiedziało, że dokłada wszelkich starań, by prawa pracowników były przestrzegane. Zapowiedziało też śledztwo dotyczące wybranych zakładów, w których istnieje podejrzenie nadużyć.

■ ■ ■

Isabel Matute: – Nie bójmy się tego słowa. To, jak nas traktowali przez lata i ciągle traktują, to niewolnictwo.

Adoración Morcillo: – Adoptowałam moją córkę z Chin i odkąd była mała, powtarzam jej, że ma się uczyć. Nigdy nie pozwoliłam jej uszyć nawet jednego buta. Chcę, żeby chociaż ona miała lepszą przyszłość. ©

10 filmów, które musisz zobaczyć na KFF

ANITA PIOTROWSKA

65. Krakowski Festiwal Filmowy odbędzie się 25 maja – 1 czerwca w kinach oraz 30 maja – 15 czerwca online na festiwalowej platformie streamingowej KFF VOD (www.krakowfilmfestival.pl)

„AI WEIWEI I TURANDOT”

Akcja klasycznej „Turandot” rozgrywała się w wyobrażonych, mocno zorientalizowanych Chinach. Pochodzący z tego kraju wszechstronny artysta i prześladowany dysydent postanowił osadzić Pucciniego w możliwie najszerzych kontekstach. Oczywiście politycznych. Film wyreżyserowany przez Maxima Derevianko obserwuje przygotowania do pierwszej inscenizacji operowej w wykonaniu Ai Weiweia. Na deskach Opery Rzymskiej materializuje się dzieło, dla którego inspiracją stały się najbardziej palące problemy, jak rosyjska inwazja na Ukrainę czy globalny kryzys migracyjny. Oglądamy proces twórczy, w którym artystyczna wizja oznacza dużo więcej niż estetyczny popis – jest zaangażowanym głosem całego kolektywu i odnosi się do zbiorowych doświadczeń.

„DZIECKO Z PYŁU”

Pochodząca z Polski, lecz pracująca na różnych kontynentach reżyserka Weronika Mliczewska sięgnęła po temat zagubiony gdzieś w odmętach rozliczeń z wojną w Wietnamie. A dotyczy to setek tysięcy dzieci urodzonych w następstwie intymnych relacji amerykańskich żołnierzy z Wietnamkami. Bohaterem tego dokumentu jest mężczyzna, który bardzo chciałby poznać swego biologicznego ojca, przeprowadza więc badania genetyczne, nawiązuje kontakt i wyrusza do USA. Nie chodzi o samą ciekawość czy próbę uzyskania jakiejś rekompensaty, ale o spotkanie z człowiekiem, którego całkowita nieobecność głęboko naznaczyła życie Sanga i wpłynęła na jego podrzędny status społeczny. Wiele w tym filmie emocji i bolesnych zderzeń, wynikających z odmienności kulturowej i różnych wyobrażeń wobec tego, czym powinna być rodzina i czym jest prawdziwy dom.

„LISTY Z WILCZEJ”

Słynna polska gościnność czy może niesławna niechęć do obcych – jak wyglądały dzisiaj w oczach przybyszów z innych krajów, którzy zatrzymali się u nas na

dłużej? Reżyser tego filmu, Arjun Talwar, pochodzący z Indii absolwent Szkoły Filmowej w Łodzi, przygląda się swoim sąsiadom z warszawskiej ulicy. Patrzy na nasz kraj nie tyle przez pryzmat Święta Niepodległości czy Parad Równości (choć też), co przede wszystkim poprzez swoje bliskie relacje z konkretnymi ludźmi, najczęściej związanymi z Wilczą. Z Polakami, Syryjczykami, Chińczykami, Romami... To z ich osobistych historii i z własnych doświadczeń tworzy słodko-gorzki obraz naszego kraju, trochę dialogujący z polskim kinem, ale w pierwszej kolejności szukający w swoich bohaterach tego, co mogłoby ich naprawdę łączyć.

„MEREDITH MONK – PORTRET W KAWAŁKACH”

Bez jej dokonań nie byłoby Björk i wielu innych artystów, którzy nieustannie idą w muzyce pod prąd i eksperymentują z łączeniem różnych dziedzin sztuki. Meredith Monk, rocznik 1942, bez wątpienia zrewolucjonizowała muzyczny performans, chociaż jej niezwykle plastyczny głos, tak bardzo „z ciała” i zarazem jakby z kosmosu, długo nie mógł się przebić. Szczególnie, że był to głos kobiety. Billy Shebar i David Roberts stworzyli piękny muzyczno-filmowy kolaż, łącząc elementy biografii nowojorskiej artystki, jej występy i przemyślenia. Bohaterem filmu staje się także upływający czas, będący dla Monk coraz bardziej istotnym tworzywem. Widzimy, jak z pełną świadomością artystka domyka pewien rozdział w swojej sztuce i w życiu.

„OGRODNIK, BUDDYSTA I SZPIEG”

Świat wokół nas wydaje się coraz mniej przejrzysty, bo kim właściwie jest Rob Moore? Sygnalistą, który wypowiedział wojnę międzynarodowej mafii azbestowej, czy wręcz przeciwnie – „kretem”, który infiltrował organizacje pozarządowe walczące z wielkimi trucicielami? A może jednym i drugim? Okazuje się, że tych wcielen było jeszcze więcej i film Håvarda Bustnesa prowadzi w tej sprawie pasjo-

nujące śledztwo. Na dodatek z istotnym wątkiem osobistym i całą masą moralnych dwuznaczności. Niewiele dokumentów potrafi tak świetnie wykorzystać ograniczone zaufanie do swego bohatera, trzymając nas do końca w niepewności i napięciu. A w tle mamy nielegalny lobbing, korumpowanie polityków, Londyn jako wielką pralnię brudnych pieniędzy... Tymczasem nasz bohater tworzy sobie bajeczne ogrody i praktykuje religijne nauki Wschodu.

„OPOWIEŚĆ SZAMANA”

8000 kilometrów – tyle musi pokonać (na nogach!) mieszkaniak Jakucji, żeby wypędzić z Kremla złe moce uosabiane przez Władimira Władimirowicza Putina. Jesteśmy świadkami osobiwej pielgrzymki, w którą wyrusza syberyjski szaman Aleksandr Gabyszew, a towarzyszą mu napotkani po drodze obywatele czujący pilną potrzebę zbawienia swego kraju. Nie jest to jednak kolejny ocieplający żart z serii „rozumem Rosji nie ogarniesz”. Twórcy filmu, Beata Baszkirowa i Michaił Baszkirow, co prawda pochodzą stamtąd, lecz od lat pracują w Paryżu i reprezentują zdecydowanie krytyczną postawę. Etniczne korzenie i wykształcenie antropologiczne dają im osobisty wgląd w kulturę dalekiej północy kraju i jednocześnie dystans, z jakim pokazują zarówno współczesne rosyjskie absurdy, jak i autentyczną grozę.





MATERIAŁY PRASOWE KFF

Kadr z filmu „Dziecko z pyłu”, reż. Weronika Mliczewska, Polska-Wietnam, 2025 r.

„POCIĄGI”

Były wehikułami nowej cywilizacji i świadkami europejskiej historii XX w. Od ich przyjazdu na paryską stację La Ciotat rozpoczęła się (z grubsza) historia kina. Wybitny dokumentalista Maciej Drygas, twórca m.in. „Usłyszcie mój krzyk” (1991) i „Jeden dzień w PRL” (2005), bez słów, za pomocą wyłącznie archiwalnych materiałów, opowiada o tym, w jaki sposób pociągi ukształtowały nasz pejzaż symboliczny. Bezlitosny parowóz dziejów wiezie żołnierzy na fronty i przywozi rannych weteranów do domu, przeprowadza masowe migracje, deportacje i transporty do obozów Zagłady. W rytm stukotów, zgrzytów i świstów taboru kolejowego wpisanych w muzykę Pawła Szymańskiego toczą się nie tak dawne dzieje ludzkości. Mimo technologicznego rozwoju i kulturowych przemian, historia ciągle wjeżdża w te same koleiny.

„PRZEŻYĆ EGZEKUCJĘ”

Jeśli nie wierzycie, że kino dokumentalne potrafi, przynajmniej częściowo, wpływać na rzeczywistość, to film Nimy Sarvestaniego dostarcza dowodów, że czasami może mieć taką moc. Zwłaszcza że irański reżym ciągle trzyma się mocno i jeszcze długo nie rozliczy politycznych zbrodniarzy z pierwszych lat po rewolucji islamskiej. Dlatego tamtejsi dysydenci i ich bliscy, obecnie mieszkający w Szwecji, kilka lat temu zwarli szyki, by wreszcie trafić przed sąd

niejaki Hamid Noury, który ma na rękach krew tysięcy niewinnych ludzi. Wśród nich był nastoletni brat reżysera. Z zapartym tchem ogląda się sfilmowaną „na żywo” akcję, która ma doprowadzić do schwytnia wysoko postawionego funkcjonariusza. W pewnym momencie stajemy się świadkami jego procesu sądowego w Sztokholmie, finał będzie jednak zaskakujący.

„SILVER”

Jaki może być związek między sztuczną inteligencją a śmiercią górników w Boliwii? Otóż wydobywane tutaj od czterystu lat srebro jest najlepszym materiałem przewodzącym, dlatego stało się takomym kaskiem dla wielkich korporacji, które w jakimś sensie zajęły miejsce dawnych hiszpańskich kolonizatorów. Dla mieszkańców regionu Potosí oznacza to codzienną, niskopłatną harówkę w bardzo niebezpiecznych warunkach. Dokument Natalii Koniarz zagląda do kopalnianych trzewi, zabiera nas także do górniczej osady, której całe życie zależy od kopalni. Kiedy patrzymy na pracujące pod ziemią dzieciaki, nie mamy złudzeń – coś jest nie tak z naszym światem, zwłaszcza z perspektywy szeroko rozumianego postępu.

„WIELKI SZEF”

Takiego bohatera mogła stworzyć jedynie burzliwa polska historia, pełna czarnych rozdziałów, białych plam i szarych stref. Trudno bowiem do końca rozszyfrować

postać Leopolda Treppera, który po Marcu 1968 roku, w przeciwieństwie do wielu innych obywateli polskich żydowskiego pochodzenia masowo wypędzanych z kraju, został zamknięty w areszcie domowym. Przesądził o tym szpiegowski epizod w jego biografii – byłego agenta radzieckiego wywiadu na Zachodzie w latach 30. i na początku wojny, oskarżanego potem o współpracę z Gestapo. Tomasz Wolski, mistrz filmowego opowiadania z użyciem archiwaliów (patrz: „Zwyczajny kraj” czy „1970”), portretuje człowieka uwięzionego w pułapce wielkiej historii i polityki.

**65. KRAKOWSKI
FESTIWAL
FILMOWY
65th KRAKOW
FILM
FESTIVAL**

25.05–1.06.2025



Wybierz swój karnet:

Więcej znajdziesz na krakowfilmfestival.pl

NAUCZYCIEL ŚWIATA

Indie stały się mocarstwem. Rządzi nimi były herbaciarz z kolejowego dworca,
teraz człowiek o statusie wyższym niż jakiś maharadża.
Narendra Modi jest autokratą w najludniejszym państwie świata.

WOJCIECH JAGIELSKI



MAHATMA GANDHI I JEGO PRZYKAZANIE, by unikać przemocy, uosabiał Indie zeszłego wieku. W nowym stuleciu obliczem Indii jest Narendra Modi, nowy przywódca i przewodnik. Obaj wywodzą się z tego samego miejsca, Gudżaratu, stanu leżącego na zachodzie Indii, ale więcej ich różni niż łączy. Ojciec Mahatmy był zamożnym kupcem i szefem rządu na dworze maharadży Porbandaru. Modi pochodzi z niskiej kasty olejarzy, na ubogie utrzymanie rodziny jego ojciec zarabiał (a młody Narendra mu w tym pomagał), sprzedając herbatę na dworcu kolejowym.

Obaj zostali wyswatani (Mahatma jako 13-latek, Modi w wieku 18 lat), ale wyrzekli się małżeńskiego życia, by poświęcić

się Wielkiej Sprawie. „Poślubili Indie” – powtarzali potem jak mantrę ich zwoleńnicy.

W Gudżaracie biorą początek ich życiowe ścieżki i drogi ku chwale. To tutaj, nad rzeką Sabarmati, nieopodal Ahmadaabadu, Mahatma założył aśram, gdzie nauczał o potrzebie poszanowania wszelkiego życia i wyrzeczenia się przemocy. Stąd wyruszył do „marszu solnego”, najsłynniejszego z buntów przeciwko Imperium Brytyjskiemu.

W Gudżaracie, od posady stanowego premiera, zaczął marsz na szczyty Narendra Modi. Tu dał się poznać jako skuteczny zarządca. Tu także zyskał mroczną sławę, gdy za jego panowania doszło do pogromów muzułmanów.

Mahatma zapisał się w dziejach jako apostoł biernego oporu (wolał nazwę satjagraha, „siła w prawdzie”). Pokonał najpotężniejsze imperium w dziejach, któremu nie dali rady w zbrojnych powstaniach ani południowoafrykańscy Zulusi, ani pasztuńscy plemięcy z przełęcz Chajberskiej, ani dżihadyści Mahdiego w Sudanie.

Modi podziwia Mahatmę jako pogromcę imperium, ale z jego naukami jest mu nie po drodze. Nie podziela jego odrzy do przemocy. Nie nawołuje do niej, ale uważa, że nie da się jej po prostu uniknąć. Jest nieodrodnym synem bractwa, które nawoływania Mahatmy do zgody z innowiercami uważało za zdradę. Do bractwa należał także zabójca Mahatmy, Nathuram Godse, obwiniający go za rozpad Indii i uleganie muzułmanom. Kiedy Modi objął władzę w całych Indiach, wielu jego braci w politycznej wierze domagało się rehabilitacji zabójcy Mahatmy, uznania, że choć dopuścił się zbrodni, to powodowało nim bezgraniczne oddanie ojczyźnie.

Bractwo hindutwy

Stowarzyszenie Narodowych Ochotników zostało powołane przed stu laty, by bronić hinduskiej tożsamości przed obcymi najeźdźcami, ich kulturą i wierzeniami. Założyciele i przywódcy stowarzyszenia roszczą też sobie wyłączne prawo orzekania, co jest istotą Indii, czym jest hinduskość, hindutwa, kto jest prawdzi-

wym Hindusem, a kto do tego tytułu nie ma prawa.

Nie bali się Brytyjczyków, którzy chcieli jedynie wyzyskiwać Indie jako kolonię, nie myśląc o tym, by przerabiać je na swoją modłę. Prawdziwego wroga i śmiertelne zagrożenie rycerze hindutwy widzieli w islamie, który przywędrował tu wraz z muzułmańskimi najeźdźcami prawie tysiąc lat temu. Muzułmańscy sułtanowie i cesarze zadomowili się w Indiach na kilkaset lat i uwiedli miliony hindusów swoją kulturą i egalitarną religią.

Sto lat temu, gdy w Indiach panowali Brytyjczycy, muzułmanie stanowili piątą część ludności. Poza religią niczym nie różnili się od hindusów i można by uznać, że żyli tu od zawsze. Jednak według Narodowych Ochotników jedynym ludem rdzennym w Indiach są hindusi, spadkobiercy starożytnej cywilizacji. Żeby przeciwstawić się obcym i przetrwać, muszą pozostać jednym narodem hinduskim, połączonym wspólną historią, wiarą, kulturą i sposobem życia. Hinduskością, hindutwą. Dla innych też znajdzie się w Indiach miejsce, ale będąc w mniejszości, muszą uznać nadrzędność hindutwy. Muzułmanie najmniej nadają się na członków takiej wspólnoty, bo bliższe są im Mekka i Sztambuł, niż Varanasi czy święta rzeka Ganges.

Stowarzyszenie Narodowych Ochotników, armia hindutwy, ma naczelnego wodza, a jego żołnierze noszą organizacyjne mundury, dbają o tężyznę fizyczną i dyscyplinę, ćwiczą musztrę i wprawiają się w szermierce na bambusowe pałki. W organizacji ceni się posłuszeństwo, pracowitość i całkowite oddanie Sprawie. Podzieleni na niewielkie zespoły narodowi ochotnicy pomagają najuboższym i ofiarom trzęsień ziemi, powodzi, huraganów czy zamieszek, organizują imprezy religijne i patriotyczne, prowadzą pracę u podstaw.

Modi przystał do nich już jako dziecko, a jako 20-latek został formalnie przyjęty do organizacji. Stowarzyszenie dało mu poczucie przynależności, a także cel i sens życia, a on odpłacał się lojalnością i uporem. Piął się po szczeblach organizacyjnej piramidy, wyżej i wyżej.

Stowarzyszenie nie jest polityczną partią, nie uczestniczy w wyborach, nie grożą mu porażki ani kompromisy, wymuszające odstępowanie od głoszonych



ADNAN ABIDI / REUTERS / FORUM

Premier Indii Narendra Modi podczas kampanii wyborczej do parlamentu. Waranasi, 25 kwietnia 2025 r.

→ ideałów. Naczelni wodzowie wybierają więc spośród partii te, które wydają się im ideowo najbliższe, albo poprzez które mają nadzieję najskuteczniej ziścić idee hindutvy. Do wybranych partii posyłają swoich najpewniejszych ludzi. Modi dobiegał czterdziestki, gdy Stowarzyszenie skierowało go do Indyjskiej Partii Ludowej, powstałej kilka lat wcześniej i zaliczonej do „Rodziny” hindutvy.

Szafranowy pochód

Państwo zbudowane przez Kongres Narodowy, dawny ruch wyzwolenczy (narodowi ochotnicy nie przyłączyli się do niego uważając, że odciąga on uwagę od celu najważniejszego – walki o hinduskość Indii) i przewodzącą mu rodzinę Nehru-Gandhich pogrążało się w kryzysie. Demokracja, zaprowadzona przez zapatrzzonego w Zachód pierwszego premiera Jawaharlala Nehru (1947-64) została nadwreżona przez autokratyczne rządy jego córki-jedynaczki, Indiry Gandhi (1966-77 i 1980-84). Gdy zginęła w zamachu, Indiom zabrakło równie wyrazistego przywódcy. Sanjay, syn Indiry, którego szykowała na dziedzica, zginął w 1980 r. w katastrofie lotniczej, a jego młodszy brat Rajiv nie poradził sobie z rolą premiera (1984-89), a gdy w końcu zaczynał się jej uczyć, zginął w zamachu.

Stan bezkrólewia i marazmu pogarszała zapaść gospodarki. Tworząc ją Nehru inspirował się sowiecką industrializacją, ale Związek Sowiecki rozpadł się wraz z komunizmem, na całym świecie święcił triumf wolnorynkowy liberalizm, a państwo Nehru-Gandhich zaczęło rozłazić się w szwach i stanęło na krawędzi bankructwa. Stowarzyszenie Narodowych Ochotników dostrzegło w tym wielką szansę dla siebie.

Obarczani winą za zabójstwo Mahatmy, zostali zepchnięci z politycznej sceny, a powrotu na nią bronił im Nehru, agnostyk i wyznawca liberalnej demokracji, oraz Indira, nieznosząca wszelkich konkurentów do władzy. Teraz słaby Kongres, pochłonięty w dodatku przedstawianiem gospodarki na wolnorynkową modłę, nie był w stanie przeciwstawić się hindutvie.

Na początku lat 90. w całych Indiach ruszyły procesje pod szafranowymi sztandarami hindutvy, organizowane przez narodowych ochotników. Zwłaszcza pochód do Ajodhji, miejsca urodzin Ramy, jednego z najważniejszych hindu-

skich bogów, zgromadził wielotysięczne tłumy oraz rozpałił emocje. Zakończył się zburzeniem meczetu i wybuchem zamieszek między muzułmanami i hindusami, w których zginęło kilka tysięcy ludzi.

Modi był jednym z najważniejszych organizatorów szafranowych pochodów. Trzymał się jednak w cieniu, przewodzili im inni. Marsze zyskały narodowym ochotnikom zwolenników, dodały im animuszu. Hindutva przestała być słowem zakazanim, a w 1996 r. jej głosicielka, Indyjska Partia Ludowa, wygrała wybory. Przywódcy Stowarzyszenia docenili zasługi Modiego i wyznaczyli go na premiera Gudżaratu.

Cuda gudżarackie

Sprawdzian w Gudżaracie zaczął się fatalnie. Zaraz po tym, jak Modi objął władzę, znów wybuchły zamieszki między hindusami i wyznawcami islamu. Zginęło kilka tysięcy ludzi, głównie muzułmanów, a Modi i podległa mu policja zostali oskarżeni, że nie zrobili nic, by pogromy przerwać. Padły nawet oskarżenia, że premier, wyznawca hindutvy, sam podburzał hindusów przeciwko muzułmanom. Sąd Najwyższy oczyścił go potem z zarzutów, ale i tak został zapamiętany jako ksenofob, człowiek pozbawiony skrupułów. Nawet przywódcy jego własnej partii zaczęli powątpiewać, czy można powierzać mu rządy.

Zapędzony do narożnika, złożył dymisję, ale jeszcze w tym samym 2002 r. stanął do wyborów stanowych i je wygrał. No i zrobiło się o nim głośno, stał się znany w całym kraju. Znów okazało się, że rozruchy między hindusami i muzułmanami wcale nie szkodzą sprawie hindutvy, ale zyskują jej raczej zwolenników.

Potem sprawy poszły jak z płatka. Z Gudżaratu zaczęły nadchodzić wieści, jak wspaniale radzi sobie jako gospodarz. Gudżarat, jeden z kilku najbardziej rozwiniętych stanów Indii, dobrze nadawał się na miejsce, gdzie Modi mógł się wykazać jako przywódca nowoczesny, rzutki i skuteczny. Gudżaracka gospodarka zawsze radziła sobie lepiej niż w większości stanów, ale za panowania Modiego przyspieszyła jak nigdy wcześniej. Tak bardzo, że zaczęto mówić o „gudżarackim cudzie”.

Być może gdzie indziej, w biednym Radżastanie albo skrzępowanym biurokracją Zachodnim Bengalu „gudżaracki cud” nie mógłby się zdarzyć, ale i w Gudżaracie

nie zdarzyłby się bez Modiego. Odważniej niż inni postawił na wolnorynkowy liberalizm i najnowocześniejsze technologie, uprościł przepisy, zwalczał biurokrację i korupcję, remontował stare drogi i linie energetyczne, budował nowe, wspierał rolników, otwierał uniwersytety i sprowadzał do Gudżaratu najzdolniejszych. Ściągał inwestorów zagranicznych, ale przede wszystkim krajowych, współczesnych nababów, takich jak motoryzacyjny potentat Ratan Tata czy wywodzący się z Gudżaratu bracia Ambani i Adani. Modi przychylił im nieba, a oni pomnażali bogactwo, w podzięcie nie żałowali mu grosza i wyświadczały wszelkie przysługi.

Maharadża

Na zarzuty, że na gudżarackiej „modinomie” (tak zaczęto nazywać jego rządy) korzystają głównie bogaci, odpowiadał, że jeśli bogaci się kraj, to wcześniej czy później wzbogacą się wszyscy. „Takiego przywódcy potrzebują Indie” – powtarzali przedsiębiorcy. Modi uwiódł ich też swoim jedynowładztwem. Panował w Gudżaracie jak maharadża. Wprawdzie stawał do wyborów, lecz po zwycięstwach rządził już samowładnie, otoczony wiernym dworem z Amitem Shahem na czele, „prawą ręką” i „człowiekiem od brudnej roboty” (był ministrem policji podczas gudżarackich pogromów).

W sondażach trzy czwarte indyjskich biznesmenów wskazywało Modiego jako przywódcę, jakiego życzyliby sobie w Delhi. Sława dobrego gospodarza z Gudżaratu zauroczyła także zwykłych obywateli, którzy mieli dość zastojów, afer i wiecznych kłótni politycznych elit.

Sprawdziły się bowiem obawy głosicieli hindutvy. Przymuszona do koalicyjnych rządów i kompromisów, Indyjska Partia Ludowa utraciła impet, a w 2004 r. przegrała wybory i do władzy wrócił Kongres. Ale i on nie radził sobie z wyzwaniem nowej epoki. Rozczarowane Indie domagały się nowego, innego typu przywódcy.

Naczelni wodzowie hindutvy uznali, że trzeba sięgnąć po Modiego. W starych czasach taki awans byłby pewnie niemożliwy, ale liberalna epoka ceniła przede wszystkim skuteczność i dawała szansę outsiderom jak Modi, człowiek ze społecznych nizin, ćajwalla, herbaciarz z kolejowego dworca, który do wszystkiego doszedł sam, niczego nikomu nie zawdzięczał i niczego nikomu nie był też winien.

Zastąpił na czele Indyjskiej Partii Ludowej nobliwych braminów, a w 2014 r. poprowadził partię hindutwy do wygranej w wyborach. Jako nowy przywódca najludniejszego państwa świata (prawie 1,5 mld ludzi), przeniósł się z Gudżaratu do stolicy wraz z wiernym dworem i „modinomią”, która miała teraz odmienić Indie. A także z hindutwą.

Bharat kontra India

Nie zapomniał o niej podczas kilkunastoletniego panowania w Gudżaracie, ale po przenosinach do Delhi mógł oddawać się Sprawie na wielką, indyjską skalę. Pod jego rządami Indie z każdym rokiem coraz bardziej odchodzą od reguł państwa świeckiego i liberalnej demokracji.

Głosiciele hindutwy uważają, że świeckość narzucona krajowi, w którym trzy czwarte ludności stanowią hindusi i którego korzenie tkwią w starożytnej hinduskiej cywilizacji, jest dla niej obelgą. „To mniejszość musi się dostosować do większości” – powiadają i nazywają świeckie państwo Nehru-Gandhich dowodem postkolonialnego kompleksu niższości zapatrzonych w Zachód i kulturowo zwesternizowanych elit.

Modi za powód do dumy poczytuje sobie nawet to, że nie pobierał nauk w brytyjskich akademiach. Mówi po angielsku (w Indiach wciąż jest on drugim obok hindi językiem urzędowym), ale w ONZ przemawia wyłącznie w języku hindi, w hindi udziela rzadkich wywiadów. Nawet nazwę państwa, nadaną krajowi przez cudzoziemców, wołałby zmienić na sanskryckie Bharat.

Zapytani o najważniejsze zabytki kraju, wyznawcy hindutwy nie wskażą grobowca Taj Mahal, ani Czerwonego Fortu w Delhi, gdyż wzniesione zostały przez muzułmańskich najeźdźców, których najchętniej wykreśliliby z dziejów Indii wraz z muzułmańską architekturą i sztuką. Indyjskich muzułmanów (15 proc. ludności czyli prawie 200 mln ludzi) uważają za potomków kolaborantów, którzy nie tylko wysługiwali się najeźdźcom, lecz przyjęli ich wiarę. Nie należą się więc im żadne specjalne prawa, żadne przywileje. Jeśli chcą żyć w Indiach – powiadają – muszą przestrzegać praw, według których żyją hindusi. W 2019 r., po drugich wygranych wyborach, Modi rozwiązał stan Kaszmir, jedyny, w którym muzułmanie stanowili większość.



MANJUNATH KIRAN / AFP / EAST NEWS

Modi za powód do dumy poczytuje sobie nawet to, że nie pobierał nauk w brytyjskich akademiach.

Mówi po angielsku, ale w ONZ przemawia wyłącznie w języku hindi, w hindi udziela także rzadkich wywiadów.

Mędrzec, guru, autokrata

Jako przywódca państwa Modi przypomina na każdym kroku, że Indie hinduskie są i basta. Państwowym świętom nadaje charakter religijny, a gdy w styczniu uczestniczył w uroczystości poświęcenia świątyni Ramy, zbudowanej na miejscu zburzonego meczetu w Ajodhji, wcielił się w hinduskiego kapłana. Przywrócił dawne nazwy miastom, którym muzułmańscy władcy nadali własne, i święty dla hindusów Allahabad znów jest Pragrażdem.

Po nowemu opowiada też historię Indii. Podziwia Mahatmę i podkreśla jego zasługi jako bojownika o wolność, ale udział Jawaharlala Nehru woli przemilczać, wychwalając innego z towarzyszy Mahatmy, Sardara Patela, zresztą Gudżaratczyka. Wzniósł mu w Gudżaracie największy na świecie, prawie dwustumetrowy pomnik.

Kruszy po kawałku zręby liberalnego państwa Nehru-Gandhich. Oplata stany

Narendra Modi przewodniczy ćwiczeniom medytacyjnym podczas Międzynarodowego Dnia Jogi. Mysuru, czerwiec 2022 r.

autostradami i liniami kolejowymi, wiążąc je ze sobą, okrawa autonomię, by uzależnić od stolicy. Ostatnio zabrał się za wytyczanie nowych granic okręgów wyborczych, by łatwiej podporządkować sobie drawidijskie południe, najoporniej przyjmujące hindutwę i widzące w niej przejaw dominacji zachłannej północy, królestwa starożytnych Ariów.

Rządowe gazety i stacje telewizyjne zawsze prześcigały się w służalczości. Pod rządami Modiego kapitułują jednak także redakcje niezależne. Jedne, żeby przypodobać się premierowi i nie narażać się na finansowe kłopoty, inne – milkną po propozycjach nie do odrzucenia, jakie składa im Amit Shah, którego Modi zabrał ze sobą do Delhi i tu również zrobił ministrem policji. Przed ministrem policji drżą niezależni dotąd sędziowie.

Niechęć do starych elit, słabość opozycji i sukcesy gospodarcze, jakie odnoszą Indie pod rządami Modiego sprawiają, że nie obawia się rywali, a rodacy bez sprzeciwów godzą się na jego hinduski populizm i oświecony autorytaryzm.

Prof. Piotr Kłodkowski, znawca Azji i były ambasador w Indiach, w swoich książkach („Imperium Boga Hanumana”, 2018 i „Azjatycka wielka gra”, 2024) pisze o Modim, że to urodzony przywódca o niezwykłej charyzmie: „Dla wielu to niemal guru, mędrzec, który zrozumiał więcej od innych”. Prof. Kłodkowski przyznaje, że w osobistym kontakcie Modi jest człowiekiem ujmującym. Ale stwierdza też, że „Modi jest typowym autokrata, za nic ma wszelkie procedury państwa prawa i swobodę jednostki (...) Tak naprawdę Modi i Indira mają ze sobą wiele wspólnego: oboje nie znoszą jakiegokolwiek sprzeciwu, uważają się za nieomylnych”.

Po pogromach w Gudżaracie Zachód ukarał Modiego infamią i przez prawie dziesięć lat nie chciał mieć z nim nic do czynienia. Dziś jest jednym z władców świata, wystrojony jak maharadża jeździ, dokąd chce i wszędzie jest witany jak najmiłszy gość. Mawia, że skoro pod jego rządami Indie wybiły się na mocarstwo, to on sam podołałby roli duchowego przewodnika, viśvaguru, Nauczyciela Świata.

©© WOJCIECH JAGIELSKI

STANISŁAW

Mancewicz: Teleturniej



ZA NAMI KILKA DEBAT KANDYDATÓW w wyborach prezydenckich i gdyby nie instynktowny, gdzieś w głowie zagnieżdżony przymus, nie komentowalibyśmy tych wydarzeń. Komentujemy jednak, a robimy to w ramach starodawnego założenia, że debaty są ważne, by-

wało przecież – nie raz i nie dwa – że decydowały o wyniku wyborów. Dziś widać dość wyraźnie, że debata jako wydarzenie kampanijne straciła znaczną część swego politycznego sensu i mocy, a wciąż nie zyskała pełni formy spektaklu estradowego.

Że debata przedwyborcza stanie się niebawem telewizyjnym, pełnowymiarowym, biletowanym formatem rozrywkowym – chyba nie ma wątpliwości. „Baw się razem z nami i zostań prezydentem RP” – to roboczy tytuł i gdyby program taki transmitowano raz w tygodniu, powiedzmy w sobotę wieczorem, przez trzy miesiące, moglibyśmy w głosowaniu esemesowym wybrać sobie prezydenta nawet raz na pół roku. I to by chyba było fajne. Bo zanim ktoś tak wybrany by się znudził bądź skompromitował, mielibyśmy szybko następną okazję, by wybrać kogoś nowego, świeżego, ciekawszego, ładniejszego i zwinniejszego w głoszeniu najmodniejszych aktualnie poglądów. Bo widać także, że moda na poglądy pędzi, a część kandydatów nie nadąża za trendami. Rzecz jasna, za tymi dotyczącymi uchodźców, ludzi innych nacji i religii akurat nadążają wszyscy, bo w tych sprawach jesteśmy w światowej awangardzie, ale już na przykład w kwestii „unarodowienia gospodarki” różni kandydaci są pocieszenie zdezorientowani. Czy być za, czy przeciw? Nie bardzo wiadomo.

Idźmyż dalej. Zarówno scenografia, jak i choreografia są saleniem ważnymi elementami teleturniejów. W dotychczas pokazanych

debatach widać dobre chęci. Patrzymy na to z politowaniem, ale i z nadzieją na rozwój. Na razie – bądźmy szczerzy – stawianie konkurentom na stoliczkach jakichś chorągiewek, figurek z tektury itp. to zabiegi dobre w programach dla przedszkolaków. Nuda. I to się musi zmienić, bo telewizja ma bawiąc uczyć, na przykład języka nienawiści, ale też grepsu oraz orania bliźniego.

Generalnie wszystkie dotychczasowe debaty szokująco odstają od poziomu rozrywki dowolnej telewizji w Polsce. Ktoś powie, że tak to wygląda, gdy w programie biorą udział sami naturszczycy. Nie możemy się z tym zgodzić, bo widzieliśmy mnóstwo programów z udziałem osób nieprofesjonalnych, a to o uprawianiu seksu w zamkniętych na głucho nieruchomościach, o balangowaniu, romansowaniu w sanatoriach, o poszukiwaniu miłości na wsi i w mieście, o stawianiu się damą bądź dżentelmenem w dwa tygodnie – wszędzie tam występowali naturszczycy i sobie nieźle radzili. Słowem, debaty muszą się profesjonalizować, bo na razie ich akcja ma żywość i estetykę terrarium – niby jest szansa, że wąż po wylince spektakularnie zje śpiącą ćmę, ale zdarza się rzadko.

Czy zatem coś nas w nich zaskoczyło? Owszem, ale nie był to poziom, lecz zbędność wynikająca z niedzisiejszej formuły. Warto tu może wtrącić taką oto mądrość, że dziś wszystkie formuły są niedzisiejsze, nieaktualne po prostu, nawet te najprostsze, a wydawałoby się wieczne i nieśmiertelne. Do tego – rzecz trzeba – brak poczucia, że obcowaliśmy z mężem bądź damą stanu. Albo że oglądając i słuchając tych ludzi widz dowiadyuje się czegoś nowego bądź ciekawego. A więc zbędność, niedzisiejszość formalna i przewidywalność totalna. Do tego dziwaczność i głupkowatość, bo funkcja polskiego prezydenta jest, jak wiadomo, głównie ozdoba, co nie przeszkadza kandydatom przekonywać widzów, że prezydent może wszystko z rozległej listy życzeń i oczekiwań. Jakoś nam to wszystko razem niekoniecznie pasuje do obowiązkowego zestawu formułującego demokrację. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” DODATEK SPECJALNY

**WŁÓCZYKIJ
KULTURALNY**

Polecamy najciekawsze wydarzenia tego lata, m.in:

FESTIWALE FILMOWE, MUZYCZNE

i TEATRALNE oraz WYSTAWY,

które trzeba zobaczyć
podczas podróży po Polsce.

Nie przegap!

To aż 30 extra stron o kulturze!

„TYGODNIK” Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 7 MAJA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Twój Tygodnik bliżej, niż myślisz. Dostawa za darmo przez InPost Paczkomat®

„Tygodnik Powszechny” – czytasz, kiedy chcesz, jak lubisz.
Bez algorytmów, bez ekranów, bez pośpiechu.

Papierowe wydanie dostarczane co tydzień przez InPost Paczkomat®
– płacisz tylko za tygodnik, przesyłka jest całkowicie **ZA DARMO!**
To rewolucja na rynku prasy – nasza odpowiedź na znikające punkty sprzedaży.

Przy zakupie na **6 miesięcy**:

366 zł zamiast ~~390 zł~~
(z **Blik** rabat **6%**)

Przy zakupie na **12 miesięcy**:

686 zł zamiast ~~780 zł~~
(z **Blik** rabat **12%**)

OFERTA SPECJALNA

Zamawiając TP z odbiorem w InPost Paczkomat®
otrzymasz także:

- całoroczny dostęp do wydania internetowego „Tygodnika Powszechnego” za 1 zł – **oszczędzasz 357 zł**
- dostęp do odcinków specjalnych podcastu „Szkoła uczuć” z profesorem Bogdanem de Barbaro, do kursu medytacji chrześcijańskiej oraz do innych podcastów i newsletterów od autorów i autorek Tygodnika

dowiedz się więcej!



Dodatkowo, jeśli skorzystasz z oferty **DO KOŃCA KWIETNIA**,
otrzymasz wyjątkową książkę ks. Adama Bonieckiego „Vademecum”
z autografem autora.

www.TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



MISJĄ SIĘ NIE NAJESZ

Organisci, kościelni, gospodynie – świeccy pracownicy Kościoła to wielotysięczna grupa osób na łasce biskupa i proboszcza.

IGNACY DUDKIEWICZ

CZY JESTEM ANTYKLERYKAŁEM? – Wojciech, organista, 35 lat, początkowo jest pytaniem zdziwiony. Po chwili odpowiada: – Kocham Kościół. Ale rzeczywistość praca w nim wpływa na postrzeganie księży. Gdy zaczynałem, miałem inne wyobrażenie na ich temat. Teraz jest prawdziwsze: bywają święci, a bywają też podli. I dlatego nie powinni mieć aż tyle władzy.

Kto pracuje w Kościele

„Nic tak nie wpływa na wzrost antyklerykalizmu w człowieku jak praca w Kościele” – mówił mi Karol Kleczka, obecnie w miesięczniku „Znak”, niegdyś pracujący w portalu Deon.pl, gdy rozmawialiśmy do książki „Pastwisko”. „Im niższe miejsce zajmujesz, tym mniej możesz. Najgorzej mają świeccy, zwłaszcza kobiety” – dodawał.

Mowa tu o kilkuset tysiącach osób będących w bardzo różnych sytuacjach. Według danych podawanych przez Katolicką Agencję Informacyjną, 40 tysięcy osób pracuje w katolickich organizacjach charytatywnych. Nie wiadomo, ile dokładnie osób świeckich jest zatrudnionych na katolickich uczelniach wyższych czy w bibliotekach. Katecheci i katechetki są zatrudniani przez szkoły, ale jednocześnie pozostają zależni od biskupów i proboszczów, a często muszą także wykonywać dodatkowe zadania na rzecz parafii w ramach niepłatnych nadgodzin. Kolejna grupa to dziennikarze i dziennikarki katolickich mediów, często mierząca się z dylematami doty-

czącymi tego, komu mają służyć: wizerunkowi instytucji czy prawdzie i etosowi zawodowemu. Świeccy to także około 30 proc. pracowników administracyjnych kurii biskupich, gdzie na ogół znajdują się w pozycji silnie podległej względem księży, a niekiedy są również wyzyskiwani, o czym mówiła więcej na łamach „Tygodnika Powszechnego” (nr 44/2017) prof. Katarzyna Leszczyńska, autorka badań na temat wzorców płciowych wśród pracowników i pracowników kurii.

Wreszcie: w Polsce działa ponad 10 tysięcy parafii. W wielu z nich pracują osoby zajmujące się plebanią, kościołem, oprawą muzyczną liturgii i tak dalej. To na nich skupiam się w tym tekście: organistach, kościelnych, gospodyniach. Przeprowadziłem rozmowy z dziewięcioma osobami z dwóch wybranych diecezji: jedna to diecezja duża, z wielkim miastem jako stolicą, druga – mała diecezja uznawana za prowincjonalną. Dotarcie do nich było dużym wyzwaniem, wymagającym uruchomienia licznych kontaktów i przekonywania o mojej dobrej woli. W większości rozmowy były krótkie, trzy – zdecydowanie dłuższe. Dwoje moich rozmówców ostatecznie nie zgodziło się na publikację ich wypowiedzi. Wszyscy pozostali – dwóch organistów i organistka, dwie gospodynie i dwóch kościelnych pracujących łącznie w sześciu różnych parafiach – poprosili o pełną anonimowość.

Na pańskiej łasce

Warunki pracy na parafiach są silnie zróżnicowane. Część różnic ma podłoże systemowe, część – indywidualne.

Marek, 57 lat, organista z dużej diecezji, mówi: – U nas jest w porządku o tyle, że stawki za granie na mszach i podczas uroczystości, w tym ślubów, są ustalone ogólnie, na poziomie diecezji, która wymusiła też na proboszczach podpisywanie umów o pracę. To standard czy „lüks”, o którym niektórzy gdzie indziej mogą tylko marzyć.

Jego słowa potwierdzają opowieści Wojciecha i Małgorzaty, również organistów, po czterdziestce, pracujących w małej diecezji, gdzie podobnych regulacji diecezjalnych nie ma. – U nas o wszystkim decyduje proboszcz. Jak bardziej sensowny, to da umowę o pracę albo chociaż zlecenie i ogłosi zasady odpłatności za granie na ślubach – opowiada Wojciech. – Ale inni organisci mają umowy wolontariackie, choć przecież dostają pieniądze, albo w ogóle nie mają żadnych umów. Jeśli proboszcz płaci słabo, a u nas w ogóle mało się zarabia, nie tylko w Kościele, to żyją z tego, co wynegocjują z wiernymi.

– To przykre, nawet upokarzające, że muszę się wyklócać z państwem młodymi o każde 100 złotych – komentuje Małgorzata. – Są źli na mnie, obgadują mnie po wsi, żem chytra, proboszcz umywa ręce, mówi, że to sprawa między nimi a mną. A dla mnie to kwestia przeżycia, muszę utrzymać siebie i dwójkę dzieci, jedyne, co naprawdę dobrze robię, to granie na organach. Co niby mam zrobić?

Małgorzata zdecydowanie trafiła na „mniej sensownego” proboszcza. Pracuje bez umowy (a więc także bez składek i ubezpieczenia), ksiądz płaci stabilnie, ale mało, a wierni niechętnie patrzą na wzrastające stawki za grę podczas uroczystości. – Rozumiem, że obecnie ślub

Kościół w parafii Opatrzności Bożej w Wesolej. Wrzesień 2015 r.

→ i wesele to jeszcze większy wydatek niż kiedyś, że ludzie liczą każdy grosz, ale ja przecież też nie kupuję w sklepach po innych cenach – dodaje Małgorzata.

Regulacji pracy organistów na poziomie krajowym nie ma. Dlatego wszystko zależy od podejścia biskupa oraz – gdy brakuje polityki diecezjalnej – proboszcza. To samo dotyczy pracowników kancelarii parafialnych, kościelnych czy gospodyń. Także w tych sferach rozpiętość rozwiązań jest pełna: od umów o pracę, przez umowy cywilnoprawne i wolontariackie, po pracę całkiem bez umowy. Umowy wolontariackie to zresztą na ogół zakłamywanie rzeczywistości.

Sławomir, lat 58, kościelny z małego miasteczka w mniejszej z diecezji, pod presją proboszcza podpisał taką umowę, choć co miesiąc dostaje wynagrodzenie. – Powiedział, że jeśli mi się nie podoba, mogę szukać pracy gdzie indziej. A u nas z robotą ciężko, więc podpisałem – opowiada. Gdy pytam, czy oczekiwałby, że jednak w Kościele będą panowały inne praktyki, odpowiada: – Proszę pana, ja już nie mam złudzeń. Praca jak praca, z czegoś żyć trzeba. Szkoda mi tylko składek, bo nie wiem, jak sobie poradzę na emeryturze. Pewnie będę pracował do śmierci albo tak długo, jak mi zdrowie pozwoli, a potem pójdę do DPS-u.

Także stawki różnią się w zależności od diecezji oraz parafii. – Ale możliwość zmiany parafii często jest iluzoryczna – komentuje Wojciech. – Księża się znają, nie chcą sobie „podbierać” pracowników, żeby nie psuć relacji, liczba parafii jest ograniczona, a przecież i tak po obecnym proboszczu może przyjść inny, który wszystko zmieni. Dlatego wielu z nas trzyma się tego, co ma.

I dlatego również systemowe rozwiązania byłyby tu tym bardziej niezbędne.

Mobbing po katolicku

Systemowe rozwiązania mogłyby też przynajmniej częściowo ograniczyć różnicowanie sytuacji pracowników parafii tak silnie zależnych od tego, na jakiego proboszcza trafią – o czym wspomina Wojciech. Halina, 63 lata, gospodyni na plebanii na wiejskiej parafii w małej diecezji, opowiada, że długo pracowała u jednego proboszcza, który traktował ją uczciwie i z szacunkiem. – Można powiedzieć, że nawet się przyjaźniliśmy – dodaje. Kiedy jednak przeszedł na emeryturę,

okazało się, że jego następcą przyjechał ze swoją gospodynią, a dla Haliny nie ma na plebanii miejsca. – Miałam 60 lat i nagle zostałam bez pracy i noclegu. Dał mi dwa tygodnie na wyprowadzkę – wspomina. Udało jej się znaleźć pracę w innej parafii oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów, gdzie akurat gospodyni zrezygnowała. – Proboszcz tutaj jest w porządku, ale zdystansowany. Tak, jak kiedyś, już nie będzie. Ale nie narzekam.

– Jak masz dobrego proboszcza, to się go trzymasz, a jak wszystko wskazuje na to, że zostanie w tej parafii na długo, że nie pójdzie zaraz gdzie indziej, to trzymasz się go rękami, nogami i zębami – gorzko śmieje się Andrzej, lat 47, kościelny w niewielkiej parafii w dużej diecezji. Jego uposażenie i forma zatrudnienia są uregulowane przez kurie, ale poprzedniego proboszcza określa mianem „chama”, o obecnym zaś mówi z szacunkiem i sympatią. – Tamten potrafił się czepiać o wszystko. Nigdy nie było dobrze, zawsze skrytykował, nawet jeśli robiłem dokładnie tak, jak powiedział – wspomina. – Groził ponadto, że mnie wywali, czasem płacił mniej, niż było na umowie, a jak się dopominałem, to mówił, że droga wolna, chętnych do pracy na moje miejsce nie brakuje. Wie pan, taka typowa „januszka biznesu”, szkoda, że w Kościele.

Podobne słowa słyszała Maria, lat 53, gospodyni w tej samej parafii. Komentuję, że według katolickiej tradycji za trzymywanie należytą pracownikowi wypłaty to grzech wolający o pomstę do nieba. – Podobne argumenty nie działają. Mówiliśmy o przepisach, regulach w diecezji. Odpowiadał tylko, że tutaj on rządzi, zna biskupa pomocniczego, bo był z nim na roku w seminarium, a i tak go przecież nie odwołają za „takie nic” – odpowiada Maria. Owo „nic” w istocie spełnia prawne znamiona mobbingu.

Oboje zostali i teraz chwalą sobie, że wytrwali, bo z nowym proboszczem relacje określają jako wzorowe. – Podniósł nam pensję, sam robi bardzo dużo, a gdy zachorujemy, to nie dość, że zaszuwa za nas, to jeszcze zawsze przyjdzie, zapyta, jak się czujemy, zatroszczy się – opowiada Maria. – Jest świetnie, ale nigdy nie wiadomo, jak pan trafi.

Oszustwo na misję

Potwierdzają to także inne historie. Marek nie narzeka. Wojciech mówi, że pro-

boszcz jest „nijaki”, ale nie wrzeszczy i nie komentuje podczas ogłoszeń doboru pieśni, jak ten z parafii obok. I płaci na czas. Małgorzata marzy nie tylko o stabilnych, wyższych stawkach, ale też o lepszym traktowaniu. – W niedzielę spędzam większość dnia na parafii. Proboszcz nigdy nie poczęstował mnie kawą czy herbatą, nie mówiąc o obiedzie. Muszę przynosić swoje jedzenie. Zastanawiałam się, czy w ogóle mnie zauważa, a od kiedy poszłam na rozmowę do kurii, przestał się ze mną witać – mówi. Sławomir czuje się wykorzystywany przez brak składek, ale też przez ogrom obowiązków. – Gdy próbowałem coś powiedzieć, słyszałem, że tutaj budujemy coś większego i trzeba się czasem poświęcić. A potem widziałem, jak proboszcz idzie na drzemkę.

Odwolania do misji czy szczególnego posłannictwa to również powtarzający się motyw w opowieściach pracowników kościelnych – nie tylko parafialnych. Jak na łamach Magazynu „Kontakt” pisał swego czasu Tomasz Pliszewski: „Wiara pracowników kościelnych w budowę niecodziennego dzieła (...) skutkuje wytworzeniem ogromnych pokładów tak zwanej nadpracy. Oddanie wspólnocie, pasja, wiara, zawód – wszystko to zlewa się w jedno, czyniąc z pracownika wernego budowniczego wspólnej sprawy. Nie tyle osobę świadczącą pracę, co funkcjonariusza i misjonarza”. – Ja naprawdę chcę pracować dla Kościoła. Wierzę w Boga, wierzę w Kościół i chciałabym się mu przydawać. Ale muszę coś włożyć dzieciom do garnka – komentuje Małgorzata. Sławomir zaś lapidarnie stwierdza: – „Misja” nie jest uznawana w szpitalach zamiast ubezpieczenia.

Kurii nic do tego

Czy podobne przypadki da się dokądś zgłosić? Oczywiście tak. Niektórzy pracownicy kościelni wygrywają w sądach, gdy po latach pracy, domagając się dokumentów, słyszą, że byli wolontariuszami. Jednocześnie zwłaszcza w przypadku organistów jest to droga trudna, gdyż ich możliwości zarabkowania w ramach wykształcenia poza strukturami Kościoła są skrajnie ograniczone. W regionach, gdzie generalnie trudno znaleźć pracę, część osób nie chce zyskać łatki „problematycznych” – nawet jeśli zdają sobie sprawę, że prawdziwie problematyczne są praktyki, które stosują proboszczowie.

Niektórzy pracownicy decydują się na zgłaszanie spraw w kuriach. Także w tym wypadku trudno przewidzieć ciąg dalszy. W klerykalnym systemie, w którym pełnia władzy spoczywa w rękach duchownych, świeccy znajdują się w sporze z księdzem na słabszej pozycji wyjściowej. Jest im jeszcze trudniej, jeśli ów ksiądz ma znajomości w kurii. Maria i Sławomir, mimo opowieści proboszcza o relacji z biskupem pomocniczym, zdecydowali się pójść ze sprawą do drugiego z sufraganów. Wysłuchał ich, przyznał rację, że to, co opowiadają, jest niezgodne z regulacjami w diecezji, wyrównał im z pieniędzy kurii zaległości w wypłatach, a także obiecał, że porozmawia z proboszczem. – Od tego czasu proboszcz płacił na czas, ale traktował nas jeszcze gorzej, skarżąc się czasem, że musi pracować z „konfidentami”, i nadając na nas, choć niby bez nazwisk, podczas ogłoszeń duszpasterskich – opowiada Sławomir. – Na szczęście niedługo później nastąpiła zmiana. Proboszcz poszedł do kolejnej parafii. Nie sądzę, by zmienił podejście.

Gorzej – bo zupełnym niczym – skończyła się wspomniana interwencja Małgorzaty. Od biskupa, do którego udało jej się dostać po dłuższych staraniach, usłyszała, że w „Kościele musimy się dogadywać i że trzeba rozmawiać”, a on nie będzie ingerował w sposób, w jaki proboszcz reguluje z nią kwestie wynagrodzenia. – Poczułam się zupełnie zlekceważona – opowiada. – A nawet gorzej, bo proboszcz szybko się dowiedział, że byłam w kurii. I zaczął mnie ignorować jeszcze usilniej niż wcześniej.

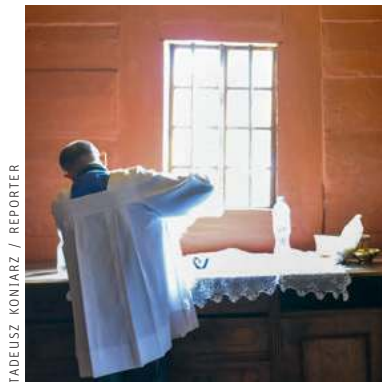
Halina, wyrzucona z tygodnia na tydzień z parafii, w której była gospodynią, twierdzi, że zgłoszenie nie miało by sensu. – Moja koleżanka próbowała w podobnej sytuacji coś wskórać. Kanclerz powiedział jej, że każdy proboszcz sam sobie dobiera współpracowników, kurii nic do tego, a diecezja nie ma jej nic do zaproponowania po 25 latach pracy dla Kościoła.

Encykliki są dla innych

Ostatecznie więc w Kościele najwięcej zależy od konkretnych osób. Po pierwsze, od świadomości i polityki biskupa – czy wprowadzi regulacje na poziomie diecezji, czy będzie tworzył atmosferę sprzyjającą zgłaszaniu nieprawidłowości oraz jak będzie na nie reagował. Po drugie, od moralnego i osobistego poziomu proboszcza: czy będzie szanował pracowników,

Biblia i Kościół o prawach pracowniczych

- Nie będziesz niesprawiedliwie gnębił najemnika ubogiego i nędznego, czy to będzie brat twój, czy obcy (...). Tegoż dnia oddasz mu zapłatę (...), by nie wzywał Pana przeciw tobie, a to by cię obciążało grzechem (Pwt 24, 14-15)
- Oto woła zapłata robotników, żniwiarzy pól waszych, którą zatrzymaliście, a krzyk ich doszedł do uszu Pana Zastępów (Jk 5, 4)



TADEUSZ KONIARZ / REPORTER

- Jeśli pracownik zmuszony koniecznością, albo skłoniony strachem przed gorszym nieszczęściem, przyjmuje niekorzystne dla siebie warunki, które zresztą przyjmuje tylko pod przymusem, ponieważ mu je narzuca (...) pracodawca, wtedy dokonuje się gwałt, przeciw któremu głos podnosi sprawiedliwość (Leon XIII, encyklika „Rerum novarum”, 34)
- Sprawiedliwa płaca staje się w każdym wypadku konkretnym sprawdzianem sprawiedliwości całego ustroju społeczno-ekonomicznego. (...) Obok płacy wchodzi tutaj w grę jeszcze różne świadczenia społeczne, mające na celu zabezpieczenie życia i zdrowia pracowników, a także ich rodziny. (...) Inną dziedziną świadczeń jest ta, która wiąże się z prawem do wypoczynku (...). Wreszcie chodzi również o prawo do emerytury, zabezpieczenia na starość (Jan Paweł II, encyklika „Laborem exercens”, 19)
- Nie ja, lecz Jezus powie: Biada wam, którzy wyzyskujecie ludzi, którzy wyzyskujecie pracę, którzy płaciecie na czarno, nie płaciecie składki na emeryturę, nie dajecie wakacji. Biada wam! Oszczędzacie na pracy, oszukujecie i nie płaciecie tego, co się należy, oszukujecie na pensjach – to wielki grzech (Franciszek) © OPRAC. ID

czy nimi pomiatał, godziwie wynagradzał czy płacił grosze, dbał o zabezpieczenie społeczne w postaci składek czy uznawał, że to – jak usłyszał Sławomir – „sprawa do załatwienia we własnym zakresie”.

Kluczowe problemy dotyczące świeckich pracowników parafii są trzy. Pierwszym jest właśnie często występujący brak zabezpieczenia społecznego, którą daje umowa o pracę albo przynajmniej umowa zlecenie. Drugim – brak mechanizmów chroniących przed przemocą i nieprawidłowościami oraz pozwalających na reagowanie na nie. Trzecim – skala zależności od przełożonego.

Odpowiedzią na pierwszy problem byłoby ujednolicenie systemu zatrudniania i wynagradzania świeckich pracowników kościelnych w całej Polsce oraz wymuszenie stosowania się do tych regulacji proboszczów i przełożonych instytucji kościelnych. Drugi problem można rozwiązać wprowadzając procedury antymobbingowe i chroniące kościelnych sygnalistów i sygnalistki. Trzeci znacząco straciłby na znaczeniu, gdyby rozwiązano dwa pierwsze.

Wszystko to razem miałyby zaś szereg pozytywnych efektów. Zabezpieczyłoby Kościół przed postępowaniami w sądach pracy. Budowałoby wizerunek Kościoła jako przyjaznego miejsca zatrudnienia. Rodziło lojalność pracowników Kościoła opartą na innym niż narracja o „misyjności” źródle. Zapewniałoby spójność między praktyką a teorią zawartą w katolickiej nauce społecznej, encyklikach o godności pracy czy nawet tradycji nauczania choćby kard. Stefana Wyszyńskiego, Jana Pawła II czy ks. Jerzego Popiełuszki.

Wreszcie, najważniejsze, chroniłoby godność oraz prawa pracowników i pracowników Kościoła, pozwalając unikać ich krzywdy i wykorzystania zarówno w trakcie ich pracy w Kościele, jak i na emeryturze czy w okresach chorowania. To niezbędne, gdyż składanie ludzkich losów na karb dobrej woli, dzielności moralnej i przyzwoitości poszczególnych ludzi to igranie z ogniem. Część moich rozmówców się przy nim ogrzewa, inni jednak kończą z poparzeniami. To więc hazard o zbyt wysokiej stawce.

© IGNACY DUDKIEWICZ

Autor jest redaktorem Magazynu „Kontakt” i autorem książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem”.

Sanctus, sanctus, sanctus

PIOTR SIKORA

Świętość świata ujawnia się w harmonii i w napięciach. W istnieniu i w przemijaniu. Warto mieć na nią otwarty umysł i zmysły.

I

Nie wiem, czy było to wycie, ryk, czy huk. Nie potrafię powiedzieć, czy ten dźwięk pochodził z morza, czy z wiatru. Nie można było odróżnić, gdzie kończyły się ściany fal, a gdzie zaczynała kopuła chmur. Słony pył otaczał szczelnie, wciskał się do płuc. By zrobić wydech, trzeba było z całych sił kurczyć przeponę i mięśnie przy żebrach. Drzenie z zimna. Kilka skulonych postaci w kolorowych sztor-miakach, ledwo widocznych w strugach deszczu (a może to morska piana?). Kilka postaci w tle świadomości – zostali daleko na brzegu, kochają mnie, ja kocham ich, jeśli przeżyć, to dla nich.

Czy był strach albo lęk? Raczej groza przechodząca w podziw i fascynację.

Groza i ekstaza? Anglicy mają na to słowo: *awe*. Starożytni powiedzieliby: *tremendum et fascinans*. Kapitan naszego jachtu (teraz wiem, co znaczy fraza „łupinka na falach”) przyznał potem, że byliśmy blisko, właściwie na granicy tego i tamtego świata. Ale czego bym nie robił, ile lat by nie minęło od tego sztormu, tli się we mnie pragnienie, żeby tam wrócić.

II

Tamten obraz, a bardziej nawet tamto uczucie (na które po polsku trudno znaleźć słowo) wróciło do mnie, gdy siedziałem przed domem w ciepły kwietniowy poranek. Światło słoneczne nabierało koloru jasnej zieleni młodych liści. Ogród grał jeden z moich ulubionych utworów:

świergot rudzików, szpaków i ten dalszy, spośród drzew, nie wiem czyj. A w tle buczenie trzmieła, który krótkimi przelotami (wyglądał właściwie, jakby skakał w zwolnionym tempie) przemieszczał się w górę trawnika, coraz bliżej moich stóp. Budziły się osy i szerszenie.

Wyciszenie umysłu śledzącego pracę trzmieła, lot motyla, godowy śpiew kosa; błędzenie swobodnie wzrokiem po zamglonych pasmach gór; otwarte usta, chłonna w podziwie słoną grozę sztormu – to jak krok za krokiem w procesji do Komunii Świętej Świata. Pięknie, pięknie – zaszeptał w tyle głowy sceptyk – ale czy z równie pobożną otwartością przyjmiesz ukąszenie komara (albo żmii)? I co zrobisz, gdy w kolejnym procesyjnym kroku wdepniesz w miękkie i śmierdzące odchody jakiegoś zwierzęcia?

A przecież jeśli rację ma Pismo i „On wszystko całkowicie napęlnia” (Ef 1, 23), dotyczy to tak samo zapachu kwitnącej czeremchy, jak i woni gnijącego truchła wrony, tak śpiewu słowika, jak i warkotu piły mechanicznej ścinającej drzewo, tak samo jasnego obłoku na błękitnym niebie, jak i gęstych, szarych chmur z burzowymi wieżyczkami, tak promieni słońca, jak niespodziewanie wracającego wiosną



deszczu ze śniegiem, i rozgrzanej trawy, i zimnego błota, i gryzącego w oczy kurzu.

III

Pamiętam siebie nastoletniego, przeżywającego w religijnej grupie wakacyjne rekolekcje. Gdy pogoda była odpowiednia, zostaliśmy wysłani na ważne religijne ćwiczenie, które nazywało się „wyprawą otwartych oczu”. Chodziło w nim o to, by zauważyć piękno i harmonię świata – mającą świadczyć o dobroci jego Stwórcy. Rozchodziliśmy się po łąkach i niewielkich zagajnikach. Leżeliśmy w trawie, jedliśmy jeżyny. Dzięki Boże! Tylko czemu kłują? Nagle: kot z gracją skoczył na mysz; dostojnie oddalił się z szamoczącym ciałkiem w zębach; z uroczego pyszczka kapłała krew.

Piękno i harmonia świata jest prawdą. Strach i ból myszy jest prawdą. Aksamienny smak jeżyn jest prawdą. Uczulenie kolegi i jego trudności z oddechem, gdy użądliła go osa ukryta w jeżynach, są prawdą. I dzisiejszy poranek, ciepły, ale nie za gorący, słoneczny i rozbrzmiewający kojącym duszę świergotem ptaków jest prawdą. I nadchodząca znad lasu burza – pierwsza w tym roku z piorunami (syrena ochotniczej straży pożarnej już

wyje) – jest prawdą. A powstające uczucie, na granicy tego, czego pragnę (i co, gdy tylko się stanie, zaraz ucieka), i tego, czego boję się i nie chcę (co jednak nieuchronnie nadchodzi) – to samo uczucie, które ogarnęło mnie podczas tamtego sztormu – ono jest tą tajemną do prawdy furtką, ukrytą gdzieś na tyłach świadomości, zwykle zasłoniętą iluzją trwałego „ja”, tak mocnego, że zdolne jest kontrolować siebie i rzeczywistość.

IV

Wiatr, powietrze na twarzy, wciągamy je w płuca, razem z tlenem i pyłem. Czuję, że żyję, i czuję, że kaszlę. Kaszel się skończył, ale znów wdech i znowu wydech – mój do głębi, a przecież nigdzie, od dna płuc aż po horyzont, nie ma żadnej granicy, muru ani przepaści – tylko ten sam ruch mieszaniny gazów, we mnie i wokół mnie. Jak zapisano w apokryficznej Ewangelii Tomasza: „Mówi Jezus: Jeśli wasi przywódcy powiedzą: »Królestwo jest w niebie«, to ptaki niebieskie wyprzedzą was. Jeśli powiedzą: »Królestwo jest w morzu«, wyprzedzą was ryby. Lecz królestwo jest wewnątrz was i na zewnątrz was. Gdy poznacie samych siebie, zostanieie poznani i zrozumiecie, że jesteście dziećmi Ojca żyjącego.

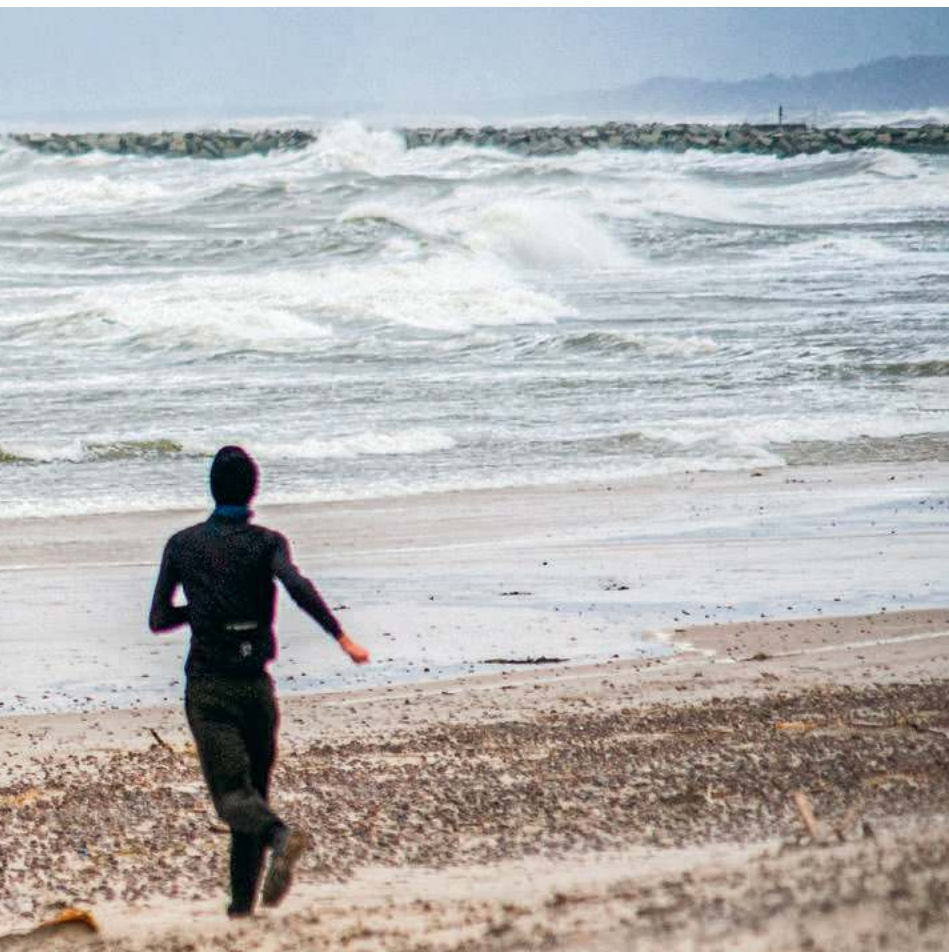
A jeśli nie poznacie siebie, jesteście ubodzy i sami jesteście biedą” (Ewangelia Tomasza 3). Oddycham, powietrze jest we mnie, powietrze jest wokół. Wiem, że oddycham – Królestwo jest we mnie, Królestwo jest wokół.

Trzeba tylko zrozumieć słowa, które miał zapisać Tomasz-Bliźniak: „Mówi Jezus: Rozpoznaj, co masz przed sobą, a to, co ukryte, objawi ci się. Gdyż nie ma nic ukrytego, co by się nie ujawniło” (Ewangelia Tomasza 5). To, co ukryte, staje się jawne, gdy rozpoznaję, co mam przed sobą: że idąc ścieżką w zaroślach, wszedłem na teren dzików (locha z młodymi), lepiej jest się wycofać; że po słonecznej pogodzie nadchodzi deszcz, po wiosnie i lecie – jesień i zima, i nie zatrzymam tej zmiany; że gdy ciśnienie rośnie, rośnie moja łagodność, gdy spada ciśnienie – robię się rozdrażniony; że nie potrafię wyjaśnić, jak piękno godzi się z bólem, dlaczego lot sokoła kończy się śmiercią gołębia...

Co jednak staje się jawne? Czy to można powiedzieć? Nie bardzo – słowa zatrzymują procesję życia w pół kroku. Spróbujmy jednak słowami nowiny Bliźniaka: „Ja jestem światłem, które jest ponad wszystkim. Ja jestem wszystkim. Wszystko wyszło ze mnie i wszystko do mnie wróciło. Rozłupcie drzewo – ja tam jestem. Podnieście kamień – znajdziecie mnie tam” (Ewangelia Tomasza 77). Tak, tekst Ewangelii Tomasza stwierdza wyraźnie, że to słowa Jezusa. Ale skoro On wszystko napełnia, skoro jest wszystkim – mówi to także przeze mnie. Choć im bardziej ujawnia się to, co ukryte, tym bardziej ja znikam. Więc może powiedzieć inaczej: rozłupcie drzewo, popłynie żywica, podnieście kamień, z wilgotnej ziemi wyjdą robale, drożdż sfrunie z gałęzi, porwie, zanieśe pisklętom do gniazda...

V

To, co ukryte, ujawni się jednak w pełni dopiero, gdy przyjdzie noc i zamilkną ptaki, w ciemności schowają się kamienie i drzewa. A zwłaszcza gdy ciemność ukryje powietrze, którego cząstka przepływa przez płuca, a reszta aż po horyzont – i ono wreszcie przestanie zasłaniać. Wtedy dopiero będzie można położyć się plecami na ziemi i patrzeć, patrzeć uważnie, powoli na gwiazdy, aż spomiędzy nich ukaże się przestrzeń. Tak bezmierna, że znika w niej i trzmiel, i drożdż, i drzewa, i nawet sztorm... © P



HUBERT BIERNDGARSKI / REPORTER

Cud znikania ciąży

ANNA BRZEZIŃSKA

Irlandzkie opowieści o „uzdawianiu ciężarnych zakonnic” to świadectwo wiary w potęgę i miłosierdzie Boga. A także dowód, że średniowieczny Kościół rozumiał trud ludzkiego życia.

PEWNEGO RAZU ŚWIĘTA BRYGIDA, ZAŁOŻYCIELKA słynnego klasztoru w Kildare, spotkała grzeszną mniszkę, która uległa pożądliwości i zaszła w ciążę. Ale nie czyniła jej wyrzutów ani nie wymierzyła kary za złamanie ślubów. Zamiast tego pobłogosławiła kobietę – a gdy tylko to uczyniła, ciąża znikła „bez porodu czy bólu”. Mniszka, „uzdrowiona”, powróciła do życia zakonnego. Historia opisana została w żywocie świętej patronki Irlandii. Tylko dlaczego „cud zniknięcia ciąży” uznany został za dowód jej świętości?

Nie jest to odosobniony epizod. Nie da się go wytłumaczyć pomyłką czy niefrasobliwością skryby. Podobne historie znajdziemy także w żywotach trzech innych wczesnośredniowiecznych irlandzkich świętych – Áeda mac Bricca, Kiarana z Saigir oraz Kanizjusza z Aghaboe – zaliczanych do grona dwunastu apostołów Irlandii. Choć żywot św. Brygidy, autorstwa Cogitosusa, mnicha z Kildare (VII w.), jest prawdopodobnie źródłem tego niezwykłego cudu i stamtąd przeniknął w późnym VIII lub IX w. do żywotów trzech pozostałych świętych, gdzie następnie był modyfikowany i rozbudowywany.

Święty Áed mac Bricc w swoich wędrówkach często odwiedzał żeńskie wspólnoty. Wedle żywota: „będąc w gościnie w siedzibie mniszek w Druimard, spostrzegł, że usługująca mu przy stole zakonnica spodziewa się dziecka; widząc to święty natychmiast się oddalił bez słowa, mniszka zaś wyznała wobec wspólnoty, że w sekrecie zgrzeszyła i uczyniła pokutę; wówczas święty Áed pobłogosławił jej łono i natychmiast dziecko zniknęło, jakby nigdy nie istniało”.

W żywocie św. Kanizjusza z Aghaboe sama grzeszna mniszka niejako inicjuje cud, prosząc świętego o błogosławieństwo i „uzdrowienie”: „pewna dziewczyna żyjąca nieopodal w sekrecie zgrzeszyła

i zaszła w ciążę; poprosiła świętego, żeby pobłogosławił jej łono, jak gdyby wzbierało od jakiejś choroby; kiedy to uczynił, dziecko w jej łonie zniknęło bez śladu”.

Natomiast w żywocie św. Kiarana z Saigir bohaterka i fabuła cudu ulegają jeszcze istotniejszej zmianie. Zgodnie z relacją żywociarza: „we wspólnocie zakonnej żyła piękna panna szlachetnego rodu o imieniu Bruinech; gdy wieść o niej dotarła do miejscowego króla, Dimmy, uprowadził ją z klasztoru; święty zażądał jej wydania, na co król przystał, ale pod warunkiem, że następnego dnia obudzi go kukanie kukułki, co było mało prawdopodobne w środku zimy; o brzasku kukulka obudziła Dimmę, ten zaś dotrzymał słowa i święty odzyskał Bruinech; po powrocie do klasztoru kobieta wyznała, że poczęła, a święty, uniesiony pragnieniem sprawiedliwości i nie chcąc, by nasienie węża ożyło, uczynił znak krzyża nad jej brzuchem i sprawił, że opróżniła”.

Niechciana ciąża jako choroba duszy

Do wszystkich tych epizodów – pomimo różniących je szczegółów – przyłgnęło w historiografii miano cudów aborcyjnych. Ich interpretacja nastrocza wiele problemów, a w bogatej literaturze hagiograficznej średniowiecza trudno je z cokolwiek porównać. Najbliżej im chyba do słynnej historii o gilbertyńskiej mniszce z Watton, o której pisał cysterski opat Aelred z Rievaulx (ok. 1160 r.). Wedle jego relacji zamkniętą w klasztornym więzieniu ciężarną mniszkę odwiedził w ciemności nieżyjący świętobliwy arcybiskup Henry Murdac. Zakrył jej oczy swoim paluszkiem, a następnie wyszedł z celi wraz z dwoma aniołami niosącymi niemowlę. Następnego ranka na ciele kobiety nie znaleziono żadnych śladów ciąży, dziecko również znikło.



Znacznie później, w 2. poł. XIV w., podobny motyw cudownych narodzin i zniknięcia dziecka pojawia się kilkakrotnie w islandzkich sagach. Tym razem z udziałem Maryi oraz świątobliwych biskupów Guðmundura Arasona i Þorlákra. Dziecko jest tu czasem owocem grzechu, czasem nienaturalnie długotrwałej ciąży, bywa też, że nie pojawia się żaden kontekst poza oczywistym osamotnieniem ciężarnej.

Nawet jeśli przyjmiemy, że motyw cudownego zniknięcia ciąży z wczesnośredniowiecznych irlandzkich żywotów był powiązany z późniejszymi realizacjami z Anglii i Islandii, cuda tego typu są nader nieliczne i nie opisywano ich w Europie kontynentalnej. Trudno też znaleźć oczywisty klucz do ich zrozumienia. Znaczące jest jednak konsekwentne przedstawianie interwencji świętego w kategoriach uzdrowienia, jak w żywocie św. Brygidy „Vita prima”, gdzie cały wątek zamykają słowa „została uzdrowiona i dziękowała Bogu”.

Nie znaczy to oczywiście, że ludzie średniowiecza postrzegali ciążę grzesznych mniszek jako chorobę w nowożytnym, medycznym znaczeniu. W ówczesnym świecie istniał ścisły związek pomiędzy grzechem i chorobą, więc „uzdrowienie” mogło mieć istotny wymiar duchowy,



CLODAGH KILCOYNE / REUTERS / FORUM

*Zakonnice modlące się w opactwie Świętej Marii w Glencairn.
Irlandia, 30 sierpnia 2022 r.*

związany z wymazaniem fizycznych konsekwencji grzechu.

Zniknięcie ciąży jako znak miłosierdzia dla kobiet

Fizyczny wymiar tych cudów budził w XIX w. takie zakłopotanie, że niekiedy po prostu usuwano je z edycji źródłowych. W czasach dzisiejszych szokują nieco mniej, nadal jednak pozostają zagadką. David Herlihy widział w nich archaiczny relikw pogańskich tradycji i zwyczajów, Sean Connolly zaś – naiwność autorów. Wedle Lisy Bitel dowodzą, że we wczesnośredniowiecznym Kościele irlandzkim panował pobłażliwy stosunek do aborcji.

Podobnego zdania była Maeve B. Callan, której zdaniem aborcja we wczesnym średniowieczu nie była utożsamiana z morderstwem, a antyaborcyjne stanowisko współczesnego Kościoła irlandzkiego nie ma związku ze średniowiecznym dziedzictwem, w którym przewiny seksualne traktowane były pobłażliwie, zarówno przez teksty hagiograficzne, jak i tzw. księgi pokutne, zawierające wskazówki dla spowiedników co do wysokości pokut. Z kolei Zubin Mistry odczytuje te historie jako opowieść o boskim miłosierdziu, wybaczeniu i przywróceniu do

wspólnoty zakonnej, co wydaje się najbardziej przekonujące.

Oczywiście nie jesteśmy w stanie ustalić, w jaki sposób rozumieć te opowieści współcześni – i to zarówno ludzie Kościoła, którzy je spisali, jak i odbiorcy. Trudno jednak wierzyć, że umieszczono je w żywotach świętych przez przypadek i błogą prostoduszność. Średniowieczne teksty hagiograficzne zbierały świadectwa świętości, ale miały też wyraźne cechy dydaktyczne. Dowodziły wszechmocy Boga działającego poprzez swoich świętych, budziły podziw dla ich heroicznych cnót, a jednocześnie zachęcały do naśladowania. Ponieważ bohaterkami wszystkich irlandzkich cudów są mniszki, w ich historiach należy widzieć pochwałę życia monastycznego i obronę czystości, kluczowej cnoty w ówczesnym rozumieniu żeńskiej monastycznej pobożności.

Kto czyhał na konsekrowane dziewice

Kobiety we wczesnośredniowiecznej Irlandii, jak zresztą w całej ówczesnej Europie, były definiowane przez seksualność. Płodność odróżniała mężatki, wedle słów św. Pawła zbawiane przez rodzenie dzieci, od mniszek, które poprzez heroiczną czystość uwalniały się od przekleństwa

Ewy, trudów brzemienności i bólu rodzenia dzieci. Macierzyństwo – jak przekonawali autorzy głoszący wyższość życia konsekrowanego nad małżeńskim – wiązało się bowiem z ryzykiem i cierpieniem podczas porodu, z chorobami i przedwczesną śmiercią dzieci, z utratą i rozpaczą matek. Ten aspekt macierzyństwa zauważa również autor żywota św. Brygidy, pisząc, że święta uwolniła grzeszną mniszkę od ciąży i przywróciła do życia we wspólnocie „bez porodu czy bólu” i bez śladu na ciele kobiety.

Lecz czystość była w średniowieczu krucha i wiązała się z ryzykiem. Na konsekrowane dziewice czyhali wrogowie zewnętrzni w postaci rozmaitych nikczemników w rodzaju króla Dimmy. Ponadto ludzkie ciała pozostawały podatne na grzech i nieustannie mogły zatriumfować nad wolą i rozumem. Dotyczyło to zwłaszcza ciał kobiet, które uchodziły przecież za moralnie i intelektualnie słabsze. Ich czystość nie była ani statyczna, ani dana raz na zawsze. Wymagała nieustannej ochrony i łatwo ją było utracić, z własnej winy lub nie. Konsekwencje tej utraty były dla mniszek niezmiernie dotkliwe.

Pokuta za aborcję: inna dla mniszek, inna dla kobiet świeckich

Nie zaskakuje więc, że współcześni irlandzcy autorzy tak wiele uwagi poświęcali seksualności osób duchownych i w penitencjałach szczegółowo opisywali ich możliwe grzechy wraz z odpowiednimi pokutami. W jednej z najstarszych, pochodzącej z 2. poł. VI w. irlandzkiej księdze pokutnej zawarto znamienne przestrożę, że ludzie Kościoła mają więcej obowiązków, a ich sekretne grzechy po ujawnieniu stają się publicznym zgorszeniem, zatem należy je karać surowiej niż grzechy świeckich. Za aborcję lub dzieciobójstwo przewidziano tu dla świeckiej kobiety półroczną pokutę, lecz dla konsekrowanej dziewicy, której grzech stał się jawny, aż 6 lat.

Ale celem pokuty nie było po prostu ukaranie grzesznika, tylko oczyszczenie, odpuszczenie grzechów i powrót do wspólnoty. Wedle słów penitencjału, po odprawieniu pokuty mniszka znów

→ mogła stać przed ołtarzem i zostać ogłoszona dziewicą, co oczywiście należy rozumieć symbolicznie, jako że dziewictwo wiązało się wówczas nie tyle z fizjologią, co ze sposobem życia. Niemniej także ówczesne teksty hagiograficzne podkreślają znaczenie cnoty miłosierdzia, a grzeszne mniszki po odprawieniu pokuty najczęściej przyjmowano z powrotem do klasztorów, niekiedy nawet z dziećmi.

Jak w średniowieczu rozumiano aborcję

Natomiast sprzeciw wobec aborcji i dzieciobójstwa bardzo wcześniej – już wówczas, gdy pierwsze pokolenia uczniów Jezusa walczyły z pogańskim wizerunkiem chrześcijaństwa jako sekty mordującej dzieci i uprawiającej rytualny kanibalizm – stał się częścią tradycji chrześcijańskiej. Niemniej ta dawna koncepcja aborcji była inna od naszej i kształtowała ją kilka różnych tradycji, dość odległych od naszego doświadczenia.

Z literatury i prawa rzymskiego średniowiecze przejęło przeświadczenie o popularności trujących i magicznych napojów powodujących aborcję, uznanie aborcji za typową kobiecą zbrodnię oraz afirmację praw ojców, którzy mogli decydować o losie potomstwa. W tej perspektywie nie zajmowano się kobietami, które z przyzwoleniem czy na polecenie mężów dokonały aborcji, tylko aborcjami dokonanymi przez osoby spoza rodziny.

Aborcję bądź doprowadzenie przemocą do poronienia widziano tutaj jako szkodę wyrządzoną mężom lub ich rodowi, podlegającą rekompensacie finansowej.

Z kolei w perspektywie kościelnej aborcja była grzechem, którego odpuszczenie zależało od skruchy, odprawienia pokuty i intencji powstrzymania się od grzechu w przyszłości. Istotnym dziedzictwem irlandzkich penitencjałów jest przeświadczenie, że grzech ten i pokuta z nim związana winny być takie same, bez względu na to, kto i z jakiego powodu popełnił grzech – z uwzględnieniem różnicy pomiędzy świeckimi i ludźmi Kościoła – podczas gdy w prawach zwyczajowych wartość rekompensaty finansowej zależała od statusu matki, płodu i sprawcy.

Uduchowienie – kiedy płód staje się człowiekiem

Ale wiedza o fizjologii ciąży była znikoma, ludzie nie mieli więc pewności, kiedy zaczyna się życie. Dla Kościoła kluczowa była kwestia, kiedy płód uzyskuje duszę.

W średniowieczu przeważała koncepcja tzw. animacji opóźnionej. Najczęściej przyjmowano za Arystotelesem, że uduchowienie następuje około 40. dnia w przypadku chłopców i 80. dnia w przypadku dziewczynek. Aborcja pozostawała grzechem bez względu na etap ciąży, lecz najczęściej tylko po uformowaniu się płodu i uduchowieniu zrównywano ją z zabójstwem – i ta koncepcja została

włączona do prawa kanonicznego i nauczania papieskiego. Być może właśnie do niej nawiązywał autor żywota św. Kiarana z Saigir, a wzmianka o nasieniu węża w łonie Bruinech, które za sprawą świętego nie ożyło, ma sugerować, że nie doszło do uduchowienia.

Znano wreszcie w średniowieczu perspektywę karną, wedle której aborcja stanowi przestępstwo podlegające postępowaniu z urzędu i karze wymierzonej przez publiczny wymiar sprawiedliwości. Jednakże ta koncepcja, dominująca w naszym dyskursie publicznym, według przekonującej analizy Wolfganga P. Müllera wykształciła się na długo po spisaniu irlandzkich cudów. Dopiero w XII w. włoscy prawnicy zaczęli formułować rozróżnienia pomiędzy grzechem, szkodą a przestępstwem. Autorzy żywotów irlandzkich świętych jeszcze tej koncepcji nie znali i raczej nie usiłowali się włączyć w debatę o początkach życia czy kryminalizacji aborcji, bo ta jeszcze nie stała się przestępstwem w nowożytnym znaczeniu.

Średniowieczny Kościół i Boże miłosierdzie

Duchowni spisujący irlandzkie cuda byli natomiast przekonani, że to Bóg włada płodnością, co nie znaczy, że czynili z wiary odpowiednik aborcyjnego napitku. Przeciwnie, bardzo starannie dobierali słowa, by opisywać nie aborcję, która dla współczesnych wiązała się z truciznami, magicznymi napitkami, krwią, przedwczesnym porodem i dzieciobójstwem, tylko cudowne przywrócenie czystości kobietom, które wybrały czystość jako ścieżkę zbawienia. Nie koncentrowali się na winie i karze, stanowiących kluczowy element debaty w naszych czasach. Przekonując czytelników i słuchaczy, że dzięki błogosławieństwu świętych i „mocy ich najgłębszej wiary” zniknęły konsekwencje grzechu, snuli opowieści o przebaczeniu, o miłości Bożej i powrocie grzeszników do wspólnoty.

Propagowali wartość życia konsekrowanego i związanej z nim cnoty czystości, lecz zarazem pod opowieściami o zniknięciu niechcianej ciąży kryła się obietnica, że Bóg jest potężny i pełen miłosierdzia, a każdy grzesznik może być zbawiony.

© ANNA BRZEZIŃSKA

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórze w Krakowie w Wydziale I Cywilnym w sprawie I Ns 59/25/P wszczął postępowanie z wniosku Przemysława Stanisławskiego i Krystyny Stanisławskiej o uznanie za zmarłego Radosława Stanisławskiego, syna Jana i Krystyny Stanisławskich, ur. 21 stycznia 1981 r. w Wałbrzychu, ostatnio zamieszkałego w Krakowie przy ulicy Krakusa 15/3.

Wzywa się zaginionego, aby w terminie trzech miesięcy zgłosił się, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego. Wzywa się wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby w terminie trzech miesięcy przekazały je sądowi.

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórze w Krakowie I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 67/25/P z wniosku Stanisława Słoczyńskiego, zamieszkałego przy ul. Pędzichów 15/20, 31-152 Kraków, o stwierdzenie zasiedzenia udziału w prawie własności nieruchomości położonej przy ul. Stromej 4 w Krakowie, oznaczonej jako działka 212 obr. ew. 12. Zainteresowanymi w sprawie mogą być spadkobiercy po Marii Kowalskiej z domu Wiatrak zmarłej w dniu 10.02.2001 r. oraz spadkobiercy po Kazimierzu Wiatraku zmarłym w 2011 r.

Spadkobierców wskazanych osób wzywa się do zgłoszenia się do tutejszego Sądu w terminie 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia i wykazania swych praw do nieruchomości pod rygorem pominięcia i stwierdzenia zasiedzenia, o ile zostanie ono udowodnione.

Autorka jest mediewistką, autorką wielu książek historycznych i powieści fantasy.

Kościelne niszczenie akt

ARTUR SPORNIAK

Kodeks Prawa Kanonicznego nakazuje każdego roku niszczyć część dokumentów z procesów karnych w sprawach obyczajowych. Szwajcarscy biskupi ignorowali to prawo, a Watykan im na to pozwolił.

KONFERENCJA EPISKOPATU SZWAJCARII uzyskała od Watykanu zgodę, by nie wypełniać nakazu prawa kanonicznego o niszczeniu akt procesów karnych w sprawach obyczajowych. Kanon 489 Kodeksu Prawa Kanonicznego mówi o zorganizowaniu w każdej kurii diecezjalnej tajnego archiwum, do którego dostęp ma tylko biskup ordynariusz.

A paragraf drugi tego kanonu nakazuje: „Każdego roku należy zniszczyć dokumenty obyczajowych spraw karnych, gdy oskarżone w nich osoby zmarły, albo spraw zakończonych przed dziesięciu laty wyrokiem skazującym, zachowując krótkie streszczenie faktów wraz z tekstem wyroku kończącego postępowanie”.

Można by pomyśleć, że przepis został wprowadzony celowo, by tuszować sprawy związane z pedofilią w Kościele (w rzeczywistości jego historia jest inna). Przypuśćmy bowiem, że polscy biskupi powołują długo zapowiadaną, niezależną komisję do badania przypadków wykorzystania małoletnich w Kościele i nadają jej uprawnienia do wglądu w tajne archiwa diecezjalne. Co komisja tam zastanie? Możliwe, że skrawki informacji. Cała nadzieja w tym, że ten kontrowersyjny przepis nie jest w Polsce sumiennie przestrzegany (takie głosy dotarły do nas z niektórych diecezji).

Niszczono akta procesów karnych zawierają m.in. zeznania świadków – w tym przede wszystkim osób skrzywdzonych. Przypomnijmy, że w Kościele osoby skrzywdzone wciąż mają tylko status świadka, a nie strony procesowej (stronami są oskarżony i Kościół). Zatem znikają świadectwa krzywdy i okoliczności przestępstwa. Podobny los spotyka ekspertów biegłych. Gdyby los spotykał nie dostał wyrok 15 lat pozbawienia wol-



DIMITRIJ PERSZYN / ADOBE STOCK

ności, kościelne akta jego sprawy znikną, zanim wyjdzie z więzienia.

Co prawda akta procesów o wykorzystanie seksualne osoby małoletniej przekazywane są do Dykasterii Nauki Wiary (w 2002 r. taki obowiązek wprowadził Jan Paweł II), ale przepis ten nie od razu przyjął się wśród hierarchów, poza tym dykasteria nie ma w zwyczaju udostępniania komukolwiek zawartości swoich archiwów.

Bunt Biskupów

Taki stan rzeczy spowodował, że w 2023 r. doszło do bezprecedensowej sytuacji: biskupi Szwajcarii ogłosili w oficjalnym periodyku, że będą świadomie łamać nieprzystające do rzeczywistości prawo kanoniczne. Robili to przez dwa lata, jednocześnie starając się o autoryzację Watykanu. Bezpośrednim impulsem były wnioski z pilotażowego badania nadużyć seksualnych w Kościele od połowy XX wieku, zlecone przez instytucje kościelne Uniwersytetowi w Zurychu. W raporcie, jaki powstał, udało się opisać jedynie ułamek spraw (1002 przypadki wy-

korzystywania seksualnego z udziałem 510 oskarżonych osób i 921 ofiar), między innymi z powodu pustek w kościelnych archiwach.

W dyskusji kanonistów, jaka się po tym wywiązała, podważano potrzebę istnienia tajnych akt biskupich. Problem kanonu 489 podnoszono także w Niemczech – biskupi Trewiru i Essen wydali dekrety ignorujące kłopotliwy przepis.

Dla dobra przestępców

W polskim Kościele problem nie jest dostrzegany. – Nie znalazłem żadnego prawniczego komentarza na ten temat – przyznaje pytany przez „Tygodnik”, chcący zachować anonimowość kanonista. I dodaje: – Ale skoro Stolica Apostolska dała Szwajcarom dyspensę od tego kanonu, najwyraźniej jest świadoma jego kontrowersyjności w obecnej sytuacji. Zmienić prawo kanoniczne może jednak tylko papież.

Nasz rozmówca podkreśla, że przepis nie został wprowadzony, by tuszować przypadki pedofilii. Zresztą nie pojawił się współcześnie, wraz z nowym, zreformowanym przez Jana Pawła II w 1983 r. kodeksem prawa kanonicznego, ale został do niego przeniesiony z poprzedniego kodeksu (z 1917 r.), którego kanon 379 stwierdzał: „raz w roku dokumenty w sprawach karnych o charakterze obyczajowym powinny być spalone, w przypadku gdy oskarżony zmarł lub gdy upłynęło dziesięć lat od wyroku skazującego, pozostawiając jedynie krótkie streszczenie faktów i tekst ostatecznego wyroku”.

A w jakim celu przepis ten został w ogóle wprowadzony? Kanonista uważa, że w pierwotnym zamierzeniu miał chronić intymność osób w sprawach delikatnych, bo obyczajowych. Byłby więc jednym z przykładów miłosierdzia Kościoła okazywanego przestępcom seksualnym, z pominięciem perspektywy i interesu ofiar.

Co dalej?

Zapytaliśmy rzecznika Konferencji Episkopatu Polski, czy z uwagi na prace nad powołaniem eksperckiej komisji do zbadania zjawiska wykorzystywania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce KEP zwróci się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o podobną dyspensę, jaką otrzymali Szwajcarzy. Na razie nie uzyskaliśmy odpowiedzi. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Radość naszą ostoją*



PASCHA, WIELKANOC, UROCZYSTOŚĆ Zmartwychwstania to czas otrzeźwienia, upewnienia, że najważniejsze wciąż przed nami, a nie za nami. Idąc za radą Ezdrasza, kapłana Pierwszego Przymierza, wróćmy do żydowskiej tradycji świętowania i równoległe z opi-

sami o aresztowaniu, torturach i krzyżowej śmierci Jezusa czytamy Pieśń nad Pieśniami. Tę księgę Żydzi uważają za serce Biblii, klucz do jej zrozumienia.

Ezdrasz, widząc, jak czytanie Tory mocno wstrząsnęło wracającymi z niewoli babilońskiej Izraelitami, że uświadomili sobie, jak daleko odeszli od Boga, i zaczęli z tego powodu rozpaczć, „powiedział do nich: Idźcie jeść potrawy świąteczne i pić słodkie napoje. Podzielcie się też z tymi, którzy nic nie mają – bo dzień dzisiejszy jest poświęcony Panu naszemu. Nie bądźcie przygnębieni, gdyż radość Pana jest waszą ostoją (...) całe zgromadzenie rozeszło się, aby jeść i pić, aby dzielić się z innymi i radować się – zrozumieli bowiem słowa, które zostały im ogłoszone”. Co takiego zrozumieli Izraelici, że ich smutek zamienił się w radość? Co też takiego zrozumieli zwolennicy Jezusa, że po Jego klęsce pozbierali się, na chwilę wrócili na miejsce klęski, ale tylko po to, żeby zostawić dotychczasowy sposób życia i ruszyć w dalszą drogę?

Poszli w nieznany, groźny świat i głosili, że „nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś oddaje życie za przyjaciół” i za nieprzyjaciół. To znaczy: dochowuje wierności tym, którzy Go pokochali i których On pokochał. Widząc, jak Jezusowy sposób myślenia i postępowania zaczyna zmieniać ich podejście do życia, zrozumieli, że zła nie można usuwać inaczej, jak tylko pomnażając dobro, za które w przerośni i dosłownie zawsze płaci się życiem. Zrozumieli, że śmierć nie musi oznaczać unicestwienia, przeciwnie, stając się wyznaniem miłości, służy życiu, sprawia, że wzorem Boga człowiek ze zła potrafi wyprowadzić dobro. Uwierzyli, że rzeczywiście Jezus jest ucieleśnieniem Boga i nie ma co szukać Go w grobie czy spodziewać się Jego rychłego powrotu, by zbudować dla umiłowanych coś na wzór rezerwatu, chroniącego ich przed „powietrzem, ogniem i wojną”. Przestali wierzyć we wszechmoc zła, w tym śmierci, i dlatego – trudno tego nie widzieć – zbudowali świat, w którym przy całej jego potworności bywamy jednak szczęśliwi. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Żyjący*



W TYM ROKU WIELKANOCNĄ EWANGELIE ogłasza nam św. Łukasz: „W pierwszy dzień tygodnia niewiasty poszły skoro świt do grobu, niosąc przygotowane wonności. Kamień zastały odsunięty od grobu. A skoro weszły, nie znalazły ciała Pana Jezusa. Gdy wobec tego były

bezradne, nagle stanęło przed nimi dwóch mężczyzn w lśniących szatach (...) Rzekli do nich: Dlaczego szukacie żyjącego wśród umarłych? Nie ma Go tutaj. Zmartwychwstał. Przypomnijcie sobie, jak wam mówił, będąc jeszcze w Galilei (...) I przypomnieli sobie Jego słowa” (Łk 24, 1-8).

Zrozumieć, przeżyć, doświadczyć zmartwychwstania Pana to znaczy spotkać Go żyjącego. Nie wystarczy wejść do pustego Grobu Jezusa; nie wystarczy nawet uznać, że Pan wyszedł z niego dwa tysiące lat temu... Nie chodzi o to, co stało się kiedyś. Chodzi o to, co dzieje się dziś i tutaj. Dziś i tutaj Pan żyje! Mogę Go zobaczyć, usłyszeć i dotknąć, do Niego mówić, mogę Mu pozwolić, by podniósł mnie z upadku; mogę z Nim siąść do stołu; stać się z Nim jednym Ciałem! Gdzie mogę Go spotkać? „Dwóch mężczyzn w lśniących szatach” daje jasną odpowiedź: „Przypomnijcie sobie Jego słowa – co wam mówił, gdy był z wami?”. To w Jego słowie znajdziecie jasne wskazówki, gdzie się objawia jako żyjący. Próbujmy więc przypomnieć sobie Jego słowa!

Może najpierw te zapisane przez Jana: „Ja jestem Chlebem żywym” (por. J 6) – to w Eucharystii spotykamy Go żyjącego, i dającego życie. Dalej: „Gdzie dwóch lub trzech zebranych jest w imię moje – Ja jestem” (Mt 18, 20) – a więc możemy Go spotkać żyjącego we wspólnocie wiary (nawet najmniejszej), w Kościele! O tym mówił dość często: „Kto was przyjmuje, Mnie przyjmuje” (Mt 10, 40), „Ja jestem krzewem winnym – wy lato-roślami” (J 15, 5) albo z wyrzutem: „Dlaczego Mnie prześladujecie?” (Dz 9, 4). Dalej: można Go spotkać żyjącego w każdym dziecku: „Kto by przyjął jedno takie dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje” (Mt 18, 5). To bardzo przejmujące słowo! W samej Łodzi ponad 300 dzieci czeka na przyjęcie w ramach pieczy zastępczej... A co dopiero w kontekście niemal codziennych informacji o przemocy wobec dzieci! Jeszcze inne słowo Jezusa żyjącego do przypomnienia: „Byłem głodny..., spragniony..., obcy..., nagi..., chory i w więzieniu” (zob. Mt 25, 31-46). I przypomnieli sobie Jego słowa. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolękcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik: *Anatomia grzechu*



DLACZEGO BIBLIJNY KRÓL DAWID przespał się Batszebą? Zako-
chał się? No gdzieżby! Nie zdą-
żył. Zobaczył ją tylko z daleka.
Tekst niby twierdzi, że była
naga w kąpeli, ale cóż on mógł
dostrzec z tego tarasu...

Poza tym miał już kilka żon, więc kobieca nagość nie mogła go aż tak obezwładnić. Nie wiedział, że była żoną innego? Przecież gdy tylko zaczął wypytywać, co to za jedna, powiedziano mu, że jest żoną Uriasza. Jedna z interpretacji twierdzi, że jego grzech zaczyna się już w pierwszym zdaniu, które mówi, że Dawid został w Jeruzolimie wiosną, gdy królowie zwykli wychodzić na wojnę. Zatem niby był królem, ale wymówił się od zadań, które się z tym wiązały. Posłał w bój wojsko, dowódców, nawet Arkę Przymierza. Sam zaś spędzał chwile na tarasie pałacu. Był nie tam, gdzie powinien być, poza rolą, może nią znudzony. Uwiedziony władzą, jaką dało mu bycie królem, a jednocześnie migający się od królewskich zadań militarnych.

Dlaczego więc biblijny król Dawid przespał się z Batszebą? Bo mógł. Przynajmniej tak mu się wydawało. Mógł po nią posłać, mógł ją posiąść. A potem stracił kontrolę, bo zaszła w ciążę. Swoją drogą – ciekawe, że Batszeba, która w tej historii nie ma dużo do gadania, ten jeden raz wykazuje się inicjatywą i posyła do Dawida wiadomość, że jest w ciąży. Jakby mówiła: posiadłeś mnie, to teraz zmierz się z odpowiedzialnością. Odmawia brania na siebie konsekwencji jego decyzji, którą dziś pewnie uznalibyśmy za gwałt. Inna rzecz, że Dawid wybiera mataczenie i – ostatecznie – zabójstwo. Niby taki z niego wielki król, taki wszechwładny, a nie jest w stanie zmierzyć się ze skutkami czynu popełnionego dla żądzy i zabicia czasu.

Zbiegła mi się w czasie lektura tej opowieści, fundamentalnej dla biblijnego rozumienia grzechu, z lekturą dzisiejszej opowieści o grzesznych, wszechwładnych ludziach. W tym wypadku – biznesmenach i programistach, których wciągnęło robienie polityki międzynarodowej. Też znaleźli się nie na swoim miejscu, też mieli poczucie, że nikt im nie podkoczy. Ale jednak zacierali swe głupie decyzje i brudne interesy. Krótko mówiąc: uległam modzie i sięgnęłam po „Careless people” (ang. Nieuważni ludzie), książkę dawniej dyrektorki ds. polityk publicznych w Facebooku.

Przez siedem lat Sarah Wynn-Williams budowała polityczne wpływy firmy na całym świecie. Dziś z przeżeniem wspomina efekty tamtej pracy. Nie kupuję jej jako „sumienia Facebooka”, śmierdzi mi w jej byciu sygnalistką opieszałość – nie odeszła z firmy, kiedy było trzeba, żeby opowiedzieć światu, jaki ona ma wpływ. Zawsze znajduje na to dobre wytłumaczenie: jak nie ciąża, to choroba, albo kredyt na dom, którego poręczeniem były firmowe opcje. Dlatego dopiero teraz opowiada, jaki związek miał Facebook z rozkręcającą się przemocą w Birmie. Oraz jak namierzał nastolatki i sprzedawał reklamodawcom ich brak poczucia własnej wartości. I dalej – jaką ofertę inwigilacji obywateli szykował dla Chin, z całą świadomością, że jego pracownicy przyczynić się mogą do uwieńczeń, tortur i śmierci, co oczywiście w ostatecznej wersji firmowego dokumentu ubrano w kilka eufemizmów. Mówi o molestowaniu przez szefów, którym nic za to nie grozi. Wreszcie, Wynn-Williams opisuje spotkanie Zuckerberga z głowami państw w Limie, tuż po pierwszych wyborach wygranych przez Trumpa. Wiadomo, że pomógł mu Facebook, więc nagle głowy państw stają się potulne, nie dociskają, nie chcą niczego regulować. Wiedzą, że od niego zależy ich być albo nie być. Rozdawanie kart w globalnej polityce nie jest rolą prezesa firmy i programisty. A tu nagle dostał taką władzę.

Nie zaskoczyło mnie oczywiście to, że Facebook nie jest firmą niosącą światu pokój i dobro, ale jednak spojrzenie z bliska zmroziło. A ledwo skończyłam czytać, gruchnęła wieść, że Meta (czyli ten sam grzeszny Facebook, z tym samym kierownictwem, tylko po zmianie nazwy) używała spiratowanych książek, by karmić dobrej jakości tekstem budowany przez siebie model sztucznej inteligencji. Bo skoro można za darmo, to po co płacić, nawet jak się jest super bogatym? Facebook kradł, bo mógł. Oraz – bo przekonał się, że nie takie rzeczy uchodzą mu na sucho.

Może dlatego opowieść o grzechu Dawida z Batszebą jest tak fundamentalną dla Biblii anatomią grzechu. Bo skoro coś takiego mogło się wydarzyć nawet Dawidowi... Z niepozornego pasterza stał się władcą, wszystko zawdzięczał Bogu, a i tak uwiodła go nieograniczona władza. A potem wyszedł z roli. Miał jednak proroка, który przepowiedział mu nieuchronną karę. Czy Facebook znajdzie kogoś, kto mu pokaże granice jego władzy? ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.



OSTATNIE PYTANIE

Zadał je tuż przed śmiercią. To samo, które za życia niejednokrotnie stawiał sobie samemu i słuchaczom swoich kazań i wykładów.

Nie wiemy, jakie przypisać mu znaczenie.

I czy adresował je do samego siebie, czy do nas, którzy zostaliśmy tutaj.

GRZEGORZ CHRZANOWSKI OP | ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

BYŁ MISTRZEM DLA WIELU I NA WIELE SPOSOBÓW. TAKŻE DLA piszącego te słowa. Zараżał pasją, kierował ścieżką rozwoju. Ojciec Jan Andrzej Kłoczowski – filozof, zakonnik, przyjaciel.

Galeria ludzi, na których wywarł wpływ, jest szeroka. To – oczywiście – rodzina i wspólnota zakonna, a w szczególności młodzi bracia studenci. To także środowiska akademickie, prawnicze, artystyczne, ale też pojedyncze osoby, które się z nim przyjaźniły, wierni, dla których był spowiednikiem i kierownikiem duchowym. Wychowankowie z dawnego duszpasterstwa akademickiego „Beczka”, również ci, dla których był wsparciem w okresie komunizmu i stanu wojennego. Słuchacze jego kazań, czytelnicy książek, wszyscy, którzy przyjmowali z jego rąk posługę sakramentalną. Inspirował tych, którzy podzielali jego poglądy filozoficzne, i tych, którzy się z nim spierali. Zarówno tych, którzy w pełni identyfikowali się ze wspólnotą Kościoła i jego nauczaniem, jak i tych, którzy sytuowali siebie poza jego widzialnymi granicami – niejednokrotnie był dla nich ważnym punktem odniesienia w dyskusji o Bogu, religii, sensie życia, aktualnych problemach Kościoła.

Własny styl

Moje pierwsze spotkanie z o. Janem Andrzejem miało charakter słuchowy. Zawędrowałem kiedyś, jako nastolatek, na krużganki klasztoru dominikanów w Krakowie, w dniach, kiedy o. Kłoczowski wygłaszał rekolekcje dla wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym „Nowe Życie”, bardzo aktywnie działającej w latach 80. XX wieku. Kościół przy ul. Stolarskiej i przyległe krużganki wypełniał gęsty tłum ludzi. Nie zapamiętałem wiele z treści nauk, zresztą nie słuchałem zbyt uważnie. W pamięci pozostał mi charakterystyczny głos – kaznodzieja mówił wyraźnie, dość wolno, akcentując ważniejsze myśli, w nieco aktorski, ale uwodzący i przykuwający uwagę sposób. Z treści pamiętam jedynie, że zachęcał charyzmatyków do czytania książek Leszka Kołakowskiego, o któ-

rym w tamtym czasie nie miałem najmniejszego pojęcia, choć nazwisko filozofa pojawiało się już w wydawanych w podziemiu czasopiśmie.

Styl o. Jana Andrzeja był na tyle charakterystyczny, że już lata później, jako klerycy, niejednokrotnie przedrzeźnialiśmy go z tak zwaną „braterską uszczypliwością” – zwłaszcza jeśli chodzi o sposób wypowiadania niektórych słów pochodzących z języka niemieckiego lub greki, na przykład dostojnie wymówione i uroczyście zaakcentowane „*psychopompós*” (mitologiczny przewodnik, odprowadzający dusze w zaświaty, jak Charon lub Hermes). Gdy raz się je usłyszało, tak wymówione, jasne było, że nie chodzi o grecką wersję baśni z mchu i paproci, ale o sprawy zasadnicze i egzystencjalnie doniosłe.

Wykładowca i współbrat

Kłocz – jak wszyscy go familiarnie nazywali – był bardzo dobrym wykładowcą. Niekiedy wręcz znakomitym. Jego wykłady były ożywcze, inspirujące, wskazujące nam autorów i tematykę, której nie znajdowaliśmy gdzie indziej. Moje studia w Kolegium Dominikanów przypadły na czas, gdy dzięki reformom, wprowadzonym przez ówczesne władze zakonne, wykładali tam tacy profesorowie, jak Barbara Skarga, Juliusz Domański, Klemens Szaniawski, Władysław Stróżewski, Andrzej Półtawski, Zofia Włodek, Karol Tarnowski i inni, nie mniej znakomici. Jan Andrzej Kłoczowski był jednym z nich, na równi inspirujący, świeży, wprawiający w intelektualne drżenie.

Jako promotor prac magisterskich przyciągał najlepszych, ale był też ostatnią deską ratunku dla najsłabszych, którym okazywał wiele cierpliwości i pomocy. Jeżeli ktoś wiedział, o czym chce pisać, dostawał spory kredyt zaufania i wolność, a ze spotkań z promotorem wychodził pełen entuzjazmu do pracy. Z czasów, gdy sam pisałem u niego pracę magisterską, zapamiętałem właśnie tę energetyzującą zdolność do inspirowania i „zagrzewania do boju”.

Z upływem czasu to doświadczenie – braterskiej wspólnoty z o. Janem Andrzejem – w oczywisty sposób ewoluowało. ➔

O. Jan Andrzej Kłoczowski na krużgankach klasztoru dominikanów w Krakowie. Kwiecień 2022 r.

→ Najpierw byłem jednym z wielu studentów (zapewne nie najbardziej inteligentnym), później – asystentem, dalej – przyjacielem, co uznałem za zaszczyt, aż w końcu – kimś w rodzaju współbrata-opiekuna.

Gdy jeszcze był w pełni sprawny, jego obecność w codziennym życiu klasztornym nie była bardzo widoczna. Praca wykładowcy, zaangażowanie duszpasterskie, rekolekcje sprawiały, że często był w ciągu dnia nieobecny. A przecież widzieliśmy, jak bardzo był w sprawy wspólnoty zaangażowany. Pełnił w zakonie liczne funkcje – był rektorem Kolegium Filozoficzno-Teologicznego, regensem Polskiej Prowincji Dominikanów, wieloletnim członkiem rady Prowincji. Cieszył się autorytetem wśród młodych braci, którzy widzieli w nim przekonujący i pociągający przykład realizacji ideału życia dominikańskiego. Wszyscy do dziś pamiętamy laudację z okazji nadania tytułu Mistrza Świętej Teologii, napisaną przez młodego patrologa, dr. Damiana Mrugalskiego, zatytułowaną „Chciałem być jak Kłocz”.

Lęki starości

Ostatnie lata, a w szczególności miesiące, były czasem, kiedy Kłocz wymagał większej troski, organizowania wizyt lekarskich, zabiegów rehabilitacyjnych, także ułatwiania spotkań z rodziną i przyjaciółmi. Nie byłem zdany wyłącznie na siebie

– życzliwość i wsparcie ze strony wspólnoty były bardzo duże. Jednak to doświadczenie choroby przyćmiewa – w tej chwili, gdy piszę te słowa – wspomnienia naszej wcześniejszej znajomości.

To, w jaki sposób o. Kłoczowski znosił chorobę, przeżywał jej kolejne etapy, było dla mnie lekcją osobistą – religijną, ale także w pewnym sensie egzystencjalną. W ostatnich miesiącach i tygodniach życia o. Jana Andrzeja spełniło się to, czego się obawiał, a czemu dał wyraz w wywiadzie publikowanym na tych łamach, przeprowadzonym z nim oraz jego przyjacielem i wieloletnim współpracownikiem, prof. Karolem Tarnowskim. Rozmawiali – z okazji swych 85. urodzin – o lękach związanych ze starością. Jednym z nich była obawa przed utratą samodzielności i sprawności intelektualnej. Przyszedł ten moment. Były chwile, gdy pytał mnie, kiedy wrócimy do Krakowa, w przekonaniu, że już tu nie mieszka, że został przeniesiony w inne miejsce. Zauważał, że do zdziwienia przypomina mu ono Kłoczów, ale przecież nim nie było. Gdy nie widzieliśmy się dwa dni, witał się ze mną, jakby przyjechał z oddali.

Tęsknota za życiem

Zastanawialiśmy się, skąd mogło brać się to przeświadczenie, że jest w innym miejscu. Może miało związek z remontem, na czas którego musiał zamieszkać przez dwa tygodnie poza swoją zakonną celą. Sądzę jednak, że w tym przekonaniu było coś więcej, jakaś głębsza myśl czy może raczej silne doświadczenie wyobcowania. Poczucie straty życia. To prawdziwe – życie, które od dawna było związane z Krakowem: duszpasterstwo, wykłady, cała sieć relacji międzyludzkich – zniknęło. Z jakiegoś powodu, tak to odczuwał o. Kłoczowski, nie dało się już tego wszystkiego realizować. Wszystko odpłynęło, z niewiadomego powodu. Zostało w Krakowie. Może myślał, że gdyby tylko udało mu się „do tego Krakowa” wrócić, na pewno wróciłoby i to, co od zawsze stanowiło treść jego życia. Znowu odprowadzałby „dwunastki”, mówił kazania, prowadził wykłady i dyskusje. Znowu cieszyłby się obecnością bliskich przyjaciół. Życie pełne treści zostałoby mu zwrócone.

Dla mnie ten wgląd – mimo że fragmentaryczny – w wewnętrzny stan ducha o. Jana Andrzeja jest ważną lekcją o człowieku. Emmanuel Lévinas – filozof, o którym pisał o. Kłoczowski – mówił, że człowiek, nawet jeśli w jego życiu zaspokojone są wszystkie życiowe potrzeby, doświadcza „metafizycznego pragnienia”, które nie może być w pełni zaspokojone – pragnienia życia pełniejszego, w jakiś sposób bardziej prawdziwego niż to, które tutaj na ziemi jest naszym udziałem. Myślę, że o. Jan Andrzej, jako chrześcijanin i kapłan, tęsknił za pełnym życiem, które jest w wieczności z Bogiem. Utracony „Kraków” to symbolizował.

W Ewangelii św. Jana czytamy, że to w Jezusie-Słowie „było życie, a życie było światłością ludzi”. Akurat w tej Ewangelii Jezus mówi o życiu często i to w dość charakterystyczny sposób – w formie bezprzymiotnikowej. Ten brak dopowiedzenia powoduje, że termin „życie” mieni się całym bogactwem treści. Jakie życie przyszedł dać Jezus swoim uczniom? Całe. Pełne. Ono rozpoczyna się już teraz i znajduje kontynuację po przekroczeniu progu śmierci.

POŻEGNANIE

Ś.†P.

o. Jan Andrzej Kłoczowski OP

(1937–2025)

filozof religii, teolog, historyk sztuki,
wychowawca młodych, wieloletni duszpasterz
akademicki DA „Beczka”,
duchowy opiekun opozycji demokratycznej
w PRL, wybitny wykładowca i kaznodzieja,
duszpasterz krakowskiej inteligencji,
otwarty na dialog z poszukującymi.

Laureat Nagrody Znak i Hestii im. ks. Józefa
Tischnera, były redaktor miesięcznika „Znak”,
jeden z filarów naszego środowiska,
nasz Autor, Przyjaciel i Mentor.

Będzie nam brakować Jego mądrości,
odwagi i świadectwa wiary,
która szuka zrozumienia i nie lęka się
trudnych pytań.

Łączymy wyrazy współczucia dla Rodziny
i wszystkich, których – tak jak i nas – dotknęła
Jego śmierć.

PRZYJACIELE Z GRUPY WYDAWNICZEJ ZNAK

Jako chrześcijanin i kapłan

tęsknił za pełnym życiem,
które jest w wieczności z Bogiem.
„Utracony Kraków”
był tego symbolem.

Kapłan z ludźmi

Gdy zacząłem mu pomagać w przygotowaniu i prowadzeniu niedzielnej mszy o godzinie 12.00 w krakowskim klasztorze dominikanów – słynnej „dwunastki” – zdałem sobie sprawę, ile wysiłku wkładał w przygotowanie liturgii, ułożenie homilii i troskę o osoby w niej uczestniczące. Wiele razy słyszałem świadectwa ludzi, którym pomógł – rozmową, spowiedzią czy po prostu obecnością w chwilach, gdy potrzebowali wsparcia.

Dla mnie jednym z takich wspomnień jest pokuta, jaką zadał mi przed przyjęciem przeze mnie święceń kapłańskich. To prawda, spowiedź zostawiłem na ostatnią chwilę, gdy już wszystko było przygotowane. Dostałem za pokutę odprawić drogę krzyżową w intencji pierwszej osoby, która przyjdzie do mnie do spowiedzi. Nie o wytrwanie w kapłaństwie. Drogę krzyżową, pokutę, za kogoś, kto przyjdzie do mnie jako do księdza. Taka została mi z tego nauka: ksiądz nie jest najważniejszy, święcenia przyjmuje się dla innych.

Czym jest wolność

Kilka dni przed jego śmiercią zamontowano mu w celi kamerkę, by szybko zareagować, gdyby stało się coś złego, gdyby na przykład zasłabł. Była godz. 7.30 rano, w sobotę, gdy brat, który monitorował obraz, zobaczył, że o. Jan Andrzej ciężko oddycha. Poszedł z pielęgniarką do celi. Kłocz próbował wstać. Bezskutecznie. Po chwili zapytał ich niespodziewanie: „Czym jest wolność?”. Zaskoczony brat nie wiedział, jak zareagować. W końcu odparł, że odpowiedzi na to pytanie szukamy całe życie i czasem trzeba poddać się woli Bożej. Jan Andrzej – nie wiadomo, czy w wyniku tych słów, czy z powodu zmęczenia – położył się, jakby trochę uspokojony. Wezwano przeora i lekarza, który o 7.45, a więc zaledwie piętnaście minut później, stwierdził śmierć. Przyszła łagodnie, wraz z ostatnim oddechem.

Nie jest do końca jasne, jakie znaczenie należałoby przypisać ostatniemu pytaniu Jana Andrzeja, zadanemu tuż przed śmiercią. W tych dniach mówił już czasem sam do siebie, na głos, jakby prowadząc wewnętrzny dialog. Trudno więc oczekiwać, że było to pytanie zadane świadomie. Z drugiej strony – w sytuacji, gdy znikają bariery blokujące treści umysłu czy psychiki, to, co wydobywa się z człowieka, być może ma szcze-



gólne znaczenie. Ktoś mógłby przeklinać, kto inny artykułować pretensje do losu. Kłocz zadał pytanie, które za życia na pewno niejednokrotnie zadawał sobie samemu i słuchaczom swoich kazań i wykładów.

Czy zadał je sobie? Czy nam, którzy tu zostaliśmy?

© O. GRZEGORZ CHRZANOWSKI

Autor (ur. 1965) jest dominikaninem, uczniem i współpracownikiem o. Jana Andrzeja Kłoczowskiego, a w ostatnich miesiącach jego życia był także jego opiekunem. W zakonie obejmował po o. Kłoczowskim funkcje rektora Kolegium Filozoficzno-Teologicznego oraz regensa prowincji odpowiedzialnego za formację intelektualną dominikanów. W ostatnich latach z o. Janem Andrzejem wspólnie odprawiał niedzielą mszę o godz. 12.00 w krakowskim klasztorze – słynną „dwunastkę”.

A woman with short blonde hair, wearing a bright pink fuzzy beanie and blue-rimmed glasses, stands against a red background. She is wearing a bright yellow t-shirt with the words 'Armani Exchange' written in black cursive. Her hands are on her hips.

Armani
Exchange

REŻYSERUJĘ ŻYCIE

MARINA HULIA

Rzeczywistość mi coś narzuca,
ale odkręcam to na swoje.
Dworzec zmieniliśmy w szkołę,
więzienną poczekalnię w teatr.

JACEK TARAN: Zaczynasz dzień wcześniej rano, kończysz późnym wieczorem. Skąd masz tyle energii?

MARINA HULIA: Mogłabym odpowiedzieć, że codziennie rano parzę zioła, piję kawę z kardamonem i cynamonem i to by było prawdą, ale tych prawd jest dużo. Najważniejsze jest to, że robię w życiu to, co lubię i jak lubię. Dużo energii biorę od ludzi. Każdego dnia czekam na poranek, bo tyle fantastycznych rzeczy zdarzy się za dnia. Zapach kardamonu, świt, który się budzi, gdy z siódmego piętra patrzę na Warszawę. To wszystko jest piękne. Radośni ludzie żyją lepiej, żyją kardamonowo.

Modlisz się?

Nie jestem praktykująca, nie należę do żadnej religii, ale jestem wierząca. Więc kiedy się budzę, to zawsze mówię tak jak Czeczeni: *Bismillahirrahmanirrahim* – w imię Allaha, Najwyższego, Miłosiernego. I mówię *Alhamdulillah* – dziękuję Ci, że zaczął się nowy dzień. Dziękuję za to, że zauważyłam wiosnę. Zaczyna się ten cały spektakl, bo tu tulipany się pojawiły, a wczoraj był dopiero pączek, a tam nowy kielkuję. Wczoraj rozkwitła wiśnia i wachałam ją kilka minut. I to jest piękne. Proszę też Boga, bo mam język nieposkromiony, żeby ten mój język trochę powstrzymać, bo bywam zapalczywa. I żeby nie mówić rzeczy, których się potem będzie żałować. Nie zawsze chodzi o to, żeby mieć rację.

Twoje wpisy na Facebooku to takie minireportaże. Są bohaterowie, jest opowieść. Na przykład historia Zariemy i Ramzana.

To historia ich koczowania na dworcu w Brześciu, potem niepewnego życia w Warszawie, gdzie dorobili się jedynie kota. W ośrodku dla uchodźców nie mogli mieć zwierząt. Cały czas nie wiedzą, czy jutro nie przyjdzie kolejny, jak oni mówią, deport. Mam nadzieję, że Straż Graniczna to czyta, a jeżeli nie, to może ktoś im pokaże? Albo inna historia – ro-

MARINA HULIA, urodzona w Czerkasach na Ukrainie. W Polsce mieszka od 1993 r. Nauczycielka, koordynatorka międzykulturowa w Społecznej Akademii Nauk, założycielka inicjatywy Dzieci z Dworca Brześć. Niestrudzona pomagajka.

bimy kanapki dla bezdomnych, a moich wolontariuszek z Czeczenii nie stać na to, by kupić pięć kilogramów wędliny. A tu nagle ktoś dzwoni i proponuje pomoc. Fala małych pomocy zmienia się w dużą falę. Zawsze to są historie ludzi. Staram się patrzeć na świat ich oczami.

A co to w ogóle znaczy dobrze pomagać?

Wysłuchać się w osobę, której pomagamy. Nie decydować za nią. Często myślimy, że wiemy lepiej, co jest potrzebne. Pakujemy do worka różne rzeczy, nie myśląc o tym, że ktoś lubi czarne, a ktoś różowe. Wymyśliliśmy z wolontariuszami z Piaseczna „sąsiedzki bazarek dobroci”. Spotykamy się gdzieś w parku czy w domu samotnej starości, czy u mnie na uczelni, i rozkładamy rzeczy. Tu dla chłopców, tu dla dziewczyn, tu torebki dla kobiet. I wszyscy sobie wybierają, również staruszki z domu spokojnej starości.

I co wybierają? Różowe czy czarne?

Okazuje się, że najrzadziej sweterki, a najczęściej biżuterię – korale, bransoletki – i maskotki, żeby położyć sobie w pokoju. Moim zdaniem pomaganie sprowadza się do prawa wyboru. Czasami ktoś potrzebuje, by go po prostu wysłuchać, przytulić, i nie chce sweterków. A czasami, żeby mu poczytać, opowiedzieć, co się wydarzyło. Tak jak nasz bezdomny Kazik, który mieszkał na działkach. Był małomówny, ale uwielbiał słuchać. A babcia Emilia z domu spokojnej starości uwielbia opowiadać. Różne formy pomocy tworzą razem kolorowy wachlarz. To jest jak spektakl, w którym każdy bohater ma swoją rolę.

Ty zostałam bohaterką czeczeńskich mam.

To się zaczęło ponad dwadzieścia lat temu. Przyjaźnię się z Krzysztofem Pawłowskim i kiedyś załiliam mu się przy kawie, że brakuje mi języka rosyjskiego. Nie tego, którego nauczałam w szkole, ale takiego potocznego *razgawora*. On mi na to: jest w Warszawie duże skupisko rosyjskojęzycznych dzieci, przydasz się im, a one tobie. Pojechaliśmy do nieistniejącego już ośrodka dla uchodźców przy ulicy Ciołka w Warszawie. Trzy piętra budynku to Czeczeni i Ingusze. Nie mieli lodówek, więc mieszkańcy wywieszali za oknami siateczki foliowe z różnymi rzeczami,

żeby się nie zepsuły. Tamtejsze dzieci nauczyły mnie śpiewać po czeczeńsku. I raz, kiedy tak z nimi śpiewałam na ulicy, to Czeczenka Heda, która akurat wywieszała swoją porcyjkę za oknem, to usłyszała. W szlafroku zbiegła na dół, objęła mnie i rozplakała się. Powiedziała, że to niesamowite, że Polka śpiewa ich pieśni z tak pięknym akcentem. Sprostowałam, że nie jestem Polką, i tak się to zaczęło. Moja Czeczenia to jest nieżyjąca już kochana Heda. Mama sześciorga dzieci, z których jedno pochowała jeszcze w Czeczenii, a z piątką pozostałych uciekła do Polski. Ona uczyła mnie Czeczenii, ich wiary, tradycji, piosenek, tańców. Dopiero później, pod koniec 2016 roku, był dworzec w Brześciu i mamy, które tam koczowały, bo pogranicznicy po dziesiątki razy nie chcieli ich wpuścić do Polski.

Założyłaś tam szkołę i ogłosiłaś się jej dyrektorką.

Nie było innego wyjścia. Mamy pytały – jak to szkoła? Gdzie ławki, tablica? Odpowiedziałam im o Korczaku i jego słowach, że szkoła ma być żywa. Przecież szkoła to nie budynek, tylko uczniowie. Same meble to jeszcze nie szkoła. A potem przewiozłam czerwoną taśmę i nożyce, jak przystało na szkołę dla dzieci Związku Radzieckiego, i na dworcu w białoruskim Brześciu zrobiliśmy otwarcie naszej demokratycznej szkoły. Zostałam jednogłośnie wybrana na jej dyrektorkę. Po kilku miesiącach awansowałam, bo założyłam jeszcze szkołę dla mam, więc zostałam dyrektorką zespołu szkół. Uczylałam je tego samego, co dzieci – języka polskiego. Zaczęłam zbierać kawałki materiałów i robiliśmy zabawki – lalki muzulmanki. Kupiło je od nas wiele osób, np. Adam Bodnar, Mariusz Szczygieł czy Aga Zarian.

Twoje pomaganie ma różne formy.

Pomaganie ma taką formę, jaką mu nadasz. Jak ciasto. Chcesz babeczkę? Pieczesz babeczkę. Chcesz gwiazdkę? Robisz gwiazdkę. Chcesz tort? Proszę bardzo. Najważniejsze, żeby zobaczyć drugiego człowieka, a nie tylko siebie. Nieważne, czy on brzydko pachnie, czy jest kiepsko ubrany. Mam taką anegdotę, mogę?

Proszę bardzo.

Razem z Czeczenką Madiną jechałyśmy do Brwinowa strasznie zatłoczonym pociągami SKM. A jeden wagon był

→ zupełnie pusty. Wchodzimy, drzwi się zamykają i już wiemy, o co chodzi. Zapach jest taki, że powietrze można kroić. Siedzi tam starszy pan z mnóstwem toreb i worków. Odór straszny. Nos się jednak szybko przyzwyczaił. Podeszłam do niego, zapoznaliśmy się. Był trzeźwy, błyskotliwy, dałam mu jakieś drobne pieniądze. I gdy tak rozmawiamy, on nagle pyta: Marina, czy ty jadłaś dzisiaj cebulę? Ja mówię: no tak. A on na to: no właśnie, czuć!

Cebula jest dobra na wszystko.

Czosnek też, ale nie za często. Więc jaką formę nadasz pomaganiu, taka będzie. Jak nadasz formę cierpienia i musu, to będzie to cierpienie i mus. Ktoś powiedział, że każdy ma obowiązek pomagania. To bzdura. Każdy ma przywilej pomagania, a nie obowiązek. Ja bym nie chciała takiego obowiązku.

Jak pomagać, żeby nie uzależnić od pomocy, nie zepchnąć w bezradność?

Moje czeczeńskie mamy nauczyłam tego, że bycie Mamą z Dworca Brześć to nie tylko koczowanie na dworcu, ale też ofiarność. Jeździmy razem do domu spokojnej starości i do bezdomnych. Tworzy się taki warkocz pomagania, wszystko się spleta. Staruszka z domu opieki staje się babcią dla czeczeńskiego dziecka, pomaga stworzyć rodzinę w Polsce. Kiedy bezdomny Kazik robił karmniki dla ptaków z dziećmi, to czuł się potrzebny i dumny ze swojej pracy. Trzeba próbować zrobić tak, żeby osoba, której pomagasz, też pomagała w sposób, w który jest w stanie.

Osoby, które same są w trudnej sytuacji, zmieniasz w wolontariuszy.

Magia?

Nie, rzeczywistość. Tak to powinno funkcjonować, żeby ich nie ustawiać w kolejkach do instytucji pomocowych, bo się może okazać, że do końca życia będą w nich stać. Kiedy robimy z nich osoby, które pomagają, czują się nobilitowani. Wiedzą, że jeżeli nie ugotują *mantów*, to babcie będą miały taki obiad jak co dzień. A jak do tego zrobią jeszcze miodownik, to sprawią radość kilkudziesięciu osobom.

Dzięki temu lepiej radzą sobie z rzeczywistością?

Jest taka Czeczenka, Roza. Napisała piękną bajkę-pomagajkę o ananasie i drucie kolczastym. Opisała swoje dzie-

więć miesiący w ośrodku strzeżonym. Była tam z trójką swoich dzieci, czwarte w brzuchu. Ośrodek zamknięty, jedna godzina spaceru dziennie. Od niej nie zależało nic. Kiedyś strasznie zachciało jej się ananasa. Strażniczka przyniosła ananasy w puszcze dla niej i nienarodzonego dziecka. Powiedziała – zjedz i puszkę mi oddasz, bo tam nie można wносить metalowych przedmiotów. Piękna historia. Roza zapamiętała, jak dzięki małemu gestowi jej dobrostan poprawił się choć na chwilę. Teraz sama ma potrzebę pomagania komuś innemu. Te dziewięć miesięcy spędzonych za kratami bardzo źle na nią wpłynęło. Jej starszy syn miał depresję, leczył się długo u psychiatry. Ona wie, jak to jest nie mieć wpływu na nic.

Warunki więzienne, chociaż nie popełnili żadnego przestępstwa.

To straszne, szczególnie dla dzieci. Nie można więzić dzieci, a my to robimy. Kilkanaście lat temu pojechaliśmy do ośrodka strzeżonego w Lesznawoli. Wtedy to był ośrodek rodzinny. Ja miałam śpiewać, muzyk Hadrian Filip Tabęcki grać, czeczeńskie dzieci tańczyć. Podeszedł do mnie komendant i zapytał: pani Marino, czy mogę już wprowadzać osadzonych? I zaczęły wchodzić dzieci. Najpierw trzyletnie, parami, potem starsze. Nazwał ich osadzonymi. Tam nawet system kontroli jest taki jak w jednostkach penitencjarnych. Oddajesz telefon na wejściu, tak samo cię sprawdzają, takie same druty kolczaste, jedna godzina spaceru. To jest więzienie, to jest łagier. I inaczej tego nie da się nazwać.

Spotykasz się z historiami, które na pewno w Tobie zostają. Jak się nie wypalić?

Wiesz, ja nie jestem po to, żeby płakać i roztkliwiać się razem z nimi. Od razu myślę, jak z tego wybrnąć, do kogo zadzwonić, kto może pomóc. A najlepiej to zrobić coś artystycznego. Kończymy teraz ze studentami dokument o sześciolatku, który ma mieć deport. Może pokazem filmu coś zadziałamy. Przez Helsińską Fundację Praw Człowieka udało się pomóc z prawem pobytu innej Rozie, mamie trójki dzieci, Mainie, mamie siedmiorga dzieci, i Madinie, mamie pięciorga.

Aktywność to lekarstwo na wypalenie?

To jest moja recepta – nie przychodzimy po to, żeby wspólnie rozpaczać. Czytam te ich historie mówione tak, jakbym czytała książkę. I myślę, co mogę zrobić. Nie chodzi o to, by iść do urzędu i się kłócić, bo w ten sposób niczego nie osiągnę. Trzeba znaleźć skuteczną formę pomocy.

Jak wojna w Ukrainie wpłynęła na to, co robisz?

Znowu warkocz. Myślę, że moim powołaniem jest łączyć ludzi. Połączyłam ukraińskich studentów, którzy z dnia na dzień stali się uchodźcami, bo niektórzy nie mogą wrócić, a niektórzy nie mają do czego, jak Margo z Odesy. Połączyłam ich w pomaganiu, razem ze studentami z Białorusi i Czeczenami. Razem robimy kanapki dla bezdomnych, odwiedzamy staruszki. Uczymy się siebie nawzajem, bo jedni są prawosławni, drudzy to mużulmanie.

Realna pomoc to jedno, a przecież spełnianie się też twórczo.

Zrobiliśmy spektakl z Darkiem Sikorskim, który się nazywał „Nana – Mama”. Margo opowiada o Odesie, o tej części, której już nie ma. Ona tam gra siebie. Bergiej mówi o tym, jak stracił mamę, kiedy miał 6 lat. Roza mówi o trzech ojczyznach – Kazachstanie, Czeczenii i Polsce. Jesteśmy taką dużą rodziną ukraińsko-białorusko-czeczeńską. I to jest cudne. Moje Czeczenki traktują studentów jak swoje dzieci. Jak coś gotują dla dzieci, to dla nich też.

Jak Ty, Rosjanka, czujesz się z tym, co dzieje się na Ukrainie?

Jestem w połowie Rosjanką, w połowie Białorusinką. Teraz stałam się Białorusinką. Mogłabym zostać Ukrainką, bo urodziłam się w Czerkasach. Wystarczyłoby mówić, że jestem Ukrainką. Ale nie jestem. To, co się dzieje teraz na Ukrainie, napawa mnie odrazą. Poznałam ukraińską poetkę Julię Bereszko, która napisała przepiękny wiersz o żołnierzach. Ona zadaje pytanie – jak wy się czujecie, biorąc nasze szaliki, nasze staniki i wioząc to do swoich żon, do domu? Jak wy się czujecie, biorąc kawałki nas i pakując do swoich worków? To jest obrzydliwe. Muszę ci coś jeszcze powiedzieć.

Tak?

Trafiłam do Polski jako zacietrzewiona komunistka. W Polsce spotkałam Cze-



Marina Hulia (z lewej) z Iman, Petimat i małą Ayshat z Czeczenii w Parku Saskim. Warszawa, 20 sierpnia 2023 r.

Nie miejsce rządzi człowiekiem, tylko człowiek miejscem. Reżyseruję życie.

Choroba mamy trzyma Cię mocno w jednym miejscu.

To prawda. Na początku nie było to komfortowe, bo jestem wędrowniczką. Ciągłe gdzieś w drodze – Norwegia, Szwecja, Francja, Niemcy. Jeździłam do moich Czeczenów po całej Europie. Może Bóg da mi jeszcze trochę czasu, żeby znów pojeździć. Nie wiem, czy chcę bardziej do Brześcia, czy do Paryża. Raczej do Brześcia. To miasto mojego dzieciństwa. Takie czyściutki, ukwiecone. Te ulice – Karola Marksa, Lenina, Sowiecka. Nie chodzi o to, że uwielbiam Związek Radziecki. Po prostu tam czuję się, jakbym miała wciąż dwadzieścia lat, bo tam się nic nie zmieniło od mojej młodości. Wszystkie te gwiazdy, miasta bohaterowie, mój Boże. Tylko róże i kwiaty urosły. To jak podróż w czasie. Nie trzeba żadnego wehikułu, tylko pojechać do Brześcia i przejść się ulicą Sowiecką. Więc marzę o tym.

A Ukraina? Bo mieszkałaś też w Czerkasach na Ukrainie.

To okropne miasto, skażone przemysłem chemicznym. Nie chcę do niego wracać, zabrałam stamtąd mamę, gdy zaczęła się wojna. To, co się dzieje teraz na Ukrainie, to jest mój wielki ból, ale na szczęście znam mnóstwo ludzi, którzy pomagają. Jeszcze niedawno odwiedzaliśmy co sobotę ukraińskie sieroty, ewakuowane do Polski z domów dziecka pod Odesą. Zawoziliśmy tam mnóstwo zabawek i ponad czterysta bułeczek, które piekły Czeczenki. Z nadzieniem z kapusty i kartofli. Jak przyjeżdżaliśmy, to dzieci krzyczały: *pirazki, pirazki prijechały*. Jeździł z nami taki Bergiej, który jest Kazachem, i dzieci ciągle pytały: *ty Kitajec?* On tłumaczył, że jest Kazachem, a w końcu już miał dosyć i ręce mu opadły: *da, ja Kitajec*, a one się cieszyły, że mają własnego Kitajca. Uwielbiały nas.

Pojedźmy razem?

Świetny pomysł! Ja ci wszystko to pokażę. Może jeszcze będą babcie, które na bazarze handlują ziołami. Ostatnio były.

© Rozmawiał JACEK TARAN

rego Wodzińskiego, nieżyjącego już filozofa, który podsuwał mi różne książki i pokazał mi, czym była trzecia fala emigracji rosyjskiej. Ja w Polsce i dzięki niemu nauczyłam się wolności. Zrozumiałam, że nie trzeba ulegać, że zawsze można dokonać wyboru.

Polska stała się odtrutką na komunizm?

Zanim się stała odtrutką, to była źródłem świadomości, bo ja o bardzo wielu rzeczach nie wiedziałam. Byłam tak zaślepiona, że do mojego przyszłego męża Wiktora, syna zesłańca Stanisława Węglowskiego, który był Polakiem, mówiłam: jak ty jeszcze raz o Leninie źle powiesz, to za ciebie nie wyjdę. Wiktor urodził się w łagrach w Workucie i o Leninie czy Stalinie wiedział wszystko. Ogromnie dużo mu zawdzięczam. Bo przecież nie każdy miał w Związku Radzieckim tak jak ja – dzinsy Montana, spódnice Wrangler, obóz Artek, Krym i Brześć. Bardzo wielu, tak jak on, rodziło się w niewoli. Ja żyłam w zakłamaniej świadomości, wierząc, że amerykańskie dzieci wyjadają skórki od bananów. Dopiero w Polsce zrozumiałam, jakie to było kłamstwo. Potem Czarek poznał mnie z Andrzejem Drawiczem, propagatorem literatury rosyjskiej. To było tylko jedno spotkanie, ale takie, które dużo we mnie zmieniło. Zaprowadził mnie na spotkanie z żyjącym jeszcze wtedy Jospem Brodzkim. Byłam na koncercie Bułata Okudżawy. Wszystko to zaczęła Cezary, potem już szukałam sama. Otwierałam oczy.

Mogłaś popatrzeć na Związek Radziecki z oddali.

I zobaczyłam wiele rzeczy, które mnie osobiście nie dotknęły, ale które dotknęły

całą ludzkość, więc pośrednio też mnie, jako składową tej ludzkości. Zrozumiałam, że w Polsce mam wybór, którego u nas nie było. Na studiach uczyłam się historii partii komunistycznej. Trzeba było znać wszystkie zjazdy i wiedzieć, co tam mówili. Dzięki Bogu gadali ciągle to samo. A co to jest wolność osobista? Dopiero w Polsce się dowiedziałam, że coś takiego w ogóle istnieje.

O czym dziś marzysz?

Marzę o tym, żeby mama żyła jeszcze długo. Mam chorą mamę, codziennie jestem u niej. Dużo śpiewamy, powtarzamy piosenki stare i nowe, urządzamy sobie wieczory poezji, choćby wieczór Siergieja Jesienina, albo wieczór zagadek. Ja mamie zadaję zagadkę: *sztó eto, wisit grusze, nie lzja skuszać*. Lampa. Wymyślamy różne gry słowne, żeby ćwiczyć pamięć. Tańczymy – mama na leżącym ocywiście, więc przy okazji robimy zalecaną gimnastykę, a ja cały czas coś wymyślam i to jest niesamowicie twórcze. To jest moje największe marzenie i nawet nie chcę myśleć o tym, że umrze. Nie mam na to planu i na razie nie chcę mieć.

Odpoczywasz wtedy?

A jak! To są dwie godziny ruchu. Nigdy nie siadałam przy łóżku, bo tylko żalobnicy tak siadają. Życie mi coś narzuca, ale odkręcam to na swoje. Mama jest w szpitalu, czy mogę coś z tym zrobić? Nic. Po prostu żyjemy. I tak jest w każdym przypadku, gdy coś jest narzucone. Dworzec w Brześciu też był narzucony, ale zrobiliśmy z niego szkołę i to już jest nasze. Poczekałnię więzienną, obskurną, gdzie dzieci czekają godzinami, żeby zobaczyć się z ojcem czy z mamą, zamieniliśmy w teatr, w miejsce bajek, piosenek. To jest moja zasada.



ODYSEJA LUDMIŁY

Gdy za oknem po raz ostatni migały krajobrazy Harbinu, 12-letnia Luda nie mogła wiedzieć, że właśnie zaczyna podróż dookoła świata. Długą drogę do domu. O ile gdzieś jest dom.

Polska historia rodzinna, która zaczyna się w Chinach, a kończy w Armenii.

ALEKSANDRA MAJDIŃSKA Z ERYWANIA (ARMENIA)

BYŁA WIETRZNA NIEDZIELA 23 LISTOPADA 1953 r., gdy drobnicowiec „Kościeszko” wpływał do portu w Gdańsku. Na pokładzie, prócz rudy i kauczuku, wiozł ostatnich polskich przesiedleńców z Harbinu – miasta w Mandżurii, w północno-wschodnich Chinach.

12-letnia Ludmiła zaciskała palce na zimnej burcie, wiatr szarpał jej czarne

warkocze. Nie mogła się doczekać, aż zejść na ląd w tej cudownej Polsce, o której podczas podróży statkiem tyle opowiadał oficer kulturalno-oświatowy.

Jednak pierwsze wrażenie było zupełnie inne. Przed nimi rozciągał się zniszczony Gdańsk: morze ruin, przecinane kikutami kościelnych wież. Za plecami szumiał lodowato szary Bałtyk.

Taki dom. W Harbinie było inaczej. Nie zdawała sobie sprawy, jak często będzie powtarzać tę frazę.

NOWA OSADA | Mandzurska Polonia, z głównym ośrodkiem w mieście Harbin, powstała na długo przed I wojną światową. Tworzyli ją inżynierowie, urzędnicy, kupcy, przedsiębiorcy, lekarze, pra-



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Fotografia dzieci i młodzieży z mandżurskiej Polonii w Harbinie z miejscowym księdzem Władysławem Ostrowskim, rok 1934.

(kierowanego później przez Stanisława Kierbedzia).

MNIEJSZOŚĆ | W rozmowach z ministrem spraw wewnętrznych car Mikołaj II miał wyrażać niepokój, że Polacy stanowią aż jedną piątą personelu inżynieryjno-technicznego, zajmującego się budową i eksploatacją tej kolei, często zajmując wysokie stanowiska.

Istotnie, było ich wielu – także w „otulinie” kolei. Polonia w Harbinie rozrastała się i na początku XX w. liczyła już ponad 7 tys. osób. Były tu polskie organizacje, szkoły, kościoły, wydawano czasopisma, rozwijał się handel. Polacy byli prosperującą mniejszością.

Kres czasom prosperity położył pogłębiający się chaos w Chinach, wywołany bratobójczymi walkami, później okupacją japońską, a po II wojnie światowej objęciem władzy przez komunistów. To oni doprowadzili do unicestwienia Polonii mandżurskiej.

Harbin – tu byli u siebie. Tak przynajmniej im się wydawało, do czasu. Przeżyli wojnę rosyjsko-japońską 1905 r., upadek dynastii Qing, walki Czang Kaj-szeka z komunistami, marionetkowe księstwo Mandżukuo, okupację japońską. Bywało różnie, ale po chińskiej wojnie domowej, gdy w 1949 r. wojska Kuomintangu wyładowały na Formozie (dziś Tajwan), a rząd pojałtańskiej Polski podpisał umowę z Chińską Republiką Ludową o ostatecznej likwidacji mandżurskiej Polonii – musieli wpisać się na listę repatriacyjną.

UCIECZKA Z ROSJI | Rodzina Ludmiły przybyła do Harbinu później niż większość tujejszych Polaków. Jej dziadkowie, Antonina i Wiktor Ozimowscy, uciekli z Błagowieszczeńska nad Amurem (ośrodek wydobywania złota) na chińską stronę Rzeki Czarnego Smoka: w Harbinie schronili się przed rewolucją bolszewicką.

Nie byli wyjątkiem. Tysiące mieszkańców Rosji różnych narodowości szukały w Chinach schronienia przed czerwonym terrorem. Z sześciorga dzieci Antoniny i Wiktora przyszła mama Ludmiły, w chwili ucieczki 9-miesięczna Anna, była najmłodsza.

Na urodzajnej równinie, nad Rzeką Sośnowego Kwiatu (Sungari), dziadkowie objęli gospodarstwo w osadzie Czingu (kilka domów, nieopodal Harbinu). Hodowali bydło i drób, mieli 25 krów. – Tam było wszystko – wspomina dziś Ludmiła. – Sad, ogród warzywny. Dziadek zajmował się też pszczelarstwem. Często przyjeżdżali znajomi dziadków i urządzali polowania. Brat mamy, Wiktor, też polował. O, tu na zdjęciu trzyma mnie na rękach – pokazuje zdjęcie uśmiechniętego bruneta w bryczesach.

Potem Wiktor zniknął. Trafił do Jednostki 731: „laboratorium diabła”, japońskiego obozu w Pingfang na przedmieściach Harbinu, gdzie w czasie wojny chińsko-japońskiej 1937-45 dokonywano eksperymentów na jeńcach (po wojnie w Japonii długo był to temat tabu; wielu oprawców wykupiło się od kary, przekazując Amerykanom wyniki badań nad bronią biologiczną i chemiczną prowadzonych na więźniach).

NA PLECACH | W Europie zaczynała się kolejna wielka wojna, gdy w polskim kościele św. Stanisława w Harbinie ślub wzięli przyszli rodzice Ludmiły, Anna i Aleksiej Baranow. Mama pracowała w kawiarni, tata był mechanikiem i kierowcą (możliwe, że pracował dla jednego z najbogatszych harbińczyków: Władysława Kowalskiego, który miał koncesję leśną wzdłuż Kolei Wschodniocińskiej).

13 września 1941 r. na świat przychodzi Ludmiła, zdrowiałe Luda. Jest wątpliwość, czy nie łapie choroby. Rodzice chętnie wyjeżdżają na wieś do dziadków; pomagają w gospodarstwie i odpoczywają. – Czasem jechaliśmy dorożką, bo dziadek Baranow, uczestnik wojny japońsko-rosyjskiej w 1905 r., uwielbiał konie, miał własną konną dorożkę. Nazywała się zabawnie: „Pijany kuczer”. Pamiętam „szampanki”, łodzie rybackie na rzece Sungari. Pięknie było.

– A zimą – ożywia się pani Luda – kiedy Sungari zamarzała, wujek Olek, brat mamy, chodził nad rzekę i przynosił na plecach lód. Chowaliśmy go do piwnicy, to była nasza lodówka. Wielu Chińczyków zarabiała zimą, sprzedając lód.

Bogata w węgiel, rudy żelaza, ropę i aluminium Mandżuria kusiła nie tylko Rosję, ale i Japonię. Prowokując konflikt z Chińczykami, w 1931 r. Japończycy dokonali jej

cownicy bankowi i sędziowie, nauczyciele, właściciele ziemscy, a także oficerowie carskiego Korpusu Straży Granicznej.

Wielu z nich trafiło do Chin za sprawą budowy przez carską Rosję w 1898 r. Kolei Wschodniocińskiej – eksterytorialnej, liczącej ponad 1,5 tys. kilometrów magistrali kolejowej, która łączyła syberyjską Czytę z Władywostokiem nad Pacyfikiem. Skracając drogę między tymi dwoma ośrodkami, kolej przecinała terytorium chińskiego cesarstwa – wówczas upadającego i rozszarpywanego przez obce mocarstwa, które w Rosji upatrywało sojusznika w walce z coraz bardziej ekspansywną Japonią.

Nowa osada, Harbin, została założona przez Polaka Adama Szydłowskiego, który kierował ekspedycją naukową. Odкупił on od Chińczyków rozsypujący się budynek browaru, pod siedzibę Towarzystwa Budowy Kolei Wschodniocińskiej

→ aneksji i okupowali aż do września 1945 r., gdy skapitulowali.

Pod okupacją Polakom nie było łatwo. Ale Chińczycy byli w gorszej sytuacji, okupanci traktowali ich jak podludzi. Ludmiła: – Wujek Olek nosił teraz na plecach ze wsi od dziadków mleko, narażając życie, bo było to zabronione. Czasem Japończycy dawali dzieciom *sajki*, małe bułki. Pomagaliśmy naszym sąsiadom Chińczykom, a oni nam, tak jak mogliśmy.

WAHANIA | Gdy Europa zaczynała lizać rany po II wojnie, w Państwie Środka wciąż kipiał wewnętrzny konflikt: bili się komuniści, nacjonaści i zwykli zorganizowani przestępcy. W 1946 r. dziadków napadli hunhuzi (chiński bandyci). Zabrali, co mogli. Dziadka katowali, dopóki nie oddał im schowanego złota. Z gospodarstwa zostały dwie krowy i cielak.

1 października 1949 r. Mao Zedong proklamował Chińską Republikę Ludową. Pod rządami komunistów życie okazało się jeszcze trudniejsze. Nieprawomyślnych zsyłano do łagrów, brakowało jedzenia.

Wśród Polaków w Harbinie coraz częściej mówiło się o repatriacji. Ci, których było na to stać, emigrowali do Australii i Ameryki. Inni się wahali. Tych delegat rządu PRL zapewniał, że w Polsce czeka na nich dobrobyt, że rząd w Warszawie za wszystko zapłaci, da mieszkania i pracę.

Rodzice Ludy długo się zastanawiali. W międzyczasie, w lipcowy poranek 1949 r., odprowadzili na dworzec rodzinę mamy: dziadków Ozimowskich, którzy odjechali w wygodnych chińskich kuszetach, aby po dwóch dniach na granicznej stacji Mandżuria Pograniczna przesiąść się do zatęchłych ciepłuszek, które przez Azję i pół Europy zawiozą ich do Polski. Osiadą w Elblągu.

PHENIAN-DALIAN | Ludmiła pamięta, że rodzice odkładali decyzję o wyjeździe najdłużej, jak mogli, ale w końcu przyjęli paszport repatriacyjny.

Pociąg do Phenianu (dziś Pjongjang) toczył się przez most na Sungari. Za oknem migały po raz ostatni krajobrazy Harbinu. Luda nie mogła wiedzieć, że właśnie zaczyna swoją podróż dookoła świata.

Potem były trzy letnie dni spędzone pod gołym niebem w stolicy Korei Północnej, w oczekiwaniu na statek do miasta Dalian w północno-wschodnich Chinach; dziś



Ludmiła Baranowa na szkolnej fotografii z Nowej Soli, 1954 r.

ARCHIWUM RODZINNE LUDMIŁY BARANOWEJ



Ludmiła Baranowa w Erywaniu, 2024 r.

ALEKSANDRA MAJZIŃSKA

to jeden z największych portów świata. Przyszło im czekać na statek do Polski tak długo, że matka i ojciec Ludy podjęli tymczasową pracę w porcie (ona jako kierowniczka magazynów, on jako elektryk).

W końcu popłynęli – statkiem towarowym „Kościuszko”, należącym do polsko-chińskiego armatora Chipolbrok. Prócz ładunku zabrał on na pokład trzy polskie rodziny, razem 12 osób.

„KOŚCIUSZKO” | W czasach nasilającej się zimnej wojny i morskiej blokady Chin takie rejsy miały charakter tyleż gospodarczy, co polityczny. Liczne kraje Zachodu nałożyły sankcje na komunistyczne Chiny – najpierw za pokonanie Kuomintangu, a potem za wsparcie militarne dla Korei Północnej, która w 1950 r. zaatakowała Koreę Południową.

Statki Chipolbroku, z polsko-chińską załogą, pływały oficjalnie w rejsach handlowych, po wodach międzynarodowych, gdzie pozornie nic im nie zagrażało. Amerykanie i Chińczycy z Tajwanu nabrali jednak podejrzeń, że ich ładownie zawierają towary zakazane przez reżim sankcyjny. W 1953 r. zatrzymali pierwszy statek pod polską banderą, nazywał się „Praca”.

Ale tego wszystkiego Ludmiła wówczas nie mogła wiedzieć. Wspomina, że była to niesamowita podróż: – 72 dni na morzu. W Szanghaju zrozumiałam, dlaczego Morze Żółte nazywa się żółte. Nazwa nie kłamie, ono jest takie na skutek mułów nanoszonych przez rzekę Jangcy. Na chińskiej wyspie Hajnan mieliśmy pięciodniowy postój, na statek ładowano rudę żelaza. Oczekiwanie skracały nam spacer po plaży i napawanie się widokiem palm.

WIDOKI | Ludmiła: – Gdy zbliżaliśmy się do Tajwanu, dostaliśmy zakaz wychodzenia na pokład. Po jakimś czasie mieliśmy spotkanie z „Pracą”, która potem została wzięta do niewoli przez Chińczyków z Tajwanu. Załogi wymieniły się filmami, potem oglądaliśmy je na rozwieszonych prześcieradłach na pokładzie. Pamiętam tytuły, były to radziecka komedia „Iwan Iwanowicz się gniewa” i „Zaorany ugór”, ekranizacja powieści Szolochowa.

Pamięta widok Singapuru („niezapomniany”) i postój w Kolombo na Cejlonie (dziś Sri Lanka), gdzie ładowano kauczuk: – Zwiedziliśmy zoo i przeżyliśmy przejażdżkę na słoniach. Tam dokuczały nam monsunowe deszcze, ale gdy potem przez dwie doby płynęliśmy przez Morze Czerwone, parzył nas wiatr od Sahary.

I dalej: – Widoki niebywałe, najpierw ludzie pchający prowizoryczne taczki w Arabii Saudyjskiej, a potem brzeg Egiptu mieniący się światłami kawiarni. Przy Kanale Sueskim czekał nas arabski jarmark. Egipcjanie na łódkach podpływali i dostarczali nam żywność.

Potem było Morze Śródziemne („najpiękniejsze z mórz”), a po minięciu Gibraltaru sztorm. Kanał La Manche przepłynęli „w ogromnej mgłę”. Jeszcze tylko Kanał Kiloński i już dobijali do portu w Gdańsku.

– To był cudowny czas. Załoga odnosiła się do nas ciepło. Był tam lekarz, pan Duszynski, uczył nas polskiego. Zapamięta-



ARCHIWIM RODZINNE LUDMIŁY BARANOWEJ

Rodzinne spotkanie, jeszcze w komplecie, na wsi u dziadków Ozimowskich. Antonina i Wiktor Ozimowscy – dziadkowie Ludmiły – po wybuchu rewolucji bolszewickiej uciekli z Rosji do chińskiej Mandżurii, na chińską stronę Rzeki Czarnego Smoka.

łam wiersz „Abecadło z pieca spadło”. Kochany człowiek, zaszczerpił we mnie bakcyli medycyny – mówi Ludmiła, która została potem pielęgniarką. – Tato pomagał na statku, za co kapitan chciał mu płacić, ale tato powiedział, że Polska zrobiła dużo dla jego rodziny. Wtedy od kapitana dostaliśmy owoce i słodycze.

W POLSCE | Hotel Orbis w Szczecinie stał się na kolejne miesiące przystanią dla Ludy, tak jak dla wielu „Mandżuraków” (tak się sami określali) i innych przesiedleńców z całego świata. Dziś Książnica Pomorska, publiczna biblioteka w Szczecinie, ma bogatą kolekcję harbinariów – podarowaną przez mandżurskich Polaków, którzy osiedli na Pomorzu Zachodnim.

Rodzice się rozstali. Mama zamieszkała u rodziny Ozimowskich w Elblągu z dwójką dzieci, Mikołajem i Ireną, a Luda pojechała z tatą do Nowej Soli. Tam, na Dolnym Śląsku, tato pracował jako mechanik w państwowym przedsiębiorstwie autobusowym, a Luda skończyła

piątą klasę podstawówki. Na starannie złożonym świadectwie szkolnym widnieje data: 25 czerwca 1954 r.

Ludmiła: – Potem przenieśliśmy się do Bornego Sulinowa. Mój tato był Rosjaninem, ale nawet w tym zamkniętym sowieckim mikroświecie nie mógł się odnaleźć. Gonił obraz przedrewolucyjnej Rosji, znanej tylko z opowiadań jego ojca. Choć tak naprawdę gnała go tęsknota za domem, za tym w Harbinie.

NAD BAJKAŁ | W 1956 r. Aleksiej, głuchy na wszelkie argumenty, podejmuje decyzję o wyjeździe do Związku Sowieckiego: do niewielkiego miasta Starodub w obwodzie briańskim (dlaczego akurat tam, tego nie ma w rodzinnym przekazie).

Luda jedzie razem z nim. Koleją. Granicę przekraczają w Brześciu i od razu dziwi ich, że w pociągu w lampach naftowych są świeczki zamiast nafty. Gdy po przyjeździe chcą kupić chleb, słyszą, że chyba z nieba spadli, jaki chleb. Toalet w domach też nie ma. Taki dom.

Pomału oswajali sowiecką rzeczywistość. Tato podjął się pracy spawacza. Luda zaczęła naukę w szkole. Chciała studiować medycynę, ale nie dostała się na studia do Charkowa.

Wyjechała w stronę Harbinu – do Irkucka, gdzie uczyła się na pielęgniarkę. Była bystrą brunetką o błękitnych oczach, łatwo znalazła pracę jako stewardesa na pasażerskim wodolocie „Rakieta” kursującym po Bajkale. Załoga, składająca się z dwóch kapitanów, dwóch mechaników i trzech stewardes, sunęła po lazurowych wodach jeziora cztery razy dziennie.

Zdarzały się specrejsy z wyjątkowymi osobami na pokładzie. Bywali różni ludzie, ale tylko Kim Ir Sen, przywódca Korei Północnej, pamiętał o prezentach dla załogi: – Wszedł niski mężczyzna ubrany na biało, usiadł po turecku w fotelu w pierwszym rzędzie, a na koniec wręczył kapitanom skórzane torby, mechanikom białe figurki pegazów, a nam, stewardesom, płaszcze przeciwdeszczowe. Wtedy to był luksus.



→ **W ARMENII** | W układance nadbudówek i dobudówek z różowego tufu, krytych rdzawą blachą lub eternitem, w pajęczynie ulic i przesmyków posowieckich osiedli – w Erywaniu, stolicy Armenii, odnajduję w końcu zapisany na kartce adres. To ślepa uliczka. Najpierw wybiegnie mały rozszczekany pies, a po chwili w żelaznej bramie pojawi się siwiuteńka jak gołąb pani Luda.

Za tą bramą roztacza się jej królestwo: placik po teściach, otoczony zielenią, z sadem i ogrodem warzywnym, a także z parterowym domkiem. Przez całe życie nie była w stanie go wykończyć: bo wojna, bo samotne wychowywanie dzieci, bo śmierć syna, bo choroba.

Przyszłego męża – przystojnego żołnierza, pochodzącego z Armenii – poznała na tańcach. Dla niego rzuciła studia w Irkucku, „Rakietę” na Bajkale i przyjechała do Erywanu.

Pracowała tutaj w laboratorium, jeszcze długo po tym, jak formalnie przeszła na emeryturę. Tymczasem nabrzmiewała kolejna zmiana: rozpad Związku Sowieckiego i wojna z Azerbejdżanem o Górski Karabach (wtedy wygrana przez Ormian). A w międzyczasie trzęsienie ziemi, które uderzyło w Armenię 7 grudnia 1988 r. Wtedy siostra jej ojca – ta, która

miała włosy aż do ziemi, a z Szanghaju wyemigrowała do Brazylii – przysłała kilka dolarów pomocy.

To był, jak dziś wspomina, czas niemal bez prądu, gazu i wody. Dojmujące zimno i wielogodzinne kolejki po chleb. W domu dwoje małych dzieci. Mąż, Ormianin, wyjechał za pracą do Rosji i przepadł. Przestał przysyłać pieniądze, nie dawał znaku życia. Nie przyjechał nawet na pogrzeb syna. Dopiero po 33 latach zapukał do drzwi. Schorowany, przyjechał umrzeć.

Luda: – Dwa lata leżał w stołowym pokoju. Nie byłam w stanie koło niego chodzić, choć jestem pielęgniarką, córka się nim opiekowała.

ELBLĄG | Poza córką, z rodziny Ludmile została dzisiaj tylko siostra w Donbasie. Pani Luda czasem do niej telefonuje, ale ostatnio nie może się dodzwonić. Kiedyś, dawno, pisała listy do rodziny, która została w Polsce, pod Elblągiem. Ale kontakt urwał się jeszcze w latach 70. XX w.

– Mam tylko ich adres, ale pewnie nieaktualny. Oraz to – Ludmiła pokazuje fotografię młodej kobiety.

Latem 2024 r. odnajduję Izabelę z fotografii. W białym domku z gankiem za tujami, na skrzyżowaniu koło kościoła,

w lewo na Tolkmicko. To żona Olka – tego, który nosił na plecach łód z Sungari.

Olek już nie żyje, Izabela mieszka sama. Po mężu zostały świadectwa jego urodzenia z Harbinu i fotografie. Olek dotarł do Polski inną drogą niż Luda: lądową, jednym z dwóch transportów z Harbinu, w sowieckich bydłowych wagonach. Na fotografiach z archiwum Izabeli odnajduję też Ludę: z mamą, z tatą, z wujkiem Wiktoorem, którego zamęczyli Japończycy.

■■■
Pod rozłożystym orzechem, przed domkiem w Erywaniu, pijemy kawę po ormiańsku, z tygielka.

Słucham opowieści 83-letniej pani Ludy, szukam życia w pozostałych zdjęciach.

– Kiedy oglądam telewizję, często do siebie mówię: o, tu byłam, tu też byłam, tu też. Można pomyśleć, że na starość coś mi się w głowie poprzewracało. Ale tak było. Ja tam naprawdę byłam – pani Luda patrzy przed siebie, na bawiące się koty, ale myślami jest daleko.

© ALEKSANDRA MAJDZIŃSKA

Tekst zrealizowano przy pomocy finansowej województwa pomorskiego.

„Szampanki” na Rzece Sosnowego Kwiatu (Sungari). Nad jej brzegiem, niedaleko Harbinu, dziadkowie Ludmiły objęli gospodarstwo.



TYGODNIK POWSZECHNY



My, dziennikarki „Tygodnika Powszechnego”:

Na zdjęciu:
Grażyna Makara,
Anna Łabuszewska,
Ewelina Burda, Anna Goc, Anna Golus,
Katarzyna Kubisiowska,
Monika Ochędowska,
Zuzanna Radzik, Anita Piotrowska
i Antonina Palarczyk

*Żeby naprawiać świat, wpierw trzeba spróbować
go zrozumieć. Dlatego właśnie piszemy i fotografujemy.*

Dla kogo to robimy?

Dla ludzi otwartych na to, co trudne i nieoczywiste.

Dla zmęczonych jałowymi sporami politycznymi.

*Dla wrażliwych na ludzką krzywdę – bo wierzymy,
że tylko takie dziennikarstwo ma sens.*

Rozliczasz PIT?
Jeszcze nie jest za późno,
by wesprzeć swój „Tygodnik”!

1,5%



powszech.net/dar



Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

» **KRS 0000 125 605**

Twoje wsparcie pozwala zmieniać świat. Naprawdę

IMPERIUM NIESPORCZAKÓW

Pod naszymi stopami, w mchu, kałużach i ściółce leśnej, istnieje równoległy, bogaty świat, który podważa nasze rozumienie życia i śmierci.

MARIA HAWRANEK

SĄ MALEŃKIE I WYGLĄDAJĄ ZABAWNIE – JAK wydłużona wersja ludzika Michelin, który ubrał się w śpiwór tak gruby, że ciężko mu się w nim poruszać. Ich pyszczek przypomina ssawkę odkurzacza. Mogą zawiesić egzystencję na wiele lat, a potem wrócić do życia, jak gdyby nigdy nic. W stanie zawieszenia (fachowo: przetrwalnikowym) można robić z nimi, co tylko się chce – od mrożenia przez polewanie chemikaliami aż do gotowania – a one nic sobie z tego nie robią.

Mniej więcej tyle do niedawna wiedziałam o niesporczakach. I jeszcze to, co z moim synkiem wyczytałam w książce „Gęby, dzioby i nochale” Mikołaja Golachowskiego: w paszczy mają sztylceki, służące im do nakłuwania roślin i zwierząt, z których wysysają soki. Czy to nie brzmi, jakby były najbardziej szalonymi stworzeniami w przestrzeni kosmicznej? W którą zresztą też już się wybrały – i mimo wystawienia na promieniowanie wróciły bez szwanku.

Mieszkańcy zbutwiałych liści

Zapukałam do drzwi Zakładu Ewolucji Bezkręgowców na kampusie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Otworzył mi prof. Łukasz Michalczyk, ceniony naukowiec, zdobywca kilku grantów badawczych, który zanim stworzył niesporczakowe imperium na UJ, zrobił doktorat na University of East Anglia na temat doboru płciowego u owadów – trojszyków gryzących (artykuły z „Science” i „Nature” odbiły się w świecie szerokim echem). W Krakowie Łukasz opisał 150 nowych gatunków niesporczaków – jedną dziesiątą wszystkich w ogóle odkrytych.

Ich pierwsza, obecnie potoczna nazwa to „wodne niedźwiadki”, a druga – formalna – to „wolno kroczące”, *Tardigrada*. Wygląda na to, że potrafią żyć we wszystkich środowiskach – w głębinach oceanów, stawach, kałużach, na lodzie, na mchach, porostach i ściółce leśnej. Większość to weganie – jedzą bakterie, glony albo grzyby, ale są też gatunki drapieżne, które polują na pierwotniaki, nicienie, wrotki i... inne niesporczaki.

Mogą mieć od 0,1 mm do ponad 1 mm długości i są bardzo różnorodne: jeden morski gatunek ma do zadka przyczepione coś w rodzaju baloników, inny ma na łapkach przyłgi, niczym gekon. Mają różne kolory: są zielone, żółte, czerwone, czarne, a nie tylko białe czy przezroczyste. Różnią się pancerzami, głowami, otworami gębowymi, pazurkami, a w środku m.in. budową gardzieli. Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę!

Kiedy wczesną wiosną jadę rowerem na wywiad przez Lasek Pychowicki, zastanawiam się, czy właśnie mijam miliony uspiionych po zimie niesporczaków. A może już się obudziły? A może ich tu wcale nie ma?

– No pewnie, że są – rozwiewa moje wątpliwości Łukasz.

– A jak mogłabym je sobie pooglądać? – pytam.

– Bierziesz trochę porostu albo mchu. Jeśli jest sucho, to musisz go namoczyć przez dobę, by się uaktywniły, a jeśli mokry, to od razu możesz go dać pod mikroskop, taki szkolny powinien wystarczyć. Jak wybełtasz ten zamoczony mech

Jeden z przedstawicieli niesporczaków w mchu. Koloryzowane zdjęcie z mikroskopu elektronowego.

ALEX HYDE / BE&W



→ nad talerzykiem, to jest szansa, że niesporczaki z niego wypadną – wyjaśnia ekspert. I zabiera mnie na *tour* po zakładzie.

– Tu mamy dwie komory, w których hodujemy niesporczaki. – Łukasz wskazuje na dwie jakby za duże lodówki. W środku kilka szalek, w nich niesporczaki. Spodziewałam się, że będzie ich więcej. – Większość hodowli jest „zbankowana” – dodaje. Gdy pytam, na czym polega deponowanie niesporczaków w biologicznym banku, wyjaśnia: – Najpierw wprowadzamy je w kryptobiozę, czyli stan przetrwalnikowy. Następnie odsysamy powietrze i zamrażamy w minus 80 stopniach. Kiedy będziemy ich potrzebować, wystarczy je „zrestartować”. Czyli rozmrozić, dodać wody, chwilę poczekać i już. Większość niesporczaków powinna wrócić do życia.

Między życiem a śmiercią

Większość, ale nie wszystkie.

– W biologii zawsze coś może pójść nie tak – tłumaczy Łukasz. – W naturze jest tak, że im więcej razy niesporczaki weszły w kryptobiozę, tym mniejsza szansa, że wybudzą się z kolejnej, bo to bardzo kosztowny energetycznie proces. Jeśli pójda spać głodne, również maleją ich szanse na powrót do życia. Dlatego wprowadzamy je w kryptobiozę dobrze najedzone. Kładziemy na mokrą bibułę filtracyjną, która stopniowo wysycha, i zwykle w ciągu doby zmieniają stan.

– Żyją czy nie żyją? – pytam.

– Żyją, chociaż często mówię, że niesporczaki podważają nasze rozumienie życia – wyjaśnia Łukasz. – Ustaje u nich metabolizm, a jednak są zdolne do reaktywacji. Gdy u nas ustanie metabolizm, jest to nasz nieodwracalny koniec.

W stanie kryptobiozy niesporczaki są odporne na: zamrażanie blisko zera bezwzględного, bardzo wysokie temperatury i ciśnienie, próżnię kosmiczną, toksyczne związki, wysokie dawki promieniowania. Mogą tak przetrwać na pewno 30-40 lat, ale przypuszczalnie – o wiele więcej. Tylko lądowe gatunki są zdolne do kryptobiozy. Są jej różne rodzaje: anhydrobioza (gdy nie ma wody), kriobioza (zamarzają), osmobioza (gdy w środowisku robi się zbyt słono lub zbyt słodko), chemobioza (gdy są w nim toksyczne substancje) i aoksobioza (gdy brakuje tlenu).

Ciekawi mnie, czy w pozostałych biozach też potrafią wytrzymać ekstremalne warunki.

– Najbardziej odporne są w stanie anhydrobiozy i kriobiozy – tłumaczy Łukasz. – W takiej anoksobiozie już nie, bo nadal są w stanie aktywnym, tylko ze spowolnionym metabolizmem. Wówczas nie pozbywają się wody z organizmu. Wyciągają się i przestają ruszać, tylko się unoszą.

– Jak uruchamiają proces przemiany? – dopytuję.

– Prawdopodobnie są w stanie wyczuć, że ilość wody w otoczeniu się zmniejsza. Gatunki żyjące na mchach czują specyficzny zapach schnącego mchu i wtedy przedstawiają się na produkcję określonych białek, cukrów i różnych związków chemicznych chroniących DNA. Są też gatunki żyjące w szybkooschnających środowiskach i one bez przygotowania wskazują w ten stan – wyjaśnia Łukasz.

Zabójstwo w laboratorium

W pierwszym pomieszczeniu z komorami są też półki, a na nich szklane miarki pełne mchów z Nowej Zelandii, owoc ostatniej wyprawy badawczej studentów. W pomieszczeniu obok mchów jest jeszcze więcej. Czytam opisy: Papua-Nowa Gwinea, Australia, Malezja, Tunezja, Grecja, Indonezja, Kirgistan, Gwiana Francuska, RPA.

– Wszędzie tam byli studenci? – pytam.

– W większości miejsc – odpowiada Łukasz. – Tylko z Papui-Nowej Gwinei przysłali nam próbki mieszkańcy współpracujący z czeską stacją badawczą. Kiedyś suszyliśmy mchy, a teraz je mrozimy, bo zauważyliśmy, że w ten sposób niesporczaki lepiej się przechowują – Łukasz pokazuje chłodnię pełną zamrażarek wypełnionych mchem i dodaje: – Jeśli jest wysuszony, zalewamy go na noc wodą, która wybudza niesporczaki, następnie trzęsiemy mchem i go wyciągamy, tak żeby niesporczaki zostały w wodzie. Po nieważ nie umieją pływać...

– Nawet te morskie? – dziwię się.

– Nie, one drepczą blisko dna, chyba że je gdzieś prąd na chwilę uniesie. Skoro nie pływają, to po jakimś czasie opadają na dno. I wtedy możemy zlać wodę z góry, zostawić tylko tę przy dnie. Chodź, pokażę, co robimy z nimi dalej – kontynuuje Łukasz.

Wchodzimy do tzw. mokrego labu, gdzie pracownicy siedzą przy niewielkich

mikroskopach z pipetami w dłoniach. Pobierają nimi wodę na szalki i milimetr po milimetrze przeszukują ją w poszukiwaniu niesporczaków. Jeśli je znajdą, przekładają je do mniejszego pojemniczka. Potem Łukasz prowadzi mnie do pokoju z dużym mikroskopem świetlnym. Zanim niesporczak pod nim wyląduje, przechodzi serię zanurzeń – najpierw w kolejnych mieszankach wody z alkoholem (stężenia od 10 do 100 proc.), a potem alkoholu z acetonem (tym razem od 33 do 100 proc.).

– Jest w stanie to przeżyć? – pytam, czując, że nic mnie już nie zdziwi. Ale Łukasz zaprzecza.

– Są ekstremalnie wytrzymałe w stanie kryptobiozy. Poza nim reagują na wszystkie warunki jak każdy inny organizm. No, nie licząc promieniowania jonizującego, na które są bardziej odporne. Jednak my uśmiercamy je wcześniej przez zanurzenie w wodzie o temperaturze 60 stopni. Dzięki temu białka denaturują i „rozluźniają się”, co rozciąga niesporczaka i pozwala na dokładne obserwacje. Gdybyśmy włożyli go żywego do alkoholu, wówczas skurczyłby się w swojej ostatniej reakcji obronnej. Cała ta seria namaczania, która w sumie trwa godzinę, jest po to, by jego delikatne ciało zachowało naturalny kształt.

Po chwili ciszy dodaje: – Niestety, mordujemy ich tu strasznie dużo. Pocieszam się jednak, że naszym celem nie jest ich eksterminacja, ale lepsze poznanie tego niezwyklego typu zwierząt, który badamy genetycznie dopiero od jakichś 30 lat.

Obspane złotem

Łukasz kontynuuje oprowadzanie: – Później niesporczak ląduje w maszynie suszącej, w której aceton wypłukujemy płynnym dwutlenkiem węgla. To magiczny spektakl – patrzysz na płyn, który nagle przemienia się w gaz, ale nie jesteś w stanie dostrzec momentu, kiedy – po prostu nagle znika. Tak wysuszonego niesporczaka bierzemy na patyczek z przyklejoną brwią i przenosimy.

– Zwykłą brwią? – odruchowo dotykam mojej.

– Czasem najprostsze rozwiązania są najlepsze – uśmiecha się Łukasz. – Wysuszony niesporczak jest delikatny. Bierzymy brew, przecieramy po policzku, by była trochę natłuszczona i przykładamy ją do niesporczaka. On się do niej

przykleja, a my przenosimy go na specjalną taśmę klejącą, która przyciąga go oczywiście bardziej niż brew. Jedna brew obsługuje wiele niesporczaków. Po przyklejeniu obsypujemy je złotym proszkiem.

Łukasz wyciąga kasetkę, gdzie jest 20 złotych krążków z drobnymi ciapkami, które widać pod światło – to właśnie ususzone niesporczaki. Złoto pozwala je oglądać pod mikroskopem elektronowym, bo elektrony dobrze odbijają się od powierzchni gęstych metali, takich jak złoto i platyna.

W laboratorium Łukasza jest mikroskop świetlny – też imponujący. Kosztuje 150 tys. złotych, elektronowy – 5 mln. Jest podłączony do ekranu komputera, będziemy pod nim oglądać niesporczaki. Ale wcześniej Łukasz opowiada mi o prostszym sposobie przygotowania niesporczaków do badania właśnie pod tym mikroskopem. Zanurza się w płynie Hoyera, który sprawia, że ich tkanki stają przezroczyste, można więc oglądać struktury wykonane z kutykuli – martwego odpowiednika naszej skóry – takie jak ich zewnętrzny szkielet czy gardziel.

Szef laboratorium pokazuje mi jeszcze pomieszczenia do pracy nad DNA, a potem wracamy do pokoju z mikroskopami. Bierze szalkę pełną glonów, która ma dno podrapane papierem ściernym, by pazurki niesporczaków miały się o co zaczepić. To szczep, który rozmnaża się bezpłciowo – pochodzi od jednej samicy.

– Po polsku mówi się: niesporczaki, co sugeruje rodzaj męski, ale w większości to samice – opowiada Łukasz.

– Powinnościście wymyśleć jakiś feminiatyw – zauważam.

– Świetny pomysł! Na razie myślałem tylko o polskich nazwach niektórych gatunków. Choćby *Macrobiotus polonicus* – długożytek polski, odkryty w naszym kraju. Te z kółkami można by nazwać kółczatkami. Ale to chyba zbyt niszowy temat, by przyjęły się polskie nazwy – odpowiada Łukasz.

Przychodzą mi do głowy „niesporczynki”, które zdobywają zdecydowaną aprobatę.

Nie liczcie na matkę

Przed nami niesporczynki gatunku wodnego *Hypsibius exemplaris*.

– To pierwszy gatunek, z którego sekwencjonowano genom – mówi Łukasz. I pokazuje mi, jak dopasować mikroskop



PROF. ŁUKASZ MICHALCZYK:

Polska jest niesporczakową potęgą. Do opisania co piątego gatunku przyczynił się polski badacz. Wkrótce w kosmos z naszym astronautą Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim polecą drożdże z przeszczepionymi genami niesporczaków.

– jemu manipulacja przy pokrętłach zajmuje jakieś 3 sekundy, a mnie 5 minut, zanim ostro zobaczę to, co przede mną. Kręcę i kręcę ostrością jednego pokrętła, drugiego, i w końcu...

– Widzę! – wołam podekscytowana. – O, i chyba widzę wylinkę z czterema jajami, czy to możliwe? – pytam.

– Tak! – słyszę w odpowiedzi.

Te niesporczynki, gdy linieją, składają jaja do starej kutykuli. Gdy są młode – kilka; im są starsze, tym więcej. Są też gatunki, które składają jaja bezpośrednio do środowiska – i wówczas mają one rozmaite kolce i haczyki, by móc się do czegoś przyczepić.

Moje niesporczynki niespiesznie wędrują między zielonymi plamami – część to glony, które zjadają, a że niesporczynki są przezroczyste, to widzę po ich brzuskach, ile zjadły. Część zielonych plam to ich kupy, które wyglądają jak rozpuszczające się żelki.

Zastanawiam się, czy czarne plamki to oczy – na zdjęciach ich nie widziałam.

– Większość gatunków je ma. Tylko czasem po poddaniu ich obróbce do ba-

dań te czarne plamki znikają. Oczka reagują na ciemność i światło, ale nie wykrywają obrazu jako takiego – wyjaśnia Łukasz.

Są dość hipnotyzujące. Obserwowanie, jak przemieszczają się machając nieporadnie łapkami, jakoś mnie uspokaja. Słucham Łukasza, ale co rusz robię przerwę, by zerknąć, co u nich. Jedna ma w środku jajo. Inna składa właśnie jaja do wylinki, która jeszcze jest do niej przyczepiona.

– I tyle opieki rodzicielskiej, radzicie sobie same – uśmiecha się Łukasz.

Potem pod małym mikroskopem oglądam trzy samice i trzy kostropate jajka – ten gatunek składa je do środowiska. Są na szkiełku z wodą.

– Strasznie przebiega nogami – zauważam.

– Nie wie, co się dzieje, próbuje się odnaleźć. A że teraz nie ma chropowatej podłogi, nie ma się czego uczepić – słyszę w odpowiedzi. Niepokoi mnie jedno: – Czy ona przeżyje?

– Tak, wróci do swoich koleżanek – zapewnia Łukasz i przenosi samczkę pod duży mikroskop, dzięki czemu mogę ją oglądać na monitorze.

– Przygotowuje się do linienia i wyrzuciła już stary aparat gębowy, ale zbuduje sobie nowy, dlatego nie widać tak dokładnie tych sztyletów, ale zobacz: tu są załączki nowych – Łukasz pokazuje na dwie maleńkie pionowe kreski. – Te podłużne kształty to komórki spichrzowe. Niesporczaki przechowują w nich substancje na trudne czasy.

Nie wszystko jest wszędzie

Zastanawiam się, czy przebywam w najważniejszym laboratorium niesporczaków na świecie.

– Kiedyś jeden z moich kolegów zaszarował, że polska nauka niesporczakiem stoi. Poważne badania prowadzą też Dania, Włochy, Japonia i USA. W Polsce mamy trzy ośrodki. U nas skupiamy się na ewolucji, taksonomii, biogeografii i płci. W Poznaniu na taksonomii i kryptobiozie, a w Katowicach – na anatomii, histologii i reprodukcji. Oni tam kroją niesporczaki! – mówi Łukasz, a mnie zastanawia, jak można pokroić takie maleństwo. – Najpierw trzeba je zatopić w specjalnym wosku, potem pokroić diamentowym ostrzem na cieniućkie plasterki. Wymaga to mniesiej cierpliwości – tłumaczy ekspert.

→ – Polska ma najwięcej tardigradologów na świecie. Do opisanego co piątego gatunku niesporczaka przyczynił się polski badacz. W Poznaniu naukowcy przeszczepili fragmenty DNA niesporczaków drożdżom. I te drożdże polecą w kosmos razem z drugim w historii polskim astronautą Sławoszem Uznańskim-Wisniewskim.

Jak to się stało, że jesteście tacy mocni w te niesporczaki?

– Ja i Łukasz Kaczmarek z Uniwersytetu Adama Mickiewicza zainteresowaliśmy się nimi niezależnie w podobnym czasie. I jakoś tak poszło – słyszę.

Celem poprzedniego projektu realizowanego w Krakowie było przetestowanie hipotezy: „wszystko jest wszędzie, ale środowisko wybiera”.

– Przez stulecia badaczom wydawało się, że mikroorganizmy mogą się łatwo rozprzestrzeniać – choćby z wiatrem. Obserwacje mikroskopowe zdawały się to potwierdzać – podobne osobniki znajdowano wielokrotnie w odległych zakątkach planety. Kiedy jednak zaczęliśmy badać ich DNA, okazało się, że dzieli je miliony lat ewolucji, a większość z nich zasiedla ograniczone regiony geograficzne. Zatem nie: nie wszystko jest wszędzie.

Po co komu samce

Proszę rozmówcę, by opowiedział o nowym projekcie zatytułowanym „Naprawdę przetrwasz sama?”, dotyczącym ewolucji płci u niesporczaków.

– Niesporczaki są w nim modelem do odpowiedzi na szerokie pytanie: czy gatunki mogą sobie dobrze radzić bez samców? – zaczyna opowieść Łukasz. – Ono odnosi się do całości życia złożonego, eukariotycznego. Niesporczaki są fajnym modelem, bo są takie gatunki, które rozmnażają się płciowo, są gatunki wyłącznie partenogenetyczne, czyli złożone tylko z samic, są i takie, które niedawno przeszły na rozmnażanie bezpłciowe, i w końcu takie, które raz na kilka pokoleń produkują samce. Robią tak też mszyce – w sezonie wegetacyjnym przechodzą na partenogenezę, samice produkują wyłącznie córki, dlatego mogą tak szybko kolonizować rośliny. Jesienią znów pojawiają się samce.

– A czy te pokolenia samic niesporczaków od milionów lat nie są słabsze genetycznie? – przerywam rozmówcę.

– No właśnie, to jest kluczowe pytanie – odpowiada Łukasz. – Wydaje nam się,

Niesporczaki pozwalają zbadać, jak dobrze populacje mogą radzić sobie bez samców.

Istnieją wśród nich gatunki partenogenetyczne, a także takie, które niedawno zrezygnowały z samców lub produkują ich raz na kilka pokoleń.

że płć istnieje, by mieszać genomy, bo to daje konkretne korzyści ewolucyjne. Dlatego niesporczaki nazywamy skandalem ewolucyjnym, podobnie jak niektóre prądowe linie wrotków. Nasz projekt stara się odpowiedzieć na pytanie, czy niesporczaki rzeczywiście nic nie mieszały w tych swoich genach. Wiemy, jak wygląda genom organizmów, które mieszały geny, i jak powinien wyglądać taki, który ewoluuje bez mieszania.

– Czyli najpierw sprawdzacie, czy niesporczaki jednak nie kręciły z kimś na boku? – upewniam się. Łukasz przytakuje. – A czy mogą kręcić same ze sobą, jeśli nie robią tego z samcami? – dopytuję.

– Jeden z moich przyjaciół z Włoch zajmuje się wrotkami. Nie jest to jeszcze wynik potwierdzony, ale jest możliwe, że dzieworodne wrotki uprawiają, jak to określili, lesbijską nekrofilie – odpowiada Łukasz.

– Wrotki, podobnie jak niesporczaki, też są w stanie wejść w anhydrobiozę, ale, jak już wiemy, nie zawsze im się udaje z tego wybudzić – kontynuuje badacz. – I czasami taki organizm się rozpada, uwalniając swoje DNA do środowiska. Z kolei inny organizm, gdy wraca do życia, często musi naprawić swoje DNA. I czasem jak obok gdzieś na mchu leży taka rozbita samica wrotka czy też niesporczaka, to ta wzbudzająca się może skorzystać z jej martwego DNA. Nie ma kopulacji, ale genomy się miesza. Sytuacja, w której można zjeść ciastko i mieć ciastko. Można rozmnażać się bez samców, nie tracąc energii i zasobów na ich produkcję, a jednocześnie nie ponosić negatywnych konsekwencji braku rekombinacji DNA.

– I myślisz, że tak to się właśnie potoczyło? – pytam.

– To jest najbardziej prawdopodobny scenariusz. Formalnie ta lesbijska nekrofilia nazywa się horyzontalnym transferem genów, bo następuje między równorzędnymi osobnikami, w przeciwieństwie do wertykalnego, kiedy przekazujesz geny potomstwu. To nie musi być przekaz między dwoma takimi samymi organizmami – niesporczak może zainkorporować DNA bakteryjne, którego na mchu też jest mnóstwo. Tak powstają naturalne organizmy transgeniczne. To oczywiście wymaga zbiegu określonych okoliczności, więc to nie jest tak, że wydarza się to bardzo często. Ale być może wystarczy, by wydarzyło się raz na ileś tam pokoleń, by dać ewolucji materiał do zabawy z taką linią genetyczną i dzięki temu ona nie wymiera.

Na cześć Madonny

Pytam mojego rozmówcę o jego ulubione gatunki.

– Wybrałbym te, które odkryłem i nazwałem na cześć osób, które cenię. *Paramacrobiotus magdalenae* został nazwany na cześć mojej mamy, bo odkryliśmy go w Ameryce Środkowej, którą kocha. Inny to *Doryphoribius dawkinsi*, nazwany na cześć Richarda Dawkinsa, bo m.in. dzięki jego książkom pod koniec podstawówki zafascynowałem się biologią ewolucyjną. Ten gatunek ma tzw. gibbozity, czyli takie bulki na grzbiecie i po bokach. Trochę przypomina smoka – wybrałem go na logo sympozjum niesporczakowego w Krakowie. Ma też fajny cytrynowy kolor. No i *Barbaria* – to już cały rodzaj, nie gatunek – nazwany na cześć prof. Barbary Węglarskiej, która wprowadziła mnie w świat niesporczaków. Jeden gatunek nazwałem na cześć piosenkarki Madonny. *Barbaria madonnae* ma niesamowitą strukturę płytek na pancerzu – pod mikroskopem wyglądają jak rozgwieżdzone niebo, a Madonna jest przecież gwiazdą.

– Tak bardzo lubisz Madonnę? – pytam.

– Ubóstwiam! Nawet tytuł grantu „Naprawdę przetrwasz sama?” zaczerpnąłem z jej piosenki „Jump”. Jest tam wers: „My sisters and me”, a potem powtarzane: „I can make it alone”. No właśnie – czy taka niesporczynka i jej siostry naprawdę mogą przetrwać same?

© MARIA HAWRANEK

Nagroda PRZEWROTY od Centrum Nauki Kopernik: znamy finalistów

„W szybko zmieniającym się świecie potrzebujemy odważnych edukatorów i edukatorek. Osób, które nie boją się wyzwań i tworzą nowe rozwiązania” – mówi Robert Firmhofer, dyrektor Centrum Nauki Kopernik. II edycja Nagrody Przewroty pokazała, że polskie środowisko edukacyjne jest różnorodne, kreatywne i działa bardzo skutecznie. Napłynęło aż 230 zgłoszeń, z których kapituła wyłoniła 10 finalistów.

Nagroda PRZEWROTY, przyznawana raz w roku przez Kopernika, wyróżnia nowatorskie, nieszablonowe, śmiałe i inspirowane inicjatywy edukacyjne. Jej celem jest także wzmocnienie dyskusji o tym, jakiej edukacji potrzebujemy w obliczu dynamicznych zmian społecznych i technologicznych. Szczególną wartość mają projekty, które można łatwo wdrożyć w innych środowiskach, co pozwala na szersze oddziaływanie.

Przewroty przyznawane są w dwóch kategoriach. Lokalna obejmuje inicjatywy skierowane do lokalnych społeczności (np. uczniów i uczennic konkretnej szkoły, mieszkańców osiedla, dzielnicy, wsi, miasta), a ogólnopolska – inicjatywy o zasięgu ponad-

lokalnym. Tegoroczne zgłoszenia były bardzo różnorodne zarówno pod względem tematyki, jak i formuły oraz metod działania. Lista finalistów doskonale pokazuje tę różnorodność.

Kategoria ogólnopolska:

- **Kurs dokształcający dla położnych „Poradnictwo w okresie transformacji menopauzalnej”** (Kulczyk Foundation). Oferuje kompleksowe szkolenie dotyczące zdrowia kobiet w okresie menopauzy i w ten sposób pomaga położnym poszerzać kompetencje.
- **Otwarcie na zmianę** (Fundacja Zwolnieni z Teorii, 180heartbeats). Kampania społeczna wykorzystująca nowoczesne technologie do demonstracji ograniczeń tradycyjnych metod nauczania.
- **Program edukacyjny School Living Lab** (Fundacja Code For Green). Angażuje uczniów i nauczycieli w tworzenie praktycznych rozwiązań odpowiadających na zmiany klimatu.
- **Punkt Zwrotny – wsparcie rówieśnicze ratuje życie** (Fundacja OFF School). Inicjatywa ma na celu zapobieganie samobójstwom wśród młodzieży poprzez

edukację i budowanie świadomości na temat zdrowia psychicznego i wsparcia rówieśniczego.

- **Uczniu, znaj swoje prawa w PJM!** (Stowarzyszenie Umarłych Statutów, Fundacja Głuche Miasto). Inicjatywa zapewnia Głuchym dostęp do wiedzy i narzędzi umożliwiających skuteczne dochodzenie swoich praw.

Kategoria lokalna:

- **Centrum Aktywności Młodzieży w Krośnie** (Biuro Wystaw Artystycznych w Krośnie). To swoisty hub dla lokalnych działań młodzieżowych i oddolnych inicjatyw. Opiera się na edukacji pozaformalnej, łącząc sztukę z aktywizmem społecznym.
- **MIASTO (dla) DZIECI – DZIECI MAJĄ GŁOS! Wystawa oraz akcje twórcze z młodymi mieszkańcami Szczecina i regionu** (Galeria sztuki dla dzieci i młodzieży TWORZĘ SIĘ). Tworzenie przestrzennej makiety miasta promującej współpracę międzypokoleniową oraz prawo dzieci do zabawy, odpoczynku i życia w zielonym, bezpiecznym mieście.
- **Od kontroli do odpowiedzialności** (II LO im. Jana Matejki w Siemianowicach Śląskich).
- **Pracownia Pomysłów** (Fundacja Szczęśliwe Dzieciństwo – Ośrodek Młodzieżowy nr 2 „Bliźniak”). Miejsce, w którym odbywają się zajęcia techniczne dla dzieci z rodzin zagrożonych wykluczeniem społecznym. Pracownia wspiera rozwój i buduje więzi w lokalnej społeczności.
- **Zielone Kompetencje Przyszłości i nowe technologie w branży hutnictwa – interpretacja i implementacja przez sektor kultury** (Muzeum Hutnictwa w Chorzowie). Projekt pomaga w rozwoju tzw. zielonych kompetencji, które wspierają zrównoważony rozwój społeczny, gospodarczy i środowiskowy, wyposażając studentów w konkretne umiejętności.

Laureatów „Przewrotów” poznamy 23 maja podczas gali w Centrum Nauki Kopernik. Wybierze ich kapituła honorowa Nagrody, składająca się z przedstawicieli świata nauki, edukacji, biznesu, sztuki. Zwycięzcy otrzymają wyjątkowe statuetki oraz nagrody pieniężne w wysokości 20 000 złotych.



Partner Główny Nagrody Przewroty



Partner Nagrody Przewroty



Partner Wspierający Nagrody Przewroty



Patroni medialni



Patronat honorowy



Organizatorzy Centrum Nauki Kopernik





MAJ W TEATRZE TELEWIZJI

Przez ostatni rok przedstawienia TEATRU TELEWIZJI wielokrotnie dotyczyły ważnych, choć nierzadko trudnych tematów, a „największa scena świata” gromadziła spektakle, które wchodziły w spór z otaczającą nas rzeczywistością: *Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję* w reżyserii Mateusza Pakuły uruchomiło debatę nad legalizacją eutanazji, *Ale z naszymi umarłymi* Jacka Dehnela w reżyserii Marcina Libera było satyrą na polski nacjonalizm, *Matki. Pieśń na czas wojny* w reżyserii Marty Górnickiej opowiadały o kobiecym doświadczeniu wojny w Ukrainie.

Takie decyzje repertuarowe to wyraz przekonania, że teatr – również inscenizacje klasycznych tekstów – nie powstaje i nie funkcjonuje w zamkniętej bańce, jest sztuką, która pozostaje żywa tylko o tyle, o ile potrafi nawiązać aktualny dialog z otaczającą go rzeczywistością. Misja publiczna TEATRU TELEWIZJI to również chęć uczestnictwa w społecznej debacie.

Maj to w tym roku przede wszystkim czas wyborów, wspólnej, obywatelskiej decyzji dotyczącej najbliższej przyszłości – i dlatego w TEATRZE TELEWIZJI maj to również czas wzmożonej uwagi poświęconej sprawom, które kształtują naszą wspólnotę, wątkom i historiom wartym przemyślenia przy okazji podejmowania decyzji o tym, jak chcemy układać nasz świat. Zapraszamy na zestaw aż trzech premier, oryginalnych produkcji TEATRU TELEWIZJI: Paweł Demirski w *W imię Jakuba S.* pyta o współczesne formy państeczyny i przygląda się temu, jak trzydzieści pięć lat po transformacji wyglądają w Polsce aspiracje i marzenia klasy średniej, Wojciech Smarzowski w *Winnym* sięga po tekst Stanisława Brejdyganta i wraca do kluczowych dla swojej twórczości wątków rozliczenia z Kościołem, a Jan Holoubek reżyseruje *Biedermann i podpalaczy* Maxa Frischa, klasyczny moralitet pokazujący obraz przeżartego konformizmem społeczeństwa, które beczynnie przygląda się narastającemu złu.

**MOCNE TEMATY | WYBITNI AKTORZY
UZNANI TWÓRCY TEATRU I FILMU**

PREMIERY W PONIEDZIAŁKI | 20:30 | TVP1

TEATR TELEWIZJI – Największa Scena Świata: rejestracje najważniejszych przedstawień z teatrów całej Polski, produkcja oryginalnych przedstawień, kilkadziesiąt premier rocznie w szeregu cyklów, m.in. klasyka, współczesny dramat, scena muzyczna, scena poezji.

Zapraszamy na nową stronę internetową **teatrtv.vod.tvp.pl**: rozmowy z twórcami, podcasty, bogate archiwum przedstawień, konkurs na scenariusz „Narracje nieobecne”.



Piętnaście lat po prapremierze w Teatrze Dramatycznym im. Gustawa Holoubka – legendarnym spektaklu w reż. Moniki Strzępki, od którego datuje się w polskiej kulturze początek tzw. zwrotu ludowego – do swojego tekstu, tym razem również jako reżyser, wraca Paweł Demirski. Jakub Szela (w tej roli Jacek Poniedziałek), przywódca rabacji galicyjskiej, odwiedza współczesną, warszawską klasę średnią, by znów zadać to samo uporczywe pytanie: „kto wam te szlacheckie pańskie durniu jeden z drugim korzenie wymyślił? kto wam że w «weselu» to jesteście z panem młodym? gdzie się, komu dałeś ze wstydu nie po swojemu opowiedzieć?”. Do tego świata wiecznej gry w ekonomiczne statusy – świata, w którym zawsze będzie jakiś Willy Loman, bo zawsze jest jakiś Howard Wagner – Szela przychodzi, żeby jego mieszkańcami potrząsnąć, otrzeźwić ich, obudzić: żyjemy pod batem kredytów hipotecznych, ale nadal świecie wierzymy w neoliberalne, balcerowiczowskie mrzonki; za comiesięczną ratę w banku kupujemy sobie zmyśloną, aspiracyjną, z gruntu fałszywą tożsamość zachodnich Europejczyków, choć raptem trzy takie niespłacone raty dzielą nas od bezdomności; żyjemy w chorym świecie, w którym własne mieszkanie jest dla większości ludzi nieosiągalnym luksusem, ale żadna partia polityczna nie jest zainteresowana zmianą tego stanu rzeczy. A dnia zniesienia pańszczyzny jak nie świętowaliśmy, tak nie świętujemy. Otwierające, kierowane wprost do wszystkich widzów pytanie, pozostaje aktualnym wyzwaniem: „co byś zrobił, gdybyś miał jeden dzień, dwadzieścia cztery godziny, żeby urządzić sobie świat po swojemu?”.

występują: Marcin Bubółka, Monika Frączyk, Marta Malikowska, Małgorzata Kożuchowska, Jacek Poniedziałek, Filip Pławiak.



Do TEATRU TELEWIZJI powraca Wojciech Smarzewski. Reżyser znany z filmów ostro rozliczających polską historię i polski Kościół sięga po tekst Stanisława Brejdyganta, by przejrzeć w sobie dwie kluczowe dla tożsamości polskiego społeczeństwa historie. Tę pierwszą opowiada Bartek Sowiński, człowiek, który po marcu '68 donosi sam na siebie, po czym zostaje aresztowany i skazany za zabicie dwójki Żydów ukrywanych u siebie podczas wojny – w więzieniu nagrywa swoje wspomnienia, rozliczenie z samym sobą, a taśmę przekazuje potomnym. Dekady później, konfrontuje się z nimi jego wnuk, żyjący we współczesnej Polsce ksiądz Marcin. Historie przeplatają się, a wyznanie wojennej zbrodni uruchamia domino współczesnych rozliczeń. Dziadek (Stanisław Brejdygant) opowiada o wpływie, jakie miała na niego przedwojenna antysemicka nagonka. Wnuk (Dariusz Toczek) próbuje rozpoznać własną kondycję uczestnika i współtwórcy propagandowej maszyny współczesnego Kościoła, coraz bardziej bezradnego wobec współczesnego świata. Społeczny rachunek sumienia reżysera *Kleru, Wołynia czy Wesela*.

występują m.in.: Stanisław Brejdygant, Michał Czarnecki, Dariusz Toczek.



Klasyczny dramat Maxa Frischa w reżyserii debiutującego w tej roli w TEATRZE TELEWIZJI Jana Holoubka – i pierwsza po 60 latach telewizyjna realizacja tego tekstu. Z inscenizacyjnym rozmachem i sporą dawką formalnego humoru Holoubek buduje świat satyry na społeczne uśpienie, gorzką, ironiczną opowieść o konformizmie, wygodzie i mechanizmach wyparcia, które rządzą współczesnym społeczeństwem. Skonfrontowany z realnym niebezpieczeństwem ze strony podpalaczy (Mariusz Jakus, Łukasz Simlat), Biedermann – w tej roli Andrzej Seweryn – pozostaje niezdolny do sprzeciwu, do reakcji, działania, wypiera zagrożenie do tego stopnia, że gotów jest raczej użyć podpalaczom zapalek, niż przyznać, że ktoś właśnie szykuje mu w domu ognisko. Frisch pokazuje, że prawdziwym powodem każdej politycznej katastrofy jest tyleż uporczywość sprawców, co bezczynność świadków, a *Biedermann i podpalacze* pozostaje wciąż boleśnie aktualną przypowieścią o winie zrodzonej z bierności i o tym, jak każde społeczeństwo zaczyna korodować i pękać od: „To nie moja sprawa”.

występują m.in.: Mariusz Jakus, Marcin Jarnuszkiewicz, Andrzej Seweryn, Łukasz Simlat, Iwona Wszółkówna oraz sekstet wokalny proMODERN.

POCAŁUNKI WYPITE PRZEZ UPIORY

Pierwsze kompletne wydanie „Listów do Mileny” Franza Kafki to nie tylko dokument z przeszłości, ale też opowieść o nas: zapatrzonych w telefony i nieustannie wysyłających wiadomości do nieobecnych.

GRZEGORZ JANKOWICZ

MIŁOŚĆ, O KTÓREJ ZAMIERZAM OPOWIEDZIEĆ, ZACZĘŁA się w 1919 r. od pytania natury technicznej. Nieco wyołbrzymiam, bo doszło wtedy zaledwie do pierwszego kontaktu, zaś uczucie narodziło się później – a może nawet trudno nazwać „kontaktem” napisany w skrajnej desperacji krótki list.

Milena Jesenská przymierała głodem i potrzebowała szybkiego zarobku. Za namową znajomego – Stanisława Kostki Neumanna, lewicowego pisarza, redaktora i wydawcy, poszukującego w literaturze inspiracji do społecznego działania – postanowiła przełożyć na czeski tekst Franza Kafki. Wybór padł na „Palacza”, pierwszy rozdział powieści „Zaginiony”. Kafka opublikował go już w 1913 r., zaznaczając, że to fragment pewnej całości (ukazała się dopiero po jego śmierci, pod tytułem „Ameryka”).

Milena potrzebowała zgody autora i wydawcy. Listowne zapytanie było lakoniczne. Nie chciała, by adresat domyślił się, jak zła jest jej sytuacja.

Franz Kafka

Walka o siebie

Urodzona w 1896 r. Jesenská pochodziła z zamożnej praskiej rodziny. W wieku 16 lat straciła matkę; tak naprawdę „straciła” ją wcześniej, gdyż długa choroba uniemożliwiła matce normalne funkcjonowanie. Milenę wychowywał (a raczej próbował sprawować nad nią pieczę) ojciec, szanowany chirurg szczękowy, prowadzący własną praktykę dentystyczną i wykładający na Uniwersytecie Karola. Modelowy przykład mieszczańskiego despoty: przekonany o swojej wybitności egoista, nacjonalista i antysemita, który rodzinę traktował jako nieodzowny atrybut męczyzny, a zarazem kłopotliwy ciężar.

Jesenski chciał uczynić z Mileny silną jednostkę, upodobnić ją do siebie. Nie był to klasyczny zimny chów, gdyż młoda Jesenská miała na pozór dużo swobody. Chodziło raczej o skalę odpowiedzialności, która na nią przedwcześnie spadła. To ona musiała zajmować się matką, podczas gdy ojciec rozwijał karierę i oddawał się uciechom z pacjentkami. Posłał córkę do liceum Minerva, pierwszej prywatnej placówki dla dziewcząt, słynącej z poziomem nauczania oraz intelektualnej otwartości nauczycielek i nauczycieli, co budziło podziw progresywnej części czeskiego społeczeństwa i przerażenie tej konserwatywnej.

Jako nastolatka Milena buntowała się przeciwko warunkom panującym w domu i przekraczała społeczne normy. Nie był to wyłącznie nieodzowny element procesu dojrzewania. W ten sposób odreagowywała traumatyczne doświadczenia związane z chorobą matki. Kradła ojcu pieniądze i ubrania (te ostatnie rozdawała przyjaciołom), eksperymentowała z narkotykami podprowadzanymi z gabinetu stomatologicznego, wdawała się w uliczne bójki, stała się bywalczynią modnych kawiarni, gdzie prowokowała mieszczańską klientelę. W jednym z takich lokali poznała Ernsta Pollaka, starszego o 10 lat pisarza i urzędnika bankowego, centralną postać środowiska intelektualnego, które składało się głównie z niemieckojęzycznych Żydów. Nazywano go „Kenner” (znawca) i traktowano jako arbitra w sprawach literackich.

Dla Jesenskiego związek córki z Pollakiem był nie do przyjęcia. Uznał, że Milena szarga nie tylko wartości rodzinne, ale też narodowe, podkopując jego pozycję społeczną. W 1917 r. na 9 miesięcy zamknął ją w szpitalu psychiatrycznym: wyszła osiągnąwszy pełnoletność. Od razu oznajmiła ojcu, że zamierza poślubić Pollaka. Jesenski musiał zgodzić się na małżeństwo, ale postawił warunek: młodzi przeniosą się do Wiednia. Miał nadzieję, że pozbędzie się problemu, a praskie kręgi towarzyskie przestaną plotkować o jego rodzinie.

Początek był obiecujący. Milena i Ernst, wyposażeni w niewielki posag, szybko urządzili się w nowym mieście. Dla niemieckojęzycznego Pollaka wiedeńska rzeczywistość nie stanowiła wyzwania. Znał tworzących tam pisarzy, a jego reputacja pozwoliła mu zająć w ich grupie ważne miejsce. Milena musiała nauczyć się języka i – gdy pieniądze od ojca się rozeszły – znaleźć sposób na zarabkowanie.

Walka o prawo do związku z Pollakiem była tak intensywna, że Jesenská przeoczyła wiele sygnałów ostrzegawczych. Dopiero teraz w pełni poznała swojego partnera, który, owszem, dysponował inteligencją i wiedzą, ale był skrajnie niedojrzały. Blokadę pisarską próbował sobie powetować niekończącymi się rozmowami o literaturze i kolejnymi romansami.

Milena starała się dopasować do tego stylu życia, przekonana przez Pollaka, że nowoczesna miłość powinna przyjąć formę otwartego związku. Wchodziła w przelotne relacje z mężczyznami (np. Hermannem Brochem, którego uczyła czeskiego) i kobietami. Z czasem emocjonalny koszt tych eksperymentów okazał się zbyt wysoki. Jej egzystencja przypominała sinusoidę: po chwilowych wzlotach następowały upadki (kolejne transgresje, konflikty, próby samobójcze...).

A jednak nie poddała się. Z pomocą przyjaciół zaczęła drukować felietony i krótkie reportaże. Inteligencja, wrażliwość, zmysł obserwacji, a przede wszystkim ciekawość ludzi i świata (nowego świata, z jego obyczajowością, modą i techniką) pozwoliły jej rozwinąć współpracę z czeskojęzycznymi pismami. Pollak wyśmiał pierwsze próby dziennikarskie Mileny, więc na znak protestu zaczęła podpisywać teksty paniąmskim nazwiskiem. Postanowiła również wkroczyć na jego terytorium. Przekłady z literatury niemieckojęzycznej miały być nie tylko dodatkowym źródłem utrzymania, ale też próbą sił z mężem. Właśnie dlatego napisała do Kafki, z którego utworami zetknęła się już wcześniej. Poza tym ich ścieżki przecięły się w jednej z praskich kawiarni, ale wtedy nie miało to żadnych konsekwencji. Jak wspominałem: uczucie narodziło się później.

Przyjadę albo nie przyjadę

Pierwsze listy i kartki pocztowe zaginęły. Dla nas relacja Mileny Pollak i Franza Kafki zaczyna się wiosną 1920 r. 37-letni pisarz udał się wtedy do tyrolskiego Meranu (a w zasadzie Merano, bo od 1919 r. ta miejscowość, będąca jednym z popularniejszych ośrodków uzdrowiskowych i kurortów dawnego cesarstwa habsburskiego, należała do Włoch), by podreperować zdrowie. Od trzech lat zmagał się z postępującą gruźlicą. Chorobę traktował jako somatyczny skutek psychicznego napięcia.

Gdy analizuje się kolejne jego życia, uderzają przede wszystkim dwie rzeczy: niebywała samoświadomość, a zarazem bezradność wobec własnych emocji. Z każdej strony jego dziennikowych zapisków i licznych listów, które wysyłał do bliskich, wyłania się obraz człowieka nieustannie przemierzającego własne wnętrza w celu zbadania jego granic. W konfrontacji z innymi ten sam człowiek niemal zawsze tracił grunt pod nogami, wikłając się w relacje, których dynamika przyprawiała go o zawrót głowy. Nie potrafił wykorzystać wiedzy zdobytej w procesie autoanalizy, nie był w stanie przekuć jej w praktyczne rozwiązania, by zneutralizować codzienne problemy.

Jednak, podobnie jak Milena, choć z innymi skutkami, nie dawał za wygraną. Po kilkuletnim nieudanym związku z Felicją Bauer (1912-1917), w trakcie którego wysłał przeszło 500 listów miłosnych, wciąż fantazjował o zbudowaniu stabilnej relacji z kobietą. W 1919 r. postanowił ożenić się z Julie Wohryzek, prazanką żydowskiego pochodzenia, ale plany te pokrzyżował jego ojciec, zaniepokojony plotkami o rzekomych wybrykach obyczajowych narzeczonej Franza. Skonfundowany Kafka uległ, choć nie zerwał z Julie całkowicie. Przecież to właśnie ojciec zawsze naciskał na niego w kwestii małżeństwa, stanowczo, wręcz agresywnie przekonując – zresztą w podobnym stylu, co Jan Jesenski – że bez rodziny mężczyzna jest społecznie upośledzony i nie może liczyć na uznanie, a o to ostatnie trzeba ciągle zabiegać.

Gest Mileny zaintrygował go z dwóch powodów. Po pierwsze, nikt wcześniej nie tłumaczył jego tekstów. Po drugie, sam

→ chętnie skonsultowałby się w ich sprawie z Ernstem Pollakiem, o którym miał jak najlepsze zdanie. Na horyzoncie rysowały się ekscytujące możliwości: albo żona wybitnego intelektualisty sekretnie zainteresowała się targanym ciągłymi wątpliwościami Kafką, albo zakamuflowany dowód uznania wysłał mu za jej pośrednictwem ów intelektualista. Należało skorzystać z okazji i odpowiedzieć życzliwie.

Zajęta swoimi sprawami Milena ucieszyła się ze zgody na przekład, ale nie zareagowała od razu. Kafka musiał zachęcić ją do stałej korespondencji. Lawina ruszyła z impetem dopiero w kwietniu. Okazało się, że wiele ich łączy: podobna wrażliwość, koncentracja na detalu, przekonanie, że mamy do dyspozycji jedynie życie doczesne i że właśnie ono jest naszym największym zadaniem, a zatem nie należy tracić energii na rozważania o fantastycznej przyszłości po śmierci.

Kafka był dzieckiem swoich czasów, ale dzieckiem zagubionym, przez co wyrodnym. Nie znosił mieszczańskiej formy życia, w jego przekonaniu największą zarazą nowoczesnego świata był patriarchy, a powinności kobiety i mężczyzny należy stale renegotjować. Gdy okazało się, że oboje mają trudne relacje z ojcami, zaczęli pisać nie tylko o osobistych doświadczeniach, ale też potencjalnej zmianie społecznej.

Najważniejsza różnica ujawniła się w podejściu do bezpośredniego kontaktu. Milena uważała, że powinni się czym prędzej spotkać, by ugruntować emocjonalną więź. Kafka – jak zawsze – chował się w jamie. Jego niechęć do konfrontacji wynikała z obawy, że Milena będzie rozczarowana żywym człowiekiem. W listach mógł kontrolować sytuację – częściowo, bo choć wszystko rozgrywało się wyłącznie w ich głowach, to jednak emocje co raz dawały o sobie znać. Gdy Milena zaproponowała, by wracając do Pragi, zatrzymał się na kilka dni w Wiedniu, Kafka wpadł w popłoch, a zwątpienie zainscenizował w tekście: jeden z listów składa się niemal wyłącznie ze sprzecznych zdań, z których pierwsze informuje o tym, że przyjedzie, a następne – że jednak nie.

Źródła wątpliwości było więcej. Przede wszystkim Pollak, budzący strach potężny konkurent. Poza tym relacja z Julie Wohryzek, o której Franz szybko poinformował Milenę. Ostatecznie przybył do Wiednia na cztery dni, które tak naprawdę były jedynym w pełni szczęśliwym epizodem tej miłości. Udało im się na chwilę zapomnieć o wszystkim, co ich niweczyło: ona

Milena uważała, że powinni się czym prędzej spotkać, by ugruntować emocjonalną więź.

Franz chował się w jamie.

**Obawiał się, że będzie
rozczarowana żywym człowiekiem.**

odsunęła się od toksycznego męża, on opanował lęk przed bliskością i mimo choroby swobodnie włóczył się z Mileną po mieście.

Fragmenty dyskursu zwierzęcego

W opublikowanych w 1977 r. „Fragmentach dyskursu miłosnego” Roland Barthes pisze, że mowa zakochanych obfituje w rozmaite chwyt, które co prawda bez reszty

przynależą do języka, ale przypominają nieco figury taneczne lub gimnastyczne – słowa zdają się naśladować zmysłowy ruch ciała. I właśnie z takim ruchem mamy do czynienia w listach Kafki. Gdy opowiada o swojej chorobie i troszczy się o stan zdrowia Mileny, jego zdania zaczynają kaszleć. Gdy wstydy się z nią spotkać i mnoży powody, dla których nie powinien tego robić, każda fraza ma wypieki. Gdy jest zazdrosny o Pollaka, rzeczowniki drżą z wściekłości, choć czasowniki utrzymane są w spokojnym tonie. Kiedy opisuje swoje uczucia, przywołuje obraz płomienia. Wystarczy zajrzeć do oryginalnych wersji listów, by przekonać się, że charakter pisma zmieniał się właśnie w tych miejscach, jakby papier parzył mu dłoń.

W maju napisał do Mileny jeszcze z Merano, że odpoczywając na leżaku, dostrzegł żuka, który przewrócił się na grzbiet. Mógłby mu co prawda pomóc, ale był zajęty lekturą jej listu. Dopiero pędząca jaszczurka na powrót przyciągnęła jego uwagę do świata. Żuk zdawał się martwy, ale jaszczurka go potrafiła, dzięki czemu udało mu się wrócić do pionu i po chwili ruszyć w swoją stronę. Kto w tym fragmencie leży na grzbiecie w śmiertelnym przykurczu – żuk czy Franz? Milena zapewne zrozumiała aluzję. To ona była jaszczurką, która swoją niewyczerpywalną energią przywróciła oziębiałego Kafkę do życia.

Figur zwierzęcych znajdziemy w listach więcej. O lęku i niezdeterminowaniu Kafka opowiedział za pomocą anegdoty o wróblu, który pojawił się na jego balkonie. Widział go wyraźnie z pokoju przez otwarte drzwi. Zamiast rzucić kilka okruszków na balkon, rozsypał je wokół siebie, skłaniając kruche istnienie do przekroczenia progu. Ptak odleciał, ale po chwili wrócił, spragniony i trochę zdesperowany. Gdyby Kafka nie wykonał – intencjonalnie lub przypadkowo – płoszącego ruchu ręką, wróbelby udało się zdobyć pokarm. W początkowej części tego fragmentu słowa opadają bezgłośnie i miękko na stronę niczym okruszki. Potem wszystko przyspiesza. Gwałtowny ko-

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA” DODATEK:

Nagroda Literacka Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego

W najbliższym numerze specjalny dodatek poświęcony Nagrodzie Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego, a w nim **RECENZJE NOMINOWANYCH KSIĄŻEK PROZATORSKICH** oraz **DEBIUTÓW POETYCKICH**. Zapraszamy do lektury!

PARTNER DODATKU:





ARCHIWIO GGB / ALAMY / BE&W

Milena Jesenská, 1915 r.

niec akapitu, będący zarazem końcem listu, przywodzi na myśl trzepot wystraszonych skrzydeł.

Nie wiemy, jak wyglądały odpowiedzi Mileny. Możemy się tylko domyślać, w jakim stylu były utrzymane, biorąc za punkt odniesienia kilka jej zachowanych listów do Maksa Broda, przyjaciela i powiernika Kafki, a po śmierci pisarza – redaktora i pierwszego wydawcę jego pism. Milena jest w nich tyleż emocjonalna, co precyzyjna, żywiołowa i zarazem konkretna, ostrożna, ale pewna swych uczuć. Bez reszty przynależała do sfery rzeczywistości.

Kafka, mimo krótkich okresów emocjonalnego wzmożenia, chciał pozostać w świecie słów, ale na dłuższą metę ów świat straszliwie go męczył. Epistolarny romans trwał kilka miesięcy – od kwietnia do listopada 1920 r. W pewnym momencie Kafka uznał, że wspólne życie jest jednak możliwe i zaczął namawiać Milenę na przeprowadzkę do Pragi albo gdzieś, gdzie będzie mogła być z dala od męża. Chyba ją to trochę przstraszyło, poza tym wciąż była koluzyjnie uzależniona od Polaka. Spotkali się jeszcze raz, ale oboje uznali tę schadzke za nieudaną. Ostatecznie pod koniec roku doszło do zerwania. Być może było ono nieuchronne – od początku wpisane w tę historię jako jedyne wyjście dla ludzi nieprzygotowanych na zmianę.

Klucz do Kafki, klucz do świata

Dwa lata później Kafka wysłał do Mileny list. Zaskakujący gest, bo co prawda widzieli się kilka razy, gdy już po „rozstaniu” od-

wiedziła Pragę, ale nie pisywali do siebie. A jednak pod koniec marca 1922 r. powstał poruszający dokument, który rzuca światło na ich relację. Jest także jednym z najaktualniejszych dzieł Kafki.

Pisarz zwraca się do niej per „pani” i od razu przystępuje do wyjaśnienia, że milczał, gdyż nie znosi kontaktu epistolarnego (śmiało stwierdzenie jak na kogoś, komu zdarzało się pisać po kilka listów dziennie). Potem przechodzi do rozważań na poły osobistych, na poły filozoficznych. Stwierdza, że całe nieszczęście jego egzystencji wynika z możliwości pisania listów. Musiało to – kontynuuje – „wnieść do świata straszliwe rozbicie dusz. Toż to jest obcowanie z upiorami, i to nie tylko z upiorem adresata, ale też i z własnym, który człowiekowi niemal spod pióra wyrasta w liście (...) albo nawet w całym szeregu listów, gdzie jeden list umacnia drugi i może powołać się nań jak na świadka” (tłum. Feliks Konopka).

Nie wiadomo, co Kafka miał dokładnie na myśli. Być może nawiązywał do ich wymiany listów, która co najmniej kilka razy przekształciła się w istną zonglerkę (zakochani nie czekali na odpowiedź z drugiej strony, tylko tworzyli kolejne komunikaty, przez co w danym momencie w ruchu było kilka, a nawet kilkanaście różnych listów; nie można się było w tym połapać, dlatego wreszcie Kafka zaczął je numerować).

O jakie upiory chodzi? Pisarz nie definiuje tego – pojawiającego się również w dziennikach – pojęcia. Jakaś wywłaszczająca siła przechwytywa energię przelewana w miłosną korespondencję, sprawiając, że żywi słabną, a rzeczywistość kurczy się, zmierzając w stronę niemal całkowitej zatury. „Jakim sposobem przyszło ludziom na myśl, że mogą obcować ze sobą za pomocą listów! O dalekim człowieku można myśleć, a bliskiego człowieka można schwytać, wszystko inne przekracza ludzkie siły. Ale pisać listy znaczy tyle, co obnażać się przed upiorami, na co one chciwie czekają. Pisane pocałunki nie docierają do miejsca przeznaczenia, tylko wypite zostają po drodze przez upiory. Dzięki tej strawie rozmnażają się one niesłychanie”.

W pewnym sensie Kafka zanegował tutaj zasadę swojego współistnienia z ludźmi, której słowo było nieodzownym elementem, ochroną i jednocześnie zapośredniczeniem. Pragnął obecności, ale gdy w grę wchodziły uczucia, nie potrafił jej wytrzymać (po „rozstaniu” widzieli się więcej razy niż w trakcie „romansu”). Nie stracił do Mileny zaufania, wciąż czuł, że łączy ich wyjątkowe powinowactwo. Podczas jednej z wizyt przekazał jej dzienniki, które po latach oddała Brodowi, zaznaczając przy okazji, by listy do Franza jak najszybciej spalił.

Podobnej prośby od przyjaciela Max nie spełnił. Dlaczego posłuchał Jesenskiej? Co jeszcze zawierały jej listy? A może leżą zapieczętowane w jakimś zapomnianym prywatnym archiwum, nie czekając wcale na odkrycie, intymnie skryte przed oczami czytelników, wciąż dostępne wyłącznie dla jak zwykle nieobecnego Franza Kafki.

© GRZEGORZ JANKOWICZ



Franz Kafka
LISTY DO MILENY
Przekład
Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska,
Feliks Konopka
Znak, Kraków 2025

ELIZA

Kącka:

Bazia wymiata



NIEDZIELA PALMOWA, BABCIA Z WNUKIEM w biedrze. Tłoczmy się przy pomidorach. Babcia: „Twój ojciec poszedł rano bez palmy”. Wnuk: „A to mu się zaliczy?”. „Msza to msza. Najważniejszy udział z komunią. A specjalnie mu przy butach położy-

łam. I nie wziął”. „Babcia, a po co my święcimy palmy?”. „Na pamiątkę Jezusa”. „To On lubił palmy?”. „A pewnie. Kolorowe, polskie palmy”. „A to Jezus tu przyjeżdżał?”. „Nie, ale Niedziela Palmowa jest od polskiej palemki”. „Jak ją Jezus zobaczył?”. „Bóg wszystko widzi”. „Ale jako człowiek czy po śmierci?”. „Matkojedyna, co ty wygadujesz? Jakiej śmierci?”. „A to Jezus nie zmarł?”. „Nie! Jezus żyje, i widzi wszystko”. „Naszą palmę też?”. „Też”. „To dlaczego mówisz, że »na pamiątkę Jezusa« niesiemy palmy?”. „Bo na tydzień przed męką i śmiercią pocieszały Go polskie palemki”. „To on wiedział, że umrze?”. „On wszystko wie”. „I nasze palmy Go pocieszyły? Bazia wymiata!”

LIDL, DŁUGA KOLEJKA. KILKA MIEJSC PRZED MNĄ OJCIEC z dwójką dzieci. W koszyku chleb, mleko, cokolwiek z warzyw. Dzieci odbijają ku półkom, przynoszą różności. „Tata, a to?”. „Nie mogę, Zosiu, za drogie”. „Dobrze”. Córka odpuściła, mały napiera: „Obiecałeś cukierki na zajączka”. „Za tydzień, Piotruś”. Starszy za nimi: „Nie męczcie taty, widzicie, że go nie stać”. Przesuwamy się ku kasom. Staruszka przed gościem bierze dwa czekoladowe zestawy z wielkanocnej wystawki. Podaje dzieciom. Chłopiec łapie, podskakuje. Dziewczynka wyciąga rączkę, cofa. Patrzy na ojca: „Tatusiu, mogę, nie będzie ci przykro?”. „Nie, kochanie”. Kolejka stoi, patrzy. Staruszka płacze. „Bardzo państwa przepraszam – rzuca nam ojciec – głupia bieda”. Poszli.

WROCŁAW, WIECZÓR PÓŹNY WPADAJĄCY W NOC. ŻAL NIE WYJŚĆ z hotelu i nie powdychać miasta, nie powęszyć. Plac Solny, krążyć, im bliżej rynku, grupki młodych gęstnieją. Jakby tam, w świetle między ścianami, w symetrycznych rozgałęzieniach ratuszowej bryły było źródło zasilające grzybnie towarzyskie. Im bliżej, tym gęstszy porost. Prawie siedzą sobie na głowach. Już opodał rynku. Gość w kapeluszu prosi o ogień: „Ja się nie zaczepiam”. „Jasne – mówię – ale nie mam ognia pod ręką”. „Hehe, tyle nie wymagam. Wystarczy zapalniczka”. Wchodzę w rynek i stoję tuż przy Literatce. Tłumki tu i tam, przy stolikach smętne dopijania, a raptem dwie kobiety z knotami świec. Podchodzą. Pierwsza: „Ma pani zapalnik? Zapalniczkę?”. „Oj, nie”. „Zgasło nam, a jeszcze godzina przeblągania została”. Druga: „Zostaw, Alusia, Pan

Jezus widział, że wiało, skończymy bez świeczki”. Alusia do mnie z dumą: „Dziś tu przeszła procesja pokutna. Mój wnuk szedł. Dużo szło wnuków”. „Widziałam”. Druga: „Widziała pani? Ale nie dołączyła”. Alusia: „Daj spokój, Halinka, oni nie wiedzą”. Uśmiecham się: „A o czym?”. „O czym? Wnuka szybko nawróciłam, ja nawracam ogólnie. Taki charyzmat mam”. „Uhm”. „Młodzi teraz chcą zbawienia, porządku. Ale nie wy”. „My?”. „Wy, liberały. Ale już niedługo was...”. Halinka: „Dzban kule nosi, póki ucha nie urwie”. Śmieję się: „U, i co będzie?”. Spojrzały groźnie. Alusia: „Dobrze będzie. Tylko wy musicie minąć”. Poszły. Ciemne niebo nad luną miasta. Żałobny księżyc.

POCIĄG DO WROCŁAWIA, BEZPRZEDZIAŁOWY, TRAFIŁO SIĘ miejsce przy stoliku, a *vis-à-vis* dwóch gości kiele czterdziestki. Omawiają znajome. „Anka by sobie już teraz nikogo nie zorganizowała”. „No, ale przecież Marka ma”. „No mówię. Niech się cieszy. Teraz by już nikogo nie wyjęła”. „No, nie wiem. Myślisz, że Karol by się po nią nie schylił?”. „Haha, to on nie jest gej?”. „No nie, jest desperat”. „Ok, ale umówmy się, to nie jest dobry przykład”. „No, ja bym się nie schylił”. „A Marta?”. „Wygląda na swoje lata, niestety”. „Co nie? A taka z niej dwudziestka była”. „No, nie wiem, jak od pasa w dół...”. „Haha”. „Ale w górę gorzej. Twarzą nie daje rady”. „No to którą byś brał na wygląd? Aśkę?”. „No co ty”. „Chyba nie Iwonę...”. „Tym bardziej. Chociaż ona ma u mnie litość, bo rodziła”. „Fakt”. „Postarzyło ją, ale mniej bym wypominał. Jednak respekt”. „Ej, ty, szlachetny jesteś!”. „Dzięki. Ale i tak bym się nie schylił, są granice”. „A Zośka?”. „No, nie wiem, przeintelektualizowana. Ja ci szczerze powiem, że muszę mieć głupszą. Widziałeś ją ostatnio?”. „Trzyma się”. „Może ją sprawdzę, w ramach prezentu na czterdziestkę”. „Chyba twoją”. „A czyja?”. „Zośka ma faceta, znacznie młodszego”. „Ooo, no to muszę ją wyjąć!”. „Haha”. „Lasce się pewnie zdaje, że coś może. Wyjmę ją i porzucę”. „A ten jej facet?”. „Niech się uczy”.

AUTOBUS 180, JAZDA NA SIELCE. DWIE TRZYDZIESTOLETNI. „Widziałas »Dojrzewanie?«”. „Nie. Co to?”. „Żartujesz! Serial, obowiązkowo! Masz Netfliksa?”. „Mam”. „To dziś zobacz. Orze mózg”. „W sensie?”. „Normalnie się nie możesz uspokoić”. „Eee, tobie wszystko orze”. „Ale tym razem naprawdę. To jest zrobione na efekcie, że każdy mógłby być takim rodzicem normalnie”. „Dość mam rodzin”. „Nie o to biega. Musisz obejrzeć”. „Bo?”. „Bo wszyscy już widzieli”. „Moja babcia raczej nie”. „Nudzisz. Przejmiesz się. Mnie to rozwaliło na kawałki normalnie”. „No patrz, nie widać”. „Dzisiaj siadasz i oglądasz”. „Wolę książkę”. „Żartujesz?! Książkę sobie zostaw, jak nie możesz zasnąć. Ja cię namawiam do przeżycia czegoś normalnie”. „A to z książką nie można?”. „No przecież, że nie, no co ty”.

©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.



MATTEO BOCELLI

Summer Nights

TOUR 2025

ATLAS ARENA ŁÓDŹ

31 MAJA 2025

BILETY: BILETSERWIS.PL



Prestige
MJM

bs BILET
SERWIS

RMF

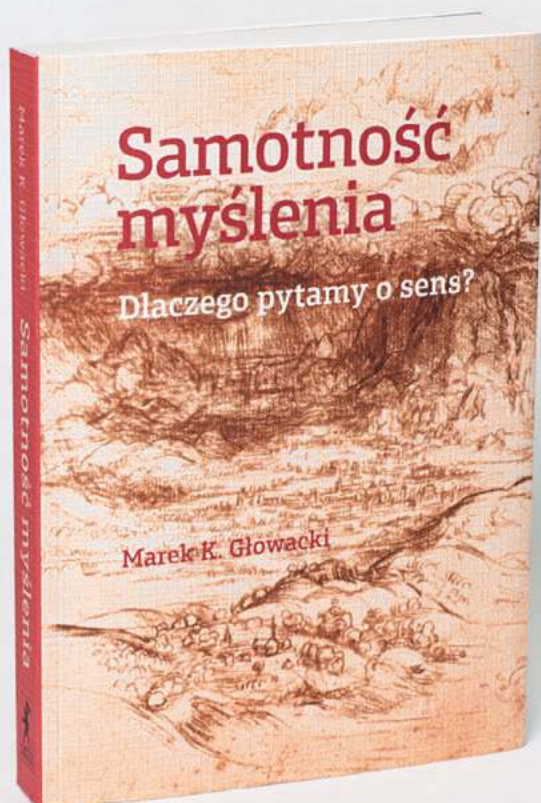
onet

TYGODNIK
POWSZECHNY

proart
teatr i sztuka

VIXON
media

REKLAMY



„*Samotność myślenia* to książka zaskakująca z wielu powodów, z których najważniejszym wydaje się główny zamysł autora. Oto Marek K. Głowacki po dziesięcioleciach zanurzenia w wirze życia, który go bez reszty pochłoniął, postanowił wrócić do dawnych studiów i na nowo zadać szereg podstawowych pytań dotyczących sensu istnienia. Rezultat tego powrotu jest olśniewający i przywraca wiarę w siłę ludzkiego umysłu, zdolnego dać rzeczy słowo, a myśli odpowiedni kształt. Patronuje mu mistrz niezrównany – Hans Georg Gadamer. Myślę, że autor *Prawdy i metody* byłby zaintrygowany propozycją swego studenta, by na nowo przemyśleć dziedzictwo myśli Zachodu, której poświęcił długie i owocne życie filozofa. Dla mnie *Samotność myślenia* to ujmujący przykład sensowności namysłu nad *condition humaine*. Choć nie daje jednoznacznej odpowiedzi na pytanie po co żyć, to prowokuje myślenie. Czyż można oczekiwać czegoś więcej od filozoficznej książki?”

Prof. Stanisław Obirek

„Doświadczenie filozofii potrafi dokonać w człowieku trwałych zmian. Obok licznych tekstów przybliżających i komentujących filozoficzne zagadnienia, tekstów o filozofii, z rzadka zdarzają się takie, w których filozoficzne myślenie odbywa się przed naszymi oczami, dotyka nas i zmienia. *Samotność myślenia* Marka K. Głowackiego tego dokonuje.”

Robert Ogór

„Chciałbym wam zarekomendować interesującą książkę Marka K. Głowackiego. Marek zaczynał od studiów doktorskich w Heidelbergu u Hansa-Georga Gadamera i Reinherna Wiehla. Później odszedł od filozofii, ale pytanie o sens męczyło go całe życie. I stąd ta książka. Zaczyna się od wędrówki Drogą Filozofów w Heidelbergu. Bardzo interesująca.”

Prof. Tadeusz Gadacz





SŁAWEK PRZERWA / NARODOWE FORUM MUZYKI

Dyrektor artystyczny festiwalu Andrzej Kosendiak

FESTIWAL WRATISLAVIA CANTANS:

Raje odzyskane

JAKUB PUCHALSKI

Temat tegorocznej edycji festiwalu odsyła wprost do poematu Milтона, ale dodany przez organizatorów znak zapytania wydaje się w pełni uprawniony. Jak mówić o utracie, skoro każde wydarzenie prezentuje sobą nadzwyczajną wartość?

Ja wskazuję, słuchacz ma sam wykończyć obraz” – stwierdził kiedyś Chopin. W ten sam sposób można potraktować temat przewodni Festiwalu Wratislavia Cantans, który odbędzie się we Wrocławiu w dniach 4–14 września. Tytuł tegorocznej edycji to „Raj utracony[?]”. Tak sformuło-

wana myśl kompletnie zmienia optykę – otwiera na nieoczywistości.

– Wierzę w naszych słuchaczy. Chciałbym im pozostawić przestrzeń niedomówień, niedookreśleń, ciekaw jestem reakcji i pytań, jakie postawią przed, w trakcie i po imprezie – mówi Andrzej Kosendiak, nowy dy-

rektor festiwalu, zarazem jednak doskonale znany od dwóch dekad jako jego szef. Do ubiegłego roku był dyrektorem organizującego Wratislavię Cantans Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu. Teraz, po raz pierwszy, impreza odbędzie się oficjalnie z jego nazwiskiem jako dyrektora artystycznego. Kosendiak przejął po Giovannim Antoninim stery imprezy. – W rzeczywistości współuczestniczyłem w układaniu programu od wielu lat, bo dyrektorzy artystyczni, Paul McCreesh i Giovanni Antonini,

zawsze go ze mną konsultowali – wyjaśnia. – Teraz festiwal odbywa się pod moim szyldem, ale wciąż rozmawiamy w tym samym zespole, szczególnie z Giovannim Antoninim. Bardzo sobie cenię wszystkie inspiracje. Ostateczny dobór artystów i programu leży już jednak po mojej stronie. Temat odsyła wprost do poematu Milтона, ale dodany znak zapytania wydaje się w pełni uprawniony: jak mówić o utracie, skoro każde wydarzenie festiwalu prezentuje sobą jakąś nadzwyczajną war-





MARTIN CHIANG / NARODOWE FORUM MUZYKI

Ensemble Peregrina



CHRIS CHRISTODOULOU / NARODOWE FORUM MUZYKI

John Eliot Gardiner

tość? Dość stwierdzić, że zapowiedziane są występy Antoniego i jego *Il Concerto Italiano* („Eroica” Beethovena i *Msza Koronacyjna* Mozarta), Johna Eliota Gardinera z jego nowymi zespołami, Marthy Argerich z muzyką Beethovena (obok I Koncertu fortepianowego zabrzmieć ma też *Fantazja c-moll* op. 80!).

A także Vox Luminis i Freiburger Barockorchester z Wielką Mszą h-moll Bacha, Ensemble Peregrina ze średniowieczną muzyką ilustrującą lirykę Pieśni nad Pieśniami i René Jacobsa, który poprowadzi Wrocławską Orkiestrę Barokową w znanym oratorium Alessandro Scarlattiego „Kain, czyli pierwsze zabójstwo” (to najbardziej bezpośrednio przywołanie raju utraconego – ale

w muzycznej postaci apogeum dojrzałego baroku).

Andrzej Szadejko ze swoim Goldberg Ensemble zaprezentuje odkrytą przez siebie dla słuchaczy XVIII-wieczną muzykę gdańską, Johanna Daniela Pucklitz „*Oratorio secondo*”, znane już ze znakomitej płyty. Sam Andrzej Kosendiak poprowadzi swój Wrocław Baroque Ensemble w „*Kunst der Fuge*” Bacha (w trzech różnych obsadach).

Nie zabraknie też koncertów kameralnych, podobnie jak muzyki nowej: pojawią się utwory Agaty Zubel i Gérauda Griseya (wyk. Agata Zubel, Ensemble Intercontemporain i Les Percussions de Strasbourg), specjalnym wydarzeniem będzie prawykonanie Requiem Zygmunta Krauzego, dedykowanego dzie-

ciom – najbardziej niewinnym i bezbronnym ofiarom wojen (do tekstów poetyckich). Festiwal zamknie estradowe wykonanie III aktu „*Parsifala*”: w partii Gurnemanza, postaci wypełniającej zdecydowaną większość tego fragmentu ostatniego dzieła Wagnera, usłyszymy jego zapewne najwybitniejszego odtwórcę XXI wieku, René Papego, a orkiestrą Filharmonii Wrocławskiej NFM dyrygować będzie jej obecny dyrektor, Christoph Eschenbach.

Niewątpliwie ten finałowy akt mówi o odzyskaniu raju: święta włóczęzna wraca na Monsalvat, kończą się cierpienia, a na nowego króla powołany zostaje zbawca, Parsifal, restytuujący wspólnotę. Trudno o bardziej znaczący fragment na podsu-

mowanie – niczego dziś bardziej nie potrzebujemy. W ten sposób Wratislavia Cantans nie tylko dostarcza świątecznych, muzycznych przeżyć (jak chciał Wagner) – ale i wskazuje nadzieję. Utrata raju wiąże się z możliwością odzyskania albo zdobycia innego – jest zmianą, ale dzięki poszerzeniu doświadczenia pozwala pójść dalej.

– Pozostawiamy odbiorcom przestrzeń do własnych dociekań. Chciałbym, żeby festiwale, które programują, właśnie na to pozwalały – potwierdza nowy dyrektor artystyczny. ©

NASZ KOLONIZATOR

„Niegdysiejsze śniegi” Gregora von Rezzoriego pokazują, że jeśli nawet wizja udziału w europejskiej historii bywa złudzeniem, to i tak nie posiadamy innej, niż ona, ojczyzny.

I tylko tam nas naprawdę ciągnie.

ZIEMOWIT SZCZEREK

KTÓREGOŚ DNIA ZNÓW ZAPRAGNĄŁEM uciec do dawnej Austrii. Czasem mi się to zdarza. Właściwie bardzo często. Nie bez powodu mieszkam w Krakowie. No, ale wtedy byłem na ukraińskim Wołyniu, od wielu dni jeździłem po tych rozwłoczonych posowieckich (i zarazem pocarskich) miejscowościach pozbawionych prawie zupełnie architektonicznego piękna i czułem się tam niewyraźnie. Było kanciasto, niemiło, smutno i pustawo.

Poczułem, że mam tego dość i że potrzebuję jednak zagłębić się w przytulność jakiejś estetyki. I to nie „jakiejś” – wiedziałem dobrze jakiej. Wyrwałem na południe. W kierunku starej austriackiej Galicji. Przejechałem przez nieistniejącą już granicę i od razu mogłem odetchnąć. Tarnopol. Czortków. Zaleszczyki. Pojawił się znajomy krajobraz kulturowy. Miasteczka o wyraźnym kształcie i stare budynki o spadzistych dachach, często z dobudowanymi wieżyczkami tworzącymi gotyckawy klimat. To Franciszek Józef, a nie rządy pierwszych sekretarzy, wywarł na ten krajobraz największy wpływ.

Poczułem tutaj ulgę. Jak trwoga, to do Franza Josefa, do powidoku mieszczańskiego, cesarsko-królewskiego ciepelka. Czułem, że wróciłem do świata, który posiada formę. I nawet jeśli to tylko duch już martwej formy, to jest to raczej duch przyjazny, a nie upiór. Czułem, że na Zachód wróciłem. Na tym zresztą, być może, polega specyfika

tego całego europejskiego Wschodu, którego nigdy nie można było do końca określić: w przeciwieństwie do Zachodu jest głównie, po prostu, brakiem przytulnej formy. Albo jej bardzo mocnym przerzedzeniem.

Jechałem więc przez tę cudowną krainę i tak się rozpędziłem, że przejechałem całą Galicję i zatrzymałem się dopiero w Czerniowcach. Stolicy innego dawnego habsburskiego kraju koronnego – Bukowiny. W mieście wielokulturowym i dziś, a dawniej, w czasach habsburskich i bezpośrednio po nich, pełnym Rumunów, Żydów, Rusinów/Ukraińców, Polaków, Niemców i tak dalej. W którym to mieście, w rodzinie habsburskiego urzędnika, urodził się Gregor von Rezzori. Człowiek, który patrzył na rozkład tego świata. Co świetnie opisał w wydanej właśnie po polsku książce „Niegdysiejsze śniegi”.

Człowiek habsburski

Gregor von Rezzori (1914-1998), zwany w rodzinie „Griszą”, był pisarzem niemieckojęzycznym (był też scenarzystą i aktorem – grał głównie role, ale jednak w filmach z Brigitte Bardot i Marcelllo Mastroiannim), który Niemcem się nie czuł, a do austriackości, jak sam pisał, bardziej aspirował, niż Austriakiem był w rzeczy samej. W rodzinnej Bukowinie uchodził za →

Gregor von Rezzori, styczeń 1981 r.





MARIO RUIZ / GETTY IMAGES

→ obcego, bo za Austriaka, ale w Austrii również był obcy. Ojciec był Sycylijczykiem, matka wywodziła się z fanariotów, greckich z pochodzenia, a otomańskich z nadania urzędników na Wołoszczyźnie, w jego krwi znalazła się do tego wszystkiego jeszcze irlandzka domieszka. Jako czernowiczanie, obywatelstwo przez prawie całą młodość posiadał rumuńskie.

Kim więc był? Był człowiekiem cesarsko-królewskim, Cekańczykiem, człowiekiem habsburskim. Tak, jak dziś ludzie z dawnego Związku Radzieckiego, nie do końca mogący zidentyfikować się z żadną z powstałych po rozpadzie ZSRR narodowości, uważają się za „ludzi radzieckich”.

Był pogrobowcem imperium, ale to ono, a raczej jego duch go wychowały. Był pod tym względem podobny do Stanisława Lema, który również urodził się już po upadku Habsburgii, ale jego wspomnienia z międzywojennego, polskiego już Lwowa są tym habsburskim powidokiem dotknięte w nie mniejszym stopniu, niż Rezzoriego wspomnienia z nalegających już do Rumunii Czerniowców.

Świat sprzed pierwszej wojny odchodził bardzo powoli razem ze swoją estetyką, modami i prądami, z początkami psychoanalizy, seansami spirytystycznymi, laskami spacerowymi, gorsetami i gorsami, dziecięcymi marynarskimi ubrankami. Z jego klasą przejawiającą się na przykład w „niechaotycznym budowaniu miast”, czego zresztą Czerniowce są doskonałym przykładem: to Habsburgia przecież z zapyziałego bukońskiego miasteczka bez specjalnego kształtu i formy ulepiła „mały Wiedeń”, do którego z taką ulgą wjechałem z „niehabsburskiej” rzeczywistości.

Całkiem inni ludzie

Habsburgia nadała Czerniowcom atrakcyjny estetycznie kształt, którego później panujące na tym terenie ZSRR (ani Rumunia czy Ukraina) nie umiały zastąpić niczym porównywalnym. ZSRR miał inne priorytety: forma, którą cieszyli się zresztą głównie bogatsi mieszkańcy, musiała ustąpić utylitaryzmowi i zapewnieniu tysiącom ludzi dostępu do tanich mieszkań z ogrzewaniem i bieżącą wodą, choćby w paskudnych blokowiskach. Ale i pozbawił Czerniowce romantyzmu i kolorytu, ustanawiając coś, co Rezzori nazywa „zamenieniem całego kraju w przytułek dla biednych”.

Tu jednak Rezzori nie jest konsekwentny, bowiem sporą częścią tego „lokalnego romantyzmu i kolorytu” były zwyczajna bieda i brak cywilizacyjnej otuliny, co sam opisał w „Gronostaju z Czernopola”, książce opowiadającej o Bukowinie (ukrytej pod nazwą Tescovina, gdzie Czernopol to Czerniowce): „W Czernopolu żyli (...) żebracy – całe ich tabuny – pokryci wrzodami i gnijącymi ranami (...) dotknięci kalectwem i ułomnościami, na których widok sam Hieronymus Bosch zwątpiłby we własne dokonania; występowali oni, jako się rzekło, tłumnie – a raczej: pełzali, czołgali się, wili i cisnęli całą chmarą wokół przechodnia, osaczając go, czepiając się i wspinając po nim, jakby go chcieli ściągnąć w swoje unurzane w brudzie i rojące się od wszy poniżenie”.

No i cóż: poza „pełzającymi żebrakami” i ludźmi żyjącymi w „niewyobrażalnej biedzie” niemieckojęzyczni i delikatni „ludzie habsburscy” musieli się tu też stykać z przedstawicielami narodów, które rodzina von Rezzoriego (przynajmniej na kartach „Niegdysiejszych śniegów”) nazywała „kolonialnymi”.

I mały von Rezzori nie miał z tymi „kolonialnymi ludźmi” nic wspólnego. Nie mógł, bowiem był od nich izolowany przez rodziców. A konkretnie przez nadopiekuńczą (choć tylko pod pewnymi względami) matkę, obawiającą się, że w kontakcie z miejscową „dziczą” dziecko nabawi się chorób, złych obyczajów i wszystkiego tego, co przerażało zacne habsburskie mieszczaństwo czasów końca cekańskiego świata.

Inaczej niż Lem, który pochodził z dużej rodziny, ale był jednak zwykłym lwowianinem, który brał udział we wszystkim, co działo się wokół niego, Rezzori należał do klasy kolonizatorów, którzy sami się tak określali i porównywali do Brytyjczyków w Indiach czy Francuzów w Indochinach. I wychowywał się, owszem, w Czerniowcach na Bukowinie, ale ukryty w „splendid isolation” od „wschodnioeuropejskiej dzicy”, której jego przodkowie starali się nadać „zachodni rys”. A gdy to się nie udawało, całkiem świadomie zamykali się we własnych wyniosłych wieżach z kości słoniowej.

Psie obowiązki

Jednym z niewielu aspektów lokalności, który miał do małego „Grischy” do-

stęp, była jego niania o imieniu Kasandra. Była „kobietą lokalną”, pochodzącą z jednego z „ludów kolonialnych”, a sam Rezzori nigdy nie uznał za istotne, by na kartach „Niegdysiejszych śniegów” zastanowić się nad jej konkretnym pochodzeniem (spekulował tylko, że „być może była Hucułką”).

Kasandra pochodziła z „niewyobrażalnej biedy”, wielodzietnej rodziny, której członkowie „dziękowali na kolanach Bogu za biały chleb”. Posługiwała się pokrętnym połączeniem wszystkich lokalnych języków, od rumuńskiego przez rusiński po polski, spajanych łamanym niemieckim, które to połączenie było przedmiotem szyderstw domowników (nawet jeśli było to szyderstwo pomieszanego z sympatią).

Dzisiejszy czytelnik, o nieco już innej, cokolwiek by mówić, wrażliwości, z mieszanią zażenowania i rozbawienia czyta u Rezzoriego opisy Kasandry. Grischa przy każdej możliwej okazji okrutnie pastwi się nad jej „niewyobrażalną brzydota”, „prymitywną urodą” czy rozwodzi nad jej „zwierzęcością”. Tak, dziwnie jest czytać akapity, w których von Rezzori, osoba, która – jeśli wierzyć jego biografom i jemu samemu – wolna była od typowych „wielkoniemieckich uprzedzeń rasowych” i miała szacunek do rdzennych mieszkańców swych rodzinnych stron – rozwodzi się nad tym, jak to Kasandra, w czasie, gdy von Rezzorich nie było w domu, rozbrajała się do naga i razem z psami szalała po całym domu. Albo pojawiające się co chwilę wtręty na temat jej „psiej” zależności i „psiego” oddania temu czy innemu domownikowi.

Kasandrze, która wychowywała Grischę w dzieciństwie i była tego dzieciństwa dzikim, baśniowym aspektem (w ujęciu barbarzyństwa jako „dzieciństwa ludzkości”), von Rezzori przeciwstawia „Strausselkę”, swoją guwernantkę. Dopięta na ostatni mieszczański guzik „Niemka ze Szczecina na Pomorzu” była szacowną i budzącą respekt damą, która formowała Grischę w jego późniejszych, dojrzałych latach i która jest tej dojrzałości metaforą. Wobec niej zresztą Kasandra też była „wierna jak pies”.

Tak to wyglądało. Ojciec von Rezzoriego („antysemita, ale antyhitlerowski”) polował w bukowskińskich lasach z pozycji kolonialnego lorda, bowiem nie brał się z bukowskińskim ludem, uważając

go za barbarzyńską zbieraninę. Jednocześnie znał się doskonale na bukowińskich drewnianych klasztorach, a inskrypcje w staro-cerkiewno-słowiańskim wypisywane na ich ścianach „czytał jak wiedeńską gazetę”.

Sam Grischa, jako pracownik jednej z bukowińskich kopalni, nie tylko metaforycznie, ale i dosłownie „zagłębiał się w rodzinną ziemię”, jednak tezy swojego ojca na temat takich czy innych przywar miejscowej „kolonialnej” ludności cytuje dość beznamytnie i bez specjalnego ukrywania poczucia wyższości.

Sympatia i poczucie wyższości

Łatwo się nad Rezzorim dziś pastwić, był on jednak człowiekiem swoich czasów, a – jak pisał on sam – to „nie człowiek żyje czasami, a czasy żyją człowiekiem”. Interpretacja i krytyka wspomnień dawnych autorów pod kątem „poczucia wyższości” i kolonialnego podejścia to kwestia ostatnich dopiero dekad. Również i nasi rodacy, widząc – na przykład – w Afrykanach „lud kolonialny”, niespecjalnie dziwili się okrucieństwu, z jakim Niemcy traktują ludy Herero i Nama w swej namibijskiej kolonii. Zdziwieni jednak byli, gdy Niemcy, kilkadziesiąt lat później, robili dokładnie to samo z Polakami w Generalnym Gubernatorstwie. Wypierając prawdę, że Niemcy najzwyczajniej w świecie i ich samych uważali (czego nie ukrywa na kartach „Niegdyśszych śniegów” von Rezzori) za taki sam „kolonialny lud”, jak przedstawicieli narodów z kolonialnej Afryki.

Nie zmienia to faktu, że w tym właśnie podejściu „zachodnich Europejczyków”, za jakich się miała rodzina Rezzorich, do „wschodnich barbarzyńców”, niezależnie od tego jak bardzo by się ich wstawiało w rolę nieświadomych istot z czasów „dzieciństwa ludzkości” i otaczało sympatią, tkwi źródło późniejszej rasistowskiej, nazistowskiej pogardy dla „podludzi”. Sympatia bowiem na pstrym koniu jeździ. A poczucie wyższości pozostaje.

Z drugiej strony rasizm ten był jednak w dużym stopniu kwestią klasową. Odizolowane od „niehigienicznych” warunków Bukowiny i od kontaktów z lokalnymi rówieśnikami dzieci rodziny von Rezzorich mogły się jednak bawić z „Mierczkiem”, dzieckiem doktora Buraczewskiego, polskiego chirurga mieszkającego z rodziną obok. Buraczewscy, jak widać,

Trzy razy von Rezzori



■ **GRONOSTAJ Z CZERNOPOŁA**
przełożyła Emilia Bielicka, Czytelnik, Warszawa 2003

W wymyślonym kraju o nazwie Tescovina leży wymyślone miasto o nazwie

Czernopol. Chodzi jednak o konkretną krainę i konkretne miasto: Bukowinę i jej stolicę – Czerniowce, w których autor się urodził i wychował. Opisuje świat pomiędzy wojnami, w którym dawne wartości i zasady odchodzą w niepamięć. Bohaterem jest postać „posthabsburskiego Don Kichota” – Mikołaja Tildy, który tych zasad próbuje bronić wbrew rzeczywistości.



■ **PAMIĄTKI ANTYSYMITY**
przekład Krzysztof Jachimczak, Pogranicze, Sejny 2007

Powrót do krainy dzieciństwa i rozliczenie

z wyniesionym ze swojego domu antysemityzmem. W opowiadaniach dziejących się na Bukowinie właśnie – a także w Bukareszcie, Wiedniu i we Włoszech – miesząc autobiografię z fikcją, autor opisuje spotkania bohatera z Żydami. Każde z nich wywraca antysemicki porządek myślowy panujący w jego głowie.



■ **NIEGDYSIEJSZE ŚNIEGI**
przekład Małgorzata Galińska, Czarne, Wołowiec 2025

Obraz austro-węgierskich peryferii widzianych z perspektywy

niemieckojęzycznych administratorów tej krainy. Pogrobowiec habsburskiego imperium opisuje rozpytywanie się jego powidoku w czasach coraz bardziej radykalnych. I nie udaje, że procesy, którym podlegają kraje, na które rozbito się państwo jego dzieciństwa, wcale go nie dotyczą i że wcale nie miał z nimi nic wspólnego. ©

jako ludzie o statusie podobnym Rezzorim wyłamywali się z narodowych stereotypów.

Nie widziano też niczego skandalicznego w tym, że matka Grischy zakochała się w młodości w polskim oficerze o „szelerszącym nazwisku”. Czasy zresztą, w których dorastali rodzice von Rezzoriego, to czasy premierowania w Cekanii Kazimierza Badeniego, Polaka, którego, jak wspominali wiedeńscy, „cechowała małowówność, co było pozytywnym ze względu na jego słabą znajomość niemieckiego”. Jak widać, nie tylko „arystokracja nie ma narodowości”, jak mówiono w XIX wieku, ale w ogóle elity jako takie.

Nie wspominając już o tym, że z punktu widzenia ukraińskich nacjonalistów to Polacy w Galicji Wschodniej czy Bukowinie byli kolonizującymi, a oni sami – ludnością kolonizowaną. Albo o tym, że w samej kolonizacji – jakkolwiek ją zwać – również może być coś pożądanego. W końcu to właśnie dla powidoku tej habsburskiej rzeczywistości osiągniętej w wyniku rzeczzonej kolonizacji pędziłem na łeb na szyję do Galicji.

„Nas już nie będą kolonizować Austriacy” – pisał z niejakim żalem ukraiński malarz i historyk sztuki, lwowianin od pokoleń Włodko Kostyrko, tęskniąc w mrocznych, bandyckich i nadal pełnych rosyjskich wpływów latach 90. za Habsburgią jako złotymi czasami rodzinnego miasta.

Czar małych miasteczek

Jechałem więc z rozkoszą przez dawną Habsburgię i czułem mniej więcej to samo, o czym pisał Izaak Babel, gdy wjechał do Galicji razem z bolszewicką armią konną Budionnego. Bo rewolucja – rewolucją, gonienie burżuazji – gonieniem burżuazji, ale Babel przede wszystkim zachwycał się tutaj starą, dobrą Europą w jej mieszczańskim właśnie wydaniu. W każdym wiejskim kościele widział zachodnie dziedzictwo, w byle katolickich świętych obrazach dopatrywał się El Greca, w obyczajach mieszkańców galicyjskich miasteczek – kojącej mieszczańskiej formy. I tak dalej.

Pocarska Odessa, z której pochodził Babel, również była, podobnie jak Czerniowce, rodzajem europejskiej kolonii na „dzikim terytorium”. Do tej pory Odessa przypomina swoją strukturą i formą europejskie miasta budowane w tropikach, →

→ jak choćby Nowy Orlean i inne miasta Karaibów: ulice przecinające się pod kątemi prostymi, dwupiętrowe kamienice z balkonikami na piętrach. Zresztą jeszcze długo po czasach, w których powstawała, najprościej i najwygodniej było się do niej dostać od strony morza.

Czerniowce natomiast były budowane tak samo, jak budowało się inne miasta w habsburskim imperium, które niekoniecznie po prostu „kolonizowało” swoje dalekie prowincje, co zwyczajnie rozszerzało się na nie, powoli je absorbując. Rozbudowywało się w tym wyjątkowym stylu, który sprawia, że gdyby zrzucono mnie na spadochronie do któregoś z nich, od razu wiedziałbym, z czym mam do czynienia. I w jakim kręgu kulturowo-cywilizacyjnym się znajduję.

Po drugie – w Habsburgii, podobnie jak w dawnej Rzeczypospolitej (i w ogóle w całej Europie), istniało coś takiego, jak miasteczka. A o takie trudno było w dawnej carskiej Rosji: były tam albo europałdalne miasta, albo rozwłózione, drewniane wsie. Związek Radziecki dodał tu od siebie wyłącznie „osiedla typu miejskiego”, czyli wsie z dobudowanymi socjalistycznymi blokami. W Galicji człowiek natomiast, zarówno ten pochodzący z rosyjskiej części Ukrainy, jak i innych miejsc, nad którymi panowała Rosja (na przykład spod Warszawy) może sobie przypomnieć, że istnieje coś takiego, jak „czar małych miasteczek”.

Tak, stara Mitteleuropa, zarówno Austria, jak i Niemcy, miała niezły pomysł na radzenie sobie ze środkowoeuropejskim krajobrazem, nakładając nań formę romantycznej estetyki. Świat tej estetyki co prawda skończył się, ale pozostawił po sobie całkiem porządną Ruinenwelt. Oraz, owszem, kaca i nie do końca zaleczone otwarte złamania po pogardzie z czasów, gdy Niemcy pozwolili sobie na jej erupcję. Ale czytając von Rezzoriego, niezależnie od tego, jakie są moje emocje względem kolonizowanych i kolonizujących, tęsknię za kojącymi czasami jakiegogoś wielkiego, ale i humanitarnego cywilizacyjnego projektu, a takim przecież była, cokolwiek by mówić, do pewnego stopnia Cekanía. Tak, tęsknię do jakiegogoś ponadnarodowego europejskiego przedsięwzięcia. Skutecznego i ogarniającego całe regiony swoim cywilizacyjnym ciepłem.

© ZIEMOWIT SZCZEREK



Piotr Adamczyk i Mateusz Kościukiewicz w serialu „Projekt UFO”

Wielka tajemnica

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Furmanka, latający autobus i kosmici. Każdy, kto choćby w dzieciństwie interesował się UFO, skojarzy elementy składowe najstynniejszego polskiego „bliskiego spotkania”. Zdarzenie z lubelskiego Emilcina wraca na ekrany pod postacią serialu Netflix. Czy wraz z nim wróci moda na latające talerze?

DZIESIĄTY MAJA 1978 R. JAN WOLSKI, 71-letni rolnik z podlubelskiego Emilcina, zobaczył coś, co zupełnie zmieniło jego spokojne życie. Jak opowiadał potem wielokrotnie (synom, milicji, badaczom, dziennikarzom), jadąc furmanką przez las spotkał niewielkie postaci w obcisłych kombinizonach: miały zielonkawą skórę i połączone błonami palce. Rolnik nie wystraszył się i podwiózł „obcych” na pobliską polanę, gdzie ujrzał zawieszony kilka metrów nad ziemią pojazd.

Na zaproszenie kosmitów wszedł na pokład, poddał się jakiemuś badaniu, a kilka minut później stał z powrotem obok furmanki. Mimo stawianych jeszcze kilka lat temu zarzutów o to, że cały incydent miał zostać sfingowany przez jednego z miejscowych ufologów, zda-

lenie, nagłośnione w peerelowskich mediach, stało się prawdziwym kulturowym fenomenem, „polskim Roswell”.

Kosmiczne objawienia

Osią nowego, polskiego serialu Netflix pt. „Projekt UFO” jest wydarzenie bliźniaczo podobne. Zamiast Emilcina mamy wioskę na Warmii, zamiast 1978 r. ostatnie dni przed stanem wojennym, a w tle mniejszą i większą politykę, zimnowojenne strachy i paranoje, osobiste rozgrywki oraz postaci wzorowane na prawdziwych: fascynata UFO Sokolika (Mateusz Kościukiewicz) i prezentera Polgara (przebieknie oślizgły Piotr Adamczyk).

Serial, który trafił na platformę 16 kwietnia, wizualnie nawiązuje do



MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

„Bliskich spotkań trzeciego stopnia” Spielberga i „Stranger Things” braci Dufferów. Ale osadzona w realiach komunistycznych produkcja jest przede wszystkim okazją do przypomnienia, że UFO w PRL to nie tylko Emilcin. Kosmici mieli nawiedzać Polskę Ludową wielokrotnie i na wiele różnych sposobów. A do tego za zgodą komunistycznej władzy.

– Niezidentyfikowane obiekty latające sprawiały, że świat stawał się bardziej kolorowy i tajemniczy. Widziano w nich możliwość ucieczki, wyrwania się z szarości PRL – mówi „Tygodnikowi” reżyser i scenarzysta „Projektu UFO”, Kasper Bajon. – Z drugiej strony władze mocno w to ingerowały, bo fenomen UFO, zawsze nieco „nadprzyrodzony”, a jednocześnie wytłumaczalny racjonalnie, traktowano jako coś, co stało w opozycji do Kościoła. Można powiedzieć, że UFO było racjonalnym, materialistycznym odpowiednikiem objawień maryjnych.

Księgarnie w latach 70. i 80. pełne były książek Arnolda Mostowicza czy Lucjana Znicza. Opowieści Ericha von Dänikena o „starożytnych kosmitach” doczekały się niezwykle poczytnej serii komiksów (podobnie zresztą jak historia z Emilcina). A kosmici odwiedzali PRL z dużą regularnością.

Już w 1958 r. nad Muszyną miał pojawić się pojazd, który nawet udało się sfotografować. Rok później w Gdyni tajemniczy obiekt, który przeleciał nad mia-

stem (według badaczy z PAN był nim najprawdopodobniej meteor) miał, według miejscowych pogłosek, rozbić się w porcie, a SB i KGB w sekrecie zabezpieczyły pojazd i wywoziły karetką zwłoki kosmity. W 1978 r. nad zachodnią Polską miały z kolei pojawić się „cygara” przypominające sterowce, a w 1982 r. latający talerz – według relacji stojącego na balkonie funkcjonariusza MO – wylądował na warszawskim Czerniakowie. Dopiero pod koniec lat 80. intensywność takich doniesień zaczęła słabnąć – być może dlatego, że uwaga społeczeństwa skupiła się na całkiem realnych, o wiele bardziej przyziemnych problemach.

Dlaczego talerz

Ufolodzy lubią dopatrywać się śladów obserwacji latających pojazdów w starożytnych kronikach czy inskrypcjach. Faktem jest, że Plutarch, Pliniusz Starszy czy Józef Flawiusz wspominali o „ognistych rydwanach” czy „flocie na niebie”, ale większość podobnych opisów wydaje się odnosić do meteorów czy komet. Jednak już od XVI w. pojawiają się relacje, które bliźniaczo przypominają współczesne: dziwne kule, cygara czy inne obiekty geometryczne pojawiały się i nad renesansową Europą, i nad amerykańskimi preriami. Co ciekawe, nie było wśród nich „latających talerzy”.

Nie było, bo te ostatnie są całkiem nowoczesnym wynalazkiem i wynikiem pewnego nieporozumienia, które dobrze ilustruje, jak fenomen UFO zatacza krąg i zaczyna wzmacniać sam siebie. Pierwsza wzmianka o „talerzach” pochodzi z relacji pilota Kennetha Arnolda, który w 1947 r. zaobserwował grupę dziwnych pojazdów pędzących z ogromną prędkością nad górami zachodnich Stanów Zjednoczonych. Arnold stwierdził, że poruszały się one skaczącym ruchem przypominającym „talerze rzucane na wodę”. Ruch zmienił się szybko w powszechną świadomość w kształt, a latające spodki zawałdnęły ludzką wyobraźnię.

Kulturowe wzorce zaczęły wpływać także na to, jak ludzie postrzegali obcych. Początkowo pasażerami UFO była prawdziwa menażeria: istoty małe, ogromne, piękne, brzydkie, włochate albo rybopodobne. Z czasem jednak – i chyba można spokojnie winić za to Hollywood – kosmici zaczęli się unifikować. Dziś nawet dziecko poproszone o narysowanie

kosmity sięgnie po małą istotkę o wielkiej głowie i szarej czy zielonej skórze. Jak pisze prof. Greg Eghigian, historyk z Penn State University i autor książki „After the Flying Saucers Came”, „pokazuje to, jaką rolę kultura odgrywa w przekształcaniu naszych spostrzeżeń w coś łatwo rozpoznawalnego dla każdego”.

Na lęki: obcy

Kultura i polityka kształtowały też to, co UFO dla ludzi znaczyło. W ogarniętych zimnowojenną paranoją USA lat 40. i 50. latające talerze były zagrożeniem. Metafora „czerwonych”, którzy w każdej chwili mogli dokonać inwazji na miłujących święty spokój mieszkańców amerykańskich suburbiów. W latach 60. i 70. przybysze stali się z kolei symbolem nadziei i tajemnicy. „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” (1977) czy „E.T.” (1982) Spielberga przedstawiały obcych w tonie mistycznym i przyjaznym, a kontakt z UFO jako coś w rodzaju przeżycia religijnego.

Ta optymistyczna wizja nie przetrwała długo. Lata 80. i 90. to teorie spiskowe, manipulacje (zarówno obcych, jak i ziemskich rządów), fascynacje porwaniami i eksperymentami na ludziach. Kulminacją była premiera serialu „Z Archiwum X” (1993), w którym kosmici spiskują z mrocznymi siłami tu, na Ziemi, by zniewolić niczego niepodważającą ludzkość.

Za każdym razem projektowaliśmy na domniemanych kosmitów nasze bieżące nadzieje, obawy i lęki.

– Fale obserwacji UFO zawsze pojawiały się w czasach kryzysowych, w momentach przesilenia – mówi Bajon. – Tajemnica pozwala nam ukierunkować i rozładować lęki.

Nie umknęło to uwadze rozmaitych władz – nie tylko zresztą w PRL. W 1952 r. na biurko zastępcy dyrektora CIA trafiła notatka, która wskazywała, że UFO mogą stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Nie ze względu na potencjalną inwazję z kosmosu, ale dlatego, że fascynacja latającymi talerzami może przerodzić się w masową histerię. Jednocześnie ówczesny szef CIA, Walter Smith, sugerował, że fenomen daje potencjał „ofensywnego lub defensywnego wykorzystania go do celów wojny psychologicznej”. Na przykład odwracania uwagi czy siania paniki w krajach przeciwnika. ➔

Archiwum Grundmana

→ Wojsko i wywiad w sprawę UFO zaan-
gażowane były od samego początku.
W USA od lat 60. prowadzono owiane
aurą tajemnicy projekty Sign, Grudge
i Blue Book. W PRL mieliśmy ich odpo-
wiednik w postaci „Teczki Grundmana”,
relacji o kontaktach z nieznanymi obiek-
tami zbieranych przez płk. dypl. pil. Ry-
szarda Grundmana, szefa Służby Ruchu
Lotniczego Wojsk Obrony Powietrznej.
Teczka miała zaginąć w latach 90., co
dało pożywkę dla całej gamy teorii spi-
skowych.

Celowo manipulowano też opinią
publiczną. Nie w celu ukrywania „lata-
jących spodków”, przeciwnie, by nakre-
cać ich popularność. Ujawnione w ostat-
nich latach dokumenty jasno pokazują,
że amerykańscy wojskowi chętnie pod-
sycali „ufomanię”, bo dzięki niej przy-
padkowe obserwacje tajnych samolo-
tów o nieziemskich kształtach (takich
jak słynne SR-71 Blackbird, B-2 czy F-117)
można było zamieść pod dywan.

Najlepszym przykładem jest słynny
incydent z Roswell. Twierdzenia wojska,
że obiektem, który rozbił się na odlud-
nym rancho, był balon meteorologiczny,
mało kogo przekonały, choć w rzeczywi-
stości miały sporo wspólnego z prawdą,
bo w Nowym Meksyku faktycznie spadł
balon. Tyle że niesłużący do badania po-
gody, a do fotografowania ZSRR w ra-
mach tajnego programu Mogul. Prawdę
wyjawiono po 40 latach, choć wielu ludzi
pozostało sceptycznych.

Podęrzliwość wobec władz od dawna
stała się jednym z kluczowych elemen-
tów opowieści o UFO. Skoro władze
ukrywały prawdę o tym incydencie –
o czym jeszcze nie chcą nam powiedzieć?
Dyskusja o UFO toczy się nie tylko o to,
co widziano na niebie, ale też o zaufa-
nie publiczne i transparentność władz.
UFO stało się sprawą polityczną. W PRL,
w którym i tak wszyscy wiedzieli, że wła-
dza kłamie, plotki o tym, że „UB zabrało
kosmitę z Gdyni”, miały dodatkowy po-
smak buntu. Skoro nie można otwarcie
krytykować władz, historie o kosmitach
dawały obywatelom wentyl.

Boska mandala

Fenomen UFO to jednak także głęboka,
ludzka nadzieja. Tym głębsza, im mrocz-
niejszy jest świat wokół nas. „To było pro-
ste pragnienie – chcieliśmy wierzyć, że

gdzieś w niebie jest coś, co może przyjść
do nas i nas uratować”, stwierdza ba-
dacz społecznej historii „latających tale-
rzy” David Clarke. Twierdzi on, że tysiące
świadków, którzy donoszą o niezwy-
kłych spotkaniach, jest święcie przekona-
nych o prawdziwości opisywanych przez
siebie zjawisk. Zapewne faktycznie coś
widzieli, ale to, jak zinterpretowali i za-
pamiętali niezwykle zdarzenia, jest dzie-
łem umysłów działających pod wpływem
kulturowych oczekiwań.

W 1958 r. społeczna i psychologiczna
naturą UFO zainteresował się Carl Gu-
stav Jung. W książce „Nowoczesny mit.
O rzeczach widywanych na niebie” le-
gendarny psycholog stwierdza, że UFO
pełnią w dzisiejszym świecie tę samą
rolę, którą miały niegdyś mity i symbole
religijne. Znaczenie dla Junga ma na-
wet fakt, że większość obserwowanych
obiektów ma kształt kuli czy dysku,
przypominających mandalę – archety-
piczny symbol pełni i doskonałości. To
tak, jakby ludzka psychika rzutowała na
niebo obraz koła, symbol jedności i na-
dziei.

Jung interpretował relacje o spotka-
niach z obcymi podobnie jak dawne
opowieści mistyczne: jako projekcje pra-
gnień i obaw. Obcy mogli jawić się albo
jako zbawcy (przynoszący przesłanie po-
koju i technologie uzdrawiające świat),
albo jako wrogowie karzący nas za py-
chę i krótkowzroczność. Do podobnych
wniosków doszedł badacz Jacques Val-
lée, który wykazał zbieżności między
opisami spotkań z obcymi i średniowiecz-
nymi podaniami o spotkaniach ze świa-
tem wróżek (*faerie*).

UFO vs New Age

W tym sensie UFO należy interpretować
przede wszystkim jako zjawisko spo-
łeczne, leżące gdzieś na pograniczu religii.
Wiara w obcych zawiera wiele elemen-
tów, które przewijają się od zarania ludz-
kości w mitologiach i systemach wierzeń.
Jest tu tajemnica, jest odległy, ale baczny
obserwator, są wreszcie zagrożenie karą
bądź nadzieja na ocalenie.

Nic dziwnego, że fascynacja UFO prze-
radzała się w prawdziwy kult. Mitolo-
gia UFO głęboko osadziła się w wielu ru-
chach New Age. Przybysze z kosmosu
pojawiają się i w mitologii scjentologów,
i utworzonym w 1974 r. ruchu raeliań-
skim, który głosi, że życie na Ziemi zo-

stało stworzone przez zaawansowanych
kosmitów Elohim.

Teolodzy sekty Heaven's Gate prze-
konywali, że Jezus został zabrany do
Nieba właśnie na pokładzie UFO („ob-
łok” z Ewangelii miał być statkiem ko-
smicznym). W przypadku tego ostat-
niego ruchu wiara w zbawczość kosmi-
tów przyniosła jednak tragedię. Przeko-
nani o tym, że przelatującej w 1997 r. ko-
mecie Hale'a-Boppa towarzyszy obcy sta-
tek kosmiczny, który ma zabrać ich dusze
do raju, członkowie sekty popełnili zbio-
rowe samobójstwo.

Spodki w Krakowie

W pierwszej dekadzie XXI w. UFO ze-
szło nieco do kulturowego podziemia.
Po atakach 11 września społeczna
uwaga skupiła się na terroryzmie i woj-
nach, a przybysze z kosmosu zeszli na
dalszy plan. Popkultura głównego nurtu
traktowała obcych raczej jako retro-cie-
kawostkę – pojawiały się filmowe pa-
stisze i komedie, dla których UFO było
pożywką do żartów. Dziś jesteśmy jed-
nak świadkami renesansu latających
spodków.

W 2017 r. dziennik „New York Times”
ujawnił istnienie programów Pentagonu
badających niewyjaśnione zjawiska po-
wietrzne, a opublikowane wraz z arty-
kułem nagrania z kamer myśliwców po-
kazywały szybko poruszające się obiekty
niewyjaśnionego pochodzenia. Amery-
kański Kongres prowadził w tej sprawie
formalne przesłuchania, podczas których
wojskowi przyznali, że nie wiedzą, czym
są nagrane obiekty. I choć zapewniali, że
nie ma powodów, by sądzić, iż są poza-
ziemskiego pochodzenia, tajemnica wró-
ciła. Podczas pandemii covid-19 liczba ob-
szerwacji UFO niemal się podwoiła.

Czy po premierze nowego serialu do-
czekamy się fali nowych obserwacji la-
tających spodków w Polsce? Mamy zde-
cydowanie podatny grunt. Gdy świat ba-
lansuje na granicy wojny, każdy z nas
potrzebuje nadziei i wiary, że gdzieś tam
jest coś więcej. A najgorszym, co mo-
głoby się UFO przytrafić, byłoby lądowa-
nie prawdziwych kosmitów na krakow-
skim Rynku. Odarci z zagadkowości sta-
liby się zwykłym, materialnym elemen-
tem rzeczywistości, a my musielibyśmy
poszukać sobie wielkiej tajemnicy gdzie
indziej.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Bestia stylu

OLGA ŻYMINKOWSKA

Z „Bestiariusza” Jeana Giono wreszcie możecie się czegoś dowiedzieć o Minusie, który żywi się ludźmi i przeżuwa stolice państw. I koniecznie o modrzyнку, który zamieszkuje brodę Karola Marksa.

NAJZUCHWALSZE UMYSŁY W HISTORII literatury tworzyły własne bestiariusze. Dajmy na to Jorge Luis Borges i jego „Księga istot zmyślonych” (1967), z całym korowodem dziwnych stworzeń: bazyliisków, centaurów, mrówkolwów, trójnożnych osłów, niebiańskich kogutów i pożeraczy cieni. A to tylko załączek wyliczanki, ponieważ bestiariusz Borgesa to książka celowo niedomknięta (na gruncie polskim rozszerzył ten katalog osobliwości Jan Gondowicz w „Zoologii fantastycznej uzupełnionej”).

Krokodyle płaczące i lelki z Werony

Szalone pomysły kolekcjonowania potworów rodzą się w głowach pisarzy o podwójnym temperamencie: encyklopedystów i marzycieli. Dobrym tego przykładem jest Leonardo da Vinci, który w „Zwierzyncu” sporządza poetycki rejestr gatunków zwierząt, przypisując im ludzkie cechy. Jest w tym dzieckiem swojej epoki: kogut jest wesoły, sęp zawistny, bazyliisk okrutny, a hipopotam ocieślały. Powiela też wiele starożytnych przesądów na tematy zoologiczne: Leonardowe krokodyle płaczą, a labędzie chwilę przed śmiercią słodko zawodzą. Gdzieś to sami słyszeliśmy.

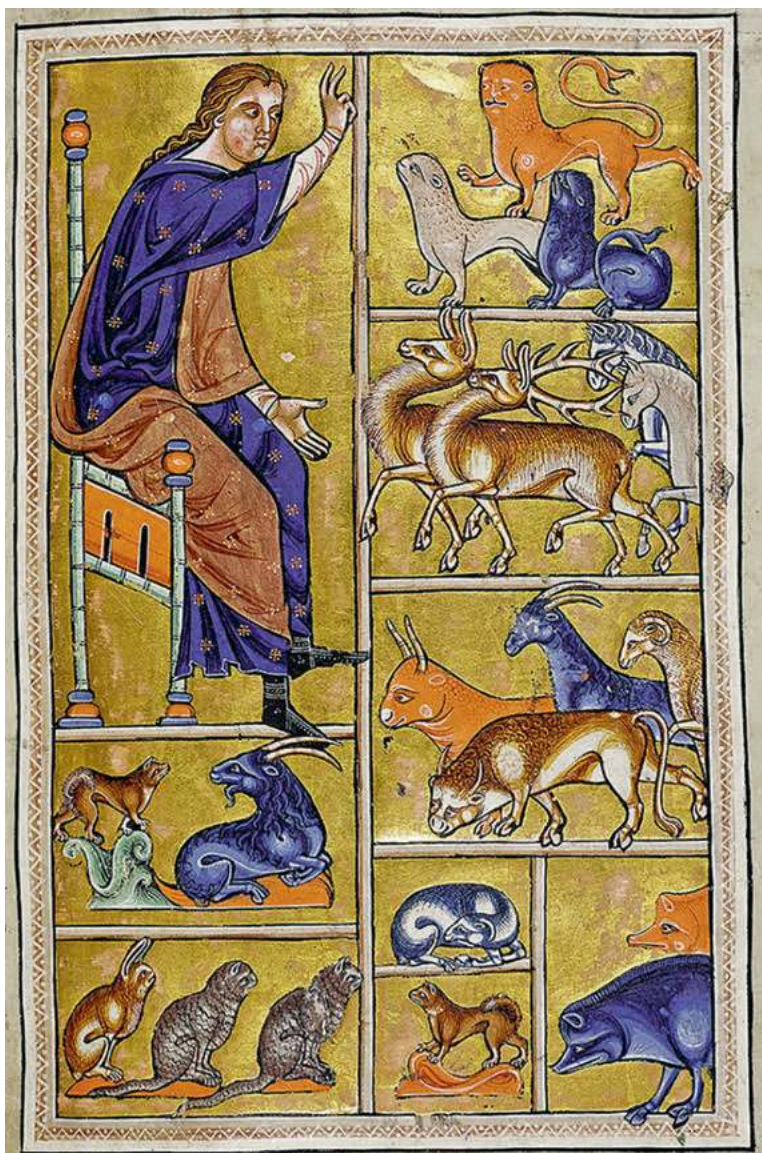
Aż do XVII wieku bestiariusze były encyklopedią wiedzy o świecie, miały pouczać i bawić, a przy tym czule i często bezkrytycznie spoglądały na ludowy zabobon. Liczne i na ogół prawie nieznanne dzieła, takie jak dwunastowieczny „Bestiary” Philipa de Thaon czy trzynastowieczny „Bestiaire d’amours” Richarda de Fournivala poetycko ogrywały znane mo-

tywy przenikania się światów – boskiego i ludzkiego, dworskiego i ludowego.

Bardziej współczesne zwierzyńce – jak te Borgesa, Guillaume’a Apollinaire’a czy Henriego Michaux – nie mają aż tak bombastycznych ambicji; więcej tu wesołego pokpiwania ze średniowiecznej moralistyki, a przede wszystkim – sporo humoru, który jest stanem panującym udzielnie. Apollinaire w „Zwierzyncu albo świecie Orfeusza” tworzy zabawne rymowanki inspirowane zwierzętami; z kolei Michaux buszuje po krainach pełnych haszysz i meksaliny, gdzie spotyka pancerze chitynowe szczurów i roztrąskane głowy krokodyli.

Na tle takich autorów „Bestiariusz” Jeana Giono (1895-1970) – francuskiego pisarza znanego głównie jako piewca prowansalskiej przyrody tudzież twórca gło-

śnego „Huzara na dachu” (1951) – zajmuje miejsce wyjątkowe. To zbiór dwiętnastu miniatur (przełożonych ostatnio na polski przez Jana Gondowicza), opublikowanych dopiero dwadzieścia jeden lat po śmierci autora. Część ukazywała się w wydawniczych undergroundach jeszcze za jego życia, inne dopiero niedawno wydobyto z jego szuflady. Całość, w formie tytułowego bestiariusza, to zupełnie nowa wariacja na temat zwierzyńców. Samo spojrzenie na spis treści zapowiada miłą odmianę: żadnych smoków, bazyliisków i jednorożców, zamiast tego słomkoń, modrzynek, zdiwka, kur-wędoryj, szmaragdynka czy lelki z Werony. Rozdziały okalają „Marginalia”, zbiory wymyślonych cytatów, tworzących fałszywą erudycyjną bazę wiedzy, dołączoną do terrarium dziwnych



Ilustracja z „Bestiariusza z Aberdeen”, XII w.

DOMENA PUBLICZNA

→ stworzeń. Niechętna ospałość na hasło „bestiariusz” momentalnie znika.

Prowansja – ziemia obiecana

Nikt się tego po Gionie nie spodziewał. Zdaje się, że i on sam z trudem rozpoznał siebie w tym tekście, skoro uparcie nie publikował swojej wersji fantastycznej zoologii (a pracował nad nią jeszcze przed Borgesem, między 1956 a 1965 rokiem). W tym czasie był już autorem poczytnych powieści historycznych, często z Prowansją w tle. Zwrócił na siebie uwagę debiutancką książką „Wzgórze” z 1929 r., o której pochlebnie wypowiadał się André Gide (ten sam kilkadziesiąt lat później wesprze jego kandydaturę do Akademii Goncourtów).

Giono urodził się w Manosque (region: Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże) i w Manosque zmarł. Przez całe życie myślał o sobie: nie do końca Francuz, półkrewi Włoch (jego ojciec, z zawodu szewc, pochodził z Piemontu, stąd obco brzmiące nazwisko), ale w pełni – Prowansalczyk. I pewnie działa tu zasada „kto nie odwiedził, ten nie pojmie”; wszyscy znamy z pocztówek lawendowe pola, gaje oliwne i mydło marsylskie. Już samo określenie „Lazurowe Wybrzeże” myli tropy; Giono krzywi się na nie w eseju „Arkadio... Arkadio...”: „Cóż za kierownik działu to wymyślił? Jeśli ktokolwiek zna tego człowieka, natychmiast należy dać mu order: posiadał bowiem geniusz przeciętności”.

Jak każdy pisarz „geopoetycki” (a więc ten, którego literaturę przeżarł krajobraz), Giono wraca wciąż do tych samych domów, ulic, drzew, górskich i morskich pejzaży. Fabuła często wydeptuje podobny trakt: mała prowansalska osada, w domach mieszkańcy, na ulicach zan-

darmi, a między nimi jeden odszczepieniec, jakiś zbój lub tułacz, który sieje zamęt we wsi. Tak jest między innymi w opowiadaniu „Zbieg”, gdzie nieoczekiwanie pojawia się biedak, o którym nie wiadomo nic prócz tego, że ma niepokojąco jak na wiejskie warunki białe dłonie i potrafi malować wotywne obrazki.

Giono na wiele różnych sposobów opracowuje temat „centrum-peryferie”, wprowadza i wyprowadza swoich bohaterów z prowansalskiej „ziemi obiecanej”, każe im wybierać między tradycją a postępem (stąd jego ulubioną epoką jest wiek XIX), a przede wszystkim wprowadza do historii przyrodę jako równoprawną postać. Rozsmakowuje się w opisach krajobrazów, kataloguje gatunki roślin, lornetuje chmury i ptaki, rozpisuje się o pogodzie i warunkach atmosferycznych: krowy, pastwiska, wiejska krzątania, a ponad wszystkim niebo (za przeproszeniem – lazururowe).

Za fantazyjną etnografią kryje się – wtenczas dość wywrotowy – projekt intelektualny, który dzisiaj, w epoce (zmierzchu) zielonego ładu, ruchów ekologicznych i humanistyki środowiskowej, wydaje się „absolutnie nowoczesny”. Dla jednych będzie to czytelnicza rekomendacja, dla drugich skuteczne zniechęcenie. W 2013 r. francuski urząd leśny zainicjował akcję sadzenia buków na dawnym polu bitwy pod Verdun, w której brał udział Giono w czasie I wojny światowej (od tamtej pory stał się pacyfistą i miłośnikiem leśnictwa). Projekt nosił nazwę, jakżeby inaczej, „Giono”, sadzonki przyjęły się i rosną do dzisiaj.

Już w debiutanckim „Wzgórzu” bohater, wbijając łopatę w „skórę ziemi”, przestrzega, że „pod korą drzew płynie krew podobna do jego krwi, a nieokiełznana

energia skręca gałęzie i wyrzuca fontanny trawy w niebo”. A w eseju „Kamień”, będącym wykładem z „petrografii egzystencjalnej”, stwierdza już wprost: „Moim zamierzeniem jest wykazać, że materii od ducha oddzielić się nie da”. W jakiegokolwiek oględnej formule zamknijemy ten pogląd, nazywając go panteizmem czy witalizmem, dopatrując się wpływów Homera, Barucha Spinozy czy Walta Whitmana, można dzięki niemu lepiej zrozumieć pomysł tworzenia nowego literackiego zwierzyńca.

Kim jest zwierzę?

Ten „Bestiariusz” otwiera niepokojący obraz, który ustanawia porządek i tematykę książki. Oto ledwo widoczne gołym okiem ruchy wąsów powojów, kielka fasoli i bluszczu, wyginające się w cichej i powolnej konwulsji; zjawisko przed erą zaawansowanej fotografii nie w pełni poznane. Słowem (naukowo brzmiącym) – tropizmy, które patronują całemu zbiorowi. Już w „Kamieniu” pojawiają się, zadane w autentycznym strachu, retoryczne pytania: „Kogo nie przeszyje dreszcz przeżenienia na widok owych poruszających się czułek, najwyraźniej pełnych inteligencji?”. „To niepodjęte monstra, wśród których przyszło nam żyć” – odpowiada sam sobie w „Bestiariuszu”. Przejmujący grozą ruch roślin znany jest niemal każdemu hodowcy fasolki.

Trzeba także wspomnieć o kanonicznych dla „nowej powieści” „Tropizmach” Nathalie Sarraute z 1939 r., które Giono z pewnością miał w pamięci, pisząc przedślowie do czytelnika. I choć zbiór impresji Sarraute jest dużo bardziej intymny, gruntowniej osadzony w ciele i codzienności, Giono staje się owładnięty tą samą myślą, że nauka zamiast odczarować świat, zaczarowuje go na nowo, wydobywa z niego groźne i tajemnicze piękno. W końcu, jak głosi starożytna maksyma, natura rzeczy lubi się skrywać. Oboje, Giono i Sarraute, tworzą literaturę długiego połowicznego rozpadu, wymagającą mozolnego stróżowania przy każdym zdaniu, z żółcią cierpliwością obserwatora przyrody.

Lektura Giona zachęca do odkrywania zaczarowanych i ruchliwych zdań, które ożywają wraz z niespiesznym wodzeniem od jednej do drugiej kropki i przecinka. W dodatku wciąż myli czytelnicze tropy. W „Bestiariuszu” wrażenie to jest

Księdzu Kardynałowi Grzegorzowi Rysowi

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Taty
Franciszka Rysia

składają

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”



DOMENA PUBLICZNA

Ilustracja z „Bestiariusza z Aberdeen”, XII w.

szczególnie dotkliwe. Ta książka jest jak połączenie encyklopedii w starym stylu z pamiętnikiem wariata. Cztery, pięć stron (tyle zajmują poszczególne rozdziały) i trzeba odetchnąć. Każda część kończy się grafikami Emile Döre (bliźniaczo podobnymi do surrealistycznych rysunków Rolanda Topora), przy których wzrok na chwilę się odpręża. Giono jednak dalej wodzi za nos, przeciąga z czytelnikiem linę, zwleka z odpowiedzią na najważniejszą zagadkę tej książki: czym (kim) właściwie jest zwierzę?

Zaczyna się zwyczajnie, od ziarnka tytoniu, dziwnego gatunku ptaka, owada czy ryby. W oczekiwaniu na opis niesamowitego życia zwierząt wzrasta jednak niecierpliwienie; w końcu Giono wcale nie zamierza traktować swoich straszdeł z powagą kolekcjonera. Zamiast pisać o bestii z Gévaudan, zaczyna studiować przyczyny niepokoju, jaki odczuwa na widok ryżego kelnera w bistro, potem analizuje sposób otwierania przez niego drzwi wahadłowych (czubkiem buta), by na koniec, ni stąd, ni zowąd, przejść do opisu fontanny sterczącej na placu koło Alei Wyzwolenia, potykając się jeszcze po drodze o wątki masonskie. A wszystko zaczęło się od zdania: „Chciałem dowiedzieć się, czym była bestia z Gévaudan, o której trąbiono mi w uszy”.

Nieistotne, czym była bestia, podobnie jak z ziarnkiem tytoniu, które okazuje się drobnutkim zwierzęciem, żyjącym w korze drzewnej. Szczególnie uderza absurd zakończenia: piłując drzewa z ziarnkami tytoniu, „widzi się nie tylko grunt jego reguł społecznych, których sens umyka

naszej analizie, ale też pejzaż tych reguł: ulice, miasta, place, fora, agory, dziedzińce”. Po kilku podobnych zakrętach (w końcu tropos to po grecku „obrót”) łatwo się zorientować, że za pełnym fałszywej erudycji miszmaszem treści kryje się sekretna radość parodii.

Jednak nie tyle o sarkastyczne burzycielstwo czy śmichy-chichy z bajek zwierzęcych tu chodzi, ale – mając w pamięci powagę, z jaką podchodzi Giono do „kwestii przyrody” – o próbę odpowiedzi na pytanie: co nazywa się zwierzęciem?

Afront

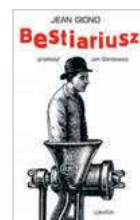
Kaskaderskie ciągi skojarzeń prowadzą jednak okreśną drogą wciąż na wygwizdowo. To kraina stylistycznych i językowych zabaw, gdzie zwierzę trąca nie-zwierzę, a to, co osobowe, trzyma się z tym, co martwe. Sytuacja znana już z Gombrowicza: człowiek na koniu, szczur na kogucie, kura na wielbłądzie, a pies na bawole. Dlatego lelki z Werony, ptaki społeczne, otaczają się merami, namiestnikami i prefektami; The Bear rozmawia o futbolu wyłącznie po angielsku; a dla szarej, myszatej zdiwki – i tu może chapać nas zdiwko – Chrystus wylądował na krzyżu. Trudno powstrzymać się od dalszej wylizanki. Może jeszcze trochę o Minusie, który żywi się ludźmi i przeżuwa stolice państw, no i koniecznie o modrzymku, który zamieszkuje brodę Karola Marksa.

Miedzy jedną a drugą historią rozpychają się „Marginalia”, które wyprowadzają lekturę w jeszcze dalsze (już nie uroczowo-prowsalskie) pole. To przypadkowe

i często zmyślane cytaty; wypisy z podejrzanych pamiętników, dykcjonarzy, leksykonów dobrych manier, traktatów, kronik historycznych, prywatnych listów, bądź zbiory anonimowych wypowiedzi w rodzaju: „Nie lękaj się, alisci nie chodzą do balwierza”. Te wykołejone „pasaże” jeszcze bardziej oddalają możliwość odpowiedzi na pytanie, o czym naprawdę traktuje bestiariusz Giona. Tak jakby sam autor chciał powiedzieć, że świat składa się z nieskończenie wielu bestii, zdanych na łaskę i niełaskę naszej wyobraźni i języka.

Lektura „Bestiariusza” to zbawienny afront dla zdrowego rozsądku. Tresura czytelniczych przyzwyczajęń musi w końcu ulec złamaniu. Do zwierzyńca dołączona jest fikcyjna encyklopedia, która nie wskazuje różnicy między zwierzęciem a człowiekiem, wprowadza przyjemny zamęt do słownika, miesza porządki i spłaszcza hierarchie. To ma na myśli Giono, skarżąc się w eseju „Wielkie przedstawienie”: „Nauczyliśmy się zawsze odkładać po jednej stronie to, co istnieje, po drugiej zaś to, co nie istnieje”. A przecież bluszcz wykonuje swój przeciągły taniec, Minus powoli podgryza nasze stolice, a ziarnko tytoniu sprawuje autokratyczną władzę nad korą drzewa. Jak widać, bestiaryk jest wiele, a każda inna.

© OLGA ŻYMINKOWSKA



Jean Giono
BESTIARIUSZ,
przełożył Jan Gondowicz,
Lokator,
Kraków 2025

Teatr na peryferiach

DOROTA KOZIŃSKA

Teatr Wielki – Opera Narodowa był i prawdopodobnie nadal będzie teatrem prowincjonalnym. Taką mamy tradycję operową, taki mamy poziom ogólnej wiedzy muzycznej, taką potrzebę uczestnictwa w kulturze. Ale to właśnie można zmienić.

NO I PO BALU. KOŃCZY SIĘ NAJDŁUŻSZA epoka w historii opery na deskach odbudowanego po wojnie Teatru Wielkiego w Warszawie. Epoka rozpoczęta umownie w 1999 r. – doskonale przyjętą, obiektywnie znakomitą inscenizacją „Madame Butterfly” – i od tamtej pory zwana „czasem inscenizatorów”, reżysera Mariusza Trelińskiego oraz scenografa Borisa Kudlički.

Było to za pierwszej dykcji Waldemara Dąbrowskiego, ale obydwoj realizowali kolejne przedstawienia w TW-ON także w okresie sześcioletniego interregnum, które zaczęło się w roku 2002, kiedy Dąbrowski objął tekę ministra kultury w rządzie Leszka Millera. Resortem kierował przez trzy lata, także jako członek gabinetu Marka Belki. Potem wstąpił się między innymi reorganizacją Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina oraz powołaniem do życia Instytutu Książki. W roku 2008 ponownie objął stery w TW-ON: trzy lata później dołączył do niego Treliński w charakterze dyrektora artystycznego.

Czas inscenizatorów

Jeszcze zbyt wcześnie na kompleksowe podsumowanie działalności duumwiratu, którego rządy kończą się w sierpniu. Jedno jest pewne: „czas inscenizatorów” nie przełożył się ani na



Scena ze spektaklu „Ariadna na Naxos”, reżyseria Mariusz Treliński, 2025 r.

konsekwentną politykę repertuarową, ani na próbę ukształtowania nowego, wyrazistego profilu sceny. Chyba że za taką uznać realizowanie z roku na rok coraz mniejszej liczby premier operowych i świadome koncentrowanie uwagi na tych „najważniejszych”, czyli nowych produkcjach Trelińskiego.

Spektakle uznanych reżyserów trafiały do TW-ON albo w ramach koprodukcji „barterów”, albo po kilku, nawet kilkunastu latach od premier w innych teatrach – bywało, że wznawiane przez tak zwanych *revival directors*, bez udziału pierwotnych realizatorów. W wyścigu na scenę TW-ON młodzi polscy adepci reżyserii operowej przegrywali z reżyserami o bardziej „rozpoznawalnych” nazwiskach, docenionymi w filmie i teatrze dramatycznym – którzy nieraz z rozbrajającą szczerością przyznawali w wywiadach, że nigdy przedtem nie interesowali się operą. Większość produkcji spadała z afisza po czterech, najwyżej pięciu przedstawieniach.

Ofiarą tych – oględnie rzecz ujmując – nieprzemyślanych decyzji repertuarowych coraz częściej padały utwory rzadko wystawiane albo w ogóle nieznanne w Polsce. Dotyczy to również produkcji w reżyserii dyrektora artystycznego, które z czasem zaczęły przyciągać całkiem nową publiczność – chodzącą

na „operę Trelińskiego” i z coraz większą śmiałością ferującą opinie, czy muzyka jakiegoś tam Korngolda czy Hindemitha do nich „pasuje”, czy może jednak przeszkadza.

Ile jest Straussa w Straussie

Dotyczy to również ostatniej premiery sezonu: „Ariadna na Naxos”, jednej z najwspanialszych, a zarazem najbardziej wyrafinowanych i najtrudniejszych interpretacyjnie oper Richarda Straussa. Tym razem wielbiciel dyktatorskiego talentu podzielili się na dwa obozy. Jedni zachwycali się zarówno produkcją, jak i towarzyszącą jej „ścieżką dźwiękową”. Drudzy byli odrobinę rozczarowani, bo w tej operze nie podobała im się tylko muzyka – przy czym od razu zaznaczę, że nie chodziło bynajmniej o jakość wykonania, tylko o samą obecność Straussa w Straussie.

O uprawianej przez Trelińskiego praktyce bombardowana mediów przedpremierowymi wywiadami, gdzie z żarliwością jezuita objaśnia własną, przeważnie mętną koncepcję opery, której nikt w Polsce na oczy nie widział i przeważnie nie słyszał, pisałam już nie raz. Podobnie jak o zwyczaju zapewniania połowy książki programowej tekstami autorów, którzy tak zasadniczo w życiu by do opery nie poszli. Nie przypuszczają

łam, że cokolwiek mnie jeszcze zaskoczy. A jednak.

Najpierw deklaracja dramaturga Marcina Cecki, że twórcy chcieli w Prologu „Ariadny” „uciec od komedii i pokazać to w sposób dramatyczny”. Coś jakby uciec od komedii w „Świętoszku” Moliere. Potem Treliński obwieścił w rozmowie z Jakubem Majmurem, że zmienił Kompozytora w Kompozytorkę, bo fakt powierzenia tej partii przez Straussa kobiecie w przebraniu „to dziś anachronizm wynikający z patriarchalnej kultury początku XX w.”. Właściwie nie wiem, jak to skomentować. Podobnie jak kompetencji dwóch redaktorek książki programowej, które puścili w eseu Agaty Araszkiewicz rewelację, jakoby „w warszawskiej inscenizacji [była] to rola pierwszy raz śpiewana przez kobietę”.

Nota bene reżyser w rzeszonym Prologu zlekceważył nie tylko libretto, ale i partyturę, obdarzając Majordoma (tutaj – Mecenasa) upiornym, zniekształconym elektronicznie głosem – a przecież Strauss w tej arlekinadzie po mistrzowsku zintegrował rolę mówioną z muzyką. Po przeszło ćwierci wieku spędzonej w operze Treliński powinien był to usłyszeć – a w razie wątpliwości rozwiązać je w rozmowie z przygotowującym całość dyrygentem.

Ariadna i androidy

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Miałkość strony muzycznej „Simona Boccane-gry” złożyłam na karb niedostatecznego doświadczenia Fabia Biondiego z repertuarem Verdiowskim i w pracy z dużym zespołem. Tutaj orkiestra jest mała, a za pulpitem stanął niemiecki dyrygent Lothar Koenigs, znany z wrażliwych i mądrych ujęć arcydzieł modernizmu. I nic nie pomogło. Przepadła subtelna gra napięć między intelektualną alegorią a pastiszem, misterny spłot motywów przewodnich, nawiązania do Mozarta, Offenbacha i Wagnera, przepyszny kolorystyczny orkiestrowy tej partytury.

Mimo kilku pięknych i sprawnych technicznie głosów (m.in. Svetlany Stoyanowej w roli Kompozytorki, obiecującej Katarzyny Drelich jako Zerbinetty i świetnej nimfy Echo w ujęciu Adriany Ferfeckiej), śpiewacy jak zwykle nie wiedzieli, co ze sobą zrobić na scenie. I wcale im się nie dziwi, bo w starciu z koncepcją, w której Kompozytorka przez cały

Prolog łyka pigułki i ostatecznie umiera na zawał, część właściwa rozgrywa się na stacji kosmicznej (a może w „gabinecie medycyny paliatywnej”?), gdzie pogrążoną w depresji Ariadną zajmują się androidy i sztuczna inteligencja, a Bachus, posłaniec śmierci, okazuje się tylko złudzeniem – pogubiliby się najwięksi aktorzy w dziejach formy operowej.

Gdyby nie fenomenalna Nadja Stefanoff – Ariadna po straussowsku krucha, zniewalająca zarówno urodą ciemnego sopranu, jak subtelnością interpretacji – popłakałabym się na tym spektaklu ze złości. Zatakować uszu się nie dało, zamknąć oczu nie było sensu, bo psychodeliczną scenografię Fabiena Lédé oglądało się przynajmniej bez bólu: choć spójna to ona była wyłącznie z wizją reżysera.

Problemy zza sceny

Wkrótce na czele TW-ON stanie współtwórca „czasu inscenizatorów” Boris Kudlička, który po raz ostatni współpracował z Trelińskim przy „Mocy przeznaczenia” i na którego nieprawdopodobnej wyobraźni i wyczuciu teatru reżyser zerował przez ponad ćwierć wieku. Nie tylko moim zdaniem z coraz gorszym skutkiem – potęgi wizualnej „Madame Butterfly” nie przebił żaden z późniejszych spektakli tandemu, zaśmiecanych przez Trelińskiego i jego dramaturgów mnóstwem zbędnych, nieczytelnych i nieogranych rekwizytów.

Wybór Kudlički wzbudza na razie zdumiewającą rezerwę po obu stronach barykady, okazywaną zarówno przez nieprzejednanych zwolenników *status quo*, jak i tych, którzy od lat domagają się w TW-ON radykalnych zmian. Jak to w Polsce – wszyscy dają się ponieść emocjom, nikt nie poświęci chwili na trzeźwą ocenę sytuacji.

Wstrząsy wtórne po wywoływanych przez Trelińskiego trzęsieniach ziemi potrwają jeszcze co najmniej dwa sezony – zaplanowane i tak z niewielkim wyprzedzeniem w porównaniu z praktyką obowiązującą na światowych scenach. Mało kto jednak zwrócił uwagę, że Kudlička ma zamiar zerwać z tradycją teatru reżyserskiego *à la polonaise* i dyrekcję artystyczną powierzyć doświadczonemu muzykowi. Że nie pcha się na afisz, za to dostrzega problemy „z zaplecza” funkcjonowania tej gigantycznej fabryki teatralnej, które domagają się rozwiązania w coraz pilniejszym trybie.

Owszem, niektóre z elementów jego koncepcji wzbudzają moje zastrzeżenia: między innymi niedostatecznie położony nacisk na zdrową i przejrzystą komunikację z widzami i przedstawicielami mediów – zwłaszcza fachowych. TW-ON, podobnie jak większość teatrów operowych w Polsce, wciąż nie dysponuje biurem prasowym z prawdziwego zdarzenia, a co za tym idzie, nie przyciąga zainteresowania międzynarodowej krytyki. Za to skutecznie buduje swój fałszywy wizerunek na rynku krajowym – zupełnie jak na rysunku nieodżałowanego Szymona Kobylińskiego, gdzie dowódca przeciekającej łodzi wikingów żądał od szkutnika figury dziobowej z groźniejszym wyrazem pyska.

Jak w Oslo

Tymczasem TW-ON, mimo gargantuicznych rozmiarów, zawsze był i prawdopodobnie będzie teatrem prowincjonalnym. Skądinąd nie ma w tym stwierdzeniu niczego obraźliwego – taką mamy tradycję operową, taką mamy poziom ogólnej wiedzy muzycznej w społeczeństwie, taką (czyli znikomą) mamy potrzebę uczestnictwa w kulturze.

I to właśnie można zmienić. Przeistoczyć gnuśny, pławiący się w samozadowoleniu teatr prowincjonalny w scenę prowincjonalną w najlepszym tego słowa znaczeniu: poszukującą, otwartą, zaangażowaną w edukację i kształtowanie dobrego smaku odbiorców. Jak – dajmy na to – we Frankfurcie, Oslo lub Brnie. Takich porównań chyba nie ma powodu się wstydzić. Zażenowanie wzbudza fakt, że ogólny poziom muzyczny TW-ON spadł poniżej standardów obowiązujących w wielu teatrach niemieckich, o których istnieniu polscy krytycy nawet nie mają pojęcia.

Daję zatem Kudličke potężny kredyt zaufania. Jeśli mnie zawiedzie, wpadnę w furję większą niż gniew Achilla, syna Peleusa. ©

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

■ *Ally Venable,*
MONEY&POWER,
Ruf Records

„CHCĘ, ŻEBY SŁUCHACZE na dwie godziny zapomnieli o wszystkim, co nie jest muzyką” – tak widzi swoją misję 26-letnia gitarzystka z Teksasu, Ally Venable.

Byłem na jej koncercie w Chorzowie dwa lata temu i potwierdzam – tak się rzeczywiście dzieje.

Kariera Ally nabrała tempa po wydanej w 2023 r. płycie „Real Gone”. Był to kawał solidnego blues-rocka, a o randze artystki świadczyli zaproszeni goście,



z którymi rozegrała gitarowe pojedynki: Joe Bonamassa oraz sędziwy (86-letni wówczas) Buddy Guy. Na nowym albumie „Money&Power” gitarzystka proponuje repertuar nieco lepszy, o bogatszym brzmieniu (dużo hammondowego

tła). Żadna z kompozycji nie jest też wyłącznie „podprowadzeniem” pod solówkę, co zdarzało się dawniej. Będą ciarki po plecach (piosenka tytułowa), jak i rozrywanie duszy na strzępy („Do You Cry”). W studiu nagraniowym Ally wsparli tym razem wirtuoz

bluesowej gitary Christone „Kingfish” Ingram (jej równoletek) oraz charyzmatyczna wokalistka Shemekia Copeland. Sama Ally zmieniła styl: wykręciła na wzmacniaczach czystsze brzmienia, nie chłoszcząc już tak niemilosiernie strun swojego wiśniowego gibsona, gra oszczędniej i melodyjniej. Trochę w tym mniej Steviego Ray Vaughana, więcej Johna Mayera – można by dywagować, gdyby takie porównania były na miejscu. A nie są: Ally Venable konsekwentnie stawia do pionu fanów, którzy piszą, że jest ich ulubioną gitarzystką (*female guitarist*). Bo przecież ani gitara, ani blues nie są domeną mężczyzn.
© MACIEJ MÜLLER

■ *Lorcan Finnegan,*
SURFER,
Monolith Films

OSTATNIA DEKADA TO dla Nicolasa Cage’a czas aktorskiego odkupienia. Po serii ról w drugoligowym kinie akcji zaczął się angażować w coraz dziwniejsze projekty z pogranicza kina artystycznego i B-klasowego. Wymachiwał piłą mechaniczną w slasherze „Mandy”, bronił bezbronnego knura przed gangsterami w „Świni” i dokonał



autoironicznej refleksji w „Nieznosnym ciężarze wielkiego talentu”. Ewidentnie zdaje sobie sprawę ze swojego statusu gwiazdy-mema i wykorzystuje to na własną korzyść. „Surfer” kontynuuje samoświadomą woltę w karierze aktora. Tym razem w roli bezimiennego ojca Cage jedzie na rajską plażę, żeby odkupić stary rodzinny dom i pokazać synowi, jak wykuwać charakter w bezkrwawej walce z falą. Okazuje się, że prawdziwą walkę

będzie trzeba stoczyć o rzeczoną posiadłość i że jednak nie obędzie się bez przemocy. Przeszkody do celu: miejscowa chuliganeria i przywódca surferskiego stada. W efekcie dostajemy wgląd w różne oblicza męskości, tyle że z dużym dystansem. A do tego sporo zabawy z obserwowania, jak Cage, kolejny raz w karierze, popada na ekranie w efektowne szaleństwo. Polski operator Radek Ładczuk zadbał o to, żeby obłęd mocno wybrzmiał w obrazku. Kamera wiruje, kadry drżą, a bohater Cage’a coraz bardziej się stacza. Gwarantuję pozytywny zawrót głowy.
© IGOR KIERKOSZ

■ *Karol Kalinowski,*
ŁAUMA, Kultura Gniewu

BADANIE SŁOWIAŃSKICH wierzeń jest wyjątkowo niewdzięcznym zadaniem ze względu na niewielką liczbę dostępnych źródeł. Dość powiedzieć, że wciąż trwa spór o to, czy scharakteryzowany, ponadplemienny panteon w ogóle istniał. Prawdopodobnie pogańskie kultury były silnie zatamizowane. Na Suwalszczyźnie na przykład – podporządkowane podaniom i klechdom Jaćwingów. To właśnie z nich garściami czerpał Karol „KaeRel”



Kalinowski, tworząc „Łaumę”. W tym znakomitym horrorze dziecięcym postaci z zachodniobałtyckich legend nie zniknęły wraz z nadejściem chrześcijaństwa, lecz żyją w sąsiedztwie ludzi.

Oprócz tytułowej Łaumi, czyli tamtejszej Baby Jagi, na kartach komiksu pojawiają się także Ajtwar, Kurke i Perkun. Ich motywacje są różne. Łączy je natomiast fantastyczny rys nadany przez Kalinowskiego. Rysownik, zamiast korzystać z utrwalonych wizerunków, świat jaćwieskich podań odwzorował na

podstawie przekazów ustnych. Jego autorska interpretacja bóstw jest równie bogata i niejednolita jak słowiańskie wierzenia. „Łaumę” nietrudno przyrównać do popularnej „Hildy” brytyjskiego rysownika Luke’a Pearsona (seria ukazuje się po polsku od ponad dekady). W obu utworach przewodniczką po świecie duchów, demonów i bożków jest rezolutna kilkulatka, która w przeciwieństwie do dorosłych spogląda na mitologię bez uprzedzeń. „Łauma” opowiada o kulturze, która została zatarta wskutek postępu, oraz o tym, co tracimy zapominając o niej. Szansą na ocalenie może być dziecięca dociekliwość.
© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI



■ **Joanna Czechtó,**
CISZA NAD STEPEM.
KAZACHSTAN I PAMIĘĆ O ROSJI,
Czarne

W PORUSZAJĄCYM REPORTAŻU o trwającej przez dziesiątki lat kolonizacji Kazachstanu autorka relacjonuje historię sowieckich represji oraz przywołuje wspomnienia,

które wydają się wyparte. To także opowieść o tym, jak bardzo historia gulagów promieniuje na współczesne państwo Kazachów.

Joanna Czechtó odwiedza miejsca, w których funkcjonowały łagry, poszukując zarówno ich fizycznych, jak i niematerialnych śladów zapisanych w świadomości mieszkańców. Próbuje przełamać milczenie i zrozumieć, jak kolejne pokolenia potomków zesłańców i strażników żyją we wspólnym sąsiedztwie, radząc sobie z dziedzictwem przemocy. W swojej wędrówce spotyka Kazachów, Polaków, Ujgurów, Rosjan, Ukraińców, Gruzinów, a następnie słucha ich opowieści. Dla nich to często jedyna okazja do swobodnej wypowiedzi o rodzinnych historiach, które przechowuje się ze strachem. Jak żyć ze świadomością, że w przydomowym ogrodzie jest masowy grób, a drugi tam, gdzie stoi stodoła? Jak poruszać się po stepie, kiedy wiesz, że dosłownie cały czas stąpasz po ludzkich kościach? I choć nie znajdziemy tu prostych odpowiedzi, książka jest próbą dotknięcia tego, co niewidzialne – pamięci o krzywdzie, która została wyparta, ale nie zapomniana.

© JACEK TARAN



■ **SOUTH OF MIDNIGHT,**
Xbox Game Studios,
Compulsion Games,
platformy: PC,
XSS/XXS

MAŁO KTO CHCE SIĘ wcielać w potężnego, amerykańskiego żołnierza, bo nie z nim kojarzą się dziś

Stany Zjednoczone. Różnymi kanałami docierają do nas wieści o wewnętrznych problemach, które targają hegemonem: nierównościach społecznych, mnogości kataklizmów, pladze uzależnień od fentanyli. Być może świat potrzebuje innych, bardziej subtelnych herosów?

Drobna, czarnoskóra Hazel, której huragan zabrał dom i matkę – taką protagonistkę stworzyło kanadyjskie studio Compulsion Games w swojej nowej grze „South Of Midnight”. Jak ich poprzednie produkcje – „Contrast” (2013), „We Happy Few” (2016) – gra prezentuje unikalny styl graficzny i nietypowo przedstawioną historię. Może i nie jest arcydziełem mechanizmów rozgrywki, ale jak na swój niewysoki budżet dostarcza wielu przyjemnych walk i eksploracji. Choć nie one są tu najważniejsze. Na pierwszym planie jest skomplikowana relacja dziewczyny z matką. Jej tajniki odkrywamy wraz z postętami w grze.

To opowieść o trudnym życiu w dzisiejszej Luizjanie, zwłaszcza z perspektywy matki samotnie wychowującej dziecko. Największym przeżyciem, jakie gra dostarcza, jest sprostanie natężeniu emocji, kiedy w kolejnych etapach rozgrywki Hazel przywołuje różnorakie wspomnienia. By wyrwać matkę złym duchom śmierci, stawia czoło całemu amerykańskiemu bestiariuszowi. A za tymi folklorystycznymi demonami, jak u Stephena Kinga, oczywiście kryją się naturalne ludzkie lęki. Naświetlenie mechanizmów traumy jest w grze naprawdę niesamowite. © KONRAD JANCZURA

W świecie, który dzieli, my szukamy tego, co łączy.

Najnowsze, specjalne wydanie „Tygodnika Powszechnego” powstało dla tych, którzy mają dość prostych podziałów na swoich i obcych. To zaproszenie do rozmowy ponad liniami frontu, ponad uprzedzeniami i schematami. Dyskutujmy, zamiast się okopywać. Bo Polska jest jedna – choć niejednorodna.

W numerze m.in.

- Bogdan de Barbaro ■ Natalia de Barbaro ■ Justyna Bargielska
- ks. Adam Boniecki ■ Wojciech Bonowicz ■ Olga Drenda ■ Urszula Honek
- Dorota Maślowska ■ Zbigniew Mikołajko
- Magdalena Nowicka-Franczak ■ Michał Okoński ■ Michał Oleszczyk
- Marek Rabij ■ Tomasz Stawiszyński ■ ks. Józef Tischner ■ Ewa Woydytło

Weź, czytaj i rozmawiaj z nami!

TYGODNIK Powszechny WYDANIE SPECJALNE
TERAPIA DLA POLSKI



Powrót dziewczyny miesiąca

ANITA PIOTROWSKA

„The Last Showgirl” najjaśniej błyszczy wtedy, gdy pokazuje zwyczajną życiową szarówkę po godzinach. Starzejących się, zmęczonych ludzi, którzy uwierzyli w wielkie amerykańskie miraż.



W POPKULTURZE CZASÓW POLSKIEJ transformacji serial „Słoneczny patrol” zajmował miejsce szczególne. Był wcieleniem amerykańskiego snu, fantazją o kalifornijskich plażach i ekscytującym życiu seksownych ratowników i ratowniczek. A prawdziwą lokomotywą rozpisanej na jedenaście sezonów produkcji stała się Pamela Anderson, która dołączyła do obsady w 1992 r., dwa lata później zaś wbiegła na wygłodniałe ekrany TVP. Oczywiście w czerwonym, mocno wyciętym kostiumie kąpielowym i w zwolnionym tempie.

O takich rolach mówi się dzisiaj „ikoniczne”, chociaż aktorka, w dużej mierze na własne życzenie, została zaszufładowana tym występem na amen. W zbiorowej wyobraźni Anderson stała się po prostu C.J. Parker, czyli blond seksbombą, dziewczyną z rozkładówki „Playboya”, bohaterką afery sekstaśmowej, przemielonej potem na niezły serial. Do tego laureatką Złotej Maliny za najgorszą rolę roku w komiksowej „Żyćcie” (1996), gdzie zły smak i charakterystyczne dla „najntisów” seksistowskie stereotypy próbowały udawać feminizm.

W nowym milenium bynajmniej nie wypadła z obiegu, ale była obsadzana głównie „po warunkach” bądź... w roli samej siebie. Mimo że w 2022 r. Anderson zadebiutowała na Broadwayu w musicalu „Chicago”, mało kto widział w niej

pełnokrwistą aktorkę filmową. Upływający czas bywa w kinie szczególnie bezlitosny dla kobiet, zwłaszcza o tak przerysowanym wizerunku.

Ale można przecież pójść za ciosem i opowiedzieć właśnie o tym, dając wreszcie coś do zagrania dobiegającej sześćdziesiątki gwiazdki, tak mocno kiedyś przypisanej do ról typowo cielesnych. „The Last Showgirl” wyreżyserowany przez Gię Coppolę jest takim filmem: wcale nie wybitnym, raczej kameralnym i w swej wymowie banalnym, za to ciekawie tematyzującym upływ czasu, również w odniesieniu do biografii i filmografii Pameli Anderson.

Scenariusz Kate Gersten stanowi co prawda adaptację jej własnej sztuki i rzecz dzieje się w podupadłym klubie burleskowym w Las Vegas, lecz historię ogląda się tak, jakby została napisana specjalnie pod słynną aktorkę. Filmowaną tutaj ruchliwie i z bliska, najczęściej bez łaskawego oświetlenia i seksualizujących spojrzeń, w obiektywie Autumn Durald Arkapaw, stałej współpracownicy Coppoli. Ale też bez prowokacyjnej drapieżności i ostentacyjnego glamouru, z jakim kamera patrzyła na dojrzałe aktorki w „Substancji” Coralie Fargeat czy w „Babygirl” Haliny Reijn. I to nie przypadek, że właśnie reżyserki tak bezkompromisowo problematyzują dzisiaj na ekranie kobiece starzenie się. Aczkolwiek pro-

stotą i zarazem łagodną goryczą, z jaką ten film patrzy na osoby ciężko pracujące w przemyśle rozrywkowo-erotycznym, dużo bliżej mu do kina Seana Bakera.

Spśród strusich piór, cekinów, niebotycznych obcasów i umiarkowanej goliżny z pretensjami do Moulin Rouge wyziera amerykański bieda-show-biznes. Dla filmowej Shelley jest on całym światem. Podczas castingu do nowej rewii odejmuje sobie dwie dekady, bo z jej metryką i słabym CV już nie dostanie pracy w branży. Przez ostatnie trzydzieści lat żyła wyłącznie z tańca i teraz, wraz z zamknięciem klubu Szał i Blask, czeka ją bezrobocie. Albo, jak jej starszą koleżankę Annette, zagrana brawurowo przez Jamie Lee Curtis, kiepska praca w kasynie.

Jednakże „The Last Showgirl” nie ogranicza się do klucza krytycznego. Shelley w dużej mierze sama odpowiada za swoją sytuację życiową – naiwna marzycielka nie chce pogodzić się z tym, że lata świetności na scenie ma już za sobą. Nie dostrzega, że czasy się zmieniają, że publiczność domaga się nowych wrażeń, a profesjonalizm mierzy się dziś inaczej. I nie można zrzucić wszystkiego na ejdżizm czy systemowy brak zabezpieczeń społecznych.

Najmocniej w filmie porusza delikatna, melancholijna nuta, odnaleziona przez Anderson w głównej postaci. Dużo bardziej niż przebrane życie osobiste i zawo-



MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

THE LAST SHOWGIRL

– reż. *Gia Coppola*.
Prod. USA 2024.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach
od 25 kwietnia.

Gia Coppola należy do słynnego klanu filmowego – jest wnuczką Francisca Forda Coppoli i w dzieciństwie sporadycznie grywała u niego. W wieku 26 lat zadebiutowała jako reżyserka i scenarzystka filmem „Palo Alto” (2013), ma też na koncie „Mainstream” (2020), wideoklipy i filmy krótkie. Za „The Last Showgirl” otrzymała m.in. Nagrodę Specjalną Jury na festiwalu w San Sebastian.

Na zdjęciu Pamela Anderson w „The Last Showgirl”

dowa degradacja Shelley, która kiedyś postawiła na jedną kartę. Mimo narracyjnych oczywistości „The Last Showgirl” najjaśniej błyszczy wtedy, gdy pokazuje zwyczajną życiową szarówkę po godzinach. Tych starzejących się, zmęczonych ludzi, którzy uwierzyli ongiś w wielkie amerykańskie miraż, czego symbolem pozostaje zbudowane na pustyni miasto symulakrum. Rewiowa weteranka dowiaduje się nagle, że nie jest już „dziewczyną miesiąca” czy „ambasadorką paryskiego szyku” i musi definitywnie zejść ze sceny. Lecz chciałaby przynajmniej zrobić to na własnych warunkach. I tak jak bohaterka Coppoli nadmiernie romantyzuje swoją pasję, tak reżyserka widzi w niej raczej staroświecki urok i zarazem przyczynę do trzeźwej deziluzji.

A może też przejaw wolności w podejmowaniu osobistych wyborów, dużo łatwiej wybaczonej filmowym bohaterom aniżeli bohaterkom? Dlatego Shelley, przy swojej wiecznej niedorodłości, rozmarzeniu i rozdrzaniu, przepuszczona została w „The Last Showgirl” przez ciepły, empatyczny filtr. Podobnie bohaterka Lee Curtis, która w pewnym momencie wykonuje publicznie rozdzierający taniec do piosenki Bonnie Tyler.

Jest jeszcze niedźwiedziowaty Eddy (Dave Bautista), kierownik sceny z własną tajemnicą – wszyscy oni tworzą nieformalną i mało sentymentalną rodzinę, która potrafi dać siłę, kiedy cały brokat opada. Natomiast relacja Shelley z dorosłą córką wymyka się zrazu psychologicznym kliszom zdominowanym w takich przypadkach przez macierzyńskie poczucie winy. Anderson umie zagrać tak, że infantylna chwilami pocziwość jej bohaterki nie ściera się z bezwzględną uczciwością i dopiero finał nabiera w tej materii bardziej przewidywalnych odcieni.

Ogląda się ten film niczym wewnętrzny striptiz w wykonaniu osoby, która zapłaciła wysoką cenę za marzenia. Coppola nawet w ostrych światłach scenicznej rampy, nie mówiąc o oślepiającym słońcu i neonach Las Vegas, widzi w niej przede wszystkim kruchą kobietę, pogubioną w swych fantazjach. Najważniejsze jednak, że Pamela Anderson, której celebrycki status zdaje się nijak mieć do pozycji rewiowej prekariuszki, odnajduje z nią niewymuszone połączenie – chociażby jako zakładniczka swojego wizerunku i ciała. Reżyserka natomiast, choć z pewnością nie jest tu objawieniem na miarę Sofii Coppoli, udowadnia, że mimo uprzywilejowanej pozycji nie odcina kuponów po sławnym dziadku i ciotce. Poszukuje swojej drogi. ©

Lektor: Korzyść z nieufności



■ **Piotr Paziński**
OBSTALUNKI
Wydawnictwo Austeria,
Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2025,
ss. 410

OBSTALUNEK – ŁADNE, TROCHĘ ZAPOMNIANE SŁOWO, I CÓŻ z tego, że germańskie ma źródła. Obstalować trzyczęściowy garnitur u krawca na Savile Row, ech... Piotra Pazińskiego stosunek do garniturów jest niechętny, działalność krawiecką uprawia natomiast w obrębie literatury i języka, a redaktorzy pism wiedzą, że obstalowany u niego tekst będzie celny i znakomicie skrojony – jak u londyńskich mistrzów. Toteż dobrze się stało, że rozproszone dołąd eseje, także z „Tygodnika”, zebrane zostały w jednym, wcale grubym tomie.

Że otwiera się on szkicem o „Ulissiesie” (posłowiem do przekładu Macieja Świerkockiego), to u czołowego naszego joyce’ologa nie dziwi. Kolejne wybory książek i autorów, choć dokonywane z tego, co pojawia się na naszym rynku wydawniczym, też nie są przypadkowe. Przyjmując zamówienie, Paziński pisze o tym, co dla niego ważne, a więc „Obstalunki”, jak tłumaczy, „odzwierciedlają moje literackie i pozaliterackie zainteresowania”. No i otwarcie przyznaje, że ustawia się w pewnej kontrze: jego teksty „łączy wiara w brak metody i nieufność wobec akademickiego modelu współczesnej humanistyki, wobec dominacji teorii i ścisłych paradygmatów”. Broni prawa po prostu do „fajdy czytania” – pewnie dlatego i czytelnik „Obstalunków” ma taką frajdę, jakkolwiek mroczne byłyby lektury Pazińskiego.

Leo Lipski, Christine Lavant, Thomas Bernhard, W.G. Sebald, Jorge Luis Borges, Stanisław Lem i Robert Walser – Szwajcar, który z nieznanego outsidera stał się po śmierci klasykiem. Joseph Roth, Fritz von Herzmanovsky-Orlando, Claudio Magris. Odmieńcy, pamięć i trupie światło umierającej Cekanii – tu mieści się też polemika z pracą Amerykanki Marjorie Perloff, zajmującej się austro-modernizmem. Wielki serbski pisarz tematu żydowskiego Danilo Kiš. Piszący po czesku i po niemiecku Jaroslav Rudiš. Są i duchy, przywołane za sprawą francuskich dekadentów, Arthura Machena i Stefana Grabińskiego oraz innych przedstawicieli literatury grozy. Jakub Frank, ślady po Zagładzie i pustka uchwycona w fotografiach Wojciecha Wilczyka.

A na koniec polskie nowości: elegia na śmierć polsko-żydowskiej Rabki ułożona przez Beatę Chomąrowską, warszawskie spacerki Michała Książka i późny prozatorski debiut świetnego poety i tłumacza Piotra Sommera. Myślę, że niejeden przeczytawszy tę książkę ruszy zaraz do księgarni albo zacznie przegrzebywać internet, ulegając sugestiom autora. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Ze sprawdzonych źródeł

POCHODZENIE MA ZNACZENIE” – WCALE NAS NIE ZDZIWI, ŻE tę toporną rymowanąkę głosi na oficjalnych stronach rząd. Wszystko ma teraz narodowość i najlepiej siedzieć w domku, uprzednio zatrzasnąwszy patentowy zamek. Okna też lepiej pozamykać, od zaduchu jeszcze nikt nie umarł, a w przeciagu to się zaraz zagranicznej influencji można nabawić, w głowie się zalegną jakieś niepolskie z ducha ideologie – przecież większość wiatrów w Polsce wieje z zachodu. Nie bójmy się głośno tego powiedzieć: z Niemiec.

Dlaczego dopiero teraz marszałek Hołownia jako pierwszy zaczął mówić wprost o polskim wietrze?! Doprawdy, Szymonie, gdybyś napisał to pięć lat temu w felietonie w „Tygodniku”, docenilibyśmy ten galop, ale wolałeś odejść w świat, gdzie każdy absurd zostanie wzięty na poważnie. Czekam, kto pierwszy z kandydatów wysunie żądanie przebudowy ustroju pogodowego pod kątem bezpieczeństwa. Państwo z kartonu nie umie zadbać, żeby Polak przestał oddychać tym, co mu Niemiec podesłał!

Cóż, oryginalni endecy umieli przynajmniej strugać ładne pałki. „Swoje do swojego po swoje” – to mowa pięknie wiązana, choć sznur zapleciono z nienawiści. W przeciwieństwie do ich rasistowskich majaków, potrzeba ochrony rynku jest dzisiaj poważna, bierze się z rzeczywistych zagrożeń. O pochodzeniu przypomina minister rolnictwa w komunikacie o przyszczyce na Słowacji i Węgrzech. Apeluje, żeby kupować tylko mięso i ser z tak zwanych „sprawdzonych” źródeł,

czyli, jak rozumiem, nie od przysłówowej baby albo od kolegi szwagra, który robi wędlinę domowym sposobem. Cóż, kiełbasa albo gomółka sera, której jedyną pieczęcią jakości są muchy odganiające znad niezbyt czystej lady, mogą na nas spowodować rozstrój lub problemy medyczne, jednak to my będziemy te koszty ponosić, a nie świny czy krowy w polskich hodowlach. Im wirus zagraża na tuzin bardziej bezpośrednich sposobów.

Węgrzy i Słowacy mówią o bioterroryzmie, to znaczy świadomym wpuszczeniu choroby w ich system hodowli. Od kiedy z solidnych źródeł zaczęliśmy się dowiadywać, że cała niedawna pandemia koro-

DAMIAN / ADOBE STOCK



nawirusa mogła faktycznie mieć początki w nowoczesnym laboratorium, a nie w lepkich od posoki zakamarkach targów z żywym inwentarzem, tego rodzaju teorie łatwiej osadzają się w świadomości. Cóż, bycie ofiarą kłownań dobrze robi na kompleksy, ale to nie znaczy, że tym razem nie mają racji. W tych rozważaniach ginie jednak istota problemu – obcy agent nie miałby czego szukać, gdyby nie sposób, w jaki się produkuje mięso w tych krajach (i wszędzie dookoła).

Klatki i przegródki ustawione w niekończących się rzędach jak komórki tabeli Excela, wypełnione abstrakcyjnym „pogłowiem”. To jest prawda o kiełbasie i serze ze „sprawdzonych źródeł”. Ciąg produkcyjny z jednym ogniwem białkowym – najsłabszym, a jednak niezbywalnym. W pewnym momencie przypomina ono o tym, że jest ciągle, ku utrapieniu akcjonariuszy i regulatorów, żywym organizmem i podlega regułom biochemii, a nie tylko kwartalnym trendom zysku i dyrektywom do spraw dobrostanu. Zderzamy się z granicą możliwości adaptacji przyrody do naszych projektów.

Podobnie jest z kolejną plagą: ptasia grypa jest coraz mocniej obecna na Mazowszu i w Wielkopolsce. Na razie polskim władzom udało się wytargować w Brukseli, że nie zakazą nam eksportu drobiu (przynajmniej do wyborów, potem się zobaczy). Trzeba jednak likwidować ogniska. W branżowym żargonie to się nazywa depopulacja (podobne do „derekrutacji” w nowoczesnych firmach dbających o samopoczucie zasobów ludzkich). Przemysłowa hodowla zna wiele sposobów szybkiego i łagodnego (chcemy w to wierzyć) zabijania – są ujęte w dyrektywie UE 1099/2009, którą powinien czytać każdy, kto jada mięso.



GRAZYNA MAKARA



Makaron z chmielem i cytryną

W naszym cyklu o wczesnych zieliskach z poboczy i zarośli czas na młode pędy dzikiego chmielu (jadamy czubki i pierwsze dwa-trzy listki). Tym bardziej że już są do kupienia jędrne tutejsze szparagi – a chmiel i kształtem je przypomina, i smakowo się z nimi też zbiega, grając na innym, lecz podobnym rejestrze goryczki. Można zatem podawać je obok siebie. Z tym że o ile szparagi lepiej po obraniu upiec, to chmiel zawsze lepiej zblanszować przez kilka minut, a potem podduśić na patelni na oliwie z czosnkiem. Taki mariaż chmielowo-szparagowy spróbujcie doprawić niewielką ilością świeżo startych wiórków chrzanu i oliwą. A poważniejsze danie?



Po lewej:
farma
wiatrowa.
Po prawej:
pędy
chmielu.

Nie żeby nawrócić się na weganizm, ale być bardziej świadomym, dorosłym emocjonalnie spożywcą. Kury zatem można uśmiercać mechanicznie np. przez „ręczne skręcenie szyi”, jednak przepis stanowi, że taką oldskulową czynność jedna osoba może wykonać tylko 70 razy dziennie. Czemu nie sto? Z troski o nadgarstki czy o psychikę? Kiedy trzeba w jeden dzień zdepolować 10 tysięcy ptaków, sami rozumiecie, że to za mało. Są szybkie i wydajne środki elektryczne lub gazowe – ale np. duszenie dwutlenkiem węgla ma swoje wady, bo wymaga szczelnego pomieszczenia lub beczki. Dlatego odpowiednie agendy zamierzają zezwolić na nową, stosowaną już masowo za oceanem metodę – pokrywanie stada kur lub świń gęstą pianą złożoną z azotu. Jeśli zostanie to wykonane fachowo, nie budzi odruchów paniki zwierząt, pozbawia czucia i uśmierca przez brak tlenu w parę minut. Pianę potem się zmywa, azot, nieszkodliwy dla ludzi z obsługi, ucieka w powietrze.

Nie odwracajmy wzroku, nie ma powrotu do agrarnej sielanki. Holenderskie władze odradziły niedawno jedzenia jajek z prywatnych przydomowych kurników – zawierają za dużo tzw. wiecznych chemikaliów (znanych pod angielskim akronimem PFAS). Te ślady po wszechobecnym w naszym świecie plastiku biorą się z robaków wydziobywanych przez szczęśliwe kury zgodnie z odwiecznym porządkiem podwórka, w kącie którego stoi pień i siekierka. Z tych labiryntów sprzeczności nowoczesnego świata nie ma już dobrego wyjścia, trzeba jakoś z tym dalej żyć. Dyskutujmy lepiej o narodowości wiatru, w tej dziedzinie trudno cokolwiek popuścić. Będzie wiał, kędy chce.



Zapisz się na newsletter
– co piątek przepis
na Tygodnikowy lunch,
obiad i deser w Twojej
skrzynce: powszech.
net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest
barmanem, tłumaczem
i redaktorem.
Współautor
„Kuchni Dantego”,
autor „Czekolady
i kapuśniaku” (Nagroda
Literacka im. Leopolda
Staffa 2023).

SKŁADNIKI:

320 g makaronu jajecznego 4 żółtka
1 dymka lub kilka grubych todyg
szczypioru • **gruby pęk pędów dzikiego**
chmielu (ok. 0,25 kg) • **skórka z cytryny**
• **oliwa** • **tarty parmezan** • **sól** • **pieprz**

Blanszujemy chmiel pocięty na kawałki 2-3 cm, dajemy go na patelnię razem z drobno posiekaną dymką (biała i zielona część) lub grubym szczypiorem i skórką z cytryny, dusimy kilka minut, aż trochę zmięknie. Równolegle gotujemy jajeczne spaghetti lub tagliatelle, kiedy dojdą, przekładamy na patelnię z zieleniną, mieszamy, jeśli wyjdzie za suche, podlewamy odrobiną wody z blanszowania. Na każdą porcję na talerzu wbijamy jedno żółtko i posypujemy garstką sera, po czym zachęcamy gości, żeby szybko mieszały, póki kluski gorące. ©&

OPOWIEŚCI ZNAD MORZA SMAKÓW

Ogródek pizzerii Sorbillo. Neapol, wrzesień 2018 r.

BARTEK KIEŻUN, PISARZ I DZIENNIKARZ KULINARNY:

Zasady należy lekceważyć.
Za cappuccino po trzynastej nikt nie będzie w nas rzucał kamieniami.
A ananas na pizzy? Włosi sami się z tego śmieją.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Twoje książki kulinarne są podróżą, przygodą i ucztą nad Morzem Śródziemnym. Przeglądając je, ma się wrażenie, że wszędzie tam czujesz się jak w domu. Gdzie dziś jest Twój dom?

BARTEK KIEŻUN: Ha, nie wiem! To chyba jedyna uczciwa odpowiedź. Mieszkam i w Polsce, i we Włoszech – moim ukochanym kawałku Śródziemnomorza. Czuje się w tej części świata dobrze chyba dlatego, że po spędzeniu tu ostatnich 10 lat życia rozumiem już, co się tutaj dzieje, i wiem, skąd się to wzięło. Zaczynam widzieć powiązania, których wcześniej nie dostrzegałem, łączyć ze sobą kropki. Dzięki temu mogę powiedzieć, że to też mój dom, na co zresztą mam dowody, bo płacę tu podatki.

Twój włoski dom jest w Umbrii?

Umbria mnie po części sama wybrała: wytypowałem trzy domy w środkowej Italii. Jeden w Abruzji, jeden w Lacjum. Ten w Umbrii był ostatni. I okazało się, że wszystko jest tu tak, jak powinno być: na wyciągnięcie ręki jest sztuka, rzut beretem stąd jest winna apelacja Sagrantino i oliwna apelacja Monti Martani. A jako wisienka na torcie – tutejszy kościół nosi wezwanie św. Bartłomieja. Więc sam widzisz, znaki trzeba umieć odczytywać. Może nie od razu takie, jak w „Pod słońcem Toskanii”, gdzie pisarce musiał na głowę narobić gołąb, wołę znaki subtelniejsze.

Ale jak się zostaje autorem niemal tuzina nagradzanych książek podróżniczo-kucharskich w twardej oprawie?

Drogą do tych książek była praca dla magazynu „Kukbuk”. Ówczesna wicenaczelnia Basia Stawecka zaproponowała mi pisanie dla nich własnej rubryki kulinarnej. Nie chciałem pisać skupiając się na tym, co leży na talerzu, tylko na tym, co stoi za talerzem. Z wykształcenia jestem antropologiem kultury, więc bliższe mi było pisanie o tym, co kulinaria o nas mówi i co z nami robią, niż o zawartości talerza. Po paru latach zamarzyłem o książce, bo książka to jednak coś. Ale wtedy wydawcom takie pisanie wydawało się dziwaczne, nikt nie chciał czegoś takiego wydać. Aż oddzwoniła Magda Gołdanowska z grupy wydawniczej Foksal i powiedziała: twarda okładka, 288 stron, masz pół roku. Cóż więc robić?

Powiedziałeś o dostrzeganiu powiązań. Rzymianie nazywali Morze Śródziemne Mare Nostrum, „nasze morze”, i faktycznie, to było ich terytorium. Ale co dzisiaj jest w tym regionie nostrum – wspólnego? To przecież całe spektrum kultur. Jak się łączą te kropki?

Ależ łączą się! My, mówiąc o korzeniach kultury, często skupiamy się na greckiej filozofii, judaizmie i chrześcijaństwie, ale zapominamy, czy wręcz wypieramy ów drugi brzeg: islam i tę część świata, która wydaje się nam dziś tak odmienna. Ale wyprzeć się jej nie da, pamięta o tym język, ale pamiętają też garnki. Przecież Andaluzyja, a w zasadzie cała Hiszpania przez długie lata należała do tej części świata, którą zarządzali Arabowie. I te powiązania wciąż tam są: tropiłem je, jeżdżąc po Hiszpanii, gdzie miałem wrażenie, że jestem jednocześnie w świecie znajomym i odrobinę innym niż to, do czego Morze Śródziemne mnie przyzwyczaiło.

Żeby nie być gołosłownym: karczochy i migdały na śródziemnomorskim stole to dziedzictwo arabskie, podobnie jak

ryż na Sycylii i na południu Hiszpanii. Nie możemy też zapomnieć o *Kitab al-Tabikh*. „Księga dań”, jedna z najstarszych arabskich książek kucharskich wydana w Damaszku w X w., przez mniej więcej 500 lat była z dość sporą regularnością wznawiana. I zmieniała się: dodawano nowe przepisy, dopisywano kolejne rozdziały, aż wersja, która wyszła w Andaluzji w XIV w., już się od tego pierwszego wydania mocno różniła, ma np. podrozdział o kuchni żydowskiej. Książka ta stała się przebojem na dworze osmańskim po tym, jak Turcy podbili Konstantynopol. W efekcie, gdy w Salonikach jesz pieczywo zwane kolouri, od razu kojarzy ci się z tureckim simitem i z jerozolimskim *ka'ak al Quds*. To wszystko dzieci tego samego przepisu z *Kitab al-Tabikh*.

Dla mnie podział basenu Morza Śródziemnego na części, które są *nostrum* i które takie nie są, jest nie na miejscu. W tym obszarze wszystko jest moje. Widać to w kuchniach Hiszpanii i Grecji, Izraela i Palestyny! Widać, jak dalece kuchnia Stambułu jest kuchnią Śródziemnomorza, ale jednocześnie wymieszana z silnym anatolskim wpływem Turków Seldżuckich. Nasze korzenie to więcej niż grecka filozofia i chrześcijaństwo.

Wpływy mieszają się szczególnie na wyspach: Sardinii, Sycylii, Malcie. Skrzyżowaniach szlaków...

Bo podróż to kolejny trop. Dzisiaj my, turyści, często zapominamy, że ludzie podróżowali od zawsze, a woda, morze było ważnym środkiem transportu. Mieszały się na nim i idee, i talerze. Podróże wzbogacały, budowały różnorodność. Kulinaria snują opowieści: jak *bacalhau*, suszony dorsz, który opowiada o żeglarzach czasów wielkich odkryć, sporo zawdzięczającym wikingom, którzy dotarli na północne wybrzeże Hiszpanii.

A czy my tych opowieści trochę nie romantyzujemy?

Widać przecież przez nie nie tylko przygodę i sportkania, ale też biedę i konflikty. W „Portugalii do zjedzenia” opisujesz *alheira assada* – kiełbasę, której historia wiąże się z prześladowaniami Żydów. A uwielbiana włoska *cucina povera* to przecież kuchnia głodowa.

Tak, to nie zawsze są łatwe historie, tyle że w Polsce przyzwyczailiśmy się, że jeśli opowieść nie jest o rodzeniu przy gotowaniu obiadu w chłopskiej chacie, to nie jest prawdziwa. Skupiamy się na opowiadaniu o wojnie i bólu, a ja, nie negując ich istnienia, wołę opowiadać o tym, co łączy i co jest wspólne. Dla przeciwwagi. To nie jest romantyzowanie, tylko pokazywanie, że niezależnie, gdzie mieszkamy, jesteśmy tacy sami albo przynajmniej bardzo podobni w swoich potrzebach. O bieda-kuchni i trudnościach można opowiadać na wiele sposobów. Tak, *al-heirę* zmuszeni do przechrzczenia się Żydzi wyrabiali z chleba, żeby udawała kiełbasę wieprzową dla zmylenia inkwizycji. Ale pisząc o niej, pokazuję, co znaczy fakt, że wciąż jest ona w portugalskiej kuchni obecna. Otóż Portugalczycy za jej pomocą opowiadają o bardzo trudnym kawałku swojej historii, nie wypierają go, za to mówią: popełniamy błędy, ale możemy sobie wybaczyć i dalej żyć razem. To kierunek, który mnie niesie. Takie historie chcę opowiadać.

Ja jednak jeszcze podrażę: opowieści kuchenne bywają też szowinistyczne. Gdy przekonują, że nasze jest najlepsze.



→ Niech ci będzie: pracując nad „Barceloną łakomym okiem” zgłębiałem temat *pinxos* – niewielkich kanapek z czymś na wierzchu. Bardzo często przekłuwają się je wykałaczkami z różnymi zwieńczeniami: o odmiennych kolorach, kształtach, czasem to kółeczko, pętelka czy wstążeczka – każdy rodzaj kanapki ma inną. Na koniec takie wykałaczki zanoszą się do kasy i na ich podstawie barmanka rozlicza cię z tego, co zjadłeś. Otóż trafiłem na jawdowity paszkwil autora z Kraju Basków, gdzie *pinxos* zostały wymyślone. Nie zostawił na Katalończykach suchej nitki. Pomstował, że my, Baskowie wiemy, jak zrobić *pinxos*, wy w Katalonii nie macie o tym pojęcia, a wasze wykałaczki to już w ogóle absurd, bo w Baskonii się tak nie robi, my po prostu przyznajemy się, co zjedliśmy. No, chyba że jest sobota wieczorem i wszyscy jesteśmy pijani. To był długi tekst napędzany złą energią, mający udowodnić, że jego autor jest lepszy. Pomyślałem sobie: co za historia! Z kanapki do przegryzania czwartego piwa późno wieczorem robić ostoję tożsamości kulinarnej?

To dobry moment, by zapytać, który region we Włoszech ma najlepszą pizzę.

Jasne, rzuć mnie na pożarcie! A tak serio, dla mnie najlepsza pizza jest w Neapolu. To nie oznacza, że nie wcinam rzymskiej pizzy chrupiącej, a taka jest też w większości pizzerii w Umbrii (tak, wpadam tu również na pizzę, choć pewnie powinienem żywić się tylko truflami i sagrantino...). Ale jeśli chodzi o pizzę, moje serce jest w Neapolu i nic na to nie poradzę. Neapolitańczycy są ze swojej pizzy bardzo dumni, skodyfikowali ją i uczą innych. Opowieść o tej pizzy to rzeczywiście opowieść o tożsamości tego miasta.

Ta kodyfikacja głosi, że prawdziwie neapolitańska jest tylko margherita i marinara, tymczasem np. Anya von Bremzen w świetnej „Kuchni narodowej” drwi, że już Dumas relacjonował, iż w Neapolu widział pizzę ze smalcem czy z rybkami.

Ależ *pizza mastunicola*, ze smalcem, jest jedną z najlepszych, jakie możesz zjeść w Neapolu, i ma udowodnioną 500-letnią historię, więc tu akurat Anya von Bremzen trafiła kulą w płot. Tę opisywaną od XVI w. pizzę, która nazwę zawdzięcza legendzie, że stworzył ją niejaki mistrz (*mastu*) Nicola, oprócz smalcu okłada się jeszcze pecorino, bazylią i czarnym pieprzem.

Ale jak pizza przekłada się na neapolitańską tożsamość?

Zabawne jest to, że do niedawna sami neapolitańczycy nie zdawali sobie sprawy, iż pizza to Neapol, a Neapol to pizza, bo to



Mastunicola, czyli neapolitańska pizza ze smalcem, oraz ka'ak al Quds z Jerozolimy

BARTEK KIEŻUŃ / ARCHIWUM PRYWATNE X3

nie miało się ujawnić w nieglobalizowanym świecie. Wszystko zaczęło się pod koniec XIX w. w Nowym Jorku. Wprowadzono tam zakaz handlu warzywami – wymierzony przede wszystkim w handlarzy włoskich, którzy, krótko mówiąc, robili na ulicach straszny bałagan. Wtedy jeden z emigrantów, Gennaro Lombardi – imię po najważniejszym neapolitańskim świętym niezbie wskazuje, skąd pochodził – postanawia robić drugą rzecz, której oprócz handlu nauczył się w domu: pizzę. I tworzy absolutny bestseller kulinarny – w Nowym Jorku, bo we Włoszech nadal była ona regionalnym, neapolitańskim przysmakiem. Dopiero w latach 80. XX w. Włosi z Mediolanu zobaczyli w Nowym Jorku świetne włoskie jedzenie, którego nie znali. I w Mediolanie otworzyły się pierwsze pizzerie neapolitańskie poza Neapolem. A potem już poszło. Dziś pizza to synonim jedzenia włoskiego, nie tylko neapolitańskiego.

Ale najpiękniejszą częścią tej historii jest dla mnie to, że kiedy przygotowywałem książkę o Neapolu, Jędrzej Lewandowski z pizzerii Zielona Góra w Pabianicach, uznany przez AVPN – Stowarzyszenie Prawdziwej Pizzy Neapolitańskiej – za najlepszego pizaiolo w Europie, zabrał mnie do pizzerii Lombardich! Tych od Gennaro, który tam właśnie nauczył się piec pizzę. Historia, którą znałem wyłącznie z książek, nagle ucieleśniła się przede mną w postaci krewniaka kogoś,

kto to wszystko zaczął. I komu Neapol powinien postawić pomnik, bo zrobił z pizzy ogólnowiatowy przebój, podreperowując przy okazji opinię samego miasta, którego jedzenie jeszcze do lat 70. XX w. za sprawą epidemii cholery uchodziło za jedno z najgorszych i najbardziej niebezpiecznych w kraju.

Turysta-smakosz jedzie do Włoch wyuczony mnóstwa regulacji podobnych do tych dotyczących pizzy: broń Boże nie zamawiać cappuccino po 13, pasty z owocami morza nie posypywać parmezanem... Należy traktować to poważnie?

Należy takie zasady lekceważyć w całej rozciągłości. Kawę z mlekiem zamawiam, kiedy mam ochotę, bo traktuję ją jak deser, nie kawę. Dobrze jest trzymać się tradycji, ale umówmy się, że niektóre zasady są wyjęte z kapelusza i często Włosi wspólnie potrafią sami sobie zaprzeczać. Na przykład kwestia łączenia ryb i owoców morza z serem: sam tego uczyłem na warsztatach kulinarnych, a potem pojechałem na Sycylię, gdzie częstowano mnie roladą z ryby faszerowaną czerstwym chlebem, rodzynkami i... serem. Absolutnie pyszną. Oczywiście, ktoś mógłby się ze mną spierać, że Sycylia to nie Włochy. Ale Apulia też posypuje owoce morza *parmigiano reggiano* i ni komu się od tego krzywdy nie dzieje.



Tripperia, czyli sklepik z flakami

Wreszcie, anegdotyczny ananas na pizzy. Młody Lombardi przyjął nas w pizzerii w T-shircie, na którym ananas przytulał się do pizzy i mówił do niej: „Kochana, nikt nie musi o tym wiedzieć”. Jak widać, Włosi sami się z tego wszystkiego śmieją.

Trzeba też pamiętać, że tutaj kuchnia często zmienia się nie co region, tylko co 20 kilometrów. Np. umbryjski pasztet z wątróbek raz będzie drobiowy, raz króliczy, raz doprawiony octem, raz sokiem z cytryny. Który z przepisów jest właściwy? Wszystkie.

W jedzeniu najważniejsze jest to, co nam sprawia przyjemność, oto cała odpowiedź na twoje pytanie. Mieszkając we Włoszech, czasami jem śniadanie włoskie, czyli po prostu coś słodkiego z kawą, a czasami robię sobie jajecznicę. Fajnie, że są zasady kulinarne, ale to kuchnia, nie apteka. Za cappuccino po r6 nikt nie będzie krzyczał ani rzucał kamieniami. Ani nawet za americano.

I jak tu się poczuć – a kulinarny turysta tego zwykle pożąda – „jak prawdziwy Włoch”?

To jest nie do zrobienia. Ale też pytanie brzmi, czy w Europie Anno Domini 2025, Europie ciągle jeszcze otwartych granic, naprawdę tego potrzebujemy? Czy jako przybysze musimy stawać się obrońcami włoskiej kultury? Zamiast zakładać tożsamości jak podkoszulki, cieszymy się z różnorodności.

Z turystyką kulinarną jest trochę jak z mechaniką kwantową. Zachodzi w niej efekt obserwatora: sama obecność złaknionego autentyczności turysty narusza tę autentyczność. Bo np. naczytaliśmy się, że prawdziwa neapolitańska pizza to tylko marinara lub margherita, więc sprzedawcy tradycyjnej masturicoli poznikają. Kuchnie lokalne dostosowują się do gustów turystów jak świat długi i szeroki.

Południe Europy jest jednak znacznie mocniej skupione na sobie i swojej tradycji niż nasza północ, gdzie nieustannie poszukujemy: sprowadzamy awokado, knajpy w naszych miastach to przegląd kuchni całego świata. A tutaj niemal nie istnieją restauracje o innych kuchniach niż narodowa. Znam jedną chińską i jedną japońską – w Rzymie. W Atenach szukałem knajp z jedzeniem wegetariańskim i wegańskim. Znalazłem, uwaga, jedną, a rozmawiamy o stolicy kraju, który jest turystyczną mekką. Ciekawy pod tym względem jest Izrael: Tel Awiw jest kulinarnie różnorodny, ale wystarczy pojechać kawaleczek dalej, do Jerozolimy, gdzie istnieje już tylko kuchnia lokalna. Raz w Portugalii, kiedy było potwornie zimno, postanowiłem zjeść ramen, żeby się rozgrzać. I była to moja największa kulinarna pomyłka. To, co dostałem, nawet koło ramenu nie stało, w dodatku było ledwie letnie.

Życie tutaj skupia się na tym, jak wyglądało kiedyś i że powinno tak wyglądać nadal. Byłem świadkiem, jak w naszym sklepiku sąsiadka zapytała sprzedawcę: „Roberto, masz winogrona?”. Sprzedawca odparł: „kobietko, w styczniu?” – i podsunął jej skrzynkę z pomarańczami, na które był sezon. Więc o tradycje południa Europy się nie boję. Jeszcze przez długi czas się tu nie zmieni, skoro nawet młodzi są po stronie tradycji i z lokalnego jedzenia są po prostu dumni.

A jak w tym kontekście patrzysz na kuchnię polską? Chyba dziś już chętniej niż wynalazkami w rodzaju półmiska juhasa na stole z bali pod góralską strzechą chwalimy się światu np. pierogami, które są prawdziwsze, bo wpisane w nasze osobiste, rodzinne doświadczenie.

Tak, ale sporo jest jeszcze do zrobienia. Pierogi to próba przypisania totalnej, naszej tożsamości jedzeniu, które jest ponadtożsamościowe, bo ponadgraniczne. Tak jak barszcz – czyj jest? Ukraiński? Polski? Rosyjski? Zresztą, nawet pojęcie „kuchnia polska” to jeden worek – tak jak włoska. Bo co kuchnia Podhala ma wspólnego z kuchnią Warmii albo Poznania? Jeżdżąc po Polsce, powinniśmy próbować tego, co lokalne. Południe Polski to śliwki, a zatem powidlą, śliwowica, pierogi ze śliwkami, kneidle ze śliwkami... Północ to ryby jeziorne i morskie. I tak dalej.

Tylko że zamówienie w restauracjach na północy Polski lokalnej ryby graniczy z cudem.

Za to króluje rzekomo ogólnopolski schabowy, efekt peerełowskiej gospodarki planowej. Chciałbym, żebyśmy pociągnęli opowieść o polskiej kuchni w kierunku lokalności. I regionalności, bo jesteśmy i zawsze byliśmy częścią Europy. Pas ziemniaka, wieprzowiny i kiszzonej kapusty ciągnie się od Kijowa i Lwowa, przez Kraków, Pragę, Bawarię, aż po Alzację. Fajnie jest widzieć, co nas łączy – a jest to wypadkowa klimatu i wspólnej historii.

Nie jest tak, że łatwiej kultywować kulinarną tradycję nonnie z Apulii, której bieda-kuchnią było, powiedzmy, przepyszne orecchiete con cime di rapa? Gdyby góral z Podhala chciał nawiązać do bieda-kuchni swojego regionu, musiałby, podaje za Kolbergiem, serwować np. kulasę z razowej maki owsianej zalanej wrzątkiem.

Ja jednak zaprotestuję – do tej kuchni polskich gór należą też przecież pyszne moskole czy bryndza. Martyrologicznie ➔

⇒ przywołujemy pamięć głodowej kuchni chłopskiej, a przecież ona też miała swoje niedziele, święta, karnawały. Na świątecznych chłopskich stołach znajdziemy już zupełnie co innego, i to związanego z dobrymi emocjami. Zgoda, południe Europy miało łatwiej, po prostu wegetacja jest tutaj dużo przyjemniejsza, a więc i menu jest szersze. Ale my wypracowaliśmy własne patenty. Przecież takiej zupy jak żur nie ma nigdzie indziej na świecie. Jestem pewien, że przy odrobinie starania żur mógłby zrobić karierę na miarę ramenu.

Wróćmy nad Morze Śródziemne. Klasycznym spornym jedzeniem transgranicznym jest hummus, o którego autorstwo wojują Izrael z Libanem. Czy w Śródziemnomorzu takie wojenki to wyjątek, czy reguła?

Wszędzie na świecie przez długi czas ważniejsze było budowanie tożsamości niż mostów między kulturami. I przez takie właśnie nacjonalistyczne ciągoty tożsamościowe, również kulinarne, mamy do czynienia raczej z różnicowaniem i zawłaszczaniem. Poczucie wspólnoty dziedzictwa to raczej wyjątek niż reguła. Tutaj wszyscy będą się upierali, że coś jest ich autorskim pomysłem, nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi. W Barcelonie jada się kielbasę z Balearów, która nazywa się sobrasada – to wieprzowy tłuszcz wymieszany z papryką. Każdemu, kto choć chwilę spędził we Włoszech, przywodzi to na myśl...

...kalabryjską 'nduję.

Dokładnie! Jest bardzo podobna i takie same były jej początki. A fakt, że mieszkańcy Balearów w pewnym momencie podporządkowali sobie Sycylię, potem wszystko stało się częścią Królestwa Hiszpanii, zaś Hiszpanie na długie lata podporządkowali sobie też Neapol i południe Włoch, czyli Królestwo Obojga Sycylii, tylko potwierdza, że 'nduja musi być bliską kuzynką sobrasady. Wspólnym dziedzictwem. Tymczasem takiej informacji nie znajdziesz w żadnych źródłach, ani włoskich, ani hiszpańskich.

Wojna między Izraelem a Libanem o to, kto wymyślił hummus, jest absurdem stulecia. Przecież oni dobrze wiedzą – z arabskich źródeł – że potrawę tę podawał na swoim dworze Saladin, jeden z sułtanów... egipskich. No, puknijcie się w głowę po prostu. Hummus i inne kulinaria to bardzo chybliwa podstawa do budowy tożsamości.

Za to łatwo je sprzedać turystom. Zresztą, czy turyści zawsze jedzą to, co lokalsi? W Prowansji nigdzie nie udało mi się zjeść ratatouille.



BARTEK KIEŻUN / ARCHIWUM PRYWATNE

BARTEK KIEŻUN jest pisarzem i dziennikarzem kulinarnym, podróżnikiem i fotografem, autorem książek o kuchni regionu Morza Śródziemnego. Absolwent Krakowskiej Szkoły Sommelierów i Academia Barilla w Parmie. Wykłada w Centrum Interpretacji Zabytku oraz Collegium Civitas, prowadzi warsztaty i projekty kulinarne we współpracy z instytucjami kultury. Dwukrotny laureat Nagrody Magellana dla publikacji turystycznych i siedmiokrotny zdobywca World Gourmand Cookbook Awards.



21 maja 2025 r. ukaże się jego najnowsza książka, „Barcelona łakomym okiem”. Przewodnik po mieście i jego kuchni”.

Pewnie było zbyt banalne, jak na francuską potrzebę kulinarnego olśniewania. Jest wiele potraw wstydliwie chowanych przed turystami, jak ta góralska mąka z wrzątkiem. Trzy lata temu w okolicach Wielkanocy Rita, moja włoska sąsiadka, zapytała mnie, czy jadłem kiedyś coratellę. Nie miałem pojęcia, co to jest, żadna restauracja w Umbrii tego nie podaje. Zrozumiałem dlaczego, gdy na wielkanocnym obiedzie postawiła przede mną talerz. Otóż na Wielkanoc zabija się i piecze jagnię, a wszystko, z czego jagnię wypatroszono – płuca, żołądek, nerki, wątroba – jest drobno siekane i gotowane. To jest właśnie *coratella*.

I jak?

Obrzydliwe. Ale w okresie Wielkanocy wszyscy tutaj to gotują.

Dla kulinarnych turystów takie dania stają się często sportem ekstremalnym. Licytujemy się, kto próbował casu marzu na Sardynii, a kto kokoretsi w Turcji.

Trzeba sobie w tym momencie powiedzieć, że pewnych rzeczy po prostu nie musimy zjadać. Dla mnie czerwona linia to dania z mózgiem. Nie smakowała mi też sałatka ze świńskich uszu w Portugalii. Mimo ogromnej ilości cebuli i kolendry, wciąż masz uczucie, że jesz coś niejadalnego. Mamy prawo się do niczego nie zmuszać, wiedzieć, że nie musimy wszystkiego próbować. Do tego się dorasta, tak samo jak się wyrasta z bycia urlopowym kulinarnym kamikadze.

Jak więc słuchać kulinarnych opowieści Śródziemnomorza ze zrozumieniem?

Szalenie ważne jest, żeby faktycznie słuchać, przywiązywać do tego wagę, ale jednocześnie umieć czasami wątpić, bo wiele opowieści o jedzeniu to kulinarna ściema. Jak na przykład ta o Casanovie wcinającym tiramisu.

Po drugie, do każdego wyjazdu kulinarnego trzeba się trochę przygotować – ale nie poprzez szukanie w sieci najlepszych restauracji z gwiazdkami Michelin. Bo kuchnia fine-diningowa jest bardzo zunifikowana, wszędzie wygląda i smakuje dość podobnie. Trzeba poszukać tego, co jest rzeczywiście regionalne: przysmaku, który nie miał szans zrobić kariery poza własnym miastem czy regionem, i tym się cieszyć. Bo takie rzeczy mogą zginąć, jeśli nikt ich nie będzie jadł, a wtedy kulinarny świat się nam katastrofalnie ujednolici. Poświęćmy chwilę przed wyjazdem z domu, żeby w Wenecji nie pytać o pizzę. Miastem pizzy jest Neapol, a w Wenecji wcinajmy *risi e bisi*. Zwłaszcza teraz, bo to danie wiosenne.

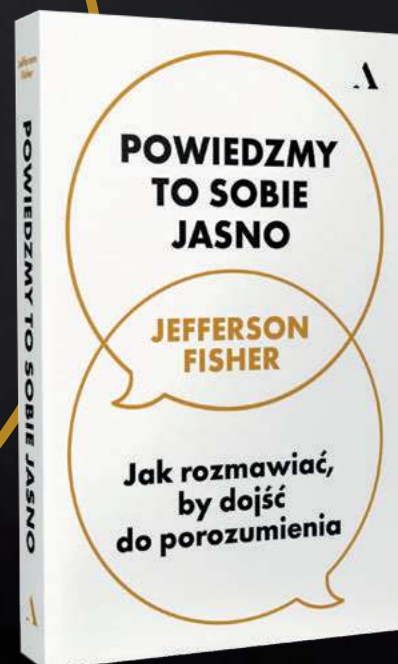
© Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI



**KSIĄŻKA, NA KTÓRĄ
CZekaŁO KILKA MILIONÓW OSÓB
NA CAŁYM ŚWIECIE**

Jefferson Fisher pokazuje,
**JAK UMIEJĘTNIE
ROZMAWIAĆ
W KAŻDEJ SYTUACJI.**

Poznaj jego prostą i skuteczną
metodę, którą możesz
zastosować już
w następnej rozmowie.



OBSERWUJ JEFFERSONA FISHERA W SOCIAL MEDIACH

📷 JEFFERSON_FISHER / 📺 JEFFERSON FISHER

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA
WWW.WYDAWNICTWOAGORA.PL



WOLISZ EBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

 Wydawnictwo
Agora

REKLAMY



KSIĄŻKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

Największe pismo literackie w Polsce.
Dobrze się czyta.



Kup z dostawą do domu i do paczkomatu

prenumerata24.pl

TOMASZ

Stawiszyński:

Debaty MMA



ZGODZICIE SIĘ CHYBA, ŻE GDYBY PRZYSŁOWIOWY przybysz z obcej planety postanowił wnioskować o naturze i celach polityki (krajowej) wyłącznie na podstawie polskich tak zwanych „debat prezydenckich”, nie doszedłby do porządkujących wniosków. W pierwszej

kolejności powziąłby zapewne przekonanie, że jest to połączenie gry zręcznościowej oraz konkursu w dziedzinie manipulacji, automarketingu, a także rozmaitych form biernej i czynnej agresji. W drugiej – niewykluczone – uznałby, że adresatem tych wszystkich manifestacji i prezentacji, skoro są tak skuteczne, musi być grupa ludzi o raczej niewyszukanych możliwościach poznawczych. I że nie mają one w zasadzie nic wspólnego z merytoryką, lecz redukują się do zestawu chwytów, z pomocą których da się najskuteczniej omamić to grono naiwnych.

Oczywiście, w 2025 r. nikt się takim okolicznościom nie powinien dziwić. Wiadomo, że demokracja, oprócz wielu zalet, to także jeden wielki teleturniej, w którym czasami kolor kosztu liczy się bardziej niż programowe niuanse, a mowa gładka, obła i bez treści wygrywa z sensowną, a mniej z wierzchu połykliwością. Istnieją nawet zasadne hipotezy, że taka jest cena wolnych wyborów, w których kandydaci i ugrupowania konkurują ze sobą o głosy. W systemach totalitarnych nie trzeba aż tak bardzo się starać (choć fasada też się liczy), bo z góry jest jasne, kto ma być u władzy. Tymczasem – definicyjnie – demokracja istnieje tam, gdzie wyniku wyborów nikt nie jest w stanie do końca przewidzieć. Co – nawiasem mówiąc – wziąć sobie powinni do serca ci, którzy przez wiele ostatnich lat wzniesali w Polsce afektywne wiry pod hasłem „końca demokracji”, „totalitaryzmu”, „czołgów na ulicach” itp. Cóż, taki to był „koniec demokracji”, jak również „totalitaryzm” (o „czołgach” nie wspominając), że w grudniu 2023 r. ekipa rządząca się po prostu zmieniła i odtąd mamy inną, którą za moment znowu będziemy weryfikować przy urnach.

Pocieszająca wiadomość brzmi więc: dopóki co pięć lub cztery lata dokonujemy takich weryfikacji, dopóty demokracja istnieje, a krzyki o jej końcu są tylko elementem igrzysk. Które jednak z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, coraz mniej przypominają szlachetne olimpijskie współzawodnictwo, coraz bardziej natomiast zaczynają zbliżać się do konwencji walk „freak MMA”. Między innymi dlatego, że od pewnego czasu stałymi elementami gry okazało się nakręcanie zbiorowych emocji oraz przekonanie, że cel święta środki, czyli że przeciwnika można i należy pokonać wszelkimi dostępnymi metodami, bez zaważeń i najmniejszych skrupułów.

W tych nieszczęsnych debatach widać to najwyraźniej. Prawie żadnej otwartej, uczciwej konfrontacji – tylko spryt, by nie powiedzieć cwaniactwo. Jakby tu wywieść innych w pole, zmylić im tropy, nabrać i wytrącić z kontenansu? I jeszcze to wtłaczane nam przez komitety wyborcze – każdy z osobna – dogmatyczne wierzenie, że nie ma innego wyjścia niż tylko głosowanie na ich kandydata. A ktokolwiek pomyśli inaczej – „niszczy demokrację” i wspiera siły najciemniejsze z ciemnych, sam zaś jest człowiekiem w najlepszym razie moralnie zwichrowanym, a w najgorszym doszczętnie upadłym.

Pal sześć zresztą tego przybysza z kosmosu i jego indukcje: bardziej mnie martwi, jaki długofalowy efekt podobne popisy wywierają na Ziemiach. Ze szczególnym wskazaniem tych w wieku dziecięcym i młodzieńczym, którzy dopiero wchodzą w dorosłość, a o świecie mają na razie pojęcie niewielkie. Otóż jeśli oni, dopiero opanowujący reguły społecznej gry, na takiej podstawie nabadą wyobrażenia o polityce i politycznym zaangażowaniu, jeśli nauczą się, że demonstrowane przy okazji owych debat (czy innych paroksyzmów polaryzacji) zachowania są standardem, który prowadzi do władzy, prestiżu i sukcesu – nasza przyszłość rysuje się ponuro.

Trudno się bowiem oprzeć wrażeniu, że świat polityki oraz świat masowych mediów, stanowiący dla tego pierwszego żywe podglebie, są dziś bodaj najbardziej zdemoralizowanymi sferami życia publicznego. Systemowo premiującymi cechy, które wprawdzie nominalnie uznajemy za niepożądane, po cichu jednak, gdy nas nikt nie słyszy, traktujemy jako podstawowe przepustki do politycznej kariery. To doprawdy ponura groteska, że niemal każdy, kto chciałby się dzisiaj skupić na merytoryce zamiast na kombinatorstwie, odpadłby z wyścigu wyborczego w przedbiegach. Z polskiej polityki wielu już w ten sposób odpadło, odpada i odpadać będzie, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Ta machina kręci się sama, potężną siłą inercji – i nikt nie wie, jak ją zatrzymać. Nawet ci, którzy wchodzą do niej z głębokim przekonaniem, że wymaga fundamentalnej zmiany.

Powtórzę: nie chodzi o to, żeby obrażać się na realia nowoczesności, ale o to, żeby ocalić w tych sprawach jakieś elementarne granice. Politycy – oraz ich sztaby i tłumy PR-owców – demonstrują przecież lekceważenie nie tylko dla samej idei politycznej rywalizacji, ale w głównej mierze dla nas, wyborców, którzy stajemy się tych manipulacji mimowolnym przedmiotem. Pytanie brzmi więc: jak długo będziemy się godzić, żeby nas tak traktowano? Niczym łaknący najniższych odmian rozrywki, rozochoczeni, rozemocjonowani, pozbawiony elementarnej orientacji w świecie, podatny na najgłupsze formy perswazji tłum? ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.

Tym marzeniem może być projekt społeczny, kulturalny lub biznesowy, ale również pokrycie kosztów leczenia, opieka nad pupilem czy wsparcie bliskich w trudnych chwilach. Założenie zbiórki jest całkowicie darmowe i trwa kilka chwil.

Zbieraj na to, co **ważne**

dla siebie, swoich *bliskich*
i na inicjatywy bliskie
Twojemu sercu.



Leczenie mojego ukochanego
Azora



Pomoc sąsiedzka dla Pani
Janiny



Kultowa księgarnia-kawiarnia
potrzebuje Ciebie



Wsparcie psychologiczne
dla młodzieży

Pomagam.pl

STWÓRZ ZBIÓRKĘ

ZBIERANA KWOTA

7500,00 zł

TYTUŁ ZBIÓRKI

Wpisz tytuł zbiórki

Dalej

Cofnij

Wejdź na Pomagam.pl
i sprawdź, jak to działa!

NOWY CITROËN ë-C3 AIRCROSS

KOMFORT, KTÓREMU NIKT SIĘ NIE OPRZE



JUŻ OD

299 zł netto miesięcznie
w leasingu dla firm

Z DOPŁATĄ W PROGRAMIE „NASZEAUTO”

UBEZPIECZENIE ZA 1 ZŁ

NOWOCZESNY, NAWET 7-MIEJSCOWY SUV
DOSTĘPNY Z NAPĘDEM BENZYNOWYM,
HYBRYDOWYM LUB ELEKTRYCZNYM

Zużycie paliwa/energii (ważone), cykl mieszany: 5,9 - 6,1 l/100 km (wersje benzynowe), 5,3 - 5,4 l/100 km (wersje hybrydowe), 18,1 - 18,3 kWh/100 km (wersje elektryczne). Emisja CO₂ (wartość uśredniona): 135-139 g/km (wersje benzynowe), 120-123 g/km (wersje hybrydowe), 0 g/km (wersje elektryczne). Wartości zużycia paliwa i energii oraz emisji CO₂ określone zostały na podstawie pomiarów w cyklu WLTP. Podane wartości (od najwyższych do najniższych) uzyskano z uwzględnieniem wyposażenia dodatkowego pojazdu, dla wersji w europejskim standardzie wyposażenia. Wartości mogą odbiegać od rzeczywistych, ponieważ nie uwzględniają zróżnicowanego stylu i warunków jazdy, rodzaju nawierzchni, temperatury otoczenia, trybu pracy klimatyzacji itp.

Oferta leasingowa skierowana do przedsiębiorców. Założenia przyjęte do kalkulacji: cena katalogowa brutto 120800 zł, okres leasingu 24 miesiące i roczny przebieg 10 000 km, wpłata początkowa 31%, miesięczna rata leasingowa netto: 299 zł. Szczegóły znajdują Państwo u Autoryzowanego Dealera Citroëna. Niniejsza informacja nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego. Zgoda na udzielenie leasingu jest uzależniona od zdolności kredytowej klienta ustalonej zgodnie z procedurami Leasingodawcy. Oferta zakłada dofinansowanie wpłaty początkowej w ramach Programu „NaszeAuto” Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) w wysokości 30.000 PLN netto zgodnie z zasadami Programu. Uzyskanie dofinansowania i jego rzeczywista wysokość są uzależnione od spełnienia warunków Programu i decyzji operatora Programu. Szczegółowe informacje dotyczące Programu w tym m.in. warunków składania wniosków, terminu wypłaty dofinansowania oraz pozostałych wymagań znajdują się na stronie internetowej NFOŚiGW.

Pakiet ubezpieczeń OC/AC za 1 zł. Ubezpieczenie OC/AC/NNW/Assistance dla pojazdów w pierwszym roku eksploatacji. Stała suma ubezpieczenia fabrycznie nowego pojazdu przez okres 12 miesięcy, brak konsumpcji sumy ubezpieczenia oraz udziału własnego w przypadku wystąpienia szkody, zniesiona zwyżka w przypadku pojazdów będących własnością (lub współwłasnością) osób fizycznych w wieku do 29 lat, naprawa samochodu w Autoryzowanym Serwisie Obsługi Citroën, z zastosowaniem części oryginalnych. Pakiet ubezpieczeń dostępny za 1 zł w przypadku skorzystania przez Klienta z oferty zamówienia pojazdu online lub u Dealera. Istnieje możliwość rozszerzenia ochrony o opcje dodatkowe – zwyżki z tytułu użytkowania oraz rozszerzenia ochrony dopłaca Klient zgodnie z tabelą zwyżek i zniżek. Oferta dotyczy tylko samochodów nowych. Szczegóły dotyczące promocji dostępne w salonach Citroën.

Pakiet Citroën, We Care obejmuje 2 lata standardowej gwarancji umownej producenta na nowy pojazd oraz po jej upływie, do 6 lat dodatkowej, bezpłatnej Specjalnej Ochrony, aktywowanej w przypadku podjęcia decyzji o serwisowaniu samochodu w sieci Citroën przez serwis uczestniczący w programie zgodnie z przedstawionym planem serwisowym. Specjalna Ochrona jest ważna do następnego zaplanowanego przeglądu i do 8 lat lub 160 000 km, w zależności od tego, co nastąpi wcześniej, zgodnie z warunkami programu. Citroën, We Care nie ma wpływu na środki ochrony prawnej przysługujące z mocy prawa oraz na gwarancję umowną producenta na samochód, która podlega odpowiednim warunkom gwarancji udzielonej przez Stellantis. Zapoznaj się z pełnymi warunkami na stronie <https://www.citroen.pl/servis/citroen-we-care.html>

Do **8** lat
Citroën, We Care
gwarancji



CITROËN